

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1981





ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1981

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 334

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Janusz RAKOWSKI

## ZETOWCY I PIŁSUDCZYCY (2)

### III. PIERWSZE LATA NIEPODLEGŁOŚCI (1918-1926)

#### *Niepodległość i co dalej?*

Można się zgodzić z twierdzeniem, że formacje polityczne, które walkę o niepodległość Polski wysuwały na plan pierwszy programu praktycznej działalności, z chwilą odzyskania niepodległości znalazły się „u końca swojej łąciny”. Walka o niepodległość była sama w sobie ideologią i programem. W Związkach Strzeleckich, zarzewiackich „Drużynach” czy w POW nie prowadzono politycznych dyskusji na temat charakteru i zasad organizacyjnych przyszłego państwa polskiego.

Piłsudczycy nie tylko w okresie przygotowań do czynu zbrojnego i w czasie walk, ale i później, do roku 1926, nie byli zorganizowanym obozem politycznym. Nie mając w swej ogólnej masie ideowo-politycznego przygotowania, musieli się ustosunkowywać do nowej rzeczywistości w ramach wolnego państwa. Znakomita większość nie interesowała się polityką, pozostała w wojsku, krzewiąc tam ducha i tradycje I Brygady i POW. Ale wśród nich, jak również w gronie cywilnych doradców Piłsudskiego, znaleźli się ludzie o ambicjach politycznych. Ci poczuli odnawiać dawne powiązania partyjne lub nawiązywać kontakty z nowo tworzącymi się ugrupowaniami.

Pierwszą taką próbą politycznego angażowania się było przystąpienie ówczesnego płk. Edwarda Śmigłego-Rydza i Wacława Sieroszewskiego do ludowego rządu lubelskiego. Rząd ten pow-

stał zaraz po uwolnieniu Lublina w wyniku poufnych narad socjalistów, ludowców i radykalnego odłamu inteligencji. Ogłosił swe powstanie w nocy z 6 na 7 listopada 1918 roku, wydając jednocześnie „manifest”, rewolucyjny w tonie i radykalny w zapowiedziach<sup>1</sup>. Lublin posiadał wówczas w oddziałach POW siłę, mogącą zapewnić powodzenie podjętej akcji. Dlatego też wciągnięto do tej akcji legionistów.

Józef Piłsudski, gdy w dniu 10 listopada 1918 powrócił do Warszawy z więzienia w Magdeburgu, nie był zadowolony z tego politycznego zaangażowania się jego podkomendnych. Był socjalista, który wysiadł na „przystanku Niepodległość” nie mając sprecyzowanego programu, miał niewątpliwie zarysowaną w ogólnych liniach wizję przyszłości, obraz wolnej Polski, o którą walczył. W polityce wewnętrznej nie chciał szukać oparcia tylko na „lewej” części narodu. Dążył — jak to później sformułował po przewrocie majowym — do stanu, w którym „lewica i prawica” miały być w równowadze. Chciał zapewnić tworzącej się nowej Polsce ustrój demokratyczny, oparty na możliwie szerokiej podstawie zgody narodowej, tak bardzo potrzebnej dla trwającej jeszcze walki o granice i dla odbudowy życia państwowego po stuletniej niewoli. W polityce zagranicznej walczył o Polskę wielką, nawiązującą do tradycji jagiellońskiej, skonfederowaną z wolnymi narodami Litwy, Białorusi i Ukrainy, słusznie zakładając, że tylko ta koncepcja zabezpieczy Rzeczpospolitą Polską przed możliwością nowej agresji, poprzednio białej, a obecnie czerwonej.

Bogusław Miedziński, jeden z czołowych polityków obozu legionowego, związany ówczesnie z PSL „Piast” (z którego po zabójstwie Narutowicza w roku 1923 przeszedł do PSL „Wyzwolenie”), pisze w swych wspomnieniach, że został przyjęty przez Piłsudskiego bardzo zimno, gdy zgłosił się do niego w imieniu Śmigłego w dniu 11 listopada 1918 po przyjeździe z Lublina<sup>2</sup>. 14 listopada Rada Regencyjna oficjalnie rozwiązała się i złożyła swe obowiązki w ręce Piłsudskiego. W poczuciu wielkiej odpowiedzialności za organizację państwa, Piłsudski przywołał wówczas członków Konwentu, zganił rząd lubelski i bardzo ostro wezwał do „użycia bicia na samych siebie”<sup>3</sup>. Również pobyt Śmigłego, który przyjechał z członkami rządu lubelskiego, był w Warszawie bardzo krótki. Piłsudski rozmawiał z nim pół

---

1. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polityczna Polski*, Paryż 1953, t. I, str. 364.

2. *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego*, t. I, str. 390.

3. *Ibid.*, str. 393, według L. Wasilewskiego.

godziny i polecił objąć dowództwo Okręgu Generalnego Lublin, dokąd Śmigły udał się niezwłocznie wraz z Miedzińskim<sup>4</sup>.

Pewna część, nieliczna zresztą, oficerów legionowych, szukających możliwości politycznego wyżycia się, poczęła zbliżać się do stronnictw prawicowych. Płk Marian Januszajtis, dawny komendant naczelny zarzewiackich „Drużyn Strzeleckich”, dał się wciągnąć do endeckiego „zamachu stanu” w nocy z dnia 4 na 5 stycznia 1919. Innym przykładem tej grupy oficerów legionowych jest Józef Haller, początkowo oddany Piłsudskiemu, dowódca „Legionu Wschodniego”, który w 1914 roku z 300 ludźmi wytrwał przy idei legionowej wbrew agitacji endeckiej i był dowódcą II-ej Brygady. Józef Haller po przedostaniu się do Francji i objęciu tam komendy „Armii Błękitnej” oddalił się też od legionistów.

Pierwszą próbą stworzenia formacji politycznej piłsudczyków, której — jak się wydaje — Piłsudski dał swój *placet*, było „Państwowe Zjednoczenie Kresowe” utworzone przez ludzi z najbliższego jego otoczenia przed wyborami do Sejmu na jesieni 1922 roku. Będzie o nim mowa w następnym punkcie tego rozdziału. Skupiało ono — w kontrowersji z zetową akcją „Straży Kresowej” — inteligencję radykalną i liberalno-mieszczzańską włącznie z piłsudczykowskim ziemiaństwem.

Tak jak piłsudczycy w ogólnej swej masie, również z e t o w c y nie mieli w chwili zbliżania się do niepodległości sprecyzowanego poglądu na politykę odrodzonego państwa polskiego. Mieli jednak w tym luźnym jeszcze obozie o tyle przewagę, że zdolali zachować jedność organizacyjną i ideologiczną. Kazimierz Wyszyński już w okresie zarzewiackiego rozłamu przestrzegał przed zbyt jednostronnym ideologicznym ustosunkowaniem się młodzieży w kierunku przysposobienia wojskowego. Tajne koła PETU w gimnazjach i ZETU na wyższych uczelniach nigdy nie zaprzestały politycznego kształcenia swych wychowanków w najszerszym pojęciu tego słowa.

Czytając *Kronikę życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, starannie opracowaną przez prof. Wacława Jędrzejewicza na podstawie olbrzymiej ilości wydanych prac i wspomnień, uderza i zastanawia brak nazwisk zetowców pośród osób, z którymi Piłsudski spotykał się i rozmawiał na tematy polityczne w okresie gdy był Naczelnikiem Państwa (1918-1922), czy potem po usunięciu się w zacisze Sulejówka (1923 - kwiecień 1926), czy wreszcie po przewrocie majowym 1926 roku.

---

4. *Ibid.*, str. 393, wspomnienia B. Miedzińskiego.

Spotykał się i konferował z członkami Konwentu, ale do tej swojego rodzaju konspiracji piłsudczykowskiej „młodzieży narodowej” — jak wiemy od Miedzińskiego — „przez zapomnienie” nie zaproszono. Trudno przypuścić, aby Piłsudski nie zdawał sobie sprawy z udziału zetowców w jego obozie od wybuchu wojny 1914, ich pracy w Legionach i w POW. Kazimierz Wyszyński był przecież w pewnym okresie jego adiutantem i referentem politycznym. Być może, że jednak właśnie ten kontakt nastawił Piłsudskiego niechętnie do zetowców. Wyszyński, jeden z najwybitniejszych ludzi jakich wydał ZET, wśród wielu cnót posiadał także odwagę cywilną w sprawie zasad. Gdy się z Piłsudskim nie zgadzał, mówił mu to w oczy. Tadeusz Katelbach twierdził, że Piłsudski nigdy mu tego nie zapomniął. Kiedyś w rozmowie w cztery oczy, zezłoszczony krytycznymi uwagami „mruka”, którego na pewno cenił, lecz którego za jego śmiały krytycyzm nie lubił, rzucił z całą siłą w kąt krzesłem<sup>5</sup>.

Jedyna notatka w *Kronice życia Józefa Piłsudskiego* dotycząca jego kontaktu i rozmów z zetowcami nosi datę 10 maja 1925 roku. W tym dniu Piłsudski udał się do Świącicy pod Chełmem, majątku Zdzisława Lechnickiego, wybitnego działacza ZETU i kierownika „Towarzystwa Straży Kresowej”. Piłsudski nie piastował już wówczas żadnego urzędu cywilnego czy wojskowego. Przebywał u Lechnickiego przez dwa dni i omawiał z działaczami „Straży” i licznymi delegacjami ziemi chełmskiej sprawę sytuacji politycznej w Polsce. Wśród obecnych byli Tadeusz i Felicjan Lechnicy, Melchior Wańkowicz, Antoni Zalewski — działacze „Straży Kresowej”, gen. Orlicz Dreszer i inni, wywodzący się z organizacji „Młodzieży Narodowej<sup>6</sup>”.

Spotkanie to [data niepewna], noszące charakter *sui generis* pojednania, nie zmieniło jednak niechętnego stosunku Piłsudskiego do zetowców — jak się okaże — również po przewrocie majowym, gdy Piłsudski znów doszedł do władzy.

### *Związek Patriotyczny*

Wspomniałem już, że Kazimierz Wyszyński, jako Sekretarz

---

5. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 140. Chodziło, o ile wiem, o brak zgody Wyszyńskiego na wspólne kandydowanie działaczy Związku Rad Ludowych z „obszarnikami” na liście „Państwowego Zjednoczenia Kresowego”.

6. *Kronika...*, t. II, str. 167. Kopia listu A. Zalewskiego z 12 stycznia 1976 r. i relacja Wiesława Domaniewskiego.

Centralizacji ZETU od roku 1911, podporządkował ZET i podległe mu organizacje młodzieżowe Józefowi Piłsudskiemu w przededniu wojny 1914 roku, ale tylko na czas wojny. Gdy koniec wojny zbliżał się, klęska mocarstw centralnych stawała się coraz bardziej wyraźna, a Rewolucja Rosyjska stwarzała nową, przychylną dla sprawy polskiej niepodległości sytuację — zetowcy poczęli szybko przestawiać się z programu walki o niepodległość na program pracy w wolnym państwie.

W dniach 26-28 czerwca 1918 roku obradował w Krakowie Zjazd Braterski trójzaborowy, na którym omawiano m.in. sprawę przyszłych granic. Stwierdzono, że ZET dąży do granic przedrozbiorowych z roku 1772<sup>7</sup>. Na zjeździe tym 12-osobowa grupa delegatów zgłosiła prośbę o organizacyjny „urlop bezterminowy”. Prośbę uzasadniano tym, że wchodzi — używając języka zetowego — do „starszego społeczeństwa” i biorą na siebie odpowiedzialność za działalność w nim<sup>8</sup>. Urlop otrzymali: Stanisław Cheliński, Regina Cwilichówna (późniejsza żona Wacława Jędrzejewicza), Rudolf Dreszer, Aleksander Graff, Władysław Hedinger, Stanisław Janikowski, Zygmunt Rusinek, Mieczysław Seydlitz, Lech Suchowiak, Kazimierz Wyszyński, Przemysław Podgórski i Stefan Szwedowski<sup>9</sup>. We wspomnieniach Stefana Szwedowskiego wymieniony jest też Gustaw Zieliński. W Zjeździe brał też udział Jan Wszelaki, późniejszy wybitny dyplomata w MSZ, nie jest jednak wymieniony wśród urlopowanych i do konspiracji zetowej w „starszym społeczeństwie” nie wszedł.

W trzy miesiące później, w pierwszych dniach listopada 1918 roku, odbył się w Lublinie Zjazd owej grupy oraz kilku innych jeszcze zetowców starszej generacji. Powołano na nim nowe ugrupowanie ideowo-polityczne: Z w i ą z e k P a t r i o t y c z n y (ZP). Związek był pomyślany jako zakonspirowana organizacja elitarno-kadrowa, kierująca — na podobieństwo ZETU w środowisku młodzieżowym — siecią różnorodnych jawnych związków i stowarzyszeń.

Tę konspiracyjną formę politycznej działalności wybrano nie tylko ze względu na tradycję organizacyjną. Gwarantowała ona podejmowanie decyzji w koleżeńskiej atmosferze stosunkowo małego grona ludzi, bez wynoszenia na forum zewnętrzne wewnętrz-

---

7. Pamiętnik Stefana Szwedowskiego — mikrofilm w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

8. Ludwik Hass, *Więź* nr 10/1973, również artykuł w *Kwartalniku Historycznym* nr 4/1978.

9. *Ibid.*, na podstawie pamiętnika Szwedowskiego.



nych dyskusji i sporów, nieuniknionych w każdym ugrupowaniu politycznym.

Przed założycielami ZP stało zasadnicze pytanie: jak w nowych warunkach polskich pojmować stare naczelne hasło „dobra narodu”. U wstępu niepodległości trzeba było wyjaśnić wpieryw przynajmniej sobie samym, by następnie wskazać innym, jak się ma służyć odrodzonej Polsce, w jakim kierunku działać, by nie tylko utrzymała się jako odrębna jednostka państwowa w Europie, lecz w niej i coś znaczyła<sup>10</sup>. Trzeba dodać, że w ciągłych poprzednich ideowych starciach z Ligą Narodową i stronnictwem Narodowej Demokracji zetowcy wybitnie interesowali się problematyką przemian społecznych. To zainteresowanie teoretyczne i praktyczne kwestią społeczną, sytuacją wsi i miasta, chłopów i robotników, ustawiało z punktu ewoluujący ruch zetowy po lewej stronie ogólnego ruchu politycznego.

Nie było na pewno rzeczą przypadku, że konstytucyjne zebranie Związku Patriotycznego zwołane zostało właśnie do lewicowego Lublina i właśnie w dniach, gdy tworzył się w nim rząd Ignacego Daszyńskiego. Zjazd, który rozpoczął swe obrady w dniu 1 listopada 1918 roku, uchwalił deklarację i statut ZP pióra Kazimierza Wyszyńskiego. Do pierwszego Komitetu Centralnego powołano Wyszyńskiego, Janikowskiego i Graffa. Wyszyński został znów sekretarzem i duszą kierowniczą KC i stanowisko to piastował bez przerwy do stycznia 1923 roku. W sumie (w ogólnym ruchu zetowym, starszym akademickim i młodym z ZP) był sekretarzem Komitetów Centralnych przeszło 11 lat.

### *Związek Młodej Polski*

Tworząc Związek Patriotyczny zetowcy posiadali na terenie ziemi lubelskiej zespół poważnych działaczy, w miastach i na wsi, m.in. w Związku Kółek Rolniczych, kierowanym przez Wiesława Czerwińskiego. Mieli też w kraju dobry kontakt z kierowniczymi kołami Narodowego Związku Robotniczego i Narodowej Partii Robotniczej za pośrednictwem jednego z pierwszych przyjętych do grona ZP, dawnego „brata zetowego”, Jana Stanisława Jankowskiego (1882-1953). Ten, wówczas propiśsudczykowski nastawiony, wieloletni działacz centralny NPR, już w latach 1919-1920 został na czas służby wojskowej Wyszyńskiego dokoopto-

---

10. Ludwik Hass, *Więź* nr 10/1973.

wany do Komitetu Centralnego ZP, zaś od stycznia 1921 roku był w ciągu kilku kadencji jego pełnoprawnym członkiem.

Ale głównym terenem, na którym ZP szybko wypłynął na szersze wody życia politycznego, były Ziemie Zachodnie, a przede wszystkim Wielkopolska. W tej słabo rozwiniętej centrowo-lewicowej części polskich ugrupowań politycznych, gdzie ortodoksyjni pilsudczycy nie mieli żadnego zaplecza, łatwiej było ZP znaleźć dla siebie miejsce<sup>11</sup>.

Gdy na ziemiach Polski centralnej i w Galicji większość zdolnych do noszenia broni zetowców tkwiła w Legionach i w POW, zetowcy Wielkopolscy mogli się oddać szerszej pracy społeczno-politycznej. Dysponowali oni silną i zwartą grupą wychowanków ZETU z paru pokoleń, popierających walkę czynną, do której dołączali podobnie ideowo ustosunkowani liczni wychowankowie „Grup Narodowych” i Towarzystw Tomasza Zana.

Z najstarszej generacji ludzi urodzonych w latach osiemdziesiątych najczynniejszymi działaczami politycznymi w tym gronie byli: dr Antoni Wierusz (1883-1945), Lech Suchowiak, dr Ignacy Nowak (1887-1966), wspomniani już poprzednio członkowie Centralizacji „niezależnego” ZETU w latach 1910-1912, Władysław Hedinger (1886-1931), jego brat Mieczysław Hedinger (1888-1915), Mieczysław Korzeniewski (1886-1942), dr Roman Konkiewicz (? - 1939), późniejszy wybitny działacz akcji plebiscytowej na Śląsku, Czesław Chmielewski (? - 1939), późniejszy działacz NPR-lewicowy (zabity przez hitlerowców).

Nieco młodszy byli: Włodzimierz Seydlitz (1890-1940) — zmarł na Sybirze; dr Leon Surzyński (1891-1967), wicemarszałek Sejmu R.P. w roku 1938; Witold Jeszke (1891-1970), późniejszy poseł i senator, Adam Bederski (1893-1961), Kazimierz Głabisz (ur. 1893), późniejszy generał, a z najmłodszej ówczesnej generacji ludzi urodzonych pod koniec lat dziewięćdziesiątych Ignacy Grabski (? - 1944), Mieczysław Chmielewski (ur. 1898), Jerzy Hulewicz (1896-1941) — obaj ostatni wybitni uczestnicy Powstań Śląskich, Kazimierz Suchowiak (1897-1970), Stanisław Kudlicki (ur. 1899) i wielu innych.

Wszyscy ci zetowcy byli poprzednio członkami i działaczami Towarzystwa Tomasza Zana. „TTZet’y — jak pisze Stanisław Kudlicki w artykule „Rola Tow. Tomasza Zana”, *Przegląd Zachodni* nr 3/1963, Londyn — wychowały w 25-leciu poprzedza-

---

11. Ludwik Hass, „Związek Patriotyczny”, *Kwartalnik Historyczny* nr 4/1978, Warszawa, str. 924.

jącym pierwszą wojnę światową całą inteligencję polską w zaborze pruskim”. Z wychowanków młodszych generacji przedwojennych wielu zasililo szeregi poznańskich zetowców.

Tutaj trzeba nawiasowo zaznaczyć, że wspomniany w poprzednim rozdziale początkowo negatywny stosunek młodzieży wielkopolskiej do Piłsudskiego — jak stwierdza generał K. Głabisz w liście do mnie z dnia 25 października 1980 roku — zaczął się zmieniać po jego osadzeniu w Magdeburgu, a zwłaszcza po zwycięstwach nad Wisłą i Niemnem. Mało kto — pisze Głabisz — znał wielkopolską piosenkę powstańczą, którą — jak stwierdził — znał Piłsudski: „Najpierw Rusi łeb spaść musi, a gdy nad nią kruk zakraka, nie postoi, aż okroim Austriaka i Prusaka”.

W lipcu 1918 roku poznańska grupa „Braci Starszych” w porozumieniu z dyrekcją „Grup Narodowych” postanowiła się ujawnić. W trzy miesiące później, 20 października 1918, zatem na kilka dni przed formalnym ukonstytuowaniem się Związku Patriotycznego, w którym wzięło udział 2 przedstawiciele dzielnicy Wielkopolskiej (Mieczysław Seydlitz i Lech Suchowiak + zamieszkały wówczas w Lublinie Poznańczyk Władysław Hedingger) zwołano w Poznaniu zebranie, w którym uczestniczyło kilkudziesięciu członków ZETU i Grup Narodowych. Poznań znajdował się jeszcze wtedy pod pruskim panowaniem. Utworzono na tym zebraniu nową szerszą polityczną organizację, na razie poufną, pod nazwą Związek Młodych Polaków (ZMP). Do pierwszych władz tej organizacji powołano zetowców dr. Antoniego Wierusza, Mieczysława Korzeniewskiego, Czesława Chmielewskiego i Konstancję Wolską<sup>12</sup>.

ZMP zajął wyraźnie opozycyjne stanowisko wobec pretendującej do roli oficjalnej reprezentacji polskiego społeczeństwa Wielkopolski, opanowanej przez endecję Naczelnej Rady Ludowej (L. Hass, *op. cit.*, str. 924).

Według informacji Stefana Szwedowskiego w życiorysie Kazimierza Wyszyńskiego, którego odpis znajduje się w moich zbiorach, pierwszym czynem KC Związku Patriotycznego było uznanie Rządu Lubelskiego, wyrażone w formie akcesu Związku Młodych Polaków.

Podjęwając tę decyzję zetowcy szukali niewątpliwie porozumienia z politycznym kierownictwem obozu legionowego. Już 17 listopada 1918 roku przybył do Warszawy z ramienia młodej organizacji poznańskiej dr Ignacy Nowak, który zabiegał w piłsudczykowskich sferach wojskowych o przysłanie do Poznania

---

12. Patrz Cz. Demel, *Z genezy Związku Młodej Polski...*, *op. cit.*, str. 172.

oficera sztabowego dla pokierowania i skoordynowania przygotowań do powstania na ziemiach polskich zaboru pruskiego, co miało przekreślić rachuby tamtejszej endecji na załatwienie sprawy przynależności tych ziem decyzją przyszłej konferencji pokojowej. Zetowcy poznańscy zamierzali rozpocząć wydawanie czasopisma propagującego — w konfrontacji z endecją — stanowisko ZMP. Starano się nakłonić Kazimierza Wyszyńskiego, znajdującego się wtedy w służbie wojskowej, do objęcia redakcji tego pisma.

Ignacy Nowak wraz ze Stanisławem L. Janikowskim (zastępującym K. Wyszyńskiego w KC Związku Patriotycznego) przyjęci zostali w zastępstwie Piłsudskiego przez Kazimierza Sosnkowskiego. Otrzymali obietnicę załatwienia obu dezyderatów. Nowak poinformował też polityczne środowisko Warszawy o stanowisku Młodej Polski i perspektywach jej rozwoju. Kiedy w ciągu najbliższego tygodnia przedstawiciele Warszawy nie zjawili się w Poznaniu, wyjechali w tej sprawie do stolicy Mieczysław Hedinger i Paweł Szytyfer. Tym razem powrócili z Wyszyńskim (L. Hass, *op. cit.*, str. 924, na podstawie prac J. i A. Bełcikowskich i artykułu I. Nowaka „Na marginesie przygotowań do Powstania Wielkopolskiego”, *Naród i Państwo* nr 2, 15. 2. 1936). Trzeba dodać, że nie powrócił do Poznania zetowiec dr med. Mieczysław Hedinger, który służył w Legionach w randze majora i zginął w wypadku samochodowym jadąc z Wyszyńskim; Wyszyński szczęśliwie ocalał w tej katastrofie.

Od 1 stycznia 1919 roku, tuż po zwycięstwie w mieście powstania, zaczął ukazywać się w Poznaniu wznowiony tygodnik zetowców *Sprawa Polska*, formalnie nie firmowany przez żadną partię czy organizację, przez opinię publiczną traktowany jako organ polityczny ZMP. Pierwsze numery redagował znów K. Wyszyński sam, później wspólnie z Maksymilianem Hasińskim i skierowanym z Warszawy do współpracy ortodoksyjnym piłsudczykiem Tadeuszem Święcickim. Oficjalnie wydawcą pisma był lekarz dr Antoni Wierusz, redaktorem prawnik dr Czesław Chmielewski, zaś jednym z jego założycieli lekarz dr Leon Surzyński (L. Hass, *op. cit.*, str. 925).

Z początkiem 1919 roku Związek Młodych Polaków przekształcił się w Związek Młodej Polski i rozpoczął jawną działalność polityczną. W końcu 1921 roku przeprowadził wspólnie z NPR kampanię wyborczą do Rady Miejskiej w Poznaniu i ze wspólnie zdobytych mandatów otrzymał 2. W listopadowych wyborach parlamentarnych 1922 roku znów popierał

to stronnictwo. Te niewielkie — jak pisze L. Hass — sukcesy we współpracy z NPR pozwoliły na przekształcenie ZMP z organizacji poznańskiej w ogólnopolską. W 1924 roku uchwalono na walnym zjeździe Młodej Polski program ideowy i statut. Z początkiem tego roku przeniesiono do Warszawy redakcję *Sprawy Polskiej*, powierzając ją Bolesławowi Srockiemu, później Stefanowi Kapuścińskiemu, członkom ZP z Warszawy.

Po przewrocie majowym poznańscy zetowcy i działacze Młodej Polski, Cz. Chmielewski, L. Surzyński i Karol Stark czynnie zaangażowali się po stronie przewrotu i weszli w skład Głównego Zarządu Narodowej Partii Robotniczej — Lewica (L. Hass, *op. cit.*, str. 937).

### „Straż Kresowa”

Negatywny stosunek Piłsudskiego do „Rządu Lubelskiego”, bezbolesne rozwiązanie się tego rządu i całkowita zmiana sytuacji po 11 listopada 1918 skłoniły również ZP do szukania nowych rozwiązań. Zetowcy, jak i znakomita wówczas większość stronnictw i grup politycznych, podporządkowali się Piłsudskiemu w jego trudnym dziele organizacji nowego państwa polskiego. Podporządkowali się jednak na swój sposób. Nie będąc zapraszani przez Piłsudskiego do konsultacji politycznych ani przez wspomniany Konwent, ani poza nim, nie mając od niego bezpośrednich instrukcji, nie zaprzestali szukania celów i dróg politycznej działalności, tak jak im to dyktowała wieloletnia tradycja organizacyjna. Nie byli przyzwyczajeni tylko do „stawiania na baczność” i ślepego wykonywania rozkazów, tym bardziej, gdy rozkazy te nie były im wydawane bezpośrednio przez wodza.

Działacze ZP szybko zorientowali się, że podstawowym ówczesnym problemem było ustalenie i zabezpieczenie granic odradzającego się państwa polskiego. Szczególnie trudna — wojskowo i politycznie — była walka o granicę wschodnią, o Małopolskę i Wileńszczyznę. Komunistyczna Moskwa stawiała się coraz większym niebezpieczeństwem dla Polski. Tajna umowa sowiecko-niemiecka ze stycznia 1918 roku pozwalała bolszewikom zagarniać stopniowo opuszczone przez Niemców obszary polskolitewsko-białoruskie nad Wilią i Niemnem oraz na północnym Polesiu. Po zajęciu Wilna w pierwszych dniach stycznia 1919 r. Armia Czerwona wkroczyła do Lidy, Nowogródka, Baranowicz, Wołkowyska, Słonimia, Łunińca, Pińska i Sarn. Odradzająca się Polska nie mogła temu ani zapobiec, ani przeszkodzić. Jej

szczupłe siły związane były walką z Ukraińcami, Niemcami i Czechami. Nie pozwalał też na to wciąż jeszcze istniejący pas okupacji niemieckiej na wschód od linii kolejowej Kowel - Brześć - Białystok - Grajewo.

Zetowcy byli doskonale zaznajomieni z problematyką narodowościową polskich Kresów Wschodnich, a szczególnie z problematyką polsko-ukraińską. Endekoidalny ZET lwowski na długo przed wojną 1914 roku prowadził walkę z Ukraińcami, podsycaną celowo przez administrację austriacką. Na terenie zaboru rosyjskiego nie kto inny jak przede wszystkim ZET prowadził pracę niepodległościową w Siedleckiem i stał w pierwszej linii walki o polskość Ziemi Chełmskiej. Eugeniusz Kwiatkowski pisze, że gdy w pierwszym kwartale 1918 roku, po podpisaniu przez Niemców z Ukraińcami traktatu i po Rarańczy, otrzymał jako oficer werbunkowy Departamentu Wojskowego Legionów rozkaz udania się do Chełma dla przygotowania możliwie silnego protestu przeciwko próbom oderwania tej ziemi od Polski, powrócił szybko, gdyż przekonał się, że społeczeństwo ziemi chełmskiej nie było bezczynne. Akcja obrony prowadzona była energicznie przez wybitnego zetowca Wiktora Ambroziewicza (1882-1968) i przez POW<sup>13</sup>.

Właśnie dla sprawy obrony Chełmszczyzny zetowcy powołali organizację pod nazwą Towarzystwo Straży Kresowej. Towarzystwo to ukonstytuowało się w Lublinie 5 marca 1918 roku. Paragraf drugi statutu głosił, że celem organizacji jest „rozwój kultury polskiej i wpływów polskich na Kresach Rzeczypospolitej”, a w jednym z punktów paragrafu siódmego statutu powiedziano, że zadanie swoje Towarzystwo wypełnia przez „zwalczanie na terenie Kresów Wschodnich, na drodze prawem dozwolonej, wszelkich dążeń i zamierzeń wrogich narodowi lub państwowości polskiej<sup>14</sup>”.

Gdy oddziały armii polskiej poczęły oczyszczać tereny Kresów Wschodnich z okupantów niemieckich, bolszewickich i ukraińskich, zetowcy sądzili, że oddadzą odradzającej się Polsce usługę, gdy cały swój rozporządzalny aparat organizacyjny rzucą na rzecz pomocy w tej akcji. Z ramienia ZP kierownictwo Towarzystwa Straży Kresowej objął Zdzisław Lechnicki. Towarzystwo rozrosło się szybko do rozmiarów dużej organizacji, która posuwała

---

13. Maszynopis wspomnień Eugeniusza Kwiatkowskiego w moim posiadaniu.

14. Cytuję za Andrzejem Micewskim *W cieniu Marszałka Piłsudskiego*, str. 269/270.



się na froncie wschodnim za wojskami, organizując natychmiast życie kulturalno-społeczne odzyskiwanych ziem<sup>15</sup>.

W akcji Straży Kresowej brali udział niemal wszyscy wychowankowie ZETU i OMN-u starszego i średniego pokolenia, ludzie urodzeni w latach 1890-1900, przeważnie na terenie b. zaboru rosyjskiego. Oprócz trzech braci Lechnickich z Chełmszczyzny, Zdzisława, Felicjana i Tadeusza, do najczynniejszych należeli: Stanisław Janikowski, późniejszy *chargé d'affaires* przy Watykanie, Bolesław Srocki, ideolog ruchu zetowego i redaktor naczelnego organu Straży Kresowej *Wschód Polski*, Tadeusz Katelbach, pisarz i polityk, redaktor licznych późniejszych pism „naprawiaczkich”, Stanisław Paprocki, późniejszy dyrektor Biura Spraw Narodowościowych przy Prezydium Rady Ministrów, wielu dziennikarzy i pisarzy z Melchiorzem Wańkowiczem i Feliksem Chrzanowskim na czele, działacze wiejscy i politycy związani później z „Naprawą”, jak bracia Olewińscy z Polesia (Piotr i Stanisław), Władysław Malski, Władysław Kamiński, wybitny działacz na Wileńszczyźnie (poległ pod Monte Cassino), Piotr Mydlarz, późniejszy starosta, Stefan Szwedowski, Włodzimierz Bochenek, Witold Czerwiński i wielu innych.

W latach 1919-1922 Straż Kresowa zatrudniała w biurze centralnym w Warszawie i biurach okręgowych około 100 pracowników; listę 89 zdołał odtworzyć i załączyć do swego pamiętnika Stefan Szwedowski. Wszyscy oni przeszli w Straży Kresowej przez szkołę pracy społecznej i politycznej, co pozwoliło im zająć później odpowiedzialne stanowiska w służbie państwowej.

Szczegółowe omówienie działalności Straży Kresowej nie jest możliwe w ramach tego krótkiego szkicu. Powstaje pytanie, czy i o ile działalność ta była zgodna z zamierzeniami i polityką Piłsudskiego.

Koncepcja Piłsudskiego polegała na otoczeniu odradzającej się Polski od wschodu tworam państwowymi, sferderowanymi z Polską. Zajmując w kwietniu 1919 roku Wilno, Piłsudski wydał odezwę do ludności Wielkiego Xięstwa Litewskiego i poprzez tzw. Litwę Środkową dążył do porozumienia z Kownem. W Mińsku chciał widzieć ośrodek Białej Rusi, w Kijowie stolicę wolnej, zadnieprzańskiej Ukrainy, rządzonej i zarządzanej przez atamana Petlurę. Chciał, aby wszystkie te twory otrzymały prawdziwą niepodległość z rąk Polski i aby fakt ten

---

15. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 91.



stał się trwałym fundamentem współpracy Warszawy, Wilna, Mińska i Kijowa. Gdyby ta koncepcja, zwana popularnie federacyjną, została zrealizowana, powstałby między Rosją i Europą związek państw pod politycznym kierownictwem Polski, obejmujących wraz z Polską około 100 milionów ludzi<sup>16</sup>.

Dziś wiemy, że koncepcja ta nie była możliwa do zrealizowania. Zabrakło jej nie tylko mocnego poparcia narodów Litwy, Białorusi i Ukrainy, nie mówiąc już o negatywnym stosunku dyplomacji zachodnioeuropejskiej, ale i zdecydowanej woli narodu polskiego. Koncepcje Piłsudskiego gotowi byli realizować tylko jego zwolennicy: żołnierze legionowi, peowiacy, a z partii politycznych PPS i „Wyzwolenie”. Nie miał do niej serca realista typu chłopskiego Wincenty Witos, przeciwna jej była zdecydowanie Narodowa Demokracja wraz z wszystkimi przyległościami. Endecja nie tylko nie interesowała się niepodległością państw bałtyckich, Ukrainy lub Białorusi, lecz była niesłychanie ostrożna w wysuwaniu śmielszych pretensji polskich do ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Nie mogła pogodzić się z upadkiem caratu, ciągle nawoływała, żeby nie drażnić Rosji, chciała nie tylko pokoju z Rosją ale w ogóle spokoju. W federacyjnych koncepcjach Piłsudskiego wietrzyła wciąż lewicowe jakobiństwo, bezbożnictwo, masonstwo, obronę Żydów i wszelkich innych mniejszości narodowych, szkodzące interesom i godności narodu polskiego<sup>17</sup>.

Ruch zetowy, ZET akademicki i Związek Patriotyczny, patronujące Straży Kresowej, uważał się też, jak endecja, za ruch narodowy, wychodził jednak z całkowicie odmiennych założeń niż nacjonalizm Romana Dmowskiego, ukształtowany na podstawie przyrodniczego światopoglądu trwającej w naturze wiecznej walki. Jak w marksizmie walka klas i hasło „dyktatury proletariatu” kształtowały program praktycznego działania, tak w nacjonalizmie Dmowskiego obraz walczących z sobą i nawzajem tępiących się narodów uzasadniać miał pogląd na konieczność działania w kierunku obrony czystości biologicznej narodu polskiego dla jak najlepszego przystosowania się i uniknięcia zagłady w walce. Stąd z zasady zwalczano narodowościowy charakter państwa polskiego i federacyjne koncepcje Piłsudskiego.

Zetowcy odrzucali zarówno marksizm jak i przyrodniczą teorię ewolucji. Wierzyli w dobroć natury ludzkiej i w wartości duchowe narodu polskiego, jego historycznie ukształtowany

---

16. Tadeusz Katelbach, *op. cit.*, str. 100.

17. *Ibid.*, str. 102.

zmysł tolerancji i zdolność asymilacji. Stąd też, zwalczając zoologiczny nacjonalizm i antysemityzm endecki, zetowcy ideologicznie i programowo podzielali koncepcje federacyjne „Międzymorza”, wywodzące się z idealizmu Polski jagiellońskiej. Jak to sformułował w swej *Spowiedzi pokolenia* Tadeusz Katelbach: „Wierzyłem, że... znajdziemy bardzo szybko język porozumienia. Walcząc o Lwów czy Sejny zdawało się nam, że *à contre cœur* zmuszeni jesteśmy po prostu do użycia siły, by oczyścić pole przyszłego porozumienia bez obcych wpływów. Marzyło się nam jeszcze wtedy, że z krwi wspólnie przelanej zrodzi się nowe życie współpracy wszystkich w ramach wspólnej Polakom, Ukraińcom czy Litwinom Rzeczypospolitej<sup>18</sup>”.

Analizując z perspektywy ubiegłych 50 lat działalność Straży Kresowej Andrzej Micewski pisze, że polityczny kierunek Towarzystwa „był jak najbardziej antyendecki i jak najbardziej federacyjny<sup>19</sup>”. Endecy określali działalność Straży Kresowej jako „wywrotową robotę”, „organizację agitatorów Belwederu”, „pomniejszanie własnej Ojczyzny”... Micewski ma niewątpliwie rację gdy pisze, że Straż Kresowa nie była organizacją wyłącznie społeczno-kulturalną (co właśnie Towarzystwu zarzucała prasa endecka), ale miała do spełnienia określone zadanie polityczne. „Jakikolwiek... zastrzeżenia można było mieć do działalności Straży Kresowej — konkluduje — to z punktu widzenia najgwałtowniej dyskutowanego w okresie międzywojennym problemu, czy „Naprawa” była prawowierna wobec Piłsudskiego, trzeba stwierdzić, że działalność Straży Kresowej skłania do pozytywnej odpowiedzi na to pytanie<sup>20</sup>”. Oczywiście chodzi nie o „Naprawę”, której jeszcze wówczas nie było, ale o ZET.

Ta konkluzja wymaga małego, ale istotnego sprostowania. Zetowcy, popierając koncepcję federacyjną, mieli własny pogląd na drogi i metody jej realizacji. Straż Kresowa w praktycznej swej działalności kładła nacisk nie tyle na samą koncepcję, ile na zwiążanie z Polską jak najszerzych terenów wschodnich i rozbudzenie w masach ludowych poczucia solidarności z Polską. Myśleli pod tym względem w pewnym stopniu bardziej pragmatycznie niż Piłsudski, który jeszcze w przededniu wielkiej rozprawy z Rosją Sowiecką, w wywiadzie opublikowanym 12 lutego 1920 roku w *Echo de Paris*, mówiąc o Litwie, Białorusi i Ukrainie idealizował: „Wola krajów, przez nas okupowanych — mówił

---

18. *Ibid.*, str. 95.

19. *W cieniu Marszałka Piłsudskiego*, str. 270/271.

20. *Ibid.*, str. 271.

— jest dla mnie jedynym czynnikiem decydującym. Za nic w świecie nie chciałbym, aby Polska posiadała wielkie przestrzenie zamieszkałe przez ludność wrogo usposobioną... Na bagnietach niesiemy tym krajom wolność bez zastrzeżeń... Przyniesienie wolności ludom z nami sąsiadującym będzie chlubą mego życia jako męża stanu i żołnierza<sup>21</sup>”.

W braku dostatecznego poparcia zainteresowanych narodów dla koncepcji federacyjnej Piłsudskiego, w wyniku wojny polsko-bolszewickiej i traktatu Ryskiego koncepcja ta już u schyłku 1921 roku leżała w gruzach. Naczelnikowi Państwa nie pozostało nic innego, jak zarządzenie dekretem z 30 listopada 1921 wyborów do Sejmu Wileńskiego. Wierne swemu zasadniczemu nastawieniu, Towarzystwo Straży Kresowej poszło do wyborów pod firmą *R a d L u d o w y c h*, które zajmowały wyraźne stanowisko za przynależnością Ziemi Wileńskiej do Polski. Rady Ludowe odniosły w tych wyborach poważne zwycięstwo. Ich stanowisko przesądziło uchwałę Sejmu Wileńskiego, domagającą się inkorporacji Wileńszczyzny do Rzeczypospolitej Polskiej. Uchwałą z 24 marca 1922 Sejm R.P. potwierdził tę inkorporację, ogłaszając objęcie nad Wileńszczyzną władzy państwowej przez Rząd R.P.

W wyborach do Sejmu Wileńskiego prawica zdobyła 40 mandatów, Rady Ludowe — 29, ludowcy — 12, „Odrodzenie” (lokalny odpowiednik „Wyzwolenia”) — 7, grupa demokratyczna — 9, socjaliści — 3, Białorusini — 4 mandaty. Podając ten wynik Władysław Pobóg-Malinowski musiał przyznać, że „sukces swój w wyborach [Rady Ludowe — J.R.] zawdzięczały zdecydowanej akcji w kierunku inkorporacji Wileńszczyzny bez warunków”, niesłusznie jednak kwalifikuje Rady Ludowe jako „zbliżone do prawicy<sup>22</sup>”. Oficjalny historyk Obozu Belwederskiego przyznaje też, że „Rady Ludowe wyłoniły się w tym czasie z utworzonego w 1918 roku Towarzystwa Straży Kresowej, organizacji o wybitnej przewadze działaczy 'Młodzieży Narodowej'”.

Trzeba podkreślić, że w okresie lat 1919-1921 stosunki między zetowcami prowadzącymi działalność polityczną na ziemiach wschodnich przez Straż Kresową a Piłsudskim i ludźmi prowadzącymi podobną politykę z jego ramienia (A. Koc, I. Matuszewski (b. zetowiec), W. Jędrzejewicz (b. zetowiec), K. Kierzkowski (zarzewiak, w Sztapie i w Biurze II-go Oddziału) były popraw-

---

21. *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego*, tom II, str. 478.

22. *Najnowsza Historia Polski*, tom II, str. 395.

ne, ale nie zawsze układały się po linii zgodnej interpretacji zamierzeń Piłsudskiego.

Tadeusz Katelbach relacjonuje, że na początku akcji wschodniej miał dobre stosunki współpracy z odkomenderowanymi do tej akcji oficerami, wśród których spotykał kolegów zetowych. Gdy jednak 9 października 1920 roku spotkał się z przedstawicielami Straży Kresowej Z. Lechnickim, M. Wańkowiczem i St. Paprockim w Grodnie, a potem w Wilnie, zajęтым przez „zbuntowane” wojska gen. Żeligowskiego, i zaczął wydawać z M. Wańkowiczem i F. Chrzanowskim *Gazetę Wileńską* jako dziennik Towarzystwa Straży Kresowej — zaznaczyła się już konfrontacja poglądów ZETU z koncepcjami Piłsudskiego. Oddział II-gi uważał się za autorytatywnego komentatora polityki litewskiej Piłsudskiego i groził konfiskatą pisma<sup>23</sup>.

Po przegraniu sprawy Kijowa i Mińska Piłsudski chciał ratować ideę federacji z Litwą. Ale na Litwie nie entuzjazmowano się tą ideą. Co robić? Maszerować na Kowno czy nie? W *Gazecie Wileńskiej* czyniono aluzje w kierunku maszerowania. Ale Piłsudski nie pomaszerował; miał opory zewnętrzne i wewnętrzne. Straż Kresowa tym bardziej więc popierała sprawę przyłączenia możliwie dużej liczby powiatów dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego do Polski, gdzie tylko istniała etnicznie polska większość lub potencjalna chęć bliskiej współpracy. Przez Rady Ludowe uzyskano w tym zakresie poważny sukces.

Koncepcję Rad Ludowych Towarzystwo Straży Kresowej podjęło znów na ziemiach wschodnich przy wyborach z listopada 1922 roku do Sejmu i Senatu, rozpisanych na podstawie Konstytucji z 17 marca 1921 i nowej ordynacji wyborczej. W toku akcji przedwyborczej — wówczas dopiero — doszło do poważnego konfliktu między zetowcami i Piłsudskim. Piłsudski zażądał rozszerzenia platformy wyborczej Związku Rad Ludowych i wystawienia listy ogólnopolskiej. Dla radykalnego i demokratycznego charakteru Związku Rad Ludowych propozycja ta była nie do przyjęcia, oznaczała bowiem pójscie do wyborów razem z wielkim ziemiaństwem i duchowieństwem. Kazimierz Wyszyński kategorycznie odmówił. Po wybuchu Piłsudskiego, który dotąd nie miał precedensu w Belwederze, stosunki z Wyszyńskim jako szefem Centralizacji Związku Patriotycznego zostały raz na zawsze zerwane aż do śmierci obu rozmówców w roku 1935<sup>24</sup>.

---

23. *Spowiedź pokolenia*, str. 108/109.

24. Opis sprawy według Stefana Szwedowskiego w zyciorysie Kazimierza Wyszyńskiego.

Według relacji Szwedowskiego do wyborów na Kresach Wschodnich wystawiono na zlecenie Piłsudskiego listę „Państwowego Zjednoczenia Kresowego”, z tym skutkiem, że w wyborach obie listy poniosły klęskę. Klęskę tę Władysław Pobóg-Malinowski usiłuje wytłumaczyć na swój sposób, pisząc: „Popierane przez Piłsudskiego 'Zjednoczenie Państwowe' na kresach nie zdobyło ani jednego mandatu: do klęski tej przyczyniło się 'Wyzwolenie' i tzw. 'Młodzież narodowa' ze Straży Kresowej; wyłamały się one w ostatniej chwili, wobec czego 'Zjednoczenie Państwowe' nabrało charakteru konserwatywno-obszarniczego i to pozbawiło je wszelkich szans<sup>25</sup>”.

Zetowców dotknęła oczywiście przede wszystkim ich własna klęska, poniesiona w tych okolicznościach. Możliwość wejścia jako samodzielna grupa polityczna do polityki wewnętrznej została stracona. Upadła też kandydatura K. Wyszyńskiego w Lublinie. Nie przedostawszy się jako poseł i polityk do Sejmu, oddał kierownictwo Związku Patriotycznego Janowi S. Jankowskiemu i w początkach stycznia 1923 roku wyjechał na stanowisko *chargé d'affaires* do ambasady polskiej w Moskwie, skąd przeszedł później do Berlina.

Fiasko rachub wyborczych pociągnęło za sobą niemal natychmiastowy upadek Związku Rad Ludowych i Straży Kresowej. Ponieważ Towarzystwo Straży Kresowej nie mogło działać bez pomocy państwowej, reprezentowane w Sejmie stronnictwa polityczne odmówiły mu poparcia, nie bacząc na jego obiektywne zasługi<sup>26</sup>.

Zetowcy nie zaprzestali jednak swej działalności na Ziemiach Wschodnich. Z dużym wysiłkiem wydawano nadal w Lublinie *Jedność Narodową*, redagowaną przez A. Zalewskiego. Pismo miało jeszcze w najbliższych latach filie redakcyjne w Łucku, Wilnie i Lwowie, faktycznie zaś było organem okręgu lubelskiego ZP. Ukazywało się nieregularnie, z dużymi przerwami. Związek Patriotyczny oddziaływał po roku 1922 na ludność chłopską przede wszystkim za pośrednictwem swoich członków i zwolenników z aparatu Centralnego Związku Kółek Rolniczych i Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej<sup>27</sup>, jak również Związku Osadników Wojskowych, do którego powstania i rozbudowy zetowcy wybitnie przyczynili się.

---

25. *Najnowsza Historia...*, op. cit., nota na str. 412.

26. B. Srocki, *Akcja przeciwko Straży Kresowej w prasie i w Sejmie*, Warszawa 1921.

27. L. Hass, „Związek Patriotyczny”, op. cit., *Kwartalnik Historyczny*, str. 932.

Towarzystwo Straży Kresowej i Związek Rad Ludowych były początkiem formułowania przez zetowców jakiejś polskiej myśli politycznej i polskiego programu działania w odniesieniu do Kresów na „zasadzie równouprawnienia obywatelskiego, przy zachowaniu polskiej hegemonii kulturowej”<sup>28</sup>. Używając dzisiejszych pojęć można by powiedzieć, że była to polityka — przynajmniej w odniesieniu do Ukraińców — i n t e g r a c j i państwowej pozyskanych ziem, bez wymagania a s y m i l a c j i narodowej.

Nad sprecyzowaniem tej myśli i tego programu polityki polskiej wobec „mniejszości narodowych”, będących na terenach wschodnich w faktycznej większości, zetowcy będą nadal pracować. Podejmą tę tematykę po przewrocie majowym, zarysowując dla ziem zamieszkałych przez ludność ukraińską „perspektywiczny” i „aktualny” plan działania<sup>29</sup>.

Federacyjna koncepcja Piłsudskiego leżała w gruzach. Państwo polskie na przestrzeni setek kilometrów miało za swego bezpośredniego sąsiada Rosję wraz z Litwą, Białorusią i Ukrainą... Na Zachodzie wyrastał wróg niemiecki, tym groźniejszy, że sprzymierzony z Rosją.

### *Związek Obrony Kresów Zachodnich (ZOKZ)*

Rzecz jasna, że zetowcy wielkopolscy — z racji swoich prac i kontaktów w b. zaborze pruskim — wiele uwagi poświęcali po odzyskaniu niepodległości problemowi niemieckiemu. Głęboko odczuwali przegrany w 1920 roku plebiscyt w Prusach Wschodnich i z obawą śledzili walkę o Górny Śląsk po przegranej sprawie na Śląsku Cieszyńskim. W Naczelnej Radzie Ludowej Górnego Śląska reprezentowani byli przez członka Młodej Polski, Kasprzaka. W skład Komitetu Plebiscytowego wchodził członkowie Związku Patriotycznego M. Hasiński, dr I. Nowak, dr Henryk Jarczyk, dr Roman Konkiewicz, dr Wilimowski i prof. Teodor Tyc (L. Hass, *op. cit.*, str. 926). W politycznej akcji przygotowawczej, jak również w walce powstańczej liczny udział wzięli wychowankowie PETU, TTZ, OMN i ZETU, nie tylko z Ziemi Zachodnich. W akcji zbrojnej 3-go powstania w grupie „Wschód”, która w całokształcie działań frontowych odegrała

28. *Ibid.*, str. 939.

29. Patrz Teofil Piotrkiewicz, „Myśl polityczna Związku Naprawy Rzeczypospolitej wobec kwestii ukraińskiej (1926-1930)”, *Przegląd Historyczny*, zeszyt 2/1979. Do sprawy tej powrócę jeszcze w rozdziale o problematyce *Przełomu* i w zakończeniu tego szkicu.

rolę najważniejszą, szefem sztabu był dr Michał Grażyński (Borelowski), a jego zastępcą Mieczysław Chmielewski. Dowódcą grupy był Karol Hauke-Grzesik, przyjęty później do Związku Patriotycznego. Z nimi współdziałał też późniejszy wybitny zetowiec i współzałożyciel „Naprawy” Wiktor Przedpełski.

Znając zachłanność pobitych w 1918 roku Niemiec, zetowcy nie wierzyli w ich pogodzenie się z nowymi granicami dzielącymi Poznańskie od Rzeszy, z tzw. „oderwaniem” od Rzeszy Niemieckiej zachodnich ziem polskich. Rzucili więc hasło obrony tych ziem, które znalazły się w granicach państwa polskiego. W tym celu właśnie utworzyli **Z w i ą z e k O b r o n y K r e s ó w Z a c h o d n i c h**. Był to niejako odpowiednik wschodniego Towarzystwa Straży Kresowej. Równocześnie postanowiono roztoczyć opiekę nad Polakami, którzy pozostali w Niemczech, w powstałej po upadku cesarstwa Republice Weimarskiej<sup>30</sup>.

Na długo przed założeniem ZOKZ i jego ostatecznym ukonstytuowaniu się 28 sierpnia 1922 roku na I Zejeździe Rady Naczelnej w Poznaniu prowadzono na ten temat rozmowy w gronie zetowców poznańskich — członków Związku Patriotycznego. Brali w nich udział m.in. Mieczysław Seydlitz, Mieczysław Korzeniewski, Roman Lutman, Ignacy Nowak, Roman Konkiewicz, Stanisław Kudlicki, Maksymilian Hasiński, Teodor Tyc. Głównym inicjatorem i organizatorem Związku był M. Korzeniewski, zmarły tragicznie na zsyłce w Sowietach w czasie drugiej wojny (patrz M. Wańkiewicz, *Dzieje rodziny Korzeniewskich*, Londyn). Głównym ideologiem był Teodor Tyc, który zmarł w roku 1926 na gruźlicę w młodym wieku, już wówczas prof. zwyczajny historii prawa zachodniej Europy na Uniwersytecie Poznańskim, uczeń Tymienieckiego, wybitny znawca historii średniowiecza i stosunków polsko-niemieckich w tej epoce. Pierwsze roczniki *Strażnicy Zachodniej*, organu ZOKZ, zawierają rozprawy Tycy. Formułował on jasno założenia ideowe organizacji i zaprzeczał twierdzeniom niemieckim, jakoby ZOKZ był odmianą niemieckiego, antypolskiego *Ostmarkverein*'u. Gdyby żył dłużej, uchodziłby zapewne za największy autorytet historyków polskich w Polsce międzywojennej. W *Bibliothèque Nationale* w Paryżu jest książka wydana po zgonie Tycy przez kolegę-zetowca Mariana Zawidzkiego, ostatniego kuratora szkolnego na Śląsku przed wojną, zawierająca liczne rozprawy Tycy i charakterystykę jego osobowości, skreśloną przez wielu jego zetowych kolegów<sup>31</sup>.

30. Tadeusz Katelbach, „ZET”, *Zeszyty Historyczne* nr 13/1968.

31. List Stanisława Kudlickiego do mnie z 21 maja 1977.



Pierwszym prezesem ZOKZ był hr. Ludwik Mycielski, następnym Julian Trzciniński — obaj ziemianie wielkopolscy i czynni działacze z okresu przedniepodległościowego. Organizatorzy nadal ZOKZ z punktu charakter organizacji bezpartyjnej. Tym też należy tłumaczyć sobie, że to dzieło zetowców nie było tak atakowane jak Straż Kresowa. ZOKZ i późniejszy Polski Związek Zachodni (PZZ) nie zajmowały się problemami polityki wewnętrznej, z wyjątkiem tylko zagadnienia mniejszości niemieckiej w Polsce i konieczności „odniemczania” polskich ziem zachodnich. Na ten temat nie było rozbieżności w programach różnych polskich ugrupowań politycznych<sup>32</sup>.

W utworzonej w Poznaniu Dyrekcji kierownictwo objęli zetowcy, z M. Korzeniewskim jako dyrektorem naczelnym, M. Hasińskim (Wydział kulturalno-oświatowy), Adamem Bederskim (prasowy) i Wincentym Zenktelerem (finansowy)<sup>33</sup>.

Głównym organem prasowym ZOKZ i PZZ była *Strażnica Zachodnia*, pismo na wysokim poziomie. Pierwszym redaktorem był Adam Bederski, następnymi — jeśli się nie mylę — Adam Stebelski i Bolesław Srocki.

ZOKZ rósł szybko na sile, organizując swe koła w Poznaniu, na Pomorzu i na Górnym Śląsku i wykazując w miarę rozwoju pracy coraz żywsze zainteresowanie Polakami, którzy po ostatecznym ustaleniu granicy znaleźli się po jej drugiej stronie.

Po załamaniu się akcji Straży Kresowej w nieszczęsnych wyborach 1922 roku zetowcy przerzucili część swych obznajomionych już z problematyką narodowościową działaczy na teren ZOKZ. Do tych działaczy należeli m.in. Tadeusz Katelbach, Bolesław Srocki, Stanisław J. Paprocki, Wiesław Domaniewski.

Tadeusz Katelbach był od stycznia 1923 roku redaktorem pisma polskiego wychodzącego w Niemczech pt. *Dziennik Berliński* i poufnym przedstawicielem ZOKZ w stolicy Rzeszy Niemieckiej, oficjalnie akredytowanym jako korespondent *Przeglądu Porannego* w Poznaniu, organu tamtejszych zetowców i piśsudczyków, redagowanego przez Tadeusza Jankowskiego<sup>34</sup>. Píše on w swych wspomnieniach z tego okresu, że do jego głównych zadań należało „współdziałanie w tworzeniu nowych form życia organizacyjnego w granicach powersalskiej Rzeszy”. W roku 1924 Katelbach powrócił do Warszawy. Po przewrocie majowym, w

---

32. Mieczysław Zaleski, listy do mnie z 6 i 12 czerwca 1980.

33. L. Hass, „Związek Patriotyczny”, *op. cit.*, str. 928.

34. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 115.

latach 1928-1935, spędził znów 7 lat w Berlinie, współpracując ściśle z Kazimierzem Wyszyńskim.

W dniu 16 marca 1923 przybył do Berlina do pomocy Kattelbachowi zetowiec Wiesław Domaniewski (który w roku 1927 wstąpił do administracji państwowej, wyrobił sobie pozycję wybitnego specjalisty od zagadnień polityki finansowej i należał — jako dyrektor Departamentu Obrotu Pieniężnego Ministerstwa Skarbu — do sztabu najbliższych współpracowników Eugeniusza Kwiatkowskiego). Był on od grudnia 1923 administratorem i współredaktorem, a później administratorem i jednocześnie naczelnym redaktorem *Dziennika Berlińskiego*. W moim zbiorze życiorysów zetowców znajduje się interesujący dokument, fotokopia zaświadczenia udzielonego W. Domaniewskiemu pod pieczętą Dyrekcji Związku Obrony Kresów Zachodnich z dnia 23 kwietnia 1924 roku, podpisanego przez dyrektora ZOKZ M. Korzeniewskiego, wyrażającego Domaniewskiemu „szczerą wdzięczność i podziękowanie” za uratowanie *Dziennika Berlińskiego* „od niechybnej ruiny”, a zarazem potwierdzającego ścisły związek pracy zetowców w Berlinie z ZOKZ.

Dokument ten, podkreślający między innymi, że „Domaniewski oddał siły i pracę swoją na usługi sprawy kosztem znacznych ofiar osobistych, wkładając w nią cały zasób pobudek ideowych”, ma jeszcze inny aspekt, który niech mi wolno będzie nawiasowo zaznaczyć. Chodzi o podnoszone przez Mackiewiczza i Pobóg-Malinowskiego uszczypliwe uwagi, że zetowcy „byli specjalistami od pracy społecznej z funduszków państwowych”. Wspomniany już na wstępie tego szkicu piśsudczyk Wiktor T. Drymmer pisał: „Najbardziej irytowało mnie to, że szereg naprawiaczy siedziało w robocie społecznej, ale płatnej, i że organizacja ta jako taka zawsze dążyła do opanowania źródeł pieniężnych...<sup>35</sup>”. Drymmer jako dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ, w którego kompetencjach leżały sprawy Polaków za granicą, a więc i w Niemczech, był jak najbardziej (jak i wszyscy jego poprzednicy) zainteresowany pracą ZOKZ i instytucję tę popierał. Chyba tylko ogólna animozja „ortodoksyjnych” piśsudczyków do „naprawiaczy” mogła podyktować te słowa. Mieczysław Zaleski relacjonuje: „Przypominam sobie, że gdy Skalski, następca Suchenka-Suchockiego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych występował przeciwko PZZ, uważając istnienie tej organizacji za „szkodliwe politycznie”, Drymmer zaprosił jego i mnie do siebie i po wy-

---

35. „Zespoły dyskusyjne i organizacje tajne”, *Zeszyty Historyczne* nr 22.

słuchaniu naszej polemiki bardzo kategorycznie Skalskiego spławił<sup>36</sup>”.

ZOKZ, późniejszy PZZ, jak i wszystkie kierowane przez zetowców organizacje społeczne i kulturalne walczyły zawsze z olbrzymimi trudnościami finansowymi. Trzeba było dużego ideowego zapału i poświęcenia, aby oddać się pracy w tych organizacjach o bardzo słabej skali wynagrodzenia.

W końcu 1923 roku przyjechał do Berlina Stanisław J. Paprocki i zajął miejsce redaktora naczelnego *Dziennika Berlińskiego* po Katelbachu i Domaniewskim. Był on poprzednio kierownikiem wydziału organizacyjnego Straży Kresowej i politycznym współpracownikiem Rad Ludowych. Paprocki był później jednym z głównych inicjatorów Związku Naprawy Rzeczypospolitej i w latach 1926-1929 sekretarzem generalnym tej organizacji. Zetknięcie się Paprockiego ze sprawami narodowościowymi w Straży Kresowej i na placówce w Berlinie, m.in. z działaczami Związku Polaków w Niemczech, spowodowało, że stał się on jednym z poważniejszych znawców problematyki mniejszości narodowych. Był założycielem i dyrektorem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych, w latach 1927-1935 redaktorem wydawnictwa „Sprawy Narodowościowe”, a jednocześnie — od 1934 roku — dyrektorem Biura Spraw Narodowościowych w Prezydium Rady Ministrów.

Nie sposób wyliczyć i omówić tu szczegółowo działalności licznych współpracowników ZOKZ. Ukazało się już w kraju szereg wspomnień i fragmentarycznych opracowań w poznańskim *Przeglądzie Zachodnim*. Podaję więc jeszcze tylko kilka fragmentów, dotyczących ludzi i pracy.

W roku 1925 został zaangażowany do ZOKZ Mieczysław Zaleski (ur. 1901) jako kierownik działu pomorskiego. Jednocześnie kończył studia prawnicze w Warszawie, gdzie w latach 1901-1924 wchodził do Centralizacji ZETU akademickiego i był łącznikiem między ZETEM i kołem braterskim Związku Patriotycznego. Na Pomorzu, poza pracą w charakterze kierownika Okręgu ZOKZ, uczestniczył w organizowaniu Instytutu Bałtyckiego i był przez pewien czas sekretarzem tego Instytutu. W roku 1929 Zaleski objął po zetowcu Stefanie Szwedowskim stanowisko delegata Dyrekcji ZOKZ w Warszawie. Dyrekcja Główna miała wtedy nadal swą siedzibę w Poznaniu, a Delegaturę w Warszawie. Delegatura miała za zadanie utrzymywanie niezbed-

---

36. Relacja o ZOKZ i PZZ z 2 czerwca 1980 w moich zbiorach.

nych kontaktów z władzami rządowymi, zwłaszcza z MSZ. Pisze on w cytowanym już liście-relacji:

Jedną z najważniejszych i wymagających znacznego wysiłku akcji ZOKZ i PZZ było sprowadzenie do Polski dzieci polskich rodziców z Westfalii i Śląska Opolskiego na wakacje. Była to zasadniczo wymiana, gdyż Niemcy sprowadzali dzieci swojej mniejszości w Polsce na wakacje do krajów Rzeszy. Oczywiście ze względów politycznych nie można było konferować z partnerem niemieckim co do ilości dzieci, ich transportu itp. pod firmą ZOKZ czy później PZZ. Utworzono więc fikcyjne stowarzyszenie pod nazwą Towarzystwo Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech. Prezesem tego Towarzystwa został Bronisław Hełczyński (zarzewiak, wówczas szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta Ignacego Mościckiego. Protektorat objęła Michalina Mościcka, pierwsza żona Prezydenta, która nie ograniczała się do roli figurantki, lecz odwiedzała kolonie i dawała dużo pomocy. Zaleski występował jako sekretarz generalny Towarzystwa.

Z uwagi na podkreślony powyżej ogólnonarodowy charakter pracy ZOKZ, również rządy pomajowe i tzw. „pułkownikowskie” — mimo wyrażanego niekiedy niezadowolenia z powodu współpracy na tym terenie z ludźmi należącymi do opozycji politycznej — nie odmawiały organizacji poparcia. Zaleski pisze, że względy finansowo-budżetowe spowodowały — jeśli chodzi o akcję wakacyjną — że Ministerstwo Komunikacji zażądało od ZOKZ wielkich sum, idących w setki tysięcy złotych, za transporty dzieci w ciągu kilku lat. Minister Kolei Juliusz Ulrych nie mógł anulować tych długów w swym zakresie. Trzeba było interwencji w Radzie Ministrów. Wówczas premierem był Walery Sławek. Gdy Zaleski przedstawił mu sprawę, wynalazł jakieś fundusze, które zaspokoili kasę Ministerstwa Komunikacji. Zarówno do Sławka, jak poprzednio do Bartła, a w końcowym okresie do Składkowskiego ZOKZ miał drzwi otwarte. Jego interwencje, np. w sprawie różnych machinacji niemieckich na Śląsku czy na Pomorzu, były traktowane poważnie.

Kryzys w stosunkach między ZOKZ i władzami państwowymi powstał, gdy po zawarciu paktu o nieagresji z Niemcami z 26 stycznia 1934 Ministerstwo Spraw Zagranicznych zażądało zmiany nazwy i przeniesienia siedziby organizacji z Poznania do Warszawy. Zetowcy podporządkowali się temu żądaniu, które uznano wówczas za politycznie uzasadnione. Po dłuższych naradach w gronie zaangażowanych w ZOKZ działaczy Związku Patriotycznego, postanowiono zmienić nazwę ZOKZ na **Polski Związek Zachodni**. Dyrektor naczelny M. Korzeniewski

nie chciał przenieść się do Warszawy i ustąpił, raczej ze względów osobistych. Jego miejsce zajął zetowiec dr Stanisław Kudlicki, późniejszy publicysta i znawca stosunków polsko-niemieckich (na emigracji, w Bonn). Po nim, od roku 1936, Mieczysław Zaleski został dyrektorem naczelnym PZZ i sprawował tę funkcję do wybuchu wojny 1939.

Na pośrednią i dyskretną propozycję MSZ prezesem wybrany został na posiedzeniu Rady Naczelnej PZZ płk Kazimierz Stamirowski (1884-1943), piłsudczyk *par excellence*, działacz społeczny i polityczny, dyrektor Banku Akceptacyjnego (aresztowany przez Niemców w roku 1939, był trzymany na Pawiaku i następnie zamordowany w Oświęcimiu). Stamirowski — według relacji Zaleskiego — lojalnie harmonizował współpracę, mając w zarządzie ludzi różnych barw politycznych, jak inż. Bąkowski (endek), pierwszy wiceprezes, Jan Dęski (ludowiec), b. zetowiec — drugi wiceprezes i inni. Dostosował się do kierunku nadanego organizacji przez zetowców i blisko z nimi współpracował. Starał się o fundusze, m.in. z Banku Rolnego i z Banku Akceptacyjnego. Jeśli powstawały jakieś trudności z władzami wojewódzkimi w Poznańskim lub na Pomorzu, interweniował u swych przyjaciół legionowych.



Działalność ZOKZ i PZZ w kraju miała charakter defensywny, w Niemczech — ofensywny. Chodziło o to, by Polacy, którzy znaleźli się w Republice Weimarskiej, w Westfalii i Nadrenii, Berlinie, Essen czy Lipsku, lecz głównie na Pograniczu Żłotowskim, na Kaszubach, na Śląsku i w Prusach Wschodnich — utworzyli jak najszybciej jeden ogólnonarodowy *Związek Polaków*. Akcja ta miała na celu poderwanie ich do walki kulturalno-narodowej w wielkim stylu. Równocześnie chodziło zetowcom o to, aby powiedzieć Niemcom Weimarskim, zgłaszającym od razu roszczenia do ziem, które wróciły do Polski, że społeczeństwo polskie nie uważa, że Traktat Wersalski załatwił w pełni jego postulaty terytorialne i że zgłasza ono pretensje co najmniej do Śląska Opolskiego, Prus Wschodnich, Pomorza bytowskiego oraz powiatów graniczących z Poznańskiem.

Wszystkie nici tej ofensywno-defensywnej akcji przez cały czas, aż do wybuchu wojny, skupione były w rękach ZETU. W czasie kilkuletniego pobytu w Berlinie kierował odcinkiem ofensywnym pierwszy radca Poselstwa R.P. Kazimierz Wyszynski. Katelbach był jego najbliższym współpracownikiem i łączni-

kiem między Poselstwem i Zarządem Związku Polaków w Niemczech. Generalny sekretarz Związku, dr Jan Kaczmarek, z czasem został również bratem zetowym. Wielu ich było wśród konsulów: Leon Malhome w Opolu, Stefan Bratkowski we Wrocławiu, Antoni Zalewski i Władysław Marcinkowski w Olsztynie. Ten ofensywny odcinek prac ZOKZ, zwłaszcza gdy chodzi o Śląsk, wspomagał późniejszy wojewoda śląski dr Michał Grażyński. Pomagali mu w tym zetowcy, zajmujący wybitne stanowiska w hierarchii społecznej w województwie śląskim, jak dr Stanisław Kudlicki (poprzednio — jak już wspomniałem — naczelny dyrektor PZZ), Marian Drozdowski, Mieczysław Chmielewski oraz lekarze dr Ignacy Nowak, dr M. Wilimowski i inni<sup>37</sup>.

Tadeusz Katelbach stwierdza, że tej „pochodnej” organizacji, jaką był ZOKZ, zetowcy nie dali sobie wyrwać z rąk tak, jak zniszczono im Straż Kresową. W tym związku pisze, że „nie było to zasługą Centralizacji Związku Patriotycznego”, a więc jakimś „mafijnym”, odgórnie kierowanym działaniem konspiracji zetowej...

Zetowcy wykształcili w sobie przez długie lata specyficzne metody działania, odbiegające od powszechnie stosowanych w tajnych stowarzyszeniach, opartych na bezwzględnej karności, czy w lożach masonskich. Centralizacja Związku Patriotycznego w ogóle nie „kierowała” organizowanymi przez zetowców stowarzyszeniami o szerokim zasięgu społecznym. Kierowali nimi bracia przez nią desygnowni lub ci, którzy taką czy inną „pochodną” wybrali jako odcinek swych szczególnych zainteresowań. Nie byli też skrzępowani żadnymi instrukcjami czy zaleceniami. Nie zdawali żadnych okresowych sprawozdań Centralizacji<sup>38</sup>. Piszący te słowa może potwierdzić powyższą informację. Pracując czy to w organizacjach młodzieżowych, czy też później w Generalnej Federacji Pracy, również jednej z „pochodnych” w zakresie „kierownictwa” ZETU, nigdy nie otrzymywałem odgórnych poleceń, a praca polegała na uzgadnianiu jej kierunku i metod w gronie zainteresowanych nią braci zetowych.

Tak też należy rozumieć kierownictwo ZETU w ZOKZ, PZZ czy w Związku Polaków w Niemczech. Ten ostatni był niezwykle ważną organizacją, pomyślaną jako naczelna organizacja obejmująca całą „mniejszość polską” w Rzeszy Niemieckiej, używając modnej podówczas nomenklatury Traktatu Wersalskiego. Sekretarzem i duszą tej organizacji był dr Jan

37. Tadeusz Katelbach, „ZET”, art. cyt., str. 28.

38. *Ibid.*, str. 29.

Kaczmarek. Znalazł on w osobach Wyszyńskiego, Katelbacha i licznych działaczy ZOKZ środowisko nastawione na wspólny cel obrony polskości pozostałych w Rzeszy Polaków, środowisko młode i bardzo uspołecznione<sup>39</sup>.

Gdy w roku 1922 — pisze Stanisław Kudlicki<sup>40</sup> — tworzono Związek Polaków w Niemczech i szukano odpowiedniego kandydata na jego kierownika, obywatela niemieckiego o patriotycznym profilu polskim, natrafiono na doktora Jana Kaczmarka (?-1977). Był on Westfalczykiem, synem górnika polskiego [w gimnazjum członkiem TTZ — J.R.]. Po służbie wojskowej w armii niemieckiej w czasie pierwszej wojny światowej zapisał się na studia ekonomiczne na Uniwersytecie w Kolonii, które ukończył ze stopniem doktora na podstawie dysertacji poświęconej wychodźstwu polskiemu w Westfalii i Nadrenii, pracując w tym samym czasie w konsulacie polskim w Kolonii.

Wybór Kaczmarka na sekretarza generalnego Związku Polaków w Niemczech był niezwykle szczęśliwym. Pozwolił on twardeму Polakowi westfalskiemu stworzyć organizację, która uchodziła za najlepiej zorganizowaną i najbardziej aktywną z emigracji polskich na Zachodzie Europy. Kaczmarek zaprzyjaźnił się z punktu z zetowcami, przystąpił do Związku Patriotycznego, a gdy w roku 1930 narodził mu się syn z matki Hiszpanki, nazywanej „Poziomką”, która w krótkim czasie opanowała język polski, ojcem chrzestnym małego Żdzibora był dr Michał Grażyński.

Wejście ZETU na teren Niemiec stanowiło pierwszy tylko etap. Drugim etapem było zajęcie się Polakami w Czechosłowacji, Rumunii, na Łotwie i przede wszystkim na Litwie. Dalszym etapem było powołanie z inicjatywy zetowców Światowego Związku Polaków (Światpolu), jako kontynuacji w rozszerzonych ramach Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy. Światpol stworzył duchowe ognisko, wiążące całą Polonię rozrzuconą po różnych częściach świata. Statut tej organizacji był dziełem zetowców. Kierownictwo spoczywało nieprzerwanie w ich rękach. Dyrektorem Światpolu był zmarły po wojnie w Stanach Zjednoczonych brat zetowy Stefan Lenartowicz. Pierwszym prezesem był były brat zetowy, późniejszy Prezydent R.P. na emigracji Władysław Raczkiewicz, po którym w okresie

---

39. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 118.

40. „Wspomnienie o dr. Janie Kaczmarku” w *Przeglądzie Zachodnim*, nr 8-10/1977, Londyn.



przedwojennym godność tę objął zarzewiak dr Bronisław Hełczyński<sup>41</sup>.

Zarówno ZOKZ jak Światpol — przez fakt spoczywania faktycznego kierownictwa tych organizacji w rękach zetowców — dały Piłsudskiemu po przewrocie majowym poważne oparcie w szerokich rzeszach Polonii zagranicznej, co przez jego najbliższe otoczenie, a prawdopodobnie również przez samego Piłsudskiego nigdy nie zostało należycie ocenione.

## Młodzież

Najbliższe otoczenie Piłsudskiego nigdy też nie doceniało wychowawczego oddziaływania zetowców na młodzież w kierunku poparcia polityki Komendanta nie tylko w czasie pierwszej wojny światowej, lecz również po odzyskaniu niepodległości.

Tak jak w tzw. „starszym społeczeństwie”, również na terenie młodzieżowym tworzący się obóz piłsudczykowski, nazywany też „belwederskim”, nie miał wówczas jakiejś własnej organizacji ideowo-politycznej. Rolę tę spełniał ZET z podległymi mu organizacjami młodzieżowymi. W Deklaracji Ideowej uchwalonej na Zjeździe OMN 17-18. 4. 1921 stwierdzono: „My, uczestnicy nowego ruchu wyzwolenczego, którego wcieleniem jest Józef Piłsudski, uważamy nasz współudział w nim za najpiękniejszą i najcenniejszą kartę historii naszego życia organizacyjnego”. Jednocześnie jednak podkreślono samodzielność organizacyjną w słowach: „wszystkie pierwiastki moralne stanowią dla nas kapitał wychowawczy, z którym sami, bez niczyjej opieki, w życie iść zamierzamy<sup>42</sup>”.

W walce ideowej z Młodzieżą Wszechpolską działał nadal na terenie uniwersyteckim „kartel” stowarzyszeń niepodległościowych, do którego oprócz OMN wchodziła mała, zamierzająca już grupa Filarecji i ZNMS. W kartelu tym najbardziej aktywną i najbardziej propiłsudczykowską organizacją była właśnie OMN<sup>43</sup>.

Gdy Piłsudski wrócił triumfalnie witany do Warszawy z twierdzy Magdeburgskiej, zetowcy i oemenowcy zgłosili się zaraz

---

41. Tadeusz Katelbach, „Zet”, *Zeszyty Historyczne* nr 13, str. 19.

42. L. Hass, „Związek Patriotyczny”, *op. cit.*, str. 926.

43. Lata 1921-1927 są latami moich studiów uniwersyteckich w Warszawie. Czasy te i prowadzone przez nas wówczas prace i walki ideowe opisałem obszernie w moim pamiętniku *Czasy i ludzie*. Tutaj muszę ograniczyć się tylko do paru fragmentów, charakterystycznych z punktu widzenia stosunków między zetowcami i piłsudczykami.

do niego, czekając na dyspozycje. Piłsudski polecił im zorganizowanie Legii Akademickiej, z której sformułowal się 36 pułk piechoty warszawskiej. Od zetowców, na czele z T. Katelbachem, J. Paprockim, Jerzym Nowakiem, „roiło się w tym pułku<sup>44</sup>”. 4 stycznia 1919 roku Legia wyruszyła na front południowo-wschodni i brała udział w walkach z Ukraińcami, w których poniosła duże straty.

Po powrocie na studia ludzie ci z natury rzeczy byli piłsudczykami i bronili imienia swego wodza i późniejszego zwycięzcy w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku przed endeckimi atakami. Nie tylko na terenie akademickim, lecz również na wszystkich innych odcinkach pracy młodzieżowej, kierowanej przez ZET. Jednym z tych odcinków była wieś.

Młodzież wiejska zorganizowana w Związku Młodzieży Wiejskiej odegrała poważną rolę przy rozbrajaniu Niemców w roku 1918. Wiele Kół należało do POW na podstawie zbiorowego członkostwa. Starsi działacze z reguły brali udział w pracach POW, a niektórzy służyli w Legionach, jak Piotr Olewiński (pierwszy prezes CZMW i działacz harcerski), J. Dec, Wł. Kamiński, L. Suchorzewski (zamęczony w czasie drugiej wojny w Rosji), St. Sadkowski, Wł. Malski (zmarł też w Rosji w roku 1940), Fr. Platner czy A. Miłobędzki. Wszyscy oni byli wychowankami PETU, ZETU lub OMN. W latach 1919 i 1920 zorganizowana w CZMW młodzież nie tylko sama poszła ochotniczo do wojska, ale pociągnęła za sobą wielu rówieśników ze wsi. Po zwycięskiej wojnie powrócili znów do pracy instruktorskiej w kołach młodzieży. Pod wpływem tych ludzi, jak również i starych działaczy PSL „Wyzwolenie”, Zjazd Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej w 1922 roku wybrał Józefa Piłsudskiego swym honorowym protektorem<sup>45</sup>. W ten sposób zetowcy zmanifestowali swój pozytywny stosunek do Naczelnika Państwa, właśnie w okresie gdy rozpoczął się kryzys związany z zagadnieniem jego konstytucyjnych uprawnień i stronnictwa prawicowe postanowiły usunąć go z zajmowanego urzędu.

Piszący te słowa należał w tym czasie do czynnych działaczy akademickich w Warszawie. Obserwowaliśmy z niesmakiem walki międzypartyjne „starszego społeczeństwa”. W kołach ZETU górowała idea łączenia. Nade wszystko nie mogliśmy pogodzić się z wrogim stosunkiem ugrupowań prawicowych do osoby

---

44. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 86.

45. St. Gierat, *Młoda Wieś*, Londyn 1951, str. 6.

Józefa Piłsudskiego, ojca niepodległości i pierwszego Naczelnika Państwa.

Lata 1922-1923 były obfite w wydarzenia, które w miarę narastania ataków na Piłsudskiego potęgowały nasz emocjonalny do niego stosunek. 5 listopada 1922 roku miały miejsce wybory do Sejmu zwyczajnego, otwartego uroczystie przez Naczelnika Państwa w dniu 28 listopada. Maciej Rataj, wybrany w dniu 1 grudnia marszałkiem Sejmu, zwołał Zgromadzenie Narodowe dla wyboru Prezydenta R.P. Piłsudski odmówił kandydowania, gdyż — jak powiedział — miał „lekki chód a ciężką rękę, a prezydent musi mieć ciężki chód i lekką rękę”<sup>46</sup>. Gabriel Narutowicz, wybrany Prezydentem R.P. w dniu 9 grudnia 289 głosami przeciwko 227, które padły na kandydata endencji Maurycego Zamoyskiego, w tydzień później zamordowany został przez Eligiusza Niewiadomskiego w atmosferze bezprzykładnej nagonki endeckiej na tzw. „żydokomunę”, której rzekomym przedstawicielem miał być Narutowicz. Od śmierci Narutowicza datuje się tragedia osobista Piłsudskiego. Jego charakter gwałtownie się zmienia. „Stawał się ostry, wymagający, w rozmowach często przykry i suchy”<sup>47</sup>. Gdy w maju 1923 dochodzi do władzy — po „pakcie lanckorońskim” — rząd Wincentego Witosa, w którym większość ważniejszych tek objęła prawica, Piłsudski reaguje złożeniem rezygnacji ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego. Nie może pogodzić się z objęciem władzy przez moralnych sprawców zabójstwa pierwszego Prezydenta R.P. Odchodzi w zacisze swego domku w Sulejówku, oddając się życiu rodzinnemu i pracy pisarskiej. Liczył 55 lat.

Sympatie ZETU akademickiego i OMN były w tym okresie osamotnienia w Sulejówku zdecydowanie po stronie Piłsudskiego. Śledziliśmy jego odczyty, jego polemiki i nie zaniebdywali okazji do wyrażania mu naszych uczuć i poparcia. W marcu 1925 piszący te słowa przemawiał w imieniu młodzieży akademickiej na uroczystej akademii imieninowej ku czci Komendanta, zorganizowanej przez Związek Legionistów (jeśli dobrze pamiętam — w sali Konserwatorium Muzycznego), na której głównym mówcą był gen. Edward Śmigły-Rydz.

W marcu 1926, z okazji imienin Marszałka, OMN i Organizacja Młodzieży Robotniczej „Orle” zorganizowały w sali Resursy Kupieckiej przy ulicy Krakowskie Przedmieście, w pobliżu Zamku Królewskiego, wielką akademię młodzieży akademickiej

46. *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego*, op. cit., str. 76.

47. *Ibid.*, str. 94-95.

i robotniczej. Sala wypełniona była po brzegi i tłumy stały na ulicy. Józef Piłsudski w towarzystwie adiutantów wjechał samochodem do podwórza, skąd tylnymi schodami wszedł do sali na podium. Doznałem zaszczytu krótkiego i mocnego uścisku dłoni, gdy witałem go wysiadającego z samochodu i wprowadzałem do sali. Na podium — wielkiej scenie teatralnej — ustawiony był w prawym rogu fotel na tle sztandarów organizacji młodzieżowych. Marszałek zasiadł w nim w swym szarym skromnym mundurze. Ustawiony na scenie chór odśpiewał pieśń „Sztandary polskie na Kremlu”. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarła na mnie ta scena. Przemówił ówczesny prezes OMN, Witold Wyszyński. Był dobrym mówcą, ale głos łamał mu się ze wzruszenia. Piłsudski nie odpowiadał. Po wysłuchaniu chóru i przemówienia wstał, skłonił się w kierunku sali, zasałutował, podał rękę Wyszyńskiemu dziękując za powitanie i życzenia i przy zgiewku burzliwych owacji opuścił salę.

Mimo angażowania się ZETU i OMN po stronie Piłsudskiego w otoczeniu Marszałka powstała myśl bezpośredniego dotarcia do młodzieży. W okresie powojennym powstawać zaczęły piłsudczykowski tajne organizacje i zespoły dyskusyjne<sup>48</sup>, przez które próbowano nawiązać również kontakt z młodzieżą. Pierwsze próby w tym kierunku podjął Adam Skwarczyński (1886-1934). Był on niewątpliwie największym ideologiem w otoczeniu Marszałka<sup>49</sup>.

Adam Skwarczyński, urodzony w roku 1886, a więc młodszy od Piłsudskiego o 19 lat, już od lat gimnazjalnych należał do tajnych związków młodzieżowych w Galicji. Był założycielem organizacji pod nazwą „Polska młodzież narodowa bezpartyjna”, zbliżonej do socjalistycznego pisma *Promień* i różniącej się od zetowej *Teki*. W 1908 roku przystąpił do Związku Walki Czynnej, w 1909 został członkiem PPS i działaczem w Związku Strzeleckim. W roku 1914 brał udział w walkach jako oficer I-ej Brygady Legionów i był później więziony przez Niemców. Po odzyskaniu niepodległości, w lutym 1919 roku, Adam Skwarczyński został redaktorem naczelnym *Gazety Polskiej*. Z początkiem 1920 roku zainicjował powstanie nowego czasopisma *Naród* i został też redaktorem *Rządu i Wojska*, gdzie uzasadniał politykę wschodnią Piłsudskiego.

W roku 1922 Skwarczyński założył miesięcznik *Droga*, który

---

48. Patrz W. T. Drymmer, *Zeszyty Historyczne* nr 22, str. 126-144.

49. Dobrą charakterystykę postaci Skwarczyńskiego daje A. Micewski, *W cieniu Marszałka...*, op. cit., szkic 2.

uchodził za organ teoretyczny obozu Piłsudskiego i teren długofalowej pracy wychowawczej, prowadzonej przez zespoły dyskusyjne. W późniejszych latach Skwarczyński powołał do życia organizację młodzieży gimnazjalnej „Straż Przednia” z jej organem prasowym *Kuźnią Młodych*, będącej konkurencyjną grupą dla PETU i OMN szkół średnich. Założył też poufne stowarzyszenie o pompatycznej nazwie „Zakon Dobra i Honoru Polski”, do którego należeli ludzie o dość szerokim wachlarzu ideologicznym, poglądach demokratycznych, konserwatywnych i również z lekka faszyzujących.

Trudno to stwierdzić, ale przypuszczam, że nie bez wpływu akcji Skwarczyńskiego powstała w roku 1921 z części petowców warszawskich i lubelskich, którzy jako maturzyści lat 1920 i 1921 znaleźli się na uniwersytetach warszawskich, zakonspirowana grupa młodzieży akademickiej ALFA.

O ile mi wiadomo, nikt dotychczas nie opisał dziejów ALFY. Piszący te słowa jest jednym z nielicznych żyjących jeszcze „świadków koronnych” powstania tej organizacji, dał się bowiem wciągnąć do niej przez kolegów petowych po przybyciu na studia uniwersyteckie w Warszawie.

Założycielami ALFY byli petowcy z Warszawy i Lublina. Było to pokolenie maturzystów z lat 1921-1922, przeważnie uczestników wojny 1920 roku. Petowcy warszawscy mieli pretensję, że przechodzenie z PETU do ZETU akademickiego nie odbywało się automatycznie: ZET warszawski dokonywał selekcji, wymagając najpierw pracy zetowców w OMN Szkół Wyższych. W tym sensie zbuntowano również naszą grupę lubelską. Był to jednak raczej powód formalny i drugorzędny. Obie te grupy petowe uważały się za bardziej radykalne w ideologii społeczno-politycznej niż warszawski ZET i OMN Szkół Wyższych, którym zarzucano „endeckość”, wyrażającą się choćby już w nazwie „Młodzież Narodowa”. Podnoszono też niedostateczne jakoby poparcie przez ZET i OMN polityki Piłsudskiego, co nasunęło mi później przypuszczenie wpływu zewnętrznego na dokonany rozłam\*.

---

\* Według relacji Mieczysława Zaleskiego w liście do mnie z 12 czerwca 1980, do Centralizacji ZETU akademickiego w latach 1921-1924 wchodził: Edmund Strauch jako sekretarz, Witold Czerwiński, Witold Wyszynski, Zofia Dłużewska (zamężna Kańska) i Mieczysław Zaleski. W roku 1921 na wniosek Alicji Dorabialskiej dokonano w Warszawie fikcyjnego rozwiązania ZETU, aby w ten sposób pozbyć się kolegów, których kwalifikacje do Koła Braterskiego oceniano negatywnie. Być może, że to fikcyjne rozwiązanie ZETU było również jednym z powodów założenia ALFY.

Nie pamiętam już dziś wszystkich nazwisk kolegów i koleżanek, założycieli ALFY. Z grupy warszawskiej należeli do niej: Władysław Sieroszewski, syn Waclawa, pisarza i legionisty, Julek Firstenberg (zamordowany w czasie próby przedostania się z Wileńszczyzny do Warszawy po wrześniu 1939), Helena Dębińska (w której mieszkaniu odbywały się najczęściej zebrania konspiracyjne), Zofia Baudoin de Courtenay, Wanda Prażmowska, (żona „Szandora”, Aleksandra Ivanki, mego późniejszego kolegi w Ministerstwie Skarbu), Natansonówna (imienia nie pamiętam) i kilku innych.

Z grupy petowej lubelskiej założycielami ALFY byli: bracia Stanisław i Czesław Pliszczyńscy, bracia Władysław i Jerzy Raczkowscy, Janusz Rakowski; nieco później wciągnięci zostali Helena Miller i Wanda Pleszczyńska (zamężna Wójcicka).

W ALFIE zrodził się pomysł utworzenia jej jawnego odpowiednika pod nazwą „Akademicki Związek Młodzieży Postępowej”. Alicja Bećkowska w książce „Stronnictwa i Związki Polityczne w Polsce”, Warszawa 1925, na str. 993 podała następującą notatkę o tej nowej organizacji: „Akademicki Związek Młodzieży Postępowej powstał w roku 1924 [o ile sobie przypominam, już na jesieni 1923 — J.R.] na terenie środowiska warszawskiego, rzucając hasło: pracy dla dobra Narodu, etyki, demokracji i postępu. Związek liczy obecnie około 50 członków. Na jego czele stoją m.in. pp. Raczkowski i Rakowski”.

Notatka ta w paru słowach dość trafnie charakteryzowała AZMP. Utrzymaliśmy wyniesione z PETU i OMN hasło pracy dla dobra narodu, które jednak — w odróżnieniu od młodzieży endeckiej — interpretowaliśmy jako pracę dla dobra państwa w jego odzyskanych wielonarodowościowych granicach. Wypowiadaliśmy się przeciwko polityce egoizmu narodowego. Zwalczając propagowany przez Młodzież Wszechpolską antysemityzm, szukaliśmy dróg współpracy z mniejszościami narodowymi w myśl nadrzędnego interesu państwowego. W walce ideowo-politycznej domagaliśmy się szanowania zasad demokratycznych i etyki postępowania. Realizację postulatów sprawiedliwości społecznej upatrywaliśmy nie w socjalistycznym hasle „dyktatury proletariatu”, ale w ochronie interesów świata pracy i współdziałaniu w tym zakresie wszystkich klas i warstw społecznych w ramach organizacji państwowej.

AZMP, którego kierownictwo objąłem wkrótce po Władysławie Raczkowskim, rozwijał się pomyślnie na terenie Uniwersytetu Warszawskiego. W starciach z Młodzieżą Wszechpolską

okazało się, że stara OMN, którą posądzaliśmy o „endeckość”, reprezentuje podobne do naszego stanowisko, wchodząc do kartelu lewicowego. Wspólny rodowód ideowy OMN i AZMP i ta zgodność działania nasunęły mi z biegiem czasu wątpliwości co do celowości dokonanego rozłam. OMN akademicka szybko odbudowywała się przez dopływ wychowanków PETU i OMN szkół średnich. Wszystko to doprowadziło w rezultacie do mojego wystąpienia z AZMP i tajnej grupy ALFA, powrotu na łono ZETU i macierzystej OMN oraz podjęcia z ramienia OMN, której prezesem zostałem w roku 1927, akcji zjednoczeniowej.

ALFA — po utraceniu AZMP, który w roku 1927 połączył się z OMN i sześciu mniejszymi stowarzyszeniami akademickimi — kontynuowała swe kontakty z osobami reprezentującymi (lub usiłującymi reprezentować) oficjalną państwową ideologię obozu piłsudczyków. Pamiętam, że na krótko przed moim wystąpieniem z tej grupy zaproszony zostałem na poufne zebranie z udziałem Józefa Becka. Zebranie miało miejsce w salonie pięknego mieszkania rodziców jednej z koleżanek alfowych przy ulicy Marszałkowskiej, w pobliżu Królewskiej i Ogrodu Saskiego. Beck, który nie był jeszcze wówczas ministrem spraw zagranicznych, ale do tej roli najwidoczniej już przygotowywał się, mówił o trudnościach polskiej polityki zagranicznej w naszym położeniu geograficznym między Niemcami i Rosją Sowiecką.

ALFA — jak pisze Władysław Sieroszewski w liście do mnie z dnia 11 grudnia 1978 roku — przestała istnieć już około 10 lat przed wojną, kiedy ustał dopływ do niej nowych sił z PETU szkolnego. Po rozwiązaniu się organizacji ok. 1930 roku — pisze Sieroszewski — „większość działaczy starszego (tzn. mojego) pokolenia ALFY znalazła się w 'Zakonie Dobra i Honoru Polski', kierowanym przez Adama Skwarczyńskiego. Zakon ten przestał istnieć po śmierci Piłsudskiego”. Z innej strony wiem, że — właśnie przez te powiązania z Adamem Skwarczyńskim — „alfiarze” współdziałali w utworzeniu w roku 1930 piłsudczykowskiemu Legionu Młodych jako organizacji konkurencyjnej w stosunku do zetowego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD).

Tutaj wracam do osoby Adama Skwarczyńskiego. „Pod względem ideologicznym — pisze Andrzej Micewski — Adam Skwarczyński przeszedł ewolucję od młodzieńczych ideałów socjalistycznych do porzucenia nie tylko socjalizmu, lecz nawet demokracji parlamentarnej. Ewolucja ta była charakterystyczna dla ludzi najbliższych Piłsudskiemu, stanowiących jądro ideowe obozu

rządzącego. Skwarczyński był ideowo blisko pułkownika Sławka, a więc znalazł się na prawym skrzydle sanacji<sup>50</sup>”.

Mogę się zgodzić z Micewskim, gdy pisze, że „obóz marszałka Piłsudskiego [reprezentowany przez Skwarczyńskiego, Sławka, Janusza Jędrzejewicza i innych — J.R.] swój rodowód ideowy próbował znaleźć w tzw. romantyzmie politycznym, w tradycji polskich walk o wyzwolenie narodowe<sup>51</sup>” „... Obóz legionowy chciał nawiązać do całej tradycji niepodległościowej tak prawicowej, jak i lewicowej<sup>52</sup>”, gdy zetowcy przechodzili w szerszej pracy politycznej i w pracy młodzieżowej na grunt realizmu, konkretnej pracy w rzeczywistości pozyskanych granic państwa i jego składu narodowościowego, a społecznie — w swym nurcie wiejskim i syndykalistycznym — w kierunku lewicowym.

Jak Adam Skwarczyński w najbliższym otoczeniu Piłsudskiego, późniejszej tzw. „grupie pułkownikowskiej”, tak Bolesław Srocki w grupie zetowców był jednym z najlepszych, ideowych wychowawców młodzieży. O Skwarczyńskim wie się dziś dużo, o Srockim nic albo mało. Obu tych ludzi łączyło dużo cech wspólnych, a zarazem dzieliło, jak wspólne i zarazem odmienne cechy łączyły i dzieliły zetowców od piłsudczykowskich „pułkowników”<sup>53</sup>.

Bolesław Srocki (1893-1954), młodszy od Skwarczyńskiego o 7 lat, podobnie jak Skwarczyński sympatyzował w gimnazjum Wróblewskiego w Warszawie z ruchem socjalistycznym i przeszedł ewolucję ideową w kierunku solidaryzmu narodowego. Po zapoznaniu się z ideologią zetową przeszedł do tego ruchu i związał się z nim na całe życie. Od 1918 roku brał udział w politycznej akcji Związku Patriotycznego i wszedł do ścisłego grona kierowników tej akcji. Objął w 1918 roku u boku braci Lechnickich sekretariat redakcji *Głosu Ziemi Chełmskiej*, a w założonym przez zetowców Towarzystwie Straży Kresowej był czynnym działaczem i redaktorem organu prasowego tego Towarzystwa, (*Wschód Polski*), pracując jednocześnie, w latach 1923-1928, dla celów zarobkowych, w związanych z zetowcami drukarniach Piotra Ambroziewicza i Leona Nowaka.

Po przewrocie majowym Srocki był jednym z czołowych działaczy Związku Naprawy Rzeczypospolitej, współredaktorem

---

50. A. Micewski, *W cieniu Marszałka...*, op. cit., str. 72.

51. *Ibid.*, str. 79.

52. *Ibid.*, str. 81.

53. A. Micewski, op. cit., str. 72.



tygodnika *Przełom*, a w latach 1928-1930 posłem na Sejm z ramienia powołanego przez ZNR Zjednoczenia Pracy Miast i Wsi. Po załamaniu się koncepcji „polityki wschodniej”, Srocki przeczucił się na odcinek „polityki zachodniej”. W latach 1931-1934 był w Poznaniu kierownikiem wydziału Związku Obrony Kresów Zachodnich i potem, w latach 1934-1936, w Polskim Związku Zachodnim. W roku 1936 powrócił do Warszawy i pracował do wybuchu wojny jako zastępca sekretarza generalnego Instytutu Badania Spraw Narodowościowych. W czasie wojny i okupacji niemieckiej Srocki pozostał w Warszawie, gdzie redagował jedno z pism podziemnych. W czasie Powstania Warszawskiego współpracował z Biuletynem Informacyjnym AK, a po wojnie był w kraju członkiem Rady Naukowej do zagadnień Ziemi Odzyskanych, członkiem Instytutu Zachodniego w Poznaniu i Ligi Morskiej. Zmarł w roku 1954.

Bolesław Srocki od dzieciństwa chorował na gruźlicę kości i stał się kaleką na całe życie, utykając na nogę. Również Skwarczyński pod koniec życia był inwalidą i spędził długie lata na wózku. Podobnie jak Skwarczyński, również Srocki nie był na świeczniku, ale kto go znał, cenił w nim wielkiej klasy intelekt i charakter. Był politykiem niezwykle zasłużonym w ruchu zetowym, ale przede wszystkim przyjacielem młodzieży i jej niestrudzonym i lubianym wychowawcą.

Tę wychowawczą pracę wśród młodzieży prowadził Bolesław Srocki obok swej działalności politycznej i publicystycznej szczególnie w interesującym nas tu okresie pierwszych lat niepodległości 1918-1926. Dla kilku roczników zetowych i oemenowych był — jak o nim mówiono — „niańką ideową”.

Po Srockim, jak i po Skwarczyńskim, nie pozostało większej spuścizny publicystycznej. Obydwaj, choć pisali dużo (Srocki więcej, gdyż dłużej żył), byli skromnymi publicystami, zazwyczaj bez afiszowania swego nazwiska. Obydwaj byli norwidystami i przeszli od ideałów socjalistycznych do narodowych. Skwarczyński, ewoluując, żądał wykreślenia ze słownictwa politycznego słów „żądamy”, „protestujemy” i zastąpienia ich słowami „dążymy”, „pracujemy”, wykreślenia słowa „interes” i zastąpienia go słowem „służba”<sup>53</sup>, wskazania o niewątpliwie wysokim wydzwieku wychowawczym. Podobne wskazania dawał młodzieży Bolesław Srocki, mniej jednak teoretyzował i zwracał bardziej uwagę na konieczność konkretnej pracy i konkretnych reform.

Obydwaj wychowawcy i protektorzy młodzieży dążyli do „uspołecznienia państwa”. Gdy jednak bliski Walerego Sławka Adam Skwarczyński w koncepcji realizacyjnej odbiegał od zasad

demokracji parlamentarnej, Bolesław Srocki bronił tych zasad i obok „uspołecznienia państwa” walczył również o „upaństwowienie społeczeństwa”. Obydwaj byli piłsudczykami i popierali w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości federacyjne koncepcje Komendanta. Gdy jednak Skwarczyński angażował się piórem, Srocki działał też konkretnie w terenie, kierując się — jak wszyscy zetowcy w tym czasie — zasadą politycznego realizmu.

#### IV. RZĄDY MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO (1926-1935)

##### *Przewrót majowy 1926*

Na piątym zjeździe legionistów w dniu 8 sierpnia 1926 roku, wkrótce po przewrocie majowym, Józef Piłsudski mówił, że społeczeństwo polskie przypomina mu kacze towarzystwo, zbierające się w rodzinnym błotku. Dzikie kaczki przelatują w czasie zórz. W ciągu dnia siedzą w jednym miejscu... „Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno, a akurat w swojej porze. Ten, kto wyleci wcześniej, zginąć musi. Dlatego też lepiej zawsze jest poczekać<sup>1</sup>...”.

Odsunięty od lata 1923 roku od czynnego udziału w życiu państwowym, Józef Piłsudski, główny twórca niepodległej Polski 1918 roku, czekał długo i zanim znów „wyleciał”. Powrócił do życia państwowego we właściwym czasie: ani za wcześnie ani za późno. Dlatego też nie zginął i czynem swoim otworzył okres ośmiolecia rządów, za które przyjął odpowiedzialność.

Obiektywna ocena historyczna dokonanego przewrotu nie jest możliwa. Wydaje się, że nie było innego wyjścia w sytuacji wewnętrzno-politycznej i międzynarodowej, w jakiej znalazła się Polska na przełomie lat 1925 i 1926. Po pięciu latach od zakończenia wojen o granice i po czterech latach od wejścia w życie Konstytucji z 17 marca 1921. Słabość ustroju wyznaczonego przez tę konstytucję była widoczna. Ciągłe, dokonywane w przetargach partyjnych zmiany gabinetów uniemożliwiały rozsądną

---

1. *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego*, tom 2, str. 246.

politykę państwową. Nawet Władysław Grabski, premier „rządu pozaparlamentarnego” i zasłużony twórca reformy walutowej nie mógł dać sobie rady z Sejmem, rozbitym na dwa zwalczające się zaciekle obozy. Gdy rząd Grabskiego upadł, w sytuacji wewnętrznej nastąpił zwrot grożący nową katastrofą gospodarczo-skarbową. Złoty spadał, liczba bezrobotnych wzrosła w marcu 1926 do 400.000, nie licząc bezrobocia na wsi. To doprowadziło do krwawych ulicznych demonstracji (w Lublinie, Stryju, Włocławku, Kaliszu). Międzynarodowa sytuacja Polski też wywoływała wielkie zaniepokojenie. Usiłowania uzyskania pożyczek zagranicznych nie udały się. Układ w Locarno był ciężką porażką polskiej polityki zagranicznej. Pretensje terytorialne Niemiec w stosunku do Polski rosły, gdy w tym czasie sojusznik Polski — Francja — szukał porozumienia właśnie z Niemcami, prowadzącymi z Polską wojnę celną. Współpraca Niemiec z Rosją, rozpoczęta w 1922 roku układem w Rapallo, wzmocniła się przez zawarcie nowego traktatu o nieagresji w Berlinie 24 kwietnia 1926 roku, który miał na celu izolację Polski<sup>2</sup>.

Ciężka sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa, ogólne zniechęcenie do sejmowładztwa oraz rosnące niezadowolenie w wojsku i w szeregach byłych legionistów, odsuniętych od udziału w życiu państwowym stały się czynnikami, które złożyły się na przewrót. Utworzenie 10 maja 1926 — w czasie pogłębiającego się kryzysu gospodarczego — prawicowego rządu tzw. Chjeno-Piasta dołało oliwy do ognia. W Warszawie już 11 maja zaczęły się manifestacje uliczne. W Piłsudskim widziano jedyną siłę moralną, zdolną do przezwyciężenia animozji partyjnych i przywrócenia zaufania do władz państwowych.

Przewrót majowy poparła cała polska lewica. Ona umożliwiła ten przewrót i powrót Piłsudskiego do władzy. Historycy zgodni są jednak, że nie społeczno-klasowa, ale patriotyczna motywacja podyktowała Piłsudskiemu decyzję podjęcia i przeprowadzenia zamachu stanu. Patriotyczna, ogólnonarodowa postawa leżała niewątpliwie u podstawy wszystkich prac i decyzji Piłsudskiego, nawet — jak to podkreśla Andrzej Micewski<sup>3</sup> — jego związku z socjalistycznym ruchem robotniczym w czasie walki o niepodległość.

Co chciał Piłsudski osiągnąć przez majowy zamach stanu?

---

2. Pobóg-Malinowski, *Historia polityczna*, t. II, 656; J. Rothschild, *Piłsudski's Coup d'Etat*, str. 20-21; *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, t. 2, str. 207.

3. *Z geografii*, str. 17.

Chciał przede wszystkim położyć kres rozwydrzonemu partyjnictwu i złym zwyczajom parlamentarnym, uniemożliwiającym funkcjonowanie państwa, bez naruszenia zasad demokracji parlamentarnej. W wywiadzie udzielonym *Kurjerowi Porannemu* 29 kwietnia 1926, na dwa tygodnie przed zamachem, powiedział, że Polska (ówczesna) przeżywa kryzys parlamentarny w ostrzejszej formie, niż cała Europa. Istnieje zasada parlamentarna — mówił — że rząd rządzi, sejm sędzi. Gdy nastąpił zanik podziału pomiędzy władzą wykonawczą a władzą ją sądzącą, musiało zniknąć poczucie sprawiedliwości. Ten stan demoralizuje to, co jest rządem, i to, co jest sądem. Musi powstać wówczas nierząd, którym jakoby Polska zawsze stała. Na zapytanie, czy Piłsudski wzięłby dyktaturę w swe ręce, odpowiedział: „... Zagadnienie dyktatury stawało przede mną tyle razy... Ja jednak twierdząc, że w ramach konstytucyjnych praca silnego rządu da się skuteczniej, tylko trzeba uczynić wszystko, by skończyć ze złymi zwyczajami sejmowymi. Albowiem złe zwyczaje sejmowe są gorsze od złej konstytucji<sup>4</sup>”.

Po drugie: decydując się na zamach chciał Piłsudski wstrząsnąć sumieniem narodowym i w rozgardiaszu walk o korzyści partyjne, grupowe czy indywidualne wskazać konieczność poszanowania wyższych wartości moralnych. W oświadczeniu złożonym prasie w nocy z 12 na 13 maja powiedział: „Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowią *i m p o n d e r a b i l i a*, jak honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka, a nie dla starania o korzyści własne czy swego najbliższego otoczenia... Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co pracę swą dla innych dają, nie może być w państwie — gdy nie chce ono iść ku zgubie — za dużo nieprawości<sup>5</sup>”. Z tego wskazania przestrzegania „imponderabiliów” w życiu publicznym opozycja antypiłsudczykowska ukuła później słowo „sanacja” i pojęcie „rządów sanacyjnych”, złośliwie przyczepiane do wszystkich rządów pomajowych.

Po trzecie: nie mając sprecyzowanego programu społeczno-gospodarczego, wychodząc z idei „służenia państwu”, chciał Piłsudski osiągnąć solidaryzm społeczny w tej służbie z jednej i pragmatyzm w rozwiązywaniu zagadnień programowych z drugiej strony. Artur Śliwiński zanotował z rozmów z Piłsudskim w listopadzie 1931 roku: „Piłsudski nigdy nie hołdował doktrynie. Doktryna — powiedział mi raz Marszałek — daje spokój, z któ-

4. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, t. 2, str. 206.

5. *Ibid.*, str. 222.

rzym ludzie nie lubią się rozstawać, dlatego mamy tylu doktrynerów. A w życiu ciągle wszystko się zmienia, wszystko idzie naprzód, a doktryny stoją w miejscu<sup>6</sup>”. A kiedyś, w 1933 lub 1934 roku, powiedział Januszowi Jędrzejewiczowi: „Dajcie mi spokój z doktrynami. Nienawidzę tego słowa. To straszna rzecz. Cały życie walczyłem z doktrynami... To przekleństwo nasze. Nie chcę tego słyszeć! Doktryna! To śmierć dla myśli, to martwota, to zerwanie z rzeczywistością<sup>7</sup>”. Szukał „prawdy życia”. Jaka jest ta prawda? W rozmowie z Anielą Zagórską, tłumaczką dzieł Korzeniowskiego, powiedział: „Cóż ja na to poradzę (chodziło o powody „życia w samotności” i „odgradzania się od ludzi”) ... wszyscy oni widzą na dziesięć metrów, a ja na tysiąc, więc choć patrzymy w jednym kierunku — widzimy te same rzeczy inaczej<sup>8</sup>”.

Decydując się na przewrót, Piłsudski widział rzeczy „inaczej” niż ówcześni politycy sejmowi. Niewątpliwie chciał służyć Polsce i kierował się pobudkami patriotycznymi. Idea służenia Polsce — pisał Artur Śliwiński — bardzo wczesnie ukształtowała się w jego głowie. „Tej idei — mówił Marszałek — pozostałem wierny na zawsze. I dzisiaj (w roku 1934), choć nieraz mówię o 'durnej Polsce', wymyślam na Polskę i Polaków, to przecież tylko Polsce służę<sup>9</sup>”.

Będąc — jak się wyraził we wspomnianym oświadczeniu w nocy z 12 na 13 maja — przeciwnikiem gwałtu, czego dowiódł podczas sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, zdobył się „po ciężkiej walce z samym sobą na próbę sił z wszystkimi konsekwencjami”. Na pewno nie chciał wprowadzenia dyktatury. „W Polsce — mówił — nie można rządzić terrorem... Polacy mają w sobie instynkt wolności... To nie pójdzie. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić i korzystałem z tego, bo Polaków chciałem czegoś nauczyć. Tego nie potrafiłby nikt inny. Ale instynktu wolności nie można zabijać i zabić się go nie da<sup>10</sup>”.

Chciał Piłsudski zmienić mentalność Polaków w ich stosunku do państwa. Jeszcze na krótko przed śmiercią ostrzegwał Polskę przed złymi nawykami... Mówił, że u nas za realnych polityków uważają tych, którzy ulegają sile zewnętrznej, a nie tych, którzy liczą na własne społeczeństwo. Zastanawiał się długo nad spo-

6. *Ibid.*, str. 403.

7. J. Jędrzejewicz, *W służbie idei*, str. 196.

8. Wł. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 2, wyd. 1956, str. 573.

9. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, str. 403.

10. *Ibid.*, str. 407.

sobami rządu... Zawsze — pisze Aleksandra Piłsudska — był przeciwnikiem dyktatury. Twierdził, że najlepszą formą jest opieranie się na „większości parlamentarnej”, a zasadniczym postulatem stosunków jest zawsze umowa i lojalne jej dotrzymanie<sup>11</sup>.

O ile ideowa motywacja majowego zamachu stanu była jasną i podzielaną przez znakomitą większość społeczeństwa, to niejasne były drogi i środki naprawy zabagnionych stosunków. W dniu 22 maja, po zakończeniu walk, Piłsudski wydał rozkaz do wojska, w którym m.in. powiedział: „Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my staniemy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza”. Ale do jakiej pracy? W dniach przewrotu mało kto łamał sobie nad tym głowę. Pod tym względem zamach nie był przygotowany przez jakąś zwartą grupę polityczną.

W trzech wywiadach opublikowanych między 25 i 29 maja 1926 Piłsudski starał się usprawiedliwić swój czyn i tylko skąpo zarysowywał wskazania pracy, mającej ziemię polską „wzmocnić i odrodzić”. Wskazania te, uzupełnione i rozbudowane w późniejszych wywiadach prasowych i oświadczeniach z lat 1929 i 1930, stały się rodzajem „biblii”, z której tworzący się po przewrocie majowym obóz piłsudczykowski starał się wydedukować konkretne drogi działalności politycznej, nie zawsze zresztą znajdując jasną odpowiedź na palące zagadnienia aktualne.

Odnosnie stosunków z zagranicą koncepcja Piłsudskiego streszczała się w jednym tylko słowie: pokój. Kraj, wyczerpany wojną, poruszany wstrząsami wewnętrznymi, potrzebuje koniecznie pokoju. „Nie pragniemy niczego — mówił — żadnej zmiany terytorialnej, chcemy żyć i wzmacniać się w pokoju. Ale gdybyśmy np. zostali zaatakowani, umielibyśmy się bronić. To leży w mojej naturze i to jest także w naturze narodu polskiego” (wywiad z 25 maja).

W zakresie stosunków wewnętrznych Piłsudski zalecał w tych wywiadach reformę ustrojową przez wzmocnienie pozycji prezydenta i oddanie mu „pełni władzy” (wywiad z 25 maja) oraz ukrócenie supremacji Sejmu. Problem silnego rządu widział w uniknięciu wpływu Sejmu na jego tworzenie (wywiad z 29 maja).

Nie precyzując na jakich zorganizowanych siłach społeczno-politycznych miało się oprzeć państwo polskie, wypowiadał się Piłsudski przeciwko dominującej roli partii politycznych i dzieleniu społeczeństwa według kryteriów partyjnych. W wywiadzie z 27 maja mówił, że jeśli chodzi o pojęcia „lewicy” i „prawicy”

---

11. *Ibid.*, str. 502.

pod względem politycznym, to „nigdy nie mógł skonstatować [w stosunkach polskich — J.R.] co jest lewicą, a co prawicą. Zabójstwa Narutowicza dokonała prawica, tymczasem w świecie tego rodzaju akty mordów dokonywane są przez lewicę. Gdzie indziej — utrzymywał Piłsudski — prawica dąży do zmniejszenia siły parlamentaryzmu na rzecz władz wykonawczych, a w Polsce najwybitniejszymi przedstawicielami rozwydrzenia partyjnego i oparcia wszystkiego na posłach i senatorach jest właśnie prawica. Także prawica jest autorem konstytucji, odbierającej władzy wykonawczej siłę na rzecz 'złotej wolności' posłów i senatorów”.

Jeśli chodzi o zagadnienia socjalne, Piłsudski był przeciwny radykalnym reformom, mówiąc, że „chwila rozwiązania zagadnień społecznych jeszcze nie nadeszła”; „nie mamy ochoty naśladować tego co jest w Rosji” (wywiad z 25 maja). Nie był zwolennikiem „dawania wyraźnej przewagi jednej stronie nad drugą”, stale podkreślał, że „eksperyment sąsiadów ze wschodu nie jest zachęcający”; „Polska winna być ostrożną, bo jest młoda i biedną i musi unikać ryzykownych eksperymentów. Najważniejszym jest moralność życia publicznego<sup>12</sup>”.

W wywiadach prasowych i oświadczeniach Piłsudski nie dawał też żadnych wyraźnych instrukcji odnośnie polityki gospodarczej. W rozmowie z posłem angielskim sir Williamem Max-Müllerem z dnia 12 czerwca 1926 powiedział, że polityka ta jest rzeczą rządu; nie może o tym dyskutować jako „kompletny ignorant w tych sprawach”, choć przyznał, że zagadnienia ekonomiczne są ważne. „Dla rządu jest to pierwszą sprawą do zrobienia<sup>13</sup>”.

### *Między autorytetem i parlamentaryzmem*

Zanim przejdę do omówienia roli i prac organizacji zetowców w okresie rządów Józefa Piłsudskiego po przewrocie majowym, myślę, że nie od rzeczy będzie przedstawić w jak najbardziej schematycznym skrócie rozwój wydarzeń w latach 1926-1935, tj. od zamachu stanu w maju 1926 do śmierci Marszałka 12 maja 1935. Dopiero w łączności z tym tłem historycznym polityczne prace zetowców i ich udział w obozie pomajowym mogą być łatwiej zrozumiane.

12. Wszystkie streszczenia i cytaty na podstawie *Pism i Kroniki...*, t. 2, str. 229-233.

13. *Kronika...*, str. 240.

15 maja 1926 Kazimierz Bartel otrzymał z rąk marszałka Sejmu Rataja, po ustąpieniu prezydenta Wojciechowskiego, misję utworzenia nowego rządu fachowców, z udziałem Piłsudskiego jako ministra spraw wojskowych. Piłsudski zabiegał przede wszystkim o zalegalizowanie zamachu. Do rządu tego nie weszli wówczas jeszcze piłsudczycy-legioniści, nie mówiąc już o zetowcach.

31 maja Zgromadzenie Narodowe (Sejm i Senat) obrało Prezydentem Józefa Piłsudskiego, większością 293 głosów przeciw 193, które padły na Adolfa Bnińskiego, kandydata Stronnictwa Narodowego i Klubu Chrześcijańskiej Demokracji. 61 posłów i senatorów — przeważnie reprezentujących mniejszości narodowe — wstrzymało się od głosowania. W tym samym dniu — po wyraźnym zalegalizowaniu przewrotu — Piłsudski zrezygnował z objęcia funkcji Prezydenta R.P.

1 czerwca Zgromadzenie Narodowe — na wniosek Piłsudskiego — wybrało na Prezydenta prof. Ignacego Mościckiego większością 281 głosów na 545 głosujących posłów i senatorów.

2 sierpnia 1926, zgodnie z sugestiami Piłsudskiego, Izby ustawodawcze przyjęły kwalifikowaną większością zmiany i uzupełnienia Konstytucji z 17 marca 1921, idące w kierunku rozszerzenia władzy Prezydenta, uszczuplenia praw Sejmu i wzmocnienia roli rządu. Prezydent otrzymał prawo rozwiązywania Izb i wydawania dekretów z mocą ustawy.

Idylla nie trwała długo. Już 20 września zmanifestowano w Sejmie niezyczliwy stosunek do rządu Kazimierza Bartla, wnosząc poważne obcięcie sum przedłożonego prowizorium budżetowego, przeważnie kredytów Ministerstwa Spraw Wojskowych, a 24 września — choć przywrócono skreślone kredyty — wyrażono wotum nieufności ministrowi spraw wewnętrznych Kazimierzowi Młodzianowskiemu i ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Antoniemu Sujkowskiemu.

W wyniku tych pierwszych pomajowych „psikusów” Sejmu, Piłsudski zdecydował się objąć sam ster rządu. W dniu 2 października zaprzysiężony został nowy gabinet, do którego Piłsudski włączył dwóch konserwatystów. Aleksandra Meysztowicza (ministerstwo sprawiedliwości) i Karola Niezabytowskiego (rolnictwo i dobra publiczne), obok socjalisty Jędrzeja Moraczewskiego (roboty publiczne), legionisty gen. Floriana Sławoja-Składkowskiego (sprawy wewnętrzne), Augusta Zaleskiego (sprawy zagraniczne) i Gabriela Czechowicza (skarb).

Było to pierwsze posunięcie Marszałka, manifestujące jego



ponadpartyjny stosunek do spraw pracy państwowej i wymierzone — temu trudno zaprzeczyć — w oderwanie od endecji części związanych z nią dotychczas grup konserwatywnych. Posunięciem to było politycznie o tyle uzasadnione, że — jak to określił marszałek Rataj w swych pamiętnikach — „mówiło na zagranicę, że Piłsudski jest człowiekiem, który utrzymuje równowagę społeczną w Polsce, zapewniając jej spokój; że wyszedł wprawdzie z rewolucji lewicowo zabarwionej, lecz, nie tracąc kontaktu z żywiołami czerwonymi, umiał nawiązać współpracę z prawicą, a więc reprezentuje całe państwo. Wywołało to za granicą zaufanie do Polski, wiarę w stabilizację stosunków<sup>14</sup>”.

Nawiasowo warto zaznaczyć, że przewrót majowy — jakkolwiek może być oceniany od strony politycznej — przyniósł niewątpliwie dodatnie rezultaty w dziedzinie gospodarki. W historii gospodarczej dwudziestolecia międzywojennego lata 1926-1929, a więc pierwsze trzy lata pomajowe, należą do lat najświetniejszego rozwoju, określanego wówczas złośliwie przez opozycję polityczną mianem „radosnej twórczości”. Oczywiście przewrót sam w sobie nie był jedynym czynnikiem poprawy gospodarczej. Był on jednak katalizatorem, który przez uspokojenie nastrojów i walk przyniósł wzrost zaufania zagranicznego i wewnętrznego do kierownictwa państwowego i wyzwolił twórczą energię. Czołowymi postaciami w gabinetach lat 1926-1929, decydującymi o kierunku polityki gospodarczej państwa byli Kazimierz Bartel, Gabriel Czechowicz i Eugeniusz Kwiatkowski. Wszyscy oni starali się przeszczepiać ogólne wskazania Piłsudskiego w dziedzinę gospodarki. Wykładnikiem tej ideologii były takie akty jak stabilizacja złotego polskiego i racjonalna polityka pieniężna Banku Polskiego, osiągnięcie równowagi budżetowej, znaczny wzrost oszczędności wewnętrznych, pozyskanie kredytów zagranicznych, rozwój akcji kredytowej w różnych formach, obniżenie stopy procentowej, poważne inwestycje publiczne i prywatne, poprawa w rolnictwie i ożywienie ruchu budownictwa mieszkaniowego<sup>15</sup>. Dopiero później, w latach 1930-1935, ten niewątpliwie poważny wysiłek rządów pomajowych zahamowany zostanie przez światowy kryzys ekonomiczny, który uderzył w Polskę z dwóch stron: przez gwałtowne wycofywanie kapitałów zagranicznych, długo- i krótkoterminowych, wprowadzonych do kraju w poważnych ilościach w okresie lat 1927-1929, i przez spadek światowych

---

14. M. Rataj, *Pamiętniki*, str. 414, Cytat za *Kroniką...*, t. 2, str. 251.

15. J. Rakowski, „Ideologia gospodarcza epoki Józefa Piłsudskiego”, *Niepodległość* nr 1, Londyn 1948. Również nadbitka w bibliotekach.

cen na artykuły rolne, co w kraju o dominującej strukturze rolniczej. jakim była ówczesna Polska, doprowadziło do katastrofy.

Szukając stale drogi oderwania prawicowych kierunków od endecji — Piłsudski wziął w dniu 25 października 1926 udział w zjeździe arystokracji w Nieświeżu na zaproszenie głowy rodziny Radziwiłłów, Albrechta Radziwiłła. Okazją stała się sprawa pośmiertnego dekorowania złotym krzyżem *Virtuti Militari* majora Stanisława Radziwiłła, swego czasu adiutanta Piłsudskiego, który zginął w wojnie 1920 roku w czasie wyprawy kijowskiej. Te kontakty z konserwatystami odbiły się szerokim echem również w szeregach zetowców. Aczkolwiek zetowcy posiadali wielu działaczy pochodzenia ziemiańskiego, historycznie, patronując Kółkom Rolniczym i Straży Kresowej, nastawieni byli nieprzychylnie do arystokracji. W ogóle w całej lewicy piłsudczykowskiej nie bardzo wówczas rozumiano właściwe intencje Marszałka, choć wiedziano, że endecja była dla niego największym wrogiem. Wówczas to ktoś dowcipny ułożył wierszyk, który kolportowano na wesoło w szeregach belwederskich: *„To nie sztuka zabić kruka, / ani sowę trafić w głowę — / ale sztuka całkiem świeża, / trafić z Bezdán do Nieświeża”*.

W rzeczywistości bardziej endecja niż lewicowi piłsudzcy niezadowolona była z tego wdzierania się pomajowego reżymu na jej teren. Endecja przegrała. Roman Dmowski, zaniepokojony umacnianiem się nowego systemu rządów, zareagował na tę przegraną utworzeniem w dniu 4 grudnia 1926 Obozu Wielkiej Polski. Pomyślany on został jako siła, mająca skonsolidować rozbite szeregi i przygotować odebranie władzy zwycięzcy<sup>16</sup>.

A teraz krótko tylko chronologia najważniejszych wydarzeń.

Na przełomie 1926 i 1927 roku stosunki Sejmu z rządem Piłsudskiego uległy zaostrzeniu. W dniu 12 lutego 1927, podczas drugiego czytania budżetu, obcięto budżet Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zmniejszono fundusz dyspozycyjny ministra spraw wewnętrznych i odrzucono wnioski rządowej utworzenia Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Budżet został wprawdzie w dwa dni później uchwalony w trzecim czytaniu, ale nie bez osobistej interwencji Piłsudskiego, który przybył do Sejmu z „laurką”, rulonem, zawierającym, jak mówiono, dekret Prezydenta o rozwiązaniu izb ustawodawczych.

Piłsudski zrozumiał, że nie da sobie rady w rządzeniu państwem bez mocnego, własnego zaplecza politycznego. W pierwszych miesiącach 1927 roku Sławek bywał często w Belwederze

---

16. Porównaj A. Micewski, *Z geografii...*, str. 108.

i omawiał z nim sprawę stworzenia takiego zaplecza, co wkrótce przybrało formę „Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem” (BBWR). W październiku 1927 Walery Sławek ukończył prace przygotowawcze. BBWR miał objąć wszystkie warstwy społeczne i być reprezentowany w Sejmie. Wysuwał on nadrzędność interesów państwa nad interesami poszczególnych partii politycznych, by — uznając istniejące przeciwieństwa socjalne — dać rządowi wspólny wysiłek w trudnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Wachlarz ludzi, którzy poparli tę formę organizacji politycznej, był bardzo szeroki, od konserwatystów przez ludowców i demokratów do PPS (grupa J. Moraczewskiego i Rajmunda Jaworowskiego). Także mniejszości narodowe, które deklarowały lojalność wobec państwa, mogły się znaleźć w BBWR<sup>17</sup>. Odtąd to ugrupowanie zaczęło zajmować coraz ważniejsze miejsce w społeczeństwie do czasu jego rozwiązania 30 października 1935 roku, po uchwaleniu nowej Konstytucji.

W tym czasie w sytuacji zewnętrznej Polski powstaje napięcie, wywołane pogorszeniem się stosunków z Litwą, załagodzonym wyjazdem Piłsudskiego w dniach 9-10 grudnia 1927 do Genewy i uzyskaniem oświadczenia Valdemarasa, że Litwa nie uważa się za będącą w stanie wojny z Polską (stosunki dyplomatyczne, gwarantujące pokój, zostały nawiązane dopiero po 10 latach, w marcu 1938 roku, po ostatecznym przewyciężeniu litewskich pretensji rewindykacyjnych).

28 listopada 1927 dekretem Prezydenta Mościckiego rozwiązane zostały obie izby. Nowe wybory wyznaczono na 4 i 11 marca 1928 roku. Piłsudski zgodził się na kandydowanie do Sejmu z listy BBWR dla zmanifestowania, że ugrupowaniu temu udziela swego poparcia. Przy dość wysokiej frekwencji (78,3 % uprawnionych wyborców do Sejmu i 63,9 % do Senatu) BBWR uzyskał 122 mandaty na 444 w Sejmie i 46 na 111 w Senacie, nie zdobył więc spodziewanej większości.

Z dniem otwarcia sesji nowego Sejmu 27 marca 1928 rozpoczyna się okres ostrej rozgrywki między władzą ustawodawczą, reprezentowaną przez większość opozycyjną, a rządem. Próba współpracy zawiodła. Podniesiono zarzut finansowania wyborów BBWR z kasy publicznej i postawiono ministra Skarbu, Gabriela Czechowicza, w stan oskarżenia, nie ośmielając się pociągnąć do odpowiedzialności szefa rządu, choć Piłsudski przyjął na siebie odpowiedzialność. Wbrew życzeniom Marszałka wybrano mar-

17. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, str. 285/286 z powołaniem się na Wł. Pobóg-Malinowskiego i J. Rothschilda.

szalkiem Sejmu nie Kazimierza Bartla ale Ignacego Daszyńskiego (261 głosów Daszyński, 141 Bartel). Tylko w Senacie udało się BBWR przeprowadzić wybór na marszałka Juliana Szymańskiego, kandydata, uzgodnionego z Piłsudskim. Daszyński zapowiedział wprowadzić współpracę z rządem, z jednoczesnym jednak zaznaczeniem, że będzie strzegł powagi i godności Izby. W praktyce działały różne siły odśrodkowe, aby współpracę tę uniemożliwić.

W dniu 23 czerwca Piłsudski zgłosił dymisję rządu, motywując to stanem zdrowia i niemożnością znoszenia „szubrawstw sejmowych”. Na premiera — powiedział — trzeba człowieka bardziej kompromisowego. „Ja staję gdy jest burza, bo znam się na tym, ale na drobne rzeczy...<sup>18</sup>”. Utworzony został czwarty gabinet K. Bartla, w którym Piłsudski zatrzymał tekę ministra spraw wojskowych.

W 1929 roku stosunki między Sejmem i rządem ulegają dalszemu zaostrzeniu. Sejm 11 lutego skreślił sumę 2 milionów złotych z funduszu dyspozycyjnego Ministra Spraw Wojskowych, a 20 marca przyjął większością 240 głosów przeciwko 126 wniosków o postawienie w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu ministra Skarbu Czechowicza za przekroczenia budżetowe uczynione w poprzednim roku.

Piłsudski reaguje ostrymi artykułami i oświadczeniami w prasie, nie szczędząc pod adresem Sejmu i posłów obraźliwych słów.

14 kwietnia 1929, po podaniu się do dymisji gabinetu K. Bartla, utworzony został nowy rząd z premierem Kazimierzem Świtalskim i Ignacym Matuszewskim jako ministrem skarbu, któremu Sejm w dniu 6 grudnia wyraża wotum nieufności.

29 grudnia utworzony zostaje piąty gabinet K. Bartla. Usiłuje on prowadzić kompromisową politykę wobec Sejmu, która nie daje jednak rezultatu.

Rok 1930 jest brzemienny w wydarzenia wewnętrzno-polityczne o niebywałej ostrości, zakończone ostatecznym zwycięstwem Piłsudskiego nad krnąbrnym Sejmem, uzyskanym silną ręką.

Bartel 12 marca 1930 powiedział w Sejmie, że „parlamentaryzm nie jest już zdolny do spełnienia zadań, jakie życie państwowe nań nakłada”. Sejm zareagował uchwaleniem wotum nieufności dla Aleksandra Prystora, ministra opieki społecznej w związku z podjętą przez niego akcją reformy kas chorych. 15 marca rząd Bartla podał się do dymisji. Przesilenie trwało dwa

---

18. *Ibid.*, str. 308.

tygodnie. 29 marca zaprzysiężony został pierwszy gabinet Walego Sławka.

Stronnictwa opozycyjne nie ustawały w walce z Piłsudskim pod sztandarem obrony parlamentaryzmu. Tzw. „Centrolew” uchwalił odbycie w Krakowie 29 czerwca kongresu ochrony prawa i wolności ludu. Postanowiono zorganizować tę manifestację m.in. dlatego, że otwarta w dniu 23 maja 1930 nadzwyczajna Sesja Sejmu na podstawie żądania 149 posłów Centrolewu odroczone została przez prezydenta Mościckiego na 30 dni. Te wydarzenia przyspieszyły decyzję rozwiązania Sejmu i przeprowadzenia nowych wyborów. Sławoj-Składkowski, od 3 czerwca nowy minister spraw wewnętrznych, otrzymał polecenie przeprowadzenia wyborów w trzy miesiące.

Tymczasem odbył się w Krakowie kongres Centrolewu. Uchwalona rezolucja głosiła prowadzenie dalszej walki o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego, przygotowanie oporu na każdy zamach stanu i nieuznanie rządu powstałego na skutek zamachu, przy czym społeczeństwo będzie wolne od jakichkolwiek obowiązków w stosunku do tego rządu (mowa o niepłaceniu podatków), a jego zobowiązania wobec zagranicy nie będą przez Rzeczpospolitą uznane. Wystąpiono także przeciwko osobie prezydenta Mościckiego, który stanął po stronie dyktatury, z żądaniem jego ustąpienia<sup>19</sup>.

Piłsudski zareagował niezwykle ostro. W dniu 25 sierpnia utworzył „rząd silnej ręki” pod swoim przewodnictwem z Józefem Beckiem jako ministrem bez teki. Do gabinetu tego nie wszedł Eugeniusz Kwiatkowski, pomajowy minister przemysłu i handlu, zarzevia, którego Piłsudski posądzał o kontakty z ludowcami i uznał za nienadające się do zamierzonej rozgrywki z Sejmem.

Następuje seria wywiadów udzielonych Bogusławowi Miedzińskiemu i atakujących w ostrych słowach Sejm i zwyczajnie sejmowe, polecenie Piłsudskiego przeprowadzenia tzw. „pacyfikacji” w Małopolsce Wschodniej z powodu wywrotowej akcji Ukraińców oraz aresztowanie w nocy 9 września 18 posłów, przewiezionych do wojskowego więzienia w Brześciu. Poprzednio, w dniu 29 sierpnia, zarządzeniem Prezydenta obie izby zostały rozwiązane i nowe wybory wyznaczone na 16 (Sejm) i 23 (Senat) listopada 1930. Piłsudski — jak stwierdza Pobóg-Malinowski i Wacław Jędrzejewicz — „rozprawiając się w ten sposób z byłymi posłami, wypełnił wielokrotnie swe ostrzeżenia i zapowiedzi ostrej rozprawy z nimi. Jednak wykonawcy przekroczyli wszyst-

---

19. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, str. 360.

kie granice dopuszczalne w stosunku do oskarżonych, co w rezultacie wywołało oburzenie w kraju i za granicą, ze szkodą dla sprawy polskiej<sup>20</sup>”.

Byli posłowie zostali oskarżeni na zasadzie art. 100 cz. III Kodeksu Karnego, który mówił o zamachu celem usunięcia przymocą członków rządu sprawującego władzę i zastąpienie ich przez inne osoby, bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego w Polsce<sup>21</sup>. W procesie sądowym, który trwał prawie trzy miesiące, 13 stycznia 1932 roku zapadł wyrok skazujący głównych oskarżonych na karę więzienia od półtora do 3 lat. Sądy Apelacyjny i Najwyższy zatwierdziły wyrok pierwszej instancji. Niektórzy ze skazanych (m.in. W. Witos) schronili się za granicę, a gdy powrócili do Polski, zostali po paru tygodniach aresztu ułaskawieni dekretem Prezydenta (z odzyskaniem praw obywatelskich).

13 września 1930 Piłsudski podkreślił w trzecim wywiadzie udzielonym B Miedzińskiemu, że wprawdzie „parlamentaryzm wszędzie na świecie jest chory, ale Piłsudski nie sądzi, by można było obejść się bez jakiegoś przedstawicielstwa wybranego i czyniącego zadość poczuciu odpowiedzialności<sup>22</sup>”.

W przeprowadzonych przez Składkowskiego wyborach do Sejmu w dniu 16 listopada BBWR zdobył 247 mandatów na 444, lewica i centrum — 102. Stronnictwo Narodowe — 62, mniejszości narodowe — 33. Uzyskano większość, ale nie kwalifikowaną większość 2/3, potrzebną dla zmiany Konstytucji. W wyborach do Senatu 23 listopada BBWR pozyskał dużą przewagę 76 mandatów na 111.

W dniu 4 grudnia nastąpiła dymisja rządu Józefa Piłsudskiego i powołanie nowego rządu Walerego Sławka.

Piłsudski, wspominając później okres przed wyborami 1930 roku powiedział: „Trzeba było wybory wygrać... koniecznie wygrać. Inaczej musiałbym iść na straszne rzeczy i straszne rzeczy działyby się w kraju... Wiedziałem, że tego byłbym już nie przeżył... Polska była w niebezpieczeństwie... Musiałem się uciec

---

20. *Ibid.*, str. 367.

21. Aresztowani i oskarżenia zostali: z PPS — Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek, Adam Pragier; z „Wyzwolenia” — Kazimierz Bagiński i Józef Putek; z Klubu Narodowego — Aleksander Dębski; ze Stronnictwa Chłopskiego — Adolf Sawicki; z „Piasta” — Władysław Kiernik i Wincenty Witos; z Narodowej Partii Robotniczej — Karol Popiel; z BBWR — Józef Baćmaga. Poza tym czterech b. posłów ukraińskich.

22. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, str. 368.

do środków bardzo ostrych, nawet takich jak Brześć... Nie wiem dlaczego Bóg kazał mi żyć w Polsce...<sup>23</sup>”.

Po „zwycięstwie” nad Sejmem Piłsudski w następnych latach odsuwa się od polityki wewnętrznej. 31 marca 1931 mówił prezydentowi Mościckiemu, że „nie może już brać na siebie większych obowiązków, bo byłoby to połączone z zupełną utratą jego sił<sup>24</sup>”. A w czerwcu tegoż roku oświadczył Składkowskiemu: „Ja jestem od wielkich koncepcji, nie od administracji<sup>25</sup>”. W gruncie rzeczy zapadł poważnie na zdrowiu, choroba rozwijała się i zbliżała się nieuchronna śmierć. Interesował się tylko stale wojskiem i sprawami zagranicznymi. Sprawy polityki wewnętrznej, a przede wszystkim doprowadzenie do końca dzieła reformy ustrojowej, pozostawił Sławkowi i ludziom z jego najbliższego otoczenia, których — jeśli tak można powiedzieć — „odkomenderował” z wojska do polityki.

Rozpoczynają się rządy tzw. „pułkowników”, przypadające na niezwykle trudny okres szalejącego kryzysu gospodarczego i wydarzeń zagranicznych, torujących drogę do katastrofy wojennej. Po gabinecie Walerego Sławka (4. 12. 1930 - 16. 5. 1931) przychodzi gabinet Aleksandra Prystora (27. 5. 1931 - 1933), któremu przypadło w udziale trudne zadanie wytrwania w walce z kryzysem, następnie gabinet Janusza Jędrzejewicza (9. 5. 1933 - 15. 5. 1934), Leona Kozłowskiego (15. 5. 1934 - 19. 3. 1935) i trzeci gabinet Sławka (29. 3. - 13. 10. 1935).

Mimo ciężkiej sytuacji gospodarczej w latach tych nie ma w Polsce większych zaburzeń. Ostrość walk politycznych została wyraźnie stępiona. Tylko na froncie stosunków polsko-ukraińskich historia notuje pozałowania godne wydarzenia. W dniu 29 sierpnia 1931 roku zamordowany został przez zamachowców ukraińskich Tadeusz Hołówko, poseł na Sejm i wiceprezes BBWR, wielki zwolennik polsko-ukraińskiego porozumienia, a w niespełna trzy lata później, 15 czerwca 1934, minister spraw wewnętrznych, Bronisław Pieracki. W nerwowej atmosferze, jaka wytworzyła się po tym ostatnim zabójstwie, premier Kozłowski — zresztą po porozumieniu się z Piłsudskim — przeprowadził dekret o utworzeniu obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej dla przestępców politycznych i terrorystów.

Ciemne chmury kumulowały się na firmamencie stosunków międzynarodowych. Studium „Kronika Życia Józefa Piłsudskie-

---

23. *Ibid.*, str. 401, rozmowy z Arturem Sliwińskim według Wacława Sieroszewskiego: *Józef Piłsudski*, str. 9.

24. *Ibid.*, t. II, str. 390.

25. *Ibid.*, str. 394.

go” w opracowaniu Wacława Jędrzejewicza wykazuje, że Marszałek, przy ciągłym zapadaniu na zdrowiu i konieczności dłuższych wycieczek, temu zagadnieniu poświęcał stale uwagę, wzywał miarodajne osobistości na rozmowy i konferował z ministrami i posłami.

### *Związek Naprawy Rzeczypospolitej (ZNR)*

Zetowcy — jak cała polska lewica intelektualna, wiejska i robotnicza — poparli przewrót majowy. Nie mogli postąpić inaczej. Choć mogli mieć uzasadnione pretensje do pomijania ich przez Piłsudskiego w okresie gdy jako Naczelnik Państwa budował pierwsze zręby odrodzonej Polski, podzielali jego zasadniczą patriotyczną postawę. Wspólna walka w obozie niepodległościowym, w Legionach i w POW, doprowadziła do zbliżenia. Kierowane przez zetowców organizacje, jak Związek Młodej Polski z jego organem prasowym *Sprawy Polskie*, Straż Kresowa i Związek Seniorów OMN zwalczały stale partyjnictwo. Nie miały swych przedstawicieli w Sejmie i stały w opozycji do partyjnych rządów przedmajowych. Generał Gustaw Orlicz-Dreszer, jeden z czołowych działaczy „Młodzieży Narodowej”<sup>26</sup> był głównym rzecznikiem przyjazdu około 1.000 oficerów do Sulejówka w dniu 15 listopada 1925 roku celem złożenia hołdu Piłsudskiemu w siódmą rocznicę jego powrotu z Magdeburga. W przemówieniu swym, które odbiło się głośnym echem w kraju, wyraził solidarność z Marszałkiem, odsuniętym wówczas od udziału w pracy państwowej i powiedział: „Niesiemy Ci, prócz wdzięcznych serc, pewne, w zwycięstwach zaprawione szable”<sup>27</sup>.

Tadeusz Katelbach określa zamach majowy jako nieuchronną konsekwencję polskiej „demokracji na wyrost”. Stwierdza on, że warszawskie środowisko zetowe liczyło się z zamachem Piłsudskiego i debatowało nad możliwością jego przeprowadzenia. Ale „rozumieliśmy doskonale — pisze — że sama negatywna postawa w stosunku do przeszłości nie wystarczy i że bezpośrednią konsekwencją zamachu musi być taka przebudowa naszego wnętrza, która zapewniłaby odrodzonemu zaledwie przed kilku laty państwu przede wszystkim ciągłość pracy, stanowiącą warunek *sine qua non* krzepnięcia Polski, gruntowania się jej podstaw

---

26. Życiorys, patrz *Polski Słownik Biograficzny*, artykuł Stefana Pomańskiego.

27. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, str. 187.



gospodarczych i rozwijania planowych prac w zakresie wojskowo-obronnym<sup>28</sup>”.

Bez przesady można powiedzieć, że zetowcy byli grupą polityczną, która — popierając przewrót i zwalczając partyjniactwo — starała się z punktu wyciągnąć z dokonanego zamachu właściwe konsekwencje. Nie myślano tylko o zgębieniu prawicy. usunięciu rządu Chjeno-Piasta i zastąpieniu go przez rząd lewicowy czy Centrolewu, o dopuszczeniu do głosu ludzi, którzy wysiłkiem wyrzeczeń i przelanej krwi przyczynili się do odzyskania niepodległości państwa ale odsuwani byli później od udziału w jego zarządzie. Chciano stworzyć jakiś nowy, lepszy ustrój na miejsce źle funkcjonującej w Polsce demokracji parlamentarnej. Do wypracowania zasad tego ustroju zetowcy czuli się niejako predestynowani z tytułu tradycji wieloletniej pracy ideowo-wychowawczej i kontaktu z masami społecznymi w kierowanych i kontrolowanych przez ZET organizacjach. Nie ustalali w natrętnym pytaniu o program działania po przewrocie, którego to programu nie widzieli jasno ze skąpych wynurzeń Piłsudskiego.

Już w kilka dni po zamachu trzy organizacje: Związek Strzelecki, Związek Osadników i Związek Powstańców Śląskich wydały wspólną odezwę, apel wzywający do pracy dla państwa i konsolidacji społeczeństwa wokół Marszałka Piłsudskiego. Inicjatywa tej odezwy wyszła z warszawskiego „Koła Braterskiego” Związku Patriotycznego. Jednocześnie postanowiono wydawać czasopismo pod tytułem *Przełom*, jako teoretyczny organ prasowy projektowanej nowej organizacji politycznej. Pierwszy numer *Przełomu* ukazał się 30 maja 1926 roku. Już ten pierwszy numer zaznaczył wyraźnie poparcie zamachu stanu Piłsudskiego w artykule wstępnym Bolesława Srockiego, krytykującym „sejmowładztwo”. W tym samym numerze ogłoszono też wspomniany apel trzech organizacji<sup>29</sup>.

Nawiązując do podstawowych myśli i wskazań Piłsudskiego, nowej organizacji postanowiono nadać nazwę Związku Naprawy Rzeczypospolitej (ZNR), uwypuklając w tej nazwie konieczność naprawy w Polsce przede wszystkim stosunków polityczno-ustrojowych. ZNR był próbą zetowców skonsolidowania obozu piłsudczykowskiego na platformie określonego programu społeczno-politycznego, wywodzącego się ze wspólnej walki o niepodległość i uwzględniającego realia sytuacji wolnego

28. *Spowiedź pokolenia*, str. 136.

29. Maria Wierzbicka, „Problematyka *Przełomu* w latach 1926-1935”, *Rocznik Hist. Czasopiśmiennictwa*, t. III/1. Wrocław 1963.

państwa. Próba ta nie udała się. Powody tego nieudania się są interesującym rozdziałem powojennej analizy historycznej.

Nie piszę monografii ZNR i w tym szkicu muszę ograniczyć się do możliwie zwięzłego przedstawienia genezy Związku, przezwanego w publicystyce „Naprawą”, jego ideologii, działalności i roli jaką ludzie tworzący ten Związek odegrali w obozie pomajowym.

*Założyciele.* Formalnymi założycielami Związku Naprawy Rzeczypospolitej były: Związek Strzelecki, Związek Osadników i Związek Powstańców Śląskich. Po Związku Legionistów były to trzy największe i najpoważniejsze organizacje grupujące byłych wojskowych i uczestników walki o wolność.

Związek Strzelecki, nawiązując do tradycji przedlegionowej, reaktywowany był w roku 1919 jako organizacja o charakterze paramilitarnym. Celem jego było „uzupełnienie pracy armii za pomocą przygotowania żołnierza, a potem utrzymania poziomu wykształcenia rezerwistów”. Organizował również akcje sportowe. Działał głównie wśród młodzieży wiejskiej i robotniczej, mniej wśród inteligencji. Odegrał dużą rolę w czasie zamachu majowego walcząc po stronie Piłsudskiego<sup>30</sup>.

Komendantem głównym Związku Strzeleckiego, który w jego imieniu podpisał apel zbiorowy i zgłosił przystąpienie do ZNR, był od kwietnia 1923 roku Kazimierz K i e r z k o w s k i (1890-1942), działacz ruchu oporu, urodzony w Międzyrzeczu Podlaskim. W szkole średniej w Będzinie był członkiem OMN i PETU. W latach 1905-1906 brał udział w walce o szkołę polską i w lipcu 1910 na krakowskim zjeździe OMN gorąco występował za dalszym bojkotem szkół rosyjskich. W końcu tego roku, jako student Wydziału Chemii Politechniki Lwowskiej, wstąpił do Zarzewia z grupą kolegów tego wydziału (m.in. Eugeniusz Kwiatkowski i Henryk Józef Bagiński). W 1911 roku był adiutantem komendanta okręgowego zarzewiackiej „Armii Krajowej”, Henryka Bagińskiego. W latach 1912-1914 studiował w Genewie, gdzie utworzył drużynę strzelecką, wstąpił do Legionów i brał udział w bitwach nad Nidą i pod Łowczówkiem. W 1918 roku przydzielony został do POW i brał udział jako szef sztabu w pierwszym powstaniu śląskim 1919 i później w trzecim powstaniu<sup>31</sup>. Po rozwiązaniu Zarzewia w roku 1910 Kierzkowski — nieco później — powrócił do ZETU i przyjęty został do Związku Patriotycznego. Aczkolwiek wywodził się z narodowego skrzy-

30. Maria Wierzbicka, *op. cit.*, str. 251.

31. *Polski Słownik Biograficzny*, artykuł Zofii Dłużewskiej-Kańskiej.

dła ruchu niepodległościowego, był przez pracę w Strzelcu i Legionach jak najbardziej związany z osobą Piłsudskiego. Trudno by posądzić go o jakąś nielojalność gdy zaraz po zamachu, w którym osobiście odegrał dużą rolę, przystąpił ze Związkiem Strzeleckim do organizowania ZNR i wszedł następnie do jego kierownictwa. Dla uzupełnienia tego krótkiego życiorysu warto zaznaczyć, że Kierzkowski był później jednym z 30 posłów „naprawiaczkich” wybranych z listy BBWR w roku 1928 (poseł z Polesia), a po kryzysie politycznym 1930 roku wycofał się z czystej polityki i pracował w różnych organizacjach rolniczych i w spółdzielniach rolniczo-przemysłowych. W czasie wojny 1939-1942 działał w konspiracji, utrzymywał kontakt z „Siewem” (kryptonim „Raclawice”); aresztowany 17 lipca 1942 przez Niemców zmarł w Oświęcimiu.

Związek Osadników (początkowo Centralny Związek Osadników Wojskowych) utworzony został w 1921 roku, po wydaniu dekretu o osadnictwie wojskowym z 19 grudnia 1920. Zadaniem Związku było organizowanie elementu osadniczego, obrona jego interesów, podnoszenie kultury rolnej osad itp. Wejście do tego związku zetowców było logicznym następstwem ich zainteresowania Kresami Wschodnimi i polityki wiązania tych Kresów z Polską.

Ówczesny prezes Związku Osadników, Wiktor Zygmunt Przedpełski (1891-1941), urodzony w Krasnem pow. Ciechanów, w latach młodości związał się z młodzieżą socjalistyczną. W roku 1905, w wieku 16 lat brał udział w strajku szkolnym. Naukę pobierał w szkole realnej Wróblewskiego w Warszawie. W 1908 roku zdał maturę i zapisał się na wydział chemiczny Politechniki Lwowskiej, dwa lata wcześniej od Kierzkowskiego. Z ramienia Frakcji Rewolucyjnej PPS, z którą był jeszcze wówczas związany, wyjeżdżał często do Kongresówki i do Rosji. W czasie jednej z takich wypraw został w roku 1914 aresztowany i zesłany na Sybir. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej przedostał się, robiąc piechotą 2.000 mil, do Murmańska, a następnie do Paryża, dokąd przybył w dniu zawieszenia broni. Powrócił później do Lwowa na studia politechniczne. W roku 1920 jest tu prezesem Bratniej Pomocy. Odstępuje wówczas od PPS i nawiązuje kontakt z zarzewiakami, angażując się na Spiszu i Orawie jako komendant drużyn plebiscytowych młodzieży. W czasie tej akcji zaprzyjaźnił się z Michałem Grażyńskim. Po niefortunnym zakończeniu plebiscytu wstąpił do POW, przeniósł się na Górną Śląsk, gdzie z Grażyńskim i Mieczysławem Chmielewskim bierze udział w powstaniu śląskim — grupa „Wschód” (Kierzkowski

działał w grupie „Zachód”). Od tych czasów trójka ta wiąże się mocno węzłem przyjaźni i pracy w służbie publicznej, którą prowadzić będzie później w ramach konspiracji zetowej.

Po wojnie i 3-im Powstaniu Śląskim Wiktor Przedpeński ukończył Politechnikę i poświęcił się całą siłą swego temperamentu pracom polityczno-gospodarczym. Z Grażyńskim — zdaje się w roku 1924 — przystąpił do Związku Patriotycznego. Był wspólnie z zetowcami założycielem Centralnego Związku Osadników Wojskowych, w którym — po reorganizacji — został wybrany prezesem. Niezwykle czynnie działał Przedpeński przy organizowaniu ZNR i wszedł do jej Egzekutywy. Gdy jednak otoczenie Piłsudskiego nie poparło tego Związku, tworząc Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, podobnie jak Kierzkowski począł oddalać się od polityki Piłsudskiego i przestawił się na działalność gospodarczą, z niezwykłą energią i talentem organizując liczne gałęzie przemysłu i eksportu.

Trzecim formalnym organizatorem ZNR był Związek Powstańców Śląskich, założony w roku 1921. Skupiał on dawnych uczestników powstań śląskich, zabiegał o obronę ich praw, ale spełniał też zawsze żywe na Śląsku zadanie walki z niemczyzną.

Prezes Związku Michał Grażyński (1890-1965) nie przeszedł w czasie studiów gimnazjalnych i uniwersyteckich w Krakowie przez szkołę wychowawczą PETU i ZETU, ale stykał się z zetowcami i zarzewiakami, myślał podobnie, i gdy w roku 1924 znalazł się w Warszawie na stanowisku dyrektora Departamentu w Ministerstwie Reform Rolnych, przystąpił do Związku Patriotycznego i wciągnął do niego swoich najbliższych kolegów i przyjaciół. Niezwykle zdolny i pracowity, otrzymał dwa doktortaty Uniwersytetu Jagiellońskiego: z filozofii (nadany mu w roku 1914) i z prawa (otrzymany 30 września 1922 roku, już po Powstaniu Śląskim)<sup>32</sup>. W powstaniu tym odegrał wybitną rolę jako szef sztabu Grupy „Wschód”. Przyznaje to również Pó-bóg-Malinowski w „Najnowszej Historii”<sup>33</sup>. Grażyński był jednym z nielicznych zetowców, których nie można było pominąć. Został wkrótce wojewodą śląskim i nie wszedł do Egzekutywy ZNR, choć był jego organizatorem.

Obok tych trzech związków i trzech powyżej scharakteryzowanych postaci szereg innych stowarzyszeń i zetowców działają-

---

32. Dane biograficzne Grażyńskiego i Przedpeńskiego zaczerpnąłem m.in. z archiwum Haliny Martin w Londynie.

33. Tom II, str. 384, *op. cit.*

cych w tych stowarzyszeniach poparło ideę Związku Naprawy Rzeczypospolitej. Lub odwrotnie — ZNR wywierał na te stowarzyszenia wpływ i wciągał je w orbitę swej działalności. Wymienić tu można Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Nauczycielstwa Polskiego, Związek Obrony Kresów Zachodnich. Przede wszystkim jednak za „Naprawą” — jako właściwy jej organizator — stali zetowcy i Związek Seniorów OMN, grupujący rozszaniach po całym terenie Polski około 1.000 członków, wychowanków ZETU i OMN.

Poza Kierzkowskim, Grażyńskim i Przedpełskim czołowymi ludźmi w tym gronie byli Zdzisław, Felicjan i Tadeusz Lechnicy, Stanisław Bukowiecki, Kazimierz Wyszyński, Bolesław Srocki, Jerzy Szurig, Kazimierz Zakrzewski, Piotr Olewiński, Gustaw Zieliński ze starszej, Wiesław Domaniewski, Stanisław Groniowski, Władysław Kamiński, Stefan Kapuściński, Tadeusz Katelbach, Jerzy Nowak, Stanisław Paprocki, Adam Stebelski, Stefan Szwedowski — ze średniej, oraz Tomasz Piskorski, Janusz Rakowski, Witold Wyszyński z najmłodszej, akademickiej jeszcze wówczas generacji. Nie sposób dziś przypomnieć sobie i wymienić wszystkich.

Tadeusz Katelbach otrzymał polecenie opracowania statutu ZNR i objęcia redakcji tygodnika *Przetom*. Pisał później:

„Miałem kłopot ze statutem, lecz ostatecznie pogodziłem demokratyczną konstrukcję Związku z mocną nomenklaturą stopni organizacyjnych. Zarząd nazwaliśmy Egzekutywą Naczelną, której podlegały zarządy prowincjonalne, nazwane również Egzekutywami. Na razie Egzekutywa Naczelna była trójosobowa. W jej skład weszli: Zdzisław Lechnicki, Wiktor Przedpełski oraz major Kazimierz Kierzkowski. Zaczęliśmy działać natychmiast w Warszawie i w całej Polsce, organizując wszędzie wielkie zgromadzenie polityczne. Przerazał nas od razu natłok kandydatów...<sup>34</sup>”.

O Zdzisławie Lechnickim (1890-1959), który przez objęcie prezesury ZNR stał się naczelną postacią ruchu „Naprawy”, miałem już okazję mówić kilkakrotnie. Był on wybitną postacią zarówno w czasie walki niepodległościowej jak i w życiu państwa, szanowaną również przez przeciwników politycznych dzięki niezwyklej prawości charakteru, spokojnej, rozważnej argumentacji bez unoszenia się i obrażania ludzi innego zdania, a nade wszystko wielkiej ofiarności w służbie publicznej. Należał do tych rolników-ziemian, którzy — nie on jeden — pozostawili na terenie Chełmszczyzny (skąd pochodził) i Lubelszczyzny dobre imię.

W szkole średniej w Lublinie Lechnicki należał do PETU

---

34. *Spowiedź pokolenia*, str. 138.

i OMN i w starszych klasach zajmował już odpowiedzialne stanowiska kierownicze. Z powodu kalectwa nogi nie mógł wstąpić w roku 1914 do Legionów, ale — prowadząc gospodarstwo rolne w Święcicy pod Chełmem — współpracował z POW i zasiliał Legiony Piłsudskiego pieniężnie i w naturze<sup>35</sup>.

W Polsce międzywojennej nazwisko Zdzisława Lechnickiego spotyka się we wszystkich najważniejszych pracach zetowców. W latach 1926-1939 reprezentował zetowców, oficjalnie lub poufnie, we wszystkich formacjach obozu piłsudczykowskiego, będąc m.in. wiceprezesem BBWR. Na wszystkich posterunkach starał się oddziaływać w myśl ideologicznych zasad zetowców. Duże uznanie zaskarbił sobie w roku 1930, gdy wraz z zetowcem śląskim, dr. Ignacym Nowakiem (i z prof. A. Krzyżanowskim) złożył mandat poselski na znak protestu przeciwko metodom stosowanym w Brześciu wobec uwięzionych posłów z Centrolewu. Ta manifestacja zamknęła mu ostatecznie drogę do jakiegokolwiek posterunku ministerialnego w rządach pomajowych, do czego nie kwapił się nigdy w swojej skromności bycia, ale do czego był niewątpliwie ze względu na swój charakter i wyrobienie polityczne predestynowany.

#### *ZNR i BBWR — Dogmatyzm i pragmatyzm*

W dniu 6 stycznia 1927 roku ogłoszono deklarację ideową Związku Naprawy. Była ona gruntownie przemyślana w środowisku zetowym. Odnosiło ono wrażenie, że po wstrząsie moralnym, jaki przeżył Marszałek nie ma czasu na zajmowanie się tym, co się dzieje w obozie jego zwolenników i że w tych sprawach pozostawia wolną rękę najbliższym współpracownikom: Sławkowi, Prystorowi, Beckowi, Pierackiemu, Świtalskiemu czy Januszowi Jędrzejewiczowi<sup>36</sup>. Deklaracja formułowała główną zasadę ideologii zetowców, że „podstawą siły państwa są świadome swych obowiązków i praw obywatelskich masy ludowe”. Dążąc do połączenia zasad demokracji parlamentarnej z postula-

---

35. *Polski Słownik Bibliograficzny*, artykuł Zofii Dłużewskiej-Kańskiej. W czasie drugiej wojny światowej Zdz. Lechnicki współpracował ze Związkiem Walki Zbrojnej, a następnie z miejscową placówką Armii Krajowej. W roku 1946 rozpoczął pracę we władzach „Państwowych Nieruchomości Ziemi” w Poznaniu. Oskarżony bezpodstawnie o sabotaż, skazany został w roku 1951 na karę 15 lat więzienia. Zwolniony i całkowicie zrehabilitowany w roku 1957 podjął zarobkową pracę w Poznaniu, gdzie zmarł 14 stycznia 1959 roku.

36. Tadeusz Katelbach, „ZET”, *Zeszyty Historyczne* nr 13/1968.

tem możliwie silnej władzy wykonawczej, domagano się w deklaracji wyboru prezydenta R.P. w głosowaniu powszechnym przez ogół obywateli, by tą drogą umocnić jego pozycję wobec parlamentu. Chciano odebrać Sejmowi prawo obalania rządów i zreformować Sejm i Senat. Na miejsce Senatu postulowano powstanie „przedstawicielstwa rzeczywistej pracy codziennej, złożonej z reprezentantów samorządu terytorialnego i gospodarczego oraz nauki, praktyki państwowej i działalności kulturalnej”. Deklaracja wypowiadała się za systemem gospodarki planowej, przeciw „kapitałowi żerującemu na społeczeństwie”. Głosiła postulat „ograniczenia swobody gospodarczej i ukrócenia sprzecznego z dobrem publicznym nadużywania prawa własności prywatnej”. Podkreślała rolę świata pracy, kładąc nacisk na przeprowadzenie reformy rolnej i rozwój rodzimego przemysłu<sup>37</sup>.

Andrzej Micewski w książce „W cieniu Marszałka Piłsudskiego” pisze na str. 272: „Związek Naprawy Rzeczypospolitej wystartował po przewrocie majowym z bardzo typowym programem piłsudczykowski, który nie za wiele różnił się od oficjalnej linii obozu. Domagał się więc wzmocnienia władzy prezydenta, zniesienia ingerencji parlamentu w rządzenie oraz szukania form organizacji życia społeczno-politycznego, nie opartego o interes grupowy i klasowy. Było to więc typowe dla piłsudczyków założenie antyparlamentarne i solidarystyczne społecznie. Pojawiły się jednak także — stwierdza Micewski — pewne różnice: 'Naprawa' domagała się większej jasności programu społecznego, który miał wynikać z przewrotu majowego”.

W tym sformułowaniu nie wszystko jest słuszne. Domaganie się przez piłsudczyków, również przez „Naprawę”, reformy parlamentaryzmu i zwyczajów pracy sejmowej niekoniecznie musi być utożsamiane z „założeniem antyparlamentarnym”. W każdym razie założenie to nie było „typowym” dla zetowców. Różnice jakie się pojawiły dotyczyły nie tylko programu społecznego. Jak w latach 1921-1922, w okresie działalności Straży Kresowej, podobnie po przewrocie majowym przejawiały się między zetowcami a Piłsudskim i jego najbliższym otoczeniem zbieżności i rozbieżności poglądowe natury zarówno ideologicznej jak również co do metod politycznego działania. Tym zbieżnościom i rozbieżnościom dała wyraz nie tylko deklaracja ideowa ZNR, ale i cała prasa zetowców z tygodnikiem *Przełom* na czele.

---

37. *Przełom* nr 2 z 6. 1. 1927; T. Katelbach, *op. cit.*; Nina Kozłowski, *Die politischen Gruppierungen innerhalb des Piłsudski Lagers 1926-1939*, Osteuropa-Institut, Monachium 1978, str. 111.

Zwalczając partyjność z etowcy wysunęli postulat oparcia organizacji państwowej nie na partiach politycznych, ale na szerszej bazie organizacji społeczno-gospodarczych. Poparli i przyznali się poważnie przez swe wpływy w terenie do rozbudowy zaraz po przewrocie majowym samorządu gospodarczego. W latach 1927-1928 powołano do życia Izby Przemysłowo-Handlowe, Rzemieślnicze i Rolnicze. Odegrali szczególną rolę przy utworzeniu Izb Rolniczych i połączeniu Centralnego Związku Kółek Rolniczych z Centralnym Towarzystwem Rolniczym wbrew partiom ludowym „Piasta”, Wyzwolenia i Stronnictwa Chłopskiego. Ale zetowcy szli dalej jeszcze. Ich sformułowany w deklaracji ideowej ZNR postulat oparcia siły państwa na „świadomych swych obowiązków i praw obywatelskich masach ludowych” szybko przybrał szaty całkowicie nowej koncepcji organizacji państwa. Chodzi o lansowaną na łamach *Przełomu* i w pokrewnym mu dwutygodniku *Solidarność Pracy* koncepcję ustrojową „państwa syndykalistycznego”, jako „nadbudowy związków zawodowych kierujących produkcją<sup>38</sup>”. O tej koncepcji będzie jeszcze później mowa w rozdziale o „Generalnej Federacji Pracy”. Była ona próbą zetowców wdarcia się na teren robotniczych i pracowniczych związków zawodowych, ich odpartyjnięcia i przekształcenia w awangardę ideologii polskiego syndykalizmu.

Te radykalne koncepcje nie spodobały się, rzecz jasna, elementom konserwatywnym, w których imieniu gwałtownie zwalczane były przez Stanisława Mackiewicza. Nie mogły się też podobać Piłsudskiemu, szukającemu w tym czasie ciągle jeszcze „zgody” z Sejmem, jak i jego najbliższemu otoczeniu, w ramach którego krystalizowały się całkowicie inne idee rządzenia państwem.

Piłsudski, pragmatyk, nie hołdujący doktrynie, chciał osiągnąć coś w rodzaju „solidaryzmu państwowego” przeciwstawianego zarówno programowi klasowych rewindykacji lewicy społecznej, jak i nacjonalizmowi prawicy<sup>39</sup>. Do jego systemu myślenia nie pasowała doktrynalna koncepcja „solidarności ludzi pracy” z jej syndykalistycznymi konsekwencjami ustrojowymi. W odróżnieniu od doktrynalno-ideowej postawy zetowców Piłsudski reprezentował postawę pragmatyczną w dążeniu do osiągnięcia mocy państwa. Stąd też Nieśwież i wciąganie do obozu konserwatystów, jako próba właśnie tego „solidaryzmu społeczno-państwowego” i ponadkla-

---

38. K. Zakrzewski, „Na marginesie dyskusji konstytucyjnej”, *Przełom* nr 15-16 i 17-18, 1929.

39. Porównaj A. Micewski, *W cieniu Marszałka Piłsudskiego*, str. 6.



sowego, w praktycznym wykonaniu zmierzająca do oderwania konserwatystów od endecji.

Trzeba przypomnieć, że deklaracja ideowa ZNR z dnia 6 stycznia 1927 ogłoszona została w trzy miesiące po objęciu przez Piłsudskiego osobiście steru rządu z udziałem dwóch konserwatystów i w dwa miesiące po spotkaniu w Nieświeżu.

Mniej więcej w tym samym czasie, w początkach 1927 roku, Piłsudski i jego otoczenie, po rozczarowaniu się co do możliwości współpracy z Sejmem w jego ówczesnym składzie partyjnym, zdecydowali się na stworzenie dla rządu mocniejszego zaplecza politycznego. Walery Sławek otrzymał polecenie powołania do życia takiego zaplecza. Oczywiście — kierując się wskazaniami Marszałka czy też wyczuwając jego intencje — Sławek nie poszedł drogą wyznaczaną przez Związek Naprawy Rzeczypospolitej. W wyniku długich rozmyślań i konsultacji postanowiono utworzyć nie nowe ugrupowanie polityczne oparte o skonkretyzowany program działania, ale **Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem**. Zamanifestowano w tej nazwie chęć oderwania się od systemu partyjnego — co łączyło wszystkich piłsudczyków — z jednej, oraz poparcia pozytywnej działalności rządu z drugiej strony, w cichym podkreśleniu, że tylko rząd w wytworzonych warunkach pracuje pozytywnie, a partie polityczne i zbudowany na nich Sejm tej pozytywnej pracy przeszkadzają.

Prace nad utworzeniem BBWR trwały dobre 9 miesięcy. Organizacja powołana została do życia w październiku 1927 roku, stawiając Związek Naprawy Rzeczypospolitej wobec trudnego dylematu: iść dalej własną drogą czy też przystąpić do BBWR.

Tadeusz Katelbach pisze w „Spowiedzi pokolenia” (str. 139), że różni ludzie z politycznego otoczenia Piłsudskiego, początkowo, w pierwszych dniach po zamachu tolerancyjni, życzliwi nawet w stosunku do Związku Naprawy, już po paru tygodniach zaczęli zmieniać ten swój życzliwy stosunek. „Obawiano się — pisze Katelbach — że ZNR rozrośnie się szybko do rozmiarów poważnej organizacji politycznej, która znalazłszy oparcie w różnorodnych instytucjach społecznych i zawodowych, sięgnie głęboko w naród i może stać się najrealniejszą siłą społeczną, popierającą Piłsudskiego. Tego właśnie obawiała się tworząca się grupa pułkowników, pragnąca wobec Piłsudskiego stworzyć rodzaj junty politycznej, rządzącej Polską bez zbytejnego oglądania się na nic i nikogo”... „Znajdowali się wprawdzie wśród nich wy-

bitnie utalentowani ludzie, jak Beck, Miedziński, Matuszewski, lecz wszystkich ich zaczął upajać smak władzy” (str. 141).

Zetowcy rozwiązali dylemat w ten sposób, że postanowiono wspólnie z pokrewnymi ugrupowaniami politycznymi przystąpić do BBWR, nie zaprzestając jednak kontynuowania wysiłków konsolidacyjnych dookoła własnej koncepcji ideologicznej.

Po rozwiązaniu Sejmu w listopadzie 1927 roku, w wyborach przeprowadzonych w marcu 1928 członkowie Związku Naprawy byli bardzo czynni. Nie można ich było pominąć na listach BBWR. Na 122 mandatów pozyskanych z tej listy weszło do Sejmu 30 „naprawiaczy”, wśród nich czołowi działacze ZETU na czele ze Zdzisławem Lechnickim.

Zetowcy nie czuli się dobrze w sztucznie skleconym BBWR, obejmującym dla celu współpracy z rządem o niezbyt sprecyzowanym programie politycznym szeroki wachlarz ugrupowań, od socjalistów poprzez ludowców i radykalnych inteligentów do konserwatystów. Poszukując konsolidacji na płaszczyźnie bardziej ideowo-politycznej, połączyli się (tzn. działacze ZNR) z pokrewną Partią Pracy. Partia ta powstała w kwietniu 1925 roku z rozłamem w Wyzwoleniu, zagarniając szereg poważnych osobistości ze świata inteligencji, z Kazimierzem Bartlem i Marianem Zyndram-Kościałkowskim na czele. Należało do niej również wielu czołowych polskich masonów<sup>40</sup>. Nowe ugrupowanie otrzymało nazwę Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast. Połączenie to nie trwało długo, przynosząc zetowcom nowe rozczarowanie. Różnice ideologiczne nie dały się zatrzeć. Już w grudniu 1929 roku doszło do rozstania. Byli działacze Partii Pracy, którzy podobnie jak zetowcy poparli bez zastrzeżeń przewrót majowy, powrócili do starej nazwy; zetowcy pozostali przy nowej oficjalnej nazwie Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast. Zadawnione kontrowersje między tajną organizacją ZETU i masonerią odegrały pewną rolę, wpływając na niemożność ścisłej współpracy poza BBWR.

Wchodząc do BBWR Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast szukać będzie stale sojuszników dla realizacji koncepcji syndykalistycznych. Zetowcy nadal wydawać będą *Przetom* jako swój organ niezależny od BBWR. Nigdy też nie doszło do oficjalnej rozmowy przedstawicieli ZETU z Piłsudskim na temat współpracy politycznej. Gdy w maju 1930 roku Sławek ze Świtalskim wezwali Kazimierza Wyszyńskiego z Berlina do Warszawy, proponując mu wejście z „jego grupą” do Sejmu i Senatu, Wyszyński

---

40. L. Chajm, *Wolnomularstwo w II-iej Rzeczypospolitej*.

odrzucał ofertę, wskazując innych zetowców do rozmów. Uważał, że zasady współpracy politycznej mógł ustalać tylko z Piłsudskim<sup>41</sup>.

### *Przełom i jego problematyka*

*Przełom* był pismem zetowców, całkowicie niezależnym od BBWR i administracji państwowej, wydawanym przy bezinteresownej współpracy szczupłego grona autorów.

O „Problematyce *Przełomu* w latach 1926-1935” ukazało się bardzo dobre, rzeczowe opracowanie Marii Wierzbickiej w „Roczniku Historii Czasopiśmiennictwa”, tom III, Zeszyt 1, Wrocław 1963, strony 251-284. Kto pisywał do *Przełomu*, jakich spotyka się tu autorów? W większości byli to członkowie ZNR, zwłaszcza członkowie Egzekutywy Naczelnej ZNR z różnych lat. Do autorów piszących najczęściej należeli: B. Srocki, J. Szurig, S. Paprocki (pseud. K. Jeziorański), A. Stebelski, W. Szurig, S. A. Groniowski, S. Szwedowski (pseud. Władysław Leszczyć), T. Katelbach, K. Zakrzewski (pseud. Nostromo, ...krzewski), T. Wałek-Czarnecki, wreszcie J. Siemieński. Wszyscy oni, jak to stwierdza autorka<sup>42</sup> i co potwierdzić może piszący te słowa, który wszystkich tych autorów znał osobiście i z nimi współpracował, byli wychowankami OMN i członkami ZETU. Byli też ówczynie aktywnymi członkami Związku Patriotycznego (ZP). Wypowiedzi ich były wypowiedziami nie tylko „naprawiaczy” ale — i przede wszystkim — właśnie organizacji zetowców, którzy też *Przełom* wydawali i finansowali.

Wszyscy ci autorzy byli ludźmi zaprawionymi już w pracy społecznej i politycznej. Nie reprezentując — jak całe środowisko zetowe — doktryny światopoglądowej marksizmu czy nacjonalizmu, nie będąc jednostronnie związanymi z jakąś klasą społeczną, stawiali sobie ambitne zadanie wypracowania ideologii tworzącego się obozu Marszałka. Maria Wierzbicka słusznie ocenia *Przełom* jako pismo „o nastawieniu teoretycznym”. Pierwszy rok istnienia pisma, którego redakcję przejął wkrótce po Tadeuszu Katelbachu Jerzy Szurig, był okresem krystalizowania się poglądów. Najbardziej palące były wówczas zagadnienia ustrojowe. Nie bardzo mogę się zgodzić z twierdzeniem Wierzbickiej, że „chodziło o stworzenie podstaw prawnych

41. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, str. 150.

42. Str. 254 *Rocznika*.

dla rządów w gruncie rzeczy dyktatorskich” (str. 258). Zetowcy nigdy nie reprezentowali idei rządów dyktatorskich, jak zresztą nie dążył do nich również Józef Piłsudski.

W zakresie zagadnień ustrójowych przy Egzekutywie ZNR powstała Komisja Konstytucyjna z jednym z najstarszych zetowców, Stanisławem Bukowieckim (1867-1944). Bukowiecki ukończył wydział prawny w Warszawie i doktoryzował się w Heidelbergu. 20 listopada 1886 roku był współzałożycielem ZETU i członkiem Koła Braterskiego w Warszawie. Po powrocie do kraju aplikował w Warszawie i w 1897 roku został adwokatem. W tym czasie został przyjęty do Ligi Narodowej. W szerokim zakresie oddawał się pracy politycznej i społecznej mimo coraz bardziej postępującej choroby oczu, zakończonej z biegiem czasu zupełną ślepotą. Gdy Liga Narodowa przeszła na pozycje ugodowe, wystąpił. Podczas pierwszej wojny należał do obozu niepodległościowego i prolegionowego, ale nie zdołał się uchronić od powściągliwej zresztą bardzo „aktywizacji”. 15 stycznia 1917 został dyrektorem Departamentu Sprawiedliwości Tymczasowej Rady Stanu, a następnie — w gabinecie swego przyjaciela Jana Kucharzewskiego — ministrem sprawiedliwości, później również w okresie Rady Regencyjnej, od jesieni 1917 roku. Na tych stanowiskach zorganizował sądownictwo polskie. Po wojnie od 1919 roku objął prezesurę Prokuraturii Generalnej, którą piastował bez przerwy do września 1939. Był też wiceprezydentem Komisji Kodyfikacyjnej.

Stanisław Bukowiecki w ciągu paru lat po pierwszej wojnie światowej nie współpracował politycznie z zetowcami. Do pierwszego Sejmu Ustawodawczego kandydował z listy „Zjednoczenia Stronnictw Demokratycznych”, w wyborach 1922 roku z listy „Unii Narodowo-Państwowej”, nie uzyskawszy mandatu, gdyż stronnictwo to nie miało oparcia w masach wyborczych. Przystąpił jednak do założonego w roku 1926 Związku Seniorów OMN, w którym był członkiem i przez kilka lat prezesem Zarządu Głównego, nawiązując — jak mówił w rozmowie z piszącym te słowa — do „miłych mu tradycji ruchu zetowego”. Po przewrocie majowym określił się jako zwolennik Związku Naprawy Rzeczypospolitej i zgodził się objąć przewodnictwo Komisji Konstytucyjnej. W roku 1930 Bukowiecki był współzałożycielem Komitetu Uczczenia 25-lecia Walki o Szkołę Polską. W roku 1936 uczestniczył w Zjeździe 50-lecia ZETU i wygłosił referat o jego początkach.

W czasie drugiej wojny Bukowiecki, w wieku 74 lat i całkowicie ślepy, niepokoiony był przez Gestapo, aresztowany w

roku 1941, lecz następnie zwolniony. Po kapitulacji Francji usiłował pozbawić się życia, został jednak odratowany. Zmarł w Warszawie 20 lutego 1944 roku.

Stanisław Bukowiecki był głównym autorem projektu konstytucyjnego Związku Naprawy Rzeczypospolitej, jako projektu pozasejmowego. Różnił się on od późniejszego projektu BBWR jak i opracowania lewicy sejmowej. Różnice istniały przede wszystkim w dwóch kwestiach: wyboru prezydenta i ordynacji wyborczej. Po przeniesieniu pracy nad rewizją konstytucji na teren sejmowy i BBWR, przedstawiciele ZNR (Zdzisław Lechnicki) bronili swego projektu, nie zdołali jednak przeprowadzić postulatów wyboru prezydenta przez ogół obywateli w głosowaniu powszechnym.

W roku 1928 w ramach biblioteki *Przełomu* ukazała się broszura S. Bukowieckiego pt. „Przed rewizją Konstytucji”, której motywem przewodnim było zrewidowanie konstytucji w kierunku stworzenia silnej, niezawisłej władzy naczelnika państwa. Szczegółowe omówienie tej broszury wykraczałoby poza ramy tego szkicu. Maria Wierzbicka słusznie podkreśla, że projekt Bukowieckiego był w swoich zasadniczych sformułowaniach reprezentacyjny dla ZNR. Jednakże w dyskusji na łamach *Przełomu* w latach 1927-1928 przejawiały się punkty sporne (*op. cit.*, str. 259).

*Przełom* nie ograniczał się tylko do sformułowania praktycznych wniosków szybkiej zmiany ustawy konstytucyjnej, ale otworzył swe łamy dla dyskusji nad zmianami ustrojowymi w szerszym aspekcie, mającymi być niejako „muzyką przyszłości”. Obok domagania się rozszerzenia samorządu terytorialnego i zawodowego, zarysowywano wizję przyszłego „syndykalistycznego państwa polskiego”, mającego powstać w ewolucyjnej drodze przemian społecznych.

Stosunkowo dużo miejsca poświęcał też *Przełom* zagadnieniom programu gospodarczego, nie tyle od strony praktycznej polityki ekonomicznej, ile ideologicznych podstaw ekonomiki narodowej. Już w deklaracji ZNR ze stycznia 1927 roku zapowiedziano walkę „z kapitałem rabunkowym i lichwiarskim” i wysunięto postulat gospodarki planowej i ingerencji państwa w produkcję. Maria Wierzbicka uważa za niekonsekwencję, że omawiając te sprawy na łamach *Przełomu* nie postulowano „rzeczy najważniejszej — nacjonalizacji przemysłu”. Píše, że „wszystkie zresztą teorie i systemy gospodarcze spotkane w *Przełomie* zawierają tę samą niekonsekwencję<sup>43</sup>”. Zarzut ten uchodzić może za słuszny tylko

43. *Op. cit.*, str. 267.

w oczach marksistów, uważających formy produkcji upaństwowionej, kapitalizm państwowy i totalne planowanie za jedyną alternatywę gospodarki kapitalistycznej. Zetowcy nie byli marksistami i dalecy byli od kapitalizmu państwowego i totalitarnego planowania. Wypowiadając się przeciwko „kapitałowi rabunkowemu i lichwiarskiemu”, mieli przede wszystkim na myśli kapitał zagraniczny. W tej dziedzinie byli niewątpliwie zwolennikami unarodowienia lub — jeśli nie można było problemu inaczej rozwiązać — upaństwowienia. Dali temu m.in. wyraz przez akcję polszczenia przemysłu na Górnym Śląsku. Zasadniczo jednak stali na stanowisku społecznienia, a nie upaństwowienia gospodarki. Popierano wszelkiego rodzaju formy spółdzielczości. To była alternatywa przejęta z myśli syndykalnej przez najmłodsze pokolenie zetowców w okresie bezpośrednio przedwojennym, którzy w ramach ZPMD i „Siewu” z niebywałą energią podjęli akcję organizowania „spółdzielni pracy”. W roku 1933 założono przedsiębiorstwo przemysłowe pod nazwą „Grupa Techniczna”, a w trzy lata później „Bank Techniczny”, instytucję kredytową dla rozwijającej się spółdzielczości pracy.

Nie będąc etatystami w ścisłym znaczeniu tego pojęcia, zetowcy byli jak najbardziej zwolennikami interwencjonizmu państwowego i dawali temu wyraz na łamach *Przełomu*. Mieli zastrzeżenia co do deflacyjnej polityki rządów lat 1930-1935 i poparli politykę interwencjonistyczną Eugeniusza Kwiatkowskiego, gdy w roku 1936 wszedł do rządu. W etatyzmie widziano co najwyżej narzędzie, za pomocą którego państwo może opanować kapitalizm i kierować nim<sup>44</sup>. Interwencjonizm miał być systemem zapewniającym w dużym stopniu sprawiedliwość społeczną, a opanowanie gospodarki, a potem przekształcenie państwa w ustrój syndykalistyczny było zasadniczą wytyczną programu ZNR. Stwierdza to Maria Wierzbicka w innym miejscu wnikliwej analizy odnośnych artykułów *Przełomu*.

W zakresie bieżącej polityki gospodarczej podnoszono w piśmie konieczność rozwoju rynku wewnętrznego dla zaradzenia niedostatecznemu spożyciu (a nie nadmiernej produkcji), wprowadzenie elementów gospodarki planowej (ale nie planowania totalnego), przymusową obniżkę cen, uruchomienie robót publicznych, walkę z bezrobociem itp. Bardziej zwartym i realniej opra-

---

44. J. Nowak (późniejszy Dyrektor Biura Ekonomicznego w Prezydium Rady Ministrów i wiceprezes Banku Polskiego), „Kierunek rozwoju polityki ekonomicznej państwa”, *Przełom* nr 43/45, 1928, według M. Wierzbickiej.

cowanym był program ZNR w sprawie rolnictwa. Wobec ciągle wzrastającego przeludnienia wsi postulowano u p r z e m y s ł o w i e n i e w s i i rozwój przemysłu w miastach, co miało rozładować bezrobocie i uczynić reformę rolną środkiem wystarczającym do przebudowy agrarnej wsi<sup>45</sup>. Trzeba dodać, że postulaty te formułowano w *Przetomie* w latach kryzysu, zanim jeszcze E. Kwiatkowski podjął rewizjonizm polityki gospodarczej, uwzględniający wiele z tych wskazań.

Ważnym punktem programu ZNR-u, któremu w *Przetomie* poświęcono wiele miejsca, była kwestia m n i e j s z o ś c i n a r o d o w y c h, przede wszystkim zaś — mniejszości ukraińskiej i białoruskiej. W tej dziedzinie zetowcy rozporządzali wybitnymi specjalistami, na czele ze Stanisławem Paprockim. Już na początku 1927 roku zetowcy opowiedzieli się w deklaracji programowej ZNR za wprowadzeniem na ziemiach wschodnich samorządu terytorialnego oraz za przyznaniem ukraińskiej i białoruskiej mniejszości narodowej praw do własnego szkolnictwa. W sprawie samorządu terytorialnego uchwalono już w 1922 roku ustawę, przychylającą się do żądań mniejszości; nigdy jednakże nie weszła ona w życie. ZNR wypowiadał się niejednokrotnie za wprowadzeniem w życie tej ustawy. Równocześnie wysunięto w *Przetomie* w artykułach K. Jeziorańskiego (pseudonim Stanisława Paprockiego) postulat dopuszczenia przedstawicieli mniejszości do urzędów i stworzenia administracji mieszanej. Natomiast ZNR przeciwny był przyznaniu mniejszości ukraińskiej autonomii terytorialnej, uważając, że doprowadziłoby to do rozbicia jedności wewnętrznej państwa... Podnoszono też fakt oddziaływania wpływu „Ukrainy Sowieckiej” na ludność terenów wschodnich. Jako środki zapobiegawcze zalecano — obok samorządu — również przeprowadzenie reformy rolnej, stworzenie uniwersytetu ukraińskiego i w ogóle uregulowanie sprawy ukraińskiego szkolnictwa<sup>46</sup>.

Natomiast mniejszości niemieckiej poświęcano w *Przetomie* znacznie mniej uwagi. W sprawie tej wypowiadały się przede wszystkim poznańskie i śląskie pisma zetowców, *Strażnica Zachodnia*, *Przeгляд Zachodni* i *Polska Zachodnia*. Również w tej sprawie zetowcy mieli wielu poważnych specjalistów w silnych grupach Związku Patriotycznego w Poznaniu i w Katowicach oraz w Związku Obrony Kresów Zachodnich (patrz odnośny roz-

45. M. Wierzbicka, *op. cit.*, str. 267-268.

46. *Ibid.*, str. 269-270. Szerzej i gruntowniej omawia tę problematykę T. Piotrkiewicz w cytowanej już w rozdziale o Straży Kresowej pracy w *Kwartalniku Historycznym*, t. LXX, zeszyt 2/1979.

dział o ZOKZ). Maria Wierzbicka stwierdza krótko, że „ogólne wytyczne w sprawie niemieckiej szły w dwóch kierunkach: ograniczenia 'żywności' niemieckiego metodami administracyjnymi oraz popierania i uprzywilejowywania ludności polskiej” (str. 270). Ta ocena na ogół zgodna jest z postulatami i pracami zetowców. W praktyce „ograniczanie żywności niemieckiego” na ziemiach polskich metodami administracyjnymi było w Polsce o wiele łagodniejsze od „ograniczania” żywności polskiego na ziemiach Rzeszy Niemieckiej.

Również kwestia żydowska znalazła odbicie w *Przetomie*. Na łamach pisma członkowie ZNR występowali niejednokrotnie przeciwko ekscesom antyżydowskim (str. 271).

W dziedzinie polskiej polityki zagranicznej ZNR akceptował w *Przetomie* w zasadzie politykę rządu. Podnoszono konieczność sojuszu z Francją i Anglią, a przede wszystkim z Małą Ententą i krajami bałtyckimi. Reprezentowano wspólną zetowcom i piśsudczykom ideę misji dziejowej Polski jako strażniczki wolności narodów od Bałtyku po Morze Czarne. Ugruntowanie przyszłości kraju, jego bytu i potęgi, widziano w wypełnieniu tej misji Polski jako czynnika równowagi na wschodzie Europy. Stale jednak — mocniej niż w oficjalnych kołach piśsudczykowskich — obserwowano uważnie odradzanie się rewizjonizmu niemieckiego. Nieufność do Niemiec rosła po dojściu do władzy Hitlera w początkach 1933 roku. Nie postawiono jednak nigdy postulatu sojuszu z ZSSR, widząc w Związku Sowieckim spadkobiercę imperializmu carskiej Rosji. Maria Wierzbicka konkluduje odnośną analizę artykułów i informacji zawartych w *Przetomie* stwierdzeniem, iż „w kwestii polityki zagranicznej ZNR wyróżniał się z obozu rządowego jedynie bardziej antyniemieckim nastawieniem i większą może ostrożnością sformułowań” (str. 273). Z oceną tą mogą się zgodzić.

Kwestią, której ZNR poświęcił (zwłaszcza w początkowym okresie) wiele uwagi, było zagadnienie oświaty. Żądania jakie wysuwano w *Przetomie* — pisze Wierzbicka — były umiarkowane. Niemniej już od 1927 roku domagano się gruntownej reformy szkolnej. Proponowano m.in. położenie głównego nacisku na szkolnictwo zawodowe oraz rozwinięcie i usprawnienie oświaty pozaszkolnej, co niewątpliwie wiązało się też z syndykalistycznymi koncepcjami ZNR.

„Zdecydowane... było i jasno uwidocznione w piśmie antyklerykalne nastawienie ZNR-u; z tego też punktu widzenia domagano się uznania religii w szkołach za przedmiot nieobowiązkowy (VI Kongres ZPMD, *Przetom*, 1932, nr 7). Równocześnie



nie postulowano rozwiązania konkordatu i oddzielenie Kościoła od państwa... Prócz tego ZNR wypowiadał się za wprowadzeniem w nowym kodeksie małżeńskim ustawy o ślubach cywilnych i rozwodach (co było postulatem całej demokratycznej i lewicowej części społeczeństwa), uważając to za krok niezbędny w procesie przekształcania społeczeństwa polskiego” (str. 274).

Redakcja ustosunkowywała się oczywiście do wszystkich ówczesnych wydarzeń w kraju (jak np. proces Hromady, sprawa ministra Skarbu Czechowicza, wybory 1928 i 1930 roku, powstanie Centrolewu). Według Marii Wierzbickiej oceny tych wydarzeń nie odbiegały od tonu oficjalnej prasy rządowej. „Dopiero w 1930 roku pojawiły się różnice. Zaczęło się od krytyki metod, stosowanych przez BBWR w walce wyborczej (*Przełom* nr 38, 42, 43, 1930). W artykułach wstępnych zaczęły pojawiać się krytyczne uwagi na temat BBWR, jego uwstecznienia i niejednorodności społecznej (K. Kierzkowski, „Dyktatura czy współdziałanie”, nr 19, 1930). W czerwcu 1930 roku opublikowano cykl artykułów J. Szuriga, zatytułowany „Kryzys ideowy obozu prorządowego” (nr 21, 22), w którym obok uwag dotyczących braków w programie ideologicznym obozu sanacyjnego pojawiły się elementy krytyki nadużyć wyborczych w 1928 roku, karierowiczowstwa w BBWR itp. W tym samym okresie — pisze Wierzbicka — redakcja *Przełomu* po raz pierwszy przyznała, że ZNR odgrywa rolę wewnętrznej opozycji wśród stronnictw prorządowych. Była to oczywiście opozycja bardzo łagodna, krytyka z pozycji nadal prorządowych, niemniej symptomatyczna... Można jednakże uznać ją za pierwszy wyraźny objaw fermentu w obozie sanacyjnym, w wyniku którego w latach późniejszych miała wyłonić się tzw. „lewica sanacyjna”.

„Dużym wstrząsem dla członków ZNR i redakcji *Przełomu* była sprawa brzeska. O ile sam fakt aresztowania posłów opozycyjnych przyjęto bez zastrzeżeń, o tyle metody stosowane wobec więźniów przy śledztwie i w więzieniu wywołały protest. Redakcja zareagowała artykułem J. Szuriga „Tłusta plama”, potępiającym metody brzeskie i domagającym się ukarania winnych. *Przełom* przedrukował też listy protestacyjne profesorów wyższych uczelni. Postawa *Przełomu* w sprawie brzeskiej wywołała przychylną ocenę *Gazety Warszawskiej*... (op. cit., str. 283).

*Generalna Federacja Pracy — Polski ruch syndykalistyczny*

W roku 1979 ukazała się nakładem wydawnictwa „Książka

i Wiedza” w Warszawie 450-stronicowa praca Seweryna Ajznera pod tytułem „Związek Związków Zawodowych 1931-1939”. Książka ta jest źródłem wiedzy nie tylko o dziejach tej organizacji robotniczej, nazywanej potocznie „trzema zetami”, ale też o genezie i dziejach polskiego ruchu syndykalistycznego, wywodzącego się ze Związku Naprawy Rzeczypospolitej, a w rzeczywistości — o czym Ajzner nie mógł być dokładnie poinformowany — z organizacji zetowców. Jest ona znakomitym uzupełnieniem pracy Marii Wierzbickiej o „Problematyce *Przełomu*”, tym bardziej cennym, że napisana jest na ogół obiektywnie, na podstawie rzetelnego zbadania dokumentów historycznych.

Seweryn Ajzner stwierdza, że „w latach 1926-1930 organ ZNR *Przełom* publikował wiele artykułów i rozpraw na temat perspektyw i zadań polskiego syndykalizmu. O zagadnieniach tych najczęściej pisali J. Szurig, Kazimierz Zakrzewski, Witold Wyszyński i Janusz Rakowski” (str. 22).

Przynaję, że byłem uczestnikiem i częściowo współtwórcą tego ruchu i uchodzić mogę za „świadka koronnego”, który jednak, jak większość zetowców, wycofał się z niego po paru latach „życia w świecie idei i traktowania niemożliwego, jak gdyby było ono możliwe” (Goethe). Ajzner daje mi dość pochlebną laurkę, pisząc: „Jako teoretyk obiecująco zapowiadał się J. Rakowski, pierwszy redaktor *Syndykalisty*, który jednakże po kilkuletniej działalności w GFP i późniejszej, już raczej formalnej przynależności do ZZZ, przeszedł do służby państwowej i stał się jednym z najbliższych współpracowników wicepremiera Kwiatkowskiego” (str. 330). GFP — to skrót organizacji pod nazwą „Generalna Federacja Pracy”, której współorganizatorem i działaczem byłem na Górnym Śląsku u boku Michała Grażyńskiego, gdzie też założyłem i redagowałem *Syndykalistę*.

Głównym teoretykiem i organizatorem ruchu syndykalistycznego byłem oczywiście nie ja, wówczas ledwie świeżo upieczony absolwent wydziału prawa i ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego, ale byli nimi starsi ode mnie zetowcy Jerzy Szurig i Kazimierz Zakrzewski. Jak doszli oni do syndykalizmu? Skąd w ogóle zetowcy zainteresowali się tym ruchem i próbowali uczynić z niego ideologię tworzącego się po przewrocie majowym obozu Marszałka Piłsudskiego? Jaka była ta ideologia i praktyka działania, która w rezultacie doprowadziła do rozłamu w ZECIE i przejścia syndykalistycznej grupy zetowej na pozycję ostrej opozycji do ukształtowanego po śmierci Marszałka systemu politycznego? Zacznijmy od krótkiej biografii głównych *personae dramatis*.

Jerzy Szurig (1894-1941), syn przemysłowca z Warszawy, po uzyskaniu matury w gimnazjum Pawła Chrzanowskiego w roku 1912 znalazł się na studiach prawniczych w paryskiej Sorbonie. Tam należał do Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej „Filarecja”, uchodzącego za organizację socjalistyczną. Przypadkowy kontakt osobisty z Piłsudskim w Paryżu wywarł na niego nieodparty wpływ emocjonalny, decydujący o jego przyszłej działalności. W Paryżu też zetknął się z ruchem robotniczym w związkach zawodowych, pozostających wówczas pod wpływem myśli Jerzego Sorela. Studia ukończył Szurig pod koniec pierwszej wojny światowej, po zwolnieniu go z Legionu Bajonczyków. Był porażony gazem w okopie, co odbijało się na jego zdrowiu przez całe dalsze życie.

Po powrocie do kraju, przez swego o dwa lata młodszego brata Wacława (ur. 1896) zbliżył się Jerzy Szurig, podobnie jak wielu innych „Filaretów”, do środowiska zetowego. Pracował w Straży Kresowej, będąc współredaktorem miesięcznika wydawanego w języku francuskim pt. *L'Est Polonais*, później *L'Est Européen*. W 1925 roku został przyjęty do Związku Patriotycznego. Nadszedł rok 1926 i przewrót majowy. Jerzy Szurig odniósł się entuzjastycznie do przełomu. Należał do ludzi, którzy nie tylko wierzyli, ale zdecydowanie pragnęli wierzyć w dalszą możliwość połączenia wierności Komendantowi z wiernością klasie robotniczej<sup>47</sup>.

Przystępując z zetowcami do organizowania Związku Naprawy Rzeczypospolitej, Jerzy Szurig z punktu wysunął na plan pierwszy ideologiczną koncepcję Polski syndykalistycznej. Pierwszą próbę sformułowania syndykalistycznego programu podjął Szurig — jak pisze Ajzner — już w 1921 roku (str. 343). Uchwalenie konstytucji marcowej, a więc porażka Piłsudskiego, do której przyczyniło się działanie mechanizmów demokracji parlamentarnej, stała się dla niego bodźcem do surowej krytyki ustawy zasadniczej, w której to krytyce propozycje ustrojowo-polityczne zostały bezpośrednio powiązane z kwestią socjalną. W okolicznościowym artykule opublikowanym w *L'Est Polonais*<sup>48</sup> Szurig ubolewał, że konstytucja przeprowadza zasadę przewagi władzy ustawodawczej nad wykonawczą, co nie odpowiada wymogom nowoczesnego państwa i stanowi zapożyczenie od kons-

---

47. Dane biograficzne według Stefana Szwedowskiego. Porównaj również Seweryn Ajzner, *op. cit.*, str. 329.

48. „La constitution polonaise (son esprit, ses solutions positives)”, *L'Est Polonais* z 5. 5. 1921.

tytucji francuskiej, nie uwzględniające specyficznych warunków polskich. Wychodząc z założenia, że „państwo polityczne” zbankrutowało, a wraz z nim liberalna zasada *laissez faire, laissez passer*, autor wypowiadał się za państwem nowego typu, które by w centrum swych zainteresowań postawiło problemy produkcji, własności i pracy. Ustrój przyszłości — wywodził — powinien opierać się na „współpracy władz publicznych i zgromadzeń, do których wchodziłoby wybierani przedstawiciele ugrupowań zawodowych: rolniczych, przemysłowych, handlowych oraz robotniczych związków zawodowych”...

Tak naszkicowany program (Ajzner słusznie uznaje go za pierwszą próbę sformułowania programu syndykalistycznego) Jerzy Szurig począł przy pomocy zetowców rozwijać i precyzować po przełomie majowym w ramach Związku Naprawy Rzeczypospolitej. Po wyjeździe Tadeusza Katelbacha na placówkę do Berlina objął po nim redakcję *Przełomu*. W artykule „Kryzys demokracji politycznej”, w dwa miesiące po przewrocie, w nr. 7 z dnia 25. 7. 1926 domagał się „przejścia od etapu walki o władzę polityczną do etapu walki o władzę gospodarczą”, ponieważ „hasło 'wszystko dla produkcji, wszystko przez produkcję' jest... imperatywnym nakazem dla wszystkich państw i narodów<sup>49</sup>”: W następnym numerze dwutygodnika z dnia 8. 8. 1926, analizując wady „państwa politycznego” pisał, że system liberalny powodował często niebezpieczne konflikty społeczne przez „upośledzenie czynnika zorganizowanej pracy i czynnika gospodarczego w wywieraniu wpływu na bieg spraw państwowych<sup>50</sup>”. Gdy powstało Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast postulował w *Przełomie* nr 1 z dnia 15. 1. 1927 w artykule „O nową formę życia”: „Duch syndykalistyczny powinien w całości przeniknąć program i działalność Zjednoczenia”.

Jerzy Szurig był nie tylko teoretykiem, ale i praktykiem, organizatorem i działaczem ideologii syndykalistycznej. Dzięki jego staraniom w pierwszej połowie 1927 roku Rada Naczelna ZNR powołała do życia Wydział Robotniczy; założył on na terenie Warszawy kilka kół ZNR, z których rozwinęła się nowa centrala związkowa o nazwie „Generalna Federacja Pracy”. Gdy GFP w roku 1931 połączyła się z innymi związkami zawodowymi pod szyldem ZZZ, Szurig objął w tej centrali funkcję sekretarza generalnego i redaktora naczelnego wydawnictw ZZZ. Uparcie przepowiadał syndykalizm na ten teren i zdołał nawet zapłodnić

49. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 352.

50. *Ibid.*, str. 336.

tą ideologią prezesa ZZZ, Jędrzeja Moraczewskiego, starego zwolennika socjalizmu.

Jerzy Szurig pozostał wierny swym ideałom do końca życia. Po katastrofie wrześniowej znalazł się jako jeden z organizatorów w Związku Syndykalistów Polskich. Wychowany na wzorach kultury zachodniej, z trudnością naginał się w swej gorliwej pracy do rygoru konspiracyjnego. Przypadkowo został aresztowany w getcie w roku 1941, kiedy getto nie było jeszcze całkowicie izolowane od reszty miasta. Osadzony na Pawiaku, został bardzo szybko rozpoznany i po nieudanej próbie samobójstwa rozstrzelany na Palmirach w kwietniu 1941 roku<sup>51</sup>.

Kazimierz Zakrzewski (1900-1941), o sześć lat młodszy od Szuriga i niespełna dwa lata starszy od piszącego te słowa, był drugim głównym ideologiem polskiego syndykalizmu. Pochodził z rodziny profesorskiej i od wczesnej młodości — podobnie jak Jerzy Szurig — pozostawał pod wpływem doktryny J. Sorrela i poglądów filozoficznych Stanisława Brzozowskiego. W latach 1918-1923 odbył studia uniwersyteckie w Krakowie i Lwowie, gdzie uzyskał stopień doktora. Był stale związany z PETEM i ZETEM. W dwa lata później wyjechał do Francji w charakterze stypendysty, a po powrocie do kraju i habilitacji w 1927 roku wykładał na uniwersytetach w Poznaniu i Warszawie historię dziejów starożytnych i Bizancjum.

W początkach swej działalności publicznej Zakrzewski był orędownikiem federacyjnych koncepcji Piłsudskiego<sup>52</sup>. Pisywał do wszystkich organów prasowych zetowców, jak *Sprawy Polskie*, *Przełom*, *Solidarność Pracy*, *Naród i Państwo* i do wielu innych. W jego olbrzymim dorobku publicystycznym, obejmującym wieleset tytułów, przeważały pozycje na tematy społeczno-ustrojowe. Z Zakrzewskim spotykałem się rzadziej niż z Szurigiem, z którym w latach 1926-1928 miałem niemal codzienny kontakt w lokalu Straży Kresowej w Warszawie przy ul. Nowy Świat 21, gdzie mieściła się redakcja *Przełomu* i *Solidarności Pracy*. Zgadzam się z oceną Ajznera, że Kazimierz Zakrzewski „uosabiał klasyczny typ intelektualisty-społecznika, starającego się wpłynąć na rzeczywistość głównie piórem”, gdy Jerzy Szurig był jednocześnie działaczem praktycznym, i to z przewagą tej

51. Informacja biograficzna według Stefana Szwedowskiego. Według *Listy strat kultury polskiej* (1. 9. 39 - 1. 3. 46), zestawionej przez Bolesława Olszewicza, Warszawa 1947, Jerzy Szurig rozstrzelany został na Palmirach 12. 6. 1941 r.

52. Broszura *Zasady Federacji w polskiej polityce kresowej*, Kraków 1920.

ostatniej cechy<sup>53</sup>. Nieodłączny towarzysz Szuriga, zginął również rozstrzelany na Palmirach 11. 3. 1941 roku. Zwłoki ich rozpoznano w roku 1946 i pochowano niedaleko od siebie.

Zakrzewski w latach 1926-1932 jest niesłychanie płodny w propagowaniu syndykalizmu. Na łamach *Przetomu* ukazują się niemal seryjnie jego podstawowe artykuły. Oto niektóre tytuły: „Klasa robotnicza i zagadnienie produkcji” (nr 19 z 24. 10. 1926); „Naród wytwórców” (nr 22 z 14. 11. 1926), w którym wyraził przekonanie, że z chwilą narodzin takiego narodu „zginą różnice klasowe”, gdyż „naród wytwórców sam stanowi klasę”...; „Syndykalizm a organizacja polityczna” (nr 37-38 z 7. 10. 1928) etc. W „Projekcie manifestu syndykalistów polskich” (*Przetom* nr 18 z dn. 29. 4. 1928) Zakrzewski wypowiadał się przeciwko „przymusowemu łączeniu klas w korporacjach”, gdyż to prowadzi do „ujarzmienia ruchu zawodowego i odebrania masom pracującym prawa swobodnego tworzenia własnej reprezentacji”. Krytykując rozwiązania faszystowskie w artykule „Solidaryzm — elitaryzm”, uważał „przymusowe małżeństwo między kapitałem a pracą za najgorsze i nietrwałe rozwiązanie kwestii społecznej” (nr 15 z 8. 4. 1928)...

Podaję te kilka tytułów artykułów Zakrzewskiego dla scharakteryzowania jego zainteresowań. Nietrudno w tych tytułach dostrzec wpływ J. Sorela i Stanisława Brzozowskiego. O tym ostatnim Zakrzewski pisze i wydaje we Lwowie w roku 1929 broszurę „Filozofia narodu, który walczy i pracuje — nacjonalizm Stanisława Brzozowskiego”.

Mój wkład do tej teoretycznej dyskusji był nieporównanie skromniejszy. Oryginalnych dzieł Sorela nie znałem. Dołączając do moich starszych mentorów mogłem opierać się tylko na Brzozowskim i jego „Legendzie Młodej Polski”.

Seweryn Ajzner przypomniał mi niektóre z tych artykułów-przyczynków, pisanych z młodzieńczym entuzjazmem do nowego ustroju jaki chcieliśmy stworzyć. Interesowałem się wówczas faszyzmem włoskim i anektowaniem sobie przezeń idei sorelowskich. W artykule „Podstawy faszystowskiego ustroju socjalnego i gospodarczego”, drukowanym w *Przetomie* nr 23 z 31. 8. 1927 roku, pisałem, że „faszyzm odrestaurował kapitalizm i stworzył ustrój gwarantujący przemysłowcom nietykalność ich prawa własności środków produkcji”. Wprawdzie we Włoszech ustanowiona została kontrola państwa nad produkcją, ale kapitalistom po-

---

53. *Ibid.*, str. 350.

zostawiono kierownictwo wytwórczością przez zniesienie wolności zrzeszeń zawodowych i surowy zakaz strajków. Nie podzielając koncepcji faszystowskiej jako postulowanego przez nas ustroju, w artykule „Zagadnienie uzdrowienia ruchu robotniczego (*Przełom* nr 33 z 26. 11. 1927) zalecałem „obmyślenie ustroju syndykalnej organizacji społeczeństwa i jej stosunku do administracji państwowej, jak również opracowanie metod prowadzących do tego celu”. Będąc wówczas nie tyle teoretykiem ile działaczem związkowym (jako były sekretarz Związku Pracowników Miejskich Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Warszawie), dążyłem już od początków pomajowych do zejścia z płaszczyzny teoretycznych rozważań na drogę rozwiązań praktycznych.

Gdy w końcu 1928 roku objąłem kierownictwo Generalnej Federacji Pracy na Śląsku i zacząłem wydawać pismo pn. *Syndykalista*, reprezentowałem stale ten kierunek poszukiwania konkretnych form syndykalistycznego ustroju państwa. W artykule „Kapitalizm? Nie. — Walka o nowe prawo” (*Syndykalista*, nr 1/3 z 1 marca 1930) „mętnemu solidaryzmowi” przeciwstawiłem „walkę klasową o nowe prawo dla ludzi pracy, o nową moralność i nowy ustrój gospodarki społecznej”, dmąc w dudkę syndykalistycznej frazeologii, ale praktycznego rozwiązania tego ustrojowego zagadnienia nie mogłem znaleźć. Ajzner ma rację gdy mi to wytyka, pisząc, że proklamowanie walki klasowej o nowe prawo nie przeszkadzało mi „zalecać współpracy robotników, kapitalistów i państwa w zarządzaniu wytwórczością” (str. 349). Podzielając zasadnicze idee moich przyjaciół, Zakrzewskiego i Szuriga, ich propozycje ustrojowe uważałem jednak za „muzykę przyszłości”. Życie i stykanie się z problemami życia robotniczego w konkretnej działalności wymagało jasnych, natychmiastowych koncepcji. Zrozumiał to później i Jerzy Szurig, gdy został sekretarzem generalnym ZZZ, ale poszedł inną ode mnie drogą.

S. Ajzner wymienia Witolda Wyszyńskiego jako czwartego teoretyka, który — raczej fragmentarycznie — brał udział na łamach *Przełomu* i *Solidarności Pracy* w dyskusji na temat podstaw ideowych i programu działania polskiego syndykalizmu. Wyszyński był młodym inżynierem i moim poprzednikiem na stanowisku prezesa Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych i sekretarza Centralizacji zetowej. W artykule „Walka klas a syndykalizm polski” (*Solidarność Pracy* nr 1 z 8. 2. 1928) krytykował socjalistów za „hołdowanie fałszywej teorii wyzysku i sztuczne dzielenie społeczeństwa na tych, którzy pracują, i tych, którzy z pracy korzystają”. Wyszyński miał też kontakt z robotnikami jako prezes Stowarzyszenia Młodzieży Robotniczej „Orłę”.

Podkreślał „konieczność dopuszczenia robotników do udziału w organizacji wytwórczości” (str. 351) jako rzeczywisty wyraz i cel walki klasowej.



Czas już jednak poświęcić nieco miejsca ideologicznym podstawom polskiego syndykalizmu w jego ogólnym, syntetycznym ujęciu.

Mianem syndykalizmu określa się kierunek ruchu robotniczego, przyjmujący związki zawodowe za podstawę ustroju państwa. Poglądy teoretyczne tego ruchu sformułował — jako jeden z jego głównych twórców — Georges Sorel.

Jerzy Sorel (1847-1922), socjolog francuski, autor najbardziej znanego dzieła „Réflexions sur la violence” (1908), propagował niezależny od partii politycznych ruch związków zawodowych, syndykatów według terminologii francuskiej, który przeciwstawił socjalizmowi politycznemu<sup>54</sup>. Jego społeczne poglądy wyrosły po części z tradycji Proudhonowskich i anarchistycznych. Ożywione nową moralnością „wytwórców” związki zawodowe ludzi pracy mają dążyć do przejęcia produkcji we własne ręce (koleje kolejarzom, huty — hutnikom!) w drodze „strajku generalnego”. Ten „strajk generalny” jest mitem, wielką utopią. Ale „mit” w systemie filozoficznym Sorela jest „aktem tworzenia”. „Utopie są projektami przyszłości”. Sorel propagował „przeobrażenie moralne” klasy robotniczej. Celem nowej rewolucji były w jego pojęciu nie dobrobyt i obfitość, ani łatwe życie, ale wytwórczość. Wołał, że w przeciwieństwie do „moralności kupców” wytworzona być musi „moralność proletariatu”, która będzie „moralnością producentów”<sup>55</sup>.

Propagując tę rewolucję moralną i wyzwolenie proletariatu przez stworzenie narodu wytwórców, Sorel był nastawiony nieufnie do demokracji parlamentarnej, opartej na systemie partyjnym. Pisał, że „polityczny” czy też „partyjny” socjalizm jest tylko zapowiedzią nowej tyranii i że idea dyktatury proletariatu jako formy państwowej wyda klasę robotniczą na łup despotyzmu zawodowych polityków<sup>56</sup>.

Nic dziwnego, że po przewrocie majowym, wymierzonym w system partyjno-polityczny, te myśli i wskazania Sorela stały się

54. Leszek Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, tom II, Instytut Literacki, Paryż 1977.

55. *Ibid.*, str. 169.

56. *Ibid.*, str. 180.



pożywką alimentującą poszukiwanie innych koncepcji ustrojowych. Polscy syndykaliści — jak to słusznie stwierdza S. Ajzner — choć urzeczeni sorelowską doktryną, nie ograniczali się jednak do jej powielania. Uczynili z niej punkt wyjścia dla własnych przemyśleń, zmierzających do jej przetworzenia i przystosowania do polskich warunków, a także do politycznych potrzeb środowisk skupiających się wokół J. Piłsudskiego — późniejszego obozu majowego<sup>57</sup>.

Jerzy Szurig i Kazimierz Zakrzewski, choć „soreliści” z tytułu studiów w Paryżu i znajomości języka francuskiego, również nie kopiowali Sorela. Nawiązywali do tej doktryny najczęściej poprzez Stanisława Brzozowskiego, którego myśli i poglądy, częściowo zapożyczone od Sorela, ale swoiście interpretowane i osadzone w polskiej rzeczywistości społecznej i w polskiej kulturze, uczyniły z kultu pracy podstawę i część składową syndykalizmu „polskiego i niepodległościowego”, różniącego się radykalnie od swego pierwowzoru.

Stanisław Brzozowski (1878-1911) — jak pisze o nim Leszek Kołakowski<sup>58</sup> — był pisarzem „drażniącym i prowokującym”. Uchodził za proroka inteligentckiej młodzieży, „buntującej się przeciwko tradycji pozytywizmu i romantyzmu zarazem”. Głosił ideologię „filozofii pracy” i „kult czynu”, jako przeciwstawność przyrodniczego determinizmu. „Idee twórczości” przeciwstawiał pozytywizmowi darwinowsko-spencerowskiemu, jak również — w transponowaniu do rzeczywistości polskiej — szlacheckiej pogardzie dla pracy oraz mieszczańskiej i inteligentckiej postawie konsumpcyjnej.

Brzozowski wierzył, że powstanie nowa „klasa wytwórców”. Bo „tylko punkt widzenia pracy może pozwolić ludziom zrozumieć właściwy sens ich wysiłków”... W tym ogólnikowym sensie Brzozowski wierzył w szczególną misję proletariatu i wyrażał swój „proletariacki prometeizm” w formułach najbliższych syndykalizmowi Sorela.

Brzozowskiego — podobnie jak Sorela — nie interesowała kwestia zdobycia władzy politycznej przez proletariatu ani kwestia organizacji ekonomicznej. Chodzi o to, aby „myśl i wola klasy robotniczej” podniosły się na taki poziom, na którym robotnicy zdolni będą całkowicie panować nad procesem życiowym społeczeństwa, zależnym od wydajności pracy. Podobnie jak Sorel, stawił partiom socjalistycznym zarzut, iż traktują proletariatu jako

---

57. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 333.

58. *Op. cit.*, str. 227 i następn.

narzędzie zdobycia władzy przez zawodowych polityków-inteligentów.

Petowcy i zetowcy okresu pierwszej wojny światowej sięgali często do pism Brzozowskiego i znajdowali z nim wspólne myśli. Wywodząc się z narodowego skrzydła walki niepodległościowej i odłączywszy się od Ligi Narodowej Dmowskiego w roku 1908, właśnie w roku gdy Stanisław Brzozowski wydał „Legendę Młodej Polski”, szukali powiązania zagadnienia narodowego z kwestią socjalną. Brzozowski u schyłku swego krótkiego życia szukał też tego powiązania. W nowszym jego piśmarstwie kategorie „narodu” i „ojczyzny” przybierały na wadze. Stąd stał się postacią kontrowersyjną. Nie tylko radykalizująca młodzież, ale i „narodowcy” powoływali się na Brzozowskiego, wyciągając z jego odnośnych ogólnikowych ale wysoce patriotycznych myśli i metafor wygodne dla siebie uzasadnienia.

Czerpiąc z arsenału filozoficznych poglądów Sorela i Brzozowskiego, zetowcy-syndykaliści — jak obaj ci myśliciele — nie interesowali się tym, jakie są polityczne aspiracje klasy robotniczej, lecz tym, czym klasa ta powinna się stać, aby wizja „narodu wytwórców” mogła się spełnić. Wychodzili więc niewątpliwie, jak socjaliści, z określonego światopoglądu, z d o k t r y n y, której tak nie lubił Józef Piłsudski. Niewątpliwie chcieli uzgodnić klasowy i narodowy punkt widzenia. Uważali, że w dobrze zrozumianym interesie społecznym należy przystosować organizację społeczną do nowej rzeczywistości niepodległej Polski, a co za tym idzie, doprowadzić do likwidacji państwa politycznego na rzecz państwa syndykalistycznego. „Syndykalizm jako ruch mas pracujących — pisał Kazimierz Zakrzewski jeszcze po pięciu latach teoretycznego boju o tę doktrynę — dąży w pierwszym rzędzie i nade wszystko do budowy nowego ustroju społecznego. Dopiero na gruncie przewrotu społecznego może rozwinąć się *integralna* koncepcja państwa syndykalistycznego, jako nadbudowa związków zawodowych, kierujących produkcją<sup>59</sup>”.

Te wynurzenia są bardzo ważne dla zrozumienia nie tylko podobieństw ale i różnic między syndykalizmem „zetowo-naprawiaczkim” a sorelowskim. Syndykalizm sorelowski głosił mit „strajku generalnego” jako drogę realizacji nowego ustroju społecznego. Zetowcy nigdy nie postulowali strajku politycznego, a strajk ekonomiczny uważali za ostateczność. Maria Wierzbicka słusznie zaznacza, że przy zmianach programowych ZNR „zasada

---

59. K. Zakrzewski, „Na marginesie dyskusji konstytucyjnej”, *Przełom* nr 1, 1932, cytata za Marią Wierzbicką, *op. cit.*, str. 262.

ewolucyjnej drogi przemian społecznych pozostaje do końca bez zmian<sup>60</sup>”. Zakrzewski pisał: „Trzeba rozpocząć — ostrożnie i metodycznie — wielkie dzieło przebudowy społecznej naszego państwa”. Z całą pewnością można stwierdzić — i to zarzucano grupie syndykalistycznej ZNR — że z werbalnym radykalizmem sformułowań ideowych nie szły w parze odpowiednie radykalne środki działania.



Jaka była i jak rozwijała się praktyka polskiego syndykalizmu, a więc działalność zetowców, dla urzeczywistnienia koncepcji państwa syndykalistycznego?

Zacząto od hasła zjednoczenia rozbitego na odłamy partyjne ruchu zawodowego. Dla propagowania tego zjednoczenia Jerzy Szurig uzyskał w środowisku zetowym (był zastępcą członka trójosobowego Komitetu Centralnego Związku Patriotycznego) i u władz Związku Naprawy Rzeczypospolitej zgodę na założenie specjalnego pisma, dwutygodnika pn. *Solidarność Pracy*, wydawanego niezależnie od *Przetomu*. Współdziałałem przy rodzeniu się tego pisma, gdyż Szurig zaproponował mi objęcie jego sekretariatu. Liczył też na pomoc Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych. „Unia personalna”, tzn. objęcie przez Szuriga naczelnej redakcji *Przetomu* i *Solidarności Pracy* miało zapewnić jednolitość linii ideowo-politycznej obu pism. Pierwszy numer *Solidarności Pracy* ukazał się 1 grudnia 1926 roku. W praktyce duża część pracy redakcyjnej spoczywała na mnie. Współdziałałem też w opracowaniu deklaracji ideowej pisma, którą opublikowaliśmy w tymże pierwszym numerze pod tytułem „Nasze cele i hasła” w następującym brzmieniu<sup>61</sup>:

- Potęga ruchu zawodowego, niezależnionego od wpływów partii politycznych;
- Zespolenie związków zawodowych i ścisła współpraca organizacji pracowników fizycznych i umysłowych;
- Walka z upośledzeniem ekonomicznym, a co za tym idzie kulturalnym i politycznym klasy pracującej;
- Bezpośredni udział organizacji robotniczych w rządach państwem i kierowaniu produkcją;
- Uzyskanie przez zorganizowanych wytwórców-pracowni-

---

60. *Op. cit.*, str. 265.

61. Podaję za S. Ajznerem, *op. cit.*, str. 348.

ków decydującego wpływu na politykę ekonomiczną państwa;

- Podporządkowanie procesu produkcji wymogom najwyższego dobra narodu: jego niepodległości politycznej i gospodarczej;
- Szerzenie kultu pracy wśród warstw pracujących i całego społeczeństwa.

Ajzner ma całkowicie rację gdy pisze, że opracowanie syndykalistycznego programu nie przychodziło nam łatwo, i że powyższe „cele i hasła” były na razie „namiastką” tego programu. Syndykalistyczne hasło „bezpośredniego udziału organizacji robotniczych w rządach państwem i w kierowaniu produkcją” musieliśmy związać z naszą starą zetową ideologią „dobra narodu i jego politycznej i gospodarczej niepodległości”.

Dzięki staraniom grupy syndykalistycznej w pierwszej połowie 1927 roku Rada Naczelna ZNR powołała do życia Wydział Robotniczy pod kierownictwem Janusza Rymkiewicza. Rozpoczął on swą pracę od założenia kilku robotniczych kół ZNR na terenie Warszawy (Zbrojownia na Pradze — ok. 100 członków; dwa koła w Państwowej Fabryce WYROBÓW Tytoniowych na Ochocie — ok. 180 członków (*Przetom* nr 20 z 16. 7. 1927).

Po przystąpieniu ZNR do BBWR, na początku 1928 roku, w czasie kampanii wyborczej do Sejmu, władze ZNR stworzyły Komitet Pracowników Państwowych, Prywatnych i Samorządowych dla Współpracy z Rządem, do którego powstania najbardziej przyczynili się G. Zieliński i J. Szurig<sup>62</sup>. Osobiście nie brałem udziału w powołaniu tego komitetu, gdyż — za namową kolegów zetowych — objąłem kierownictwo Biura Wyborczego BBWR na Województwo Warszawskie. W tym czasie syndykalisci założyli szereg nowych kół ZNR, głównie na terenie państwowych przedsiębiorstw i urzędów. Zachęcona tym sukcesem Rada Naczelna ZNR postanowiła stworzyć nową centralę związkową pod nazwą Generalna Federacja Pracy (uchwała z 18. 5. 1928). Wykonaniem tej uchwały zajęło się wkrótce Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast. W listopadzie 1928 roku odbył się w Poznaniu zjazd tej organizacji politycznej, który wezwał „wszystkie związki zawodowe do zgrupowania się w Generalnej Federacji Pracy, jedynej niezależnej centrali syndykalizmu polskiego<sup>63</sup>”.

W niespełna miesiąc później ogłoszono oficjalnie powstanie

62. *Ibid.*, str. 24.

63. *Ibid.*, str. 25.

Generalnej Federacji Pracy i skład jej tymczasowego kierownictwa. Pierwszym prezesem GFP został Edward Ruszczewski, ale już w lutym 1929 roku zastąpił go zetowiec Gustaw Zieliński. Wiceprzewodniczącym został J. Szurig, a do Wydziału Centralnego GFP weszli ponadto J. Rakowski, S. Kapuściński, A. Bek, B. Gawlik, J. Rymkiewicz, poseł Roman Tomczak, jego brat Zygmun Tomczak, Tadeusz Werner i inni. Z chwilą powstania GFP *Solidarność Pracy* stała się jej organem.

Muszę dodać, że w tym okresie na przełomie 1927 i 1928 roku i później, do października 1928, aktywność moja w ruchu syndykalistycznym zmalała. Nie korzystaliśmy z subsydiów rządowych i walczyliśmy z dużymi trudnościami finansowymi. *Solidarność Pracy* nie mogła zapewnić mi środków utrzymania. Po wyborach do Sejmu, które w Województwie Warszawskim pod nadzorem wojewody Stanisława Twardo (z przekonania politycznych ludowca) przeprowadziłem dla BBWR w sposób jak najbardziej poprawny, nie uzyskawszy pożądanego rezultatu, zdecydowałem się przyjąć posadę referenta prasowego w Państwowym Banku Rolnym. Niebawem jednak aktywność moja w GFP wzrosła, podnosząc mnie do rangi jednego z czołowych działaczy tej organizacji. Stało się to w związku z pracami zetowców na Górnym Śląsku.

Jak już zaznaczyłem, wojewoda śląski, Michał Grażyński, był jednym z niewielu zetowców, których piśsudczycy z otoczenia Marszałka nie mogli pominąć w obsadzaniu wyższych stanowisk administracyjnych. Grażyński objął stanowisko wojewody w Katowicach po przewrocie majowym w roku 1926 po Józefie Rymerze, Antonim Schultisie, Tadeuszu Koneckim i Mieczysławie Bilskim, czterech administratorach, którzy łącznie urzędowali na zmianę około 4 lat. Śląsk przez te częste zmiany administratorów-wojewodów w okresie sejmowładztwa nie miał szczęścia.

Gdy Grażyński objął posterunek wojewody śląskiego, ziemia ta znajdowała się pod przemożnym wpływem kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego. Stał się on rzecznikiem usunięcia tego wpływu, m.in. również ze względów socjalnych. W terenie opierał się przede wszystkim na Związku Powstańców Śląskich. Kadre administracji uzupełniał znanymi sobie ludźmi z poprzednich prac na terenie akademickim, w POW i w Harcerstwie. Stąd też znalazła się w Katowicach dość duża grupa zetowców i byłych zarzewiaków, pracujących w dzienniku *Polska Zachodnia*, w Związku Obrony Kresów Zachodnich, w administracji wojewódzkiej i w instytucjach naukowych i kulturalnych.

W realizowaniu planów konsolidacji politycznej społeczeń-

stwa śląskiego dla walki ze zniemczeniem przemysłu Grażyńskiemu potrzebne było poparcie ze strony związków zawodowych. Związki te, dość silne na Śląsku, pozostawały pod wpływami partii politycznych: Narodowej Partii Robotniczej (Zjednoczenie Zawodowe Polskie), CHD Korfanteo (Zjednoczenie Chrześcijańskich Związków Zawodowych), PPS (Centralny Związek Klasowych Związków Zawodowych). Zetowiec Stefan Kapuściński (1896-1943), który w roku 1927 przeniósł się na Górny Śląsk<sup>64</sup>, zasugerował Grażyńskiemu syndykalistyczną koncepcję odpartyjnienia ruchu zawodowego, realizowaną w Warszawie. Na zebraniu Koła Związku Patriotycznego w Katowicach postanowiono podjąć organizowanie GFP również na Śląsku. Grażyńskiemu koncepcja ta była wówczas bardzo na rękę. Kapuściński, zaangażowany dość mocno z zetowcem Edwardem Rumunem jako naczelnym redaktorem w *Polsce Zachodniej*, nie był w stanie zająć się całkowicie tą akcją i zażądał pomocy z Warszawy. Krótko mówiąc, moi zetowi koledzy namówili mnie do porzucenia pracy w Banku Rolnym i przyjazdu do Katowic dla zorganizowania śląskiego okręgu GFP. Oficjalnie uchodziłem za jednego z redaktorów *Polski Zachodniej*, praktycznie cały mój czas dwuletniego pobytu w Katowicach, od października 1928 do końca 1930 roku, poświęcałem GFP.

Wkrótce po mnie przybył przydzielony mi z Warszawy do pomocy Jan Straszewski, znany mi z współpracy w moim Biurze Wyborczym BBWR. Przyłgął on do „naprawiaczy” i chodziło o zapewnienie mu możliwości egzystencji. Interesował się syndykalizmem, ale miał mentalność intelektualnego anarchisty, nie mającego nic wspólnego z ideologią zetową. Miałem z nim dużo kłopotów w ciągu tych dwóch lat współpracy.

Z kadry paru działaczy Zjednoczenia Zawodowego Polskiego i Klasowych Związków Zawodowych, zarazem przeważnie członków Związku Powstańców Śląskich oddanych Grażyńskiemu, zdołaliśmy utworzyć i rozbudować dwa wcale poważne robotnicze zrzeszenia syndykalistyczne: Federację Górników i Federację Hutników, łącznie około 10.000 członków, oraz parę mniejszych komórek (m.in. Federację Krawców). Prezesem Federacji Górników wybrany został dawny poważny działacz ZZP (nazwiska zapomniałem), prezesem Hutników — Franciszek Fesser, działacz Związku Klasowego i członek Związku Powstańców.

---

64. W życiorysie S. Kapuścińskiego w *Polskim Słowniku Biograficznym* nieściśle podano, że przeniósł się on w 1927 roku na Górny Śląsk jako „sekretarz okr. Gen. Fed. Pracy”. Wówczas GFP jeszcze nie istniała.

Po pierwszych pracach organizacyjnych i okrzepnięciu organizacji z mojej inicjatywy powstało w końcu 1929 roku pismo *Syndykalista*, wychodzące nieregularnie i wypełnione całkowicie artykułami moimi i Straszewskiego. *Polska Zachodnia*, gdzie pismo było drukowane, popierała waleń nasze prace organizacyjne. Mieliśmy, rzecz jasna, po naszej stronie inspektora pracy w Katowicach przy regulowaniu zagadnień robotniczych z dyrekcjami kopalń i hut.

W tym czasie, jako redaktor *Syndykalisty* i organizator związków GFP byłem jak najbardziej entuzjastą programu syndykalistycznego, zarysowanego przez nas w Warszawie. Aczkolwiek w pierwszym okresie organizacyjnym Grażyński ze swoich funduszy dyspozycyjnych przyczyniał się do pomocy finansowej, traktowaliśmy to jako pomoc człowieka ideowo z nami związanego, a nie pomoc państwową. Z biegiem czasu GFP oparła swą działalność na własnych składkach członkowskich. W 1929 roku zredagowałem i wydałem Odezwę Generalnej Federacji Pracy na Górnym Śląsku, w której mocno zaznaczyłem, że syndykalizm walczy o kierownictwo życiem gospodarczym, a nie o władzę polityczną. W związku z tą odezwą S. Ajzner pisze, że „praktycznie biorąc oznaczało to, że polityczne kierownictwo sprawami państwowymi miało stanowić wyłącznie domenę przywódców obozu majowego” (*op. cit.*, str. 349). Na pewno nie chcieliśmy powrotu partyjnictwa. Temu trudno zaprzeczyć. Ale jako *pur sang* „syndykaliści” działacze GFP nie mieli ambicji politycznych. Wierzyliśmy w naszą misję odpartyjnięcia związków zawodowych, zainteresowania robotników sprawami gospodarczymi i wychowywania ich dla objęcia kierownictwa warsztatów pracy.

Muszę przyznać, że po dwóch latach tej dość ciężkiej pracy na Śląsku zacząłem powątpiewać w słuszność naszych syndykalistycznych założeń. Robotnicy całkiem nie chcieli wychowywać się na dyrektorów fabryk. Interesowały ich przede wszystkim zarobki i warunki pracy. Z biegiem czasu zrozumiałem, że tzw. „objęcie kierownictwa produkcji przez związki zawodowe wolnych wytwórców” sprowadza się do objęcia tego kierownictwa przez tak czy inaczej wybranych przedstawicieli, a więc w praktyce sekretarzy czy funkcjonariuszy związków zawodowych. A więc *mutatis mutandis*, używając języka Jerzego Sorela, powstaje od tej strony niebezpieczeństwo „nowej tyranii” i „wydania proletariatu na łup biurokracji zawodowych polityków”, choćby mieli być nimi robotniczy działacze gospodarczy. Osobiście nie miałem żadnej aspiracji do pięcia się na „karkach mas robotniczych” ku jakimkolwiek mandatom politycznym czy gos-

podarczym. Odrzucałem propozycje kandydowania do Sejmu, co jest zazwyczaj marzeniem sekretarzy związkowych. Z drugiej strony — ciągle nie bardzo widziałem konkretne formy ustroju syndykalnego.

O tych ideologicznych i programowych zagadnieniach polskiego syndykalizmu nie było mowy na regularnych miesięcznych zebraniach Koła Braterskiego ZP przy kolacji u wojewody Grażyńskiego. Brałem w nich udział i referowałem bieżące sprawy odcinka pracy na terenie robotniczym. Michał Grażyński był politykiem realnym i nie lubił teoretyzować. Z biegiem czasu stawało się dla mnie rzeczą jasną, że GFP potrzebna mu była jako element rządzenia ziemią śląską, i to dla realizacji określonej koncepcji politycznej.

Na zebraniach Koła Braterskiego Związku Patriotycznego głównym tematem były sprawy przeciwdziałania panoszeniu się niemieczyzny. Grażyński wymagał również od GFP ustawienia się w rzędzie organizacji i instytucji walczących z „żywiołem niemieckim”. Ten narodowy aspekt naszej pracy — wywodzący się z zasadniczych założeń ideologii zetowej — przyczyniał się więcej do pozyskiwania przez GFP śląskich robotników niż czarowanie ich wizją objęcia gospodarki w hutach i kopalniach. Seweryn Ajzner zaznacza, że „GFP na terenie Śląska, uprawiająca politykę separatyzmu w odniesieniu do niemieckich związków zawodowych, przyczyniła się przy poparciu części związków chadeckich i innych do rozbicia istniejącego dotąd polsko-niemieckiego Zespołu Pracy i do stworzenia na jego miejsce Polskiego Zespołu Pracy (*op. cit.*, str. 26). Zespół ten powstał 15 lipca 1930 roku w Katowicach na kongresie radców zakładowych i prezesów grup Federacji Pracy Przemysłu Górniczego i Metalowego (GFP), Zjednoczenia ChZZ, Centralnego Związku Zawodowego Polskiego (CZKZZ pod wpływem PPS — dawnej Frakcji Rewolucyjnej) i Centralnego Związku Górników. Prezesem Polskiego Zespołu został M. Musioł, podówczas prezes ZChZZ. Ogłosiłem ukonstytuowanie się tego Zespołu w *Syndykaliście* nr 6 z 1 sierpnia 1930 roku jako „doniosły dzień w życiu robotnika polskiego”.

Po dwóch latach pracy na Śląsku i wykonaniu powierzonego mi zadania katowickie Koło Braterskie ZP wyraziło zgodę na mój powrót do Warszawy, gdzie ofiarowano mi w Prezydium Rady Ministrów stanowisko zastępcy szefa Biura Prasowego do spraw polityki społecznej i gospodarczej. Kierownictwo GFP na Śląsku objął po mnie Stefan Kapuściński, który stopniowo wycofywał



się z pracy redakcyjnej w *Polsce Zachodniej*, stał się rzecznikiem spraw robotniczych, a po utworzeniu Związku Zawodowych całkowicie poświęcił się pracy w tej organizacji.

### *Związek Zawodowych (ZZZ)*

Generalna Federacja Pracy, podobnie jak Związek Naprawy Rzeczypospolitej z którego wyrosła, była organizacją związaną z obozem pomajowym, a w szczególności z osobą Piłsudskiego. Jej organ, *Solidarność Pracy*, w ciągu dwóch lat swego istnienia stale powtarzał przy tytule aforyzm Marszałka z jego przemówienia w Poznaniu 28. 10. 1919 roku: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi”. Aczkolwiek organizacja nie korzystała z oficjalnej pomocy administracji państwowej, zdołała zorganizować w różnych federacjach zawodowych około 40 tysięcy członków płacących składki. Propagowano syndykalistyczne hasło „państwa pracy”, ale aktualnie popierano wysiłki politycznej i gospodarczej konsolidacji kraju w ramach Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Oczywiście w tym zespole GFP nie była jedyną organizacją robotniczą.

Jesienią 1930 roku, po z trudem wygranych wyborach do Sejmu, w kołach rządowych zrodził się projekt połączenia wszystkich piłsudczykowskich związków zawodowych. Jego inicjatorem przyświecało dążenie do dalszego osłabienia PPS (rozbitego już częściowo w roku 1928 przez Rajmunda Jaworowskiego); partia ta po aresztowaniu przywódców Centrolewu z trudem broniła swych dotychczasowych pozycji w ruchu robotniczym<sup>65</sup>. Osłabianie przeciwnika to jedna, a organizowanie mas dla poparcia własnej koncepcji — to druga strona medalu taktyki politycznej. Waleremu Sławkowi jako przesowi BBWR chodziło niewątpliwie i o to drugie, gdy zawezwał do pomocy Jędrzeja Moraczewskiego.

Jędrzej Moraczewski (1870-1944), inżynier, działacz socjalistyczny, legionista, przyjaciel Piłsudskiego i Sławka, miał ładną kartę w ruchu niepodległościowym i w budowaniu państwowości polskiej. Należał do tych socjalistów, którzy nie odsunęli się od Piłsudskiego po Nieświeżu i wszedł do rządu Marszałka z konserwatystami. Został za to w roku 1927 wykluczony z PPS, nie angażował się jednak w rozłam Rajmunda Jaworowskiego, który

---

65. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 51.

w roku 1928 powołał do życia PPS-dawną Frakcję Rewolucyjną, a wraz z nią Centralny Związek Klasowych Związków Zawodowych (CZKZZ), uchodzący w czasie tego rozłamu za najsilniejszą ze wszystkich piłsudczykowski organizacji zawodowych. Seweryn Ajzner pisze, że decydując się pod wpływem Sławka na podjęcie inicjatywy zjednoczeniowej ruchu zawodowego przy obozie Józefa Piłsudskiego „Moraczewski mógł żywić nadzieję, że obejmując kierownictwo nowej centrali umocni własną pozycję w kierowniczych kołach sanacji, a jednocześnie zapewni sobie znaczną swobodę działania<sup>66</sup>”. Włączając się do tej akcji chciał Moraczewski — podobnie jak w pewnym stopniu zetowcy — stworzyć instrument, przy pomocy którego mógłby wpływać na całokształt polityki obozu rządzącego.

Po walkach wewnętrznych, opanowaniu przez Moraczewskiego CZKZZ, wydaniu przez niego odezwy do „ludu pracującego” wskazującej na szkodliwość politycznego rozbitcia związków zawodowych i wysuwającej hasło bezpartyjności i niezależności tych związków, ponownym rozłamie w CZKZZ dokonany przez Jaworowskiego, kongresach rywalizujących grup etc. podjęto akcję zjednoczenia. Akcję tę poparło 31 posłów i senatorów Parlamentarnej Grupy Robotniczej BBWR (z wyborów marcowych 1930 roku), zajmujących w większości eksponowane stanowiska w PPS Frakcji, NPR-Lewicy oraz w związkach zawodowych afiliowanych do różnych central prorządowych, lub działających samodzielnie w skali regionalnej. Grupa ta wydała 7 lutego 1931 roku odezwę popierającą tezy odezwy Moraczewskiego z grudnia 1930 w sprawie konsolidacji ruchu zawodowego. Odezwa dawała dyskretnie do zrozumienia, że konsolidacja może przyspieszyć uchwalenie przez Sejm ustaw rozszerzających ubezpieczenia społeczne, czego domagały się wszystkie centrale prorządowe i opozycyjne. Ingerencja Grupy Parlamentarnej w sprawy związkowe wzmacniała grupę Moraczewskiego, stawiając zarazem pozostałe związki piłsudczykowskie przed koniecznością zajęcia stanowiska.

Podobnie jak przy tworzeniu BBWR, również do sprawy jednoczenia ruchu zawodowego zetowcy musieli się ustosunkować. Zachowywali się początkowo nieufnie i wstrzeźliwie. *Przełom* jeszcze 1 marca 1931 w numerze 9 podkreślał z sarkazmem, że „nawet niektóre organizacje zawodowe, do niedawna najbardziej politycznie zabarwione i energicznie zwalczające program Generalnej Federacji Pracy, poczęły w ostatnich czasach

---

66. *Ibid.*, str. 57.

głosić hasło bezpartyjności. Jednakże klasa pracująca, pamiętająca dotychczasową robotę tych związków, dość podejrzliwie patrzy na najnowszą ich działalność<sup>67</sup>”. W rezultacie jednak, w wytworzonej sytuacji, GFP nie mogła nie wziąć udziału w rozmowach.

5 marca 1931 roku z inicjatywy Parlamentarnej Grupy Robotniczej odbyła się narada z przedstawicielami zaproszonych organizacji związkowych, na której doszło do wstępnego porozumienia. Na zebraniu omawiano referowany przez A. Pączka (grupa Moraczewskiego) projekt aktu połączeniowego. Ustalono skład Tymczasowego Zarządu „Polskiego Bezpartyjnego Zespołu Pracy” pod przewodnictwem Moraczewskiego, do którego weszło trzech zetowców, jako reprezentantów GFP: Jerzy Szurig (sekretarz), B. Gawlik i G. Zieliński. Utworzono też komisję, której powierzono praktyczne przygotowanie scalenia ruchu zawodowego. Komisja na posiedzeniu 20 marca 1931 roku wybrała do swego prezydium A. Tellera (grupa Moraczewskiego), J. Rakowskiego (zastępca przewodniczącego — członek Wydziału Centralnego GFP) i Wł. Długosza (sekretarz komisji i sekretarz KGZZ). Z kolei prezydium powołało podkomisję dla prowadzenia prac połączeniowych w poszczególnych gałęziach przemysłu, do których każda z czterech głównych organizacji delegowała swych przedstawicieli (S. Ajzner, *op. cit.*, str. 72).

Głównymi łączącymi się organizacjami były: Centralne Zrzeszenie Klasowych Związków Zawodowych (CZKZZ, Grupa Moraczewskiego, członków zarejestrowanych na 31 grudnia 1930 — 68.900); Generalna Federacja Pracy (GFP — członków 42.300); Konfederacja Gospodarczych Związków Zawodowych (KGZZ, grupa Z. Madeyskiego — województwo Krakowskie, członków 34.800); Polskie Związki Zawodowe „Praca” (z rozłamu w NPR — członków 30.800).

9 maja ukazał się przygotowany przez „Zespół Pracy” okólnik-odezwa, wyznaczający terminy połączenia się poszczególnych związków branżowych oraz datę ogólnego kongresu zjednoczeniowego na 25 maja 1931 roku. Odbył się on w sali Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego w obecności 483 delegatów z 267 miejscowości. Nowa centrala, licząca około 176.000 członków, zajęła od razu jedno z czołowych miejsc w tabeli ogólnokrajowych organizacji związkowych, ustępując pod względem liczności jedynie Związkiowi Stowarzyszeń Zawodowych (socjalistyczne klasowe związki zawodowe) i Zjednoczeniu Zawodowe-

---

67. Cytat za S. Ajznerem, *ibid.*, str. 71.

mu Polskiemu (NPR) — 236 i 209 tysięcy członków według stanu na dzień 31 grudnia 1930 roku<sup>68</sup>.

Nie wchodząc w dalsze szczegóły genezy ZZZ i przebiegu kongresu zjednoczeniowego, chcę powrócić do zasadniczego tematu udziału zetowców w tej nowej piłsudczykowskiej organizacji.

Seweryn Ajzner pisze: „Wśród czołowego aktywu ZZZ niewielką, ale wpływową grupę stanowili działacze Związku Naprawy Rzeczypospolitej (od 1928 roku Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast), wywodzący się w większości z szeregów GFP. Znajdowali się wśród nich członkowie Centralnego Wydziału: Szurig [wkrótce po L. Tomaszkiwicu sekretarz generalny i naczelny redaktor wszystkich pism ZZZ — J.R.], Gawlik, Kapuściński, Tomczak, Zieliński [jeden z czterech wiceprezesów przy przesiedle Jędrzeju Moraczewskim — J.R.], zaś 'naprawiaczami' w Radzie Naczelnej byli S. Paprocki, A. Pacholczyk, J. Rakowski... i J. Walewski. We władzach związanego z ZZZ Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. S. Żeromskiego zasiadali dwaj wybitni 'naprawiacze': J. Stypiński (prezes) i K. Kierzkowski (komendant główny Związku Strzeleckiego), a także wspomniani już Rakowski i Tomczak” (*op. cit.*, str. 224).

„Za pośrednictwem grupy 'naprawiaczkiej' — pisze Ajzner — ZZZ utrzymywał powiązania z różnymi odłamami tzw. lewicy sanacyjnej, szczególnie aktywnymi w środowiskach nauczycielskich i w związkach pracowników umysłowych, wchodzących w skład utworzonej w 1932 roku Unii Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych\*. Tak więc prezes RIOK Stypiński był prezesem Stowarzyszenia Urzędników Państwowych, członek Rady Naczelnej ZZZ B. Pochmarski działał w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, R. Tomczak był wieloletnim

---

68. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 44/45 i 87

\* Wiceprezesem Unii Związków Pracowników Umysłowych był Zygmunt Kallenbach. Sprawował on tę funkcję nie z ramienia ZETU, lecz — jak większość zetowców na innych terenach pracy — wskutek szczególnego zainteresowania tym odcinkiem pracy organizacyjnej. Pisze on w relacji dla mnie, w uzupełnieniu informacji Ajznera: „UZZPU grupowała pracowników banków państwowych, różnych instytucji państwowych i związków urzędników prywatnych. Osobno istniały: Stowarzyszenie Urzędników Państwowych, Związek Nauczycielstwa Polskiego i Związek Pracowników Samorządu Terytorialnego.

Te cztery stowarzyszenia, które obejmowały razem bardzo poważną ilość członków, na pewno większą od ZZZ (sama „Unia” liczyła około 40.000), utworzyły Komitet Porozumiewawczy Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych. Komitet ten ogłosił deklarację ideową o wyraźnym obliczu lewicy demokratycznej. Był on platformą, na której spotykali się ludzie z tzw. „lewicy sanacyjnej” i z PPS.

(od 1927) sekretarzem generalnym Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, A. Pacholczyk działał w Związku Zawodowym Pracowników Samorządu Terytorialnego. Silne powiązania personalne z racji wspólnej przeszłości niepodległościowej łączyły ponadto wielu działaczy związkowych z innymi środowiskami, usposobionymi krytycznie do pułkownikowskich rządów silnej ręki. Krzyżowały się one z powiązaniem innych działaczy, utrzymujących ściśle stosunki z BBWR i sferami rządowymi”.

Dzięki ówczesnej zwartości ideologicznej, wyrobieniu w pracy społecznej i związkowej, jak również wspomnianym przez Ajznera powiązaniom zetowcy odegrali poważną rolę zarówno w procesie tworzenia się ZZZ jak i później w działalności tej organizacji. Oddali więc znów poważną usługę obozowi Marszałka, idąc na porozumienie z innymi odłamami obozu i rezygnując z samodzielnej dalszej pracy na podstawie własnych założeń ideowo-politycznych.

ZZZ, podobnie jak BBWR, był zlepkiem grup o różnym rodowodzie ideowym. Został on powołany do życia w pełni kryzysu gospodarczego i zaostrzających się konfliktów społecznych, a więc w sytuacji, gdy trzeba było więcej myśleć o obronie interesów ludzi pracy niż prowadzić spory ideologiczne. Tym niemniej, schodząc powoli na płaszczyznę spraw konkretnych, zetowcy-syndykaliści nie zaprzestali infiltrowania do nowej organizacji ideologii syndykalistycznej. Prowadzili tę infiltrację z godną podziwu uporczywością.

Już w czasie dyskusji połączeniowych zetowcy zacięcie walczyli o syndykalistyczne pojęcia związków zawodowych i ich długofalowe zadania. Najczęstsze spory wybuchały między przywódcami CZKZZ, wychowanymi w socjalizmie, i działaczami GFP. Przywódcy CZKZZ pragnęli wprowadzić do dokumentów programowych ZZZ terminologię „klasową”, lecz z zamiaru swego musieli zrezygnować na skutek katerycznego sprzeciwu GFP<sup>69</sup>. Odgrodzono się też od pojęć międzynarodowego proletariatu i uzyskano zgodę grupy Moraczewskiego na rezygnację z tradycyjnego urządzania obchodów pierwszomajowych.

Spory ideologiczno-programowe towarzyszyły też pierwszym latom działalności ZZZ. Moraczewski musiał lawirować pomiędzy działaczami o różnych poglądach i różnych tradycjach politycznych i związkowych. Gdy w dniach 7 i 8 stycznia 1934 zebrał się Drugi Kongres ZZZ w Warszawie, najważniejszym jego doku-

---

69. *Ibid.*, str. 82.

mentem były opracowane przez Moraczewskiego tezy programowe, mające zastąpić obowiązującą dotychczas „Deklarację Ideową ZZZ” z roku 1931. W tezach tych, wydanych później w obszernej broszurze „Założenia programowe związków zawodowych” przejawiał się wpływ syndykalistycznych poglądów Jerzego Szuriga i K. Zakrzewskiego.

Moraczewski wychodził w tych założeniach programowych z tezy, że w Polsce niepodległej klasa pracująca uzyskała pełne uprawnienie polityczne (prawo udziału w rządach, prawo do koalicji, strajków, wolność słowa, prasy, zgromadzeń etc.)... Walka w obronie demokracji nie ma już żadnych właściwości walki wyzwoleniczej klasy robotniczej. „Nikommu dziś na myśl nie przychodzi wydzierać akurat tylko klasie pracującej osiągnięte swobody demokratyczne i prawa polityczne. To jest istotnym powodem zmniejszania się z każdym dniem roli, a z nią i zainteresowania się klasy pracującej swoimi partiami politycznymi...”.

Od tego założenia prowadził już tylko jeden krok do ideologicznych koncepcji syndykalizmu, tj. do walki o „wyzwolenie społeczne i ekonomiczne”. „Walka o wyzwolenie (równouprawienie) społeczne — pisał Moraczewski — zmierza do zdobycia prawa rozporządzania warsztatem pracy i jej wynikami”.

S. Ajzner — omawiając pokłosie Drugiego Kongresu ZZZ — stwierdza, że „tezy programowe stanowiły dokument o dużym znaczeniu jako sygnał przemian dokonujących się w kierownictwie ZZZ. Już w samej inicjatywie opracowania obszernego programu przejawiało się dążenie do przekształcenia ZZZ w organizację o sprecyzowanym charakterze ideowo-politycznym, w której zostałyby przewyżnione dotychczasowe linie podziału...”. Ajzner podkreśla jednak — i w tym ma niewątpliwie rację — „eklektyczny charakter w rozważaniach światopoglądowych i teoretycznych” tego dokumentu. „Elementy marksistowskiej doktryny (rola walki klas w historii, potępienie solidaryzmu, zasada samodzielności ruchu robotniczego) przeplatają się w nim z niektórymi zasadami socjaldemokratycznego reformizmu (ponadklasowy charakter państwa w społeczeństwie kapitalistycznym i jego potencjalne możliwości ewolucyjnego przekształcenia struktury społecznej w kierunku wiodącym do wyzwolenia klasy robotniczej), a także syndykalizmu (typowo syndykalistyczna krytyka burżuazyjnego parlamentaryzmu i liberalizmu, przeciwstawianie związków zawodowych partiom robotniczym, krytyka ‘politykierstwa’, wyeksponowanie roli Izby Pracy)” (*op. cit.*, str. 193).

Moraczewski sprzeciwił się wprowadzeniu do dokumentu pew-

nych uzupełnień, proponowanych przez zetowca-syndykalistę Stefana Kapuścińskiego, wówczas już sekretarza generalnego silnego związku górników ZZZ, przewodniczącego śląskiej Rady Zawodowej ZZZ i posła na Sejm Śląski. Miały one polegać na opowiedzeniu się za syndykalistyczną koncepcją ustroju, opartego na reprezentacjach gospodarczych, społecznych i kulturalnych organizacjach zawodowych...

Jeśli chodzi o politykę bieżącą, ZZZ w tym czasie nie manifestuje jeszcze jakiegoś wyraźnego niezadowolenia z polityki rządowej, mimo, że pojawiają się już objawy tego niezadowolenia w związku z deflacyjną polityką rządów lat 1930-1935 i projektami reform ustawodawstwa socjalnego. Obowiązuje stale jeszcze wszystkich partnerów zjednoczenia współpraca z rządem dla przewyciężenia trudności gospodarczych. Drugi Kongres ZZZ obradujący w dniach 7 i 8 stycznia 1934 roku zmanifestował swą lojalność, wysyłając depesze okolicznościowe do prezydenta Mościckiego, marszałka Piłsudskiego, premiera Jędrzejewicza i ministra opieki społecznej Hubickiego. W rozdziale IV tez programowych Moraczewskiego powiedziano, że „w interesie klasy pracującej leży, by państwem kierował rząd dobry, tj. taki, który potrafi zapewnić odpowiednie tempo przebudowy ustroju społecznego, a także utrzymać równowagę społeczną, hamując zbyt szybki pęd jednych, a przynaglając do pośpiechu inne warstwy społeczne. Należy nareszcie porzucić mocno przestarzały frazes: „Każdy rząd burżuazyjny musi się przeciwstawiać walce wyzwolénckiej klasy pracującej, a tym samym musi stać po stronie przedsiębiorców”. W rzeczywistości zależny od kapitalistów jest tylko ten rząd, który tego chce. „Na rząd chwiejny, podlegający wpływowi, ale składający się z ludzi dobrej woli powinna klasa pracująca wywierać nacisk dla poparcia swego stanowiska, a przynajmniej dla sparaliżowania wpływów pochodzących na pewno z drugiej strony. Uzasadniona jest zatem tylko twórcza opozycja<sup>70</sup>”.

Był to niewątpliwy ukłon w kierunku wyznawanej przez Piłsudskiego ideologii solidaryzmu i współpracy. Przyjdzie jednak czas, gdy autor tez programowych ZZZ podchwyci wyraźnie hasło syndykalistów i powie, że „walka wyzwoléncka klasy pracującej rozegra się poza parlamentem”, a ZZZ od 1936 roku zacznie tracić charakter organizacji prorządowej, choć nie zaprzestanie uważać się za część składową obozu majowego i pozostanie wierny pamięci Józefa Piłsudskiego.

---

70. Według S. Ajznera, *op. cit.*, str. 190.

## *Chmury na horyzoncie*

Jesienią 1932 roku, po rezygnacji Augusta Zaleskiego, Józef Beck zajął jego miejsce w rządzie jako minister Spraw Zagranicznych. Od 2 grudnia 1930 pełnił on już w tym ministerstwie funkcje podsekretarza stanu. W dniu 25 stycznia 1932 parafovano, a w dniu 25 lipca podpisano oficjalnie pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim. W związku z tym Beck w rozmowie z Miedzińskim i Matuszewskim powiedział, że Piłsudski będzie teraz więcej zajmował się polityką zagraniczną i zarządził większą aktywność i inicjatywę z polskiej strony na wschodzie i na zachodzie<sup>71</sup>. Uważał on odprężenie z Moskwą za wskazane i pożyteczne. W tym czasie dość powszechnie wysuwano na plan pierwszy niebezpieczeństwo sowieckie. W październiku 1932 roku Piłsudski był zdania, że ze strony niemieckiej nie widzi powodu do niepokoju, a Hitlera i jego ludzi uważa za krzykaczy<sup>72</sup>.

Tymczasem jednak, po deklaracji wielkich mocarstw z 11 grudnia 1932, przynajmniej Niemcom równouprawnienie w zakresie zbrojeń, poczęły mnożyć się akty niemieckiego odwetu, m.in. też na terenie Gdańska.

Rok 1933 jest obfity w wydarzenia o wielkiej doniosłości. W końcu stycznia tego roku Hitler doszedł do władzy. „Kronika” notuje, że 24 marca Piłsudski był bardzo zirytowany. W polityce działy się wielkie rzeczy, a choroba nie pozwalała mu na ich dokładne śledzenie i paraliżowała możliwość decyzji<sup>73</sup>. 18 kwietnia rozmawiał przez godzinę z ministrem Beckiem, któremu dał ostateczne decyzje co do rozmowy z Hitlerem przez ambasadora Wysockiego. Tegoż dnia napisał własnoręcznie projekt dekretu „Na wypadek wojny z Niemcami”, w którym zalecał utworzenie „Rządu Obrony i Jedności Narodowej”<sup>74</sup>.

Ppłk Kazimierz Głabisz, późniejszy generał, ówczesnie oficer do zleceń Marszałka, drugi wybitny zetowiec obok gen. Gustawa Orlicz-Dreszera w jego najbliższym wojskowym otoczeniu, zanotował: „Marzeniem Niemiec — mówił Piłsudski w tym czasie — jest doprowadzić do kooperacji z Rosją, jak za czasów Bismarcka. Dojście do takiej kooperacji byłoby naszą zgubą... Jak przeciwdziałać? Zależnie od danej koniunktury: bądź nastraszeniem słabszego, bądź kolejnym odprężaniem stosunków. Gra bę-

71. B. Miedziński, *Droga do Moskwy, Kronika...*, str. 415.

72. *Kronika...*, str. 415.

73. *Ibid.*, str. 441.

74. *Ibid.*, str. 443.



dzie trudna, przy paraliżu woli i krótkowzroczności Zachodu oraz nieudaniu się moich planów federacyjnych<sup>75</sup>”.

2 maja 1933 Beck raportował Piłsudskiemu przebieg rozmowy ambasadora Wysockiego z Hitlerem w Berlinie w myśl instrukcji z 18 kwietnia. Hitler zgodził się wydać komunikat, iż Kanclerz Rzeszy pragnie utrzymania stosunków z Polską ściśle w ramach traktatów. „Traktatów”? 14 października tegoż roku Niemcy opuściły konferencję rozbrojeniową i zapowiedziały wystąpienie z Ligi Narodów. Niemniej, nie widząc możliwości „wojny prewencyjnej” wspólnie z krajami zachodnimi (Marszałek miał powiedzieć Lepeckiemu: „Nawet gdybyśmy napadli, to też byłaby obrona”), Piłsudski próbuje kontynuować politykę „odprężenia”. 26 stycznia 1934 roku zostaje podpisana w Berlinie deklaracja o nieagresji pomiędzy Polską i Niemcami z ważnością na 10 lat. Zdając sobie jednak dokładnie sprawę z powagi sytuacji, powołuje Piłsudski w maju 1934 przy GISZ-u specjalną zakspirowaną komórkę dla badania problemu narastania niebezpieczeństwa wojennego. Kazimierz Glabisz relacjonuje, że w połowie listopada miała miejsce w Inspektoracie ostatnia konferencja tej komórki (tzw. „Laboratorium”).

Relacja Glabisza jest interesującym historycznym dokumentem. Pisze on, że referaty wygłoszone przez gen. Fabrycego i jego własny, choć były przygotowane zupełnie niezależnie, doprowadziły jednak do wspólnej tezy, że wprawdzie Rosja mogłaby być niebezpieczna, ale wcześniej niebezpieczne będą Niemcy. To znaczy: Sowiety mają już przewagę i ją zwiększają, ale niebezpieczeństwo ataku z ich strony jest mniejsze niż ze strony Niemiec hitlerowskich, które są jeszcze za słabe aby nas zaatakować, ale zbroją się niezwykle uporczywie i wszechstronnie. Operowano okresem 5 do 10 lat.

Większość obecnych — relacjonuje Glabisz — wypowiedziała się przeciw tej tezie, uważając, że zagrożenie ze strony Sowieców jest i będzie większe. Do tej większości przychylił się Beck, powołując się na uspakajające twierdzenia Hitlera, lecz w swej opinii ograniczył się do czasu trzech lat tylko. Tu trzeba przypomnieć, że Niemcy w tym czasie (koniec 1934 roku) jeszcze nie wprowadziły powszechnej służby wojskowej, co nastąpiło w pięć miesięcy później, w marcu 1935 roku<sup>76</sup>. Nie wierzono w siły Francji.

W 1935 roku stan zdrowia Piłsudskiego wyraźnie się pogor-

---

75. *Ibid.*, str. 443.

76. *Kronika...*, str. 494.

szły i tempo jego pracy malało. Dożył jednak dnia 12 kwietnia, w którym złożył swój podpis pod uchwaloną wreszcie w Sejmie w wyniku mozolnych zabiegów nową Konstytucją, uroczystie później podpisaną przez Prezydenta Mościckiego na Zamku w dniu 23 kwietnia 1935. W tych ostatnich dniach swego życia mało już zresztą interesował się zagadnieniami ustroju państwowego i podobno z nowej Konstytucji, której reformy się domagał, nie był w pełni zadowolony. Myśli jego absorbowała stale międzynarodowa sytuacja Polski i jej przyszłość. Jeszcze na dwa dni przed śmiercią, w godzinie chwilowej poprawy samopoczucia, mówił wezwanemu pośpiesznie Józefowi Beckowi, że „trzeba uświadomić Lavalą (wówczas z oficjalną wizytą w Warszawie) do czego Stalin zmierza” i „jak długo to możliwe, utrzymać obecne stosunki z Niemcami”... „To się wielu nie podoba. Ale za wszelką cenę musicie — mówił Beckowi — utrzymać przymerze z Francją i, co więcej, starajcie się w to wciągnąć Anglię”.

Los sprawił, że gdy Piłsudski zmarł 12 maja 1935 i w dniu 17 maja na Polu Mokotowskim w Warszawie żegnano go uroczystie, nie kto inny, ale właśnie zetowiec, generał Orlicz-Dreszer, podjechał pod trumnę i, salutując szablą, złożył milcząco ostatni raport Marszałkowi.

Janusz RAKOWSKI

77. *Ibid.*, str. 512.

(*dok. nastąpi*)

Ś. † P.

Ppłk Dypl. STEFAN TOMASZ EJCHLER

były żołnierz 1-go pułku ułanów Beliny, oficer 7-go pułku Ułanów Lubelskich, były więzień obozów niemieckich w Szczypiornie i Łomży, były więzień obóz sowieckich w Kozielsku i Głazowcu, były minister Spraw Krajowych w Rządzie Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, niezłomny bojownik o niepodległość Polski zmarł w Penley Hospital w Walii 4 grudnia 1980 roku, o czym zawiadamiają pograżeni w żalu

CÓRKA i WNUCZKA w Kalifornii  
SYN w Argentynie.

Stanisław SWIANIEWICZ

## U.S.B. W PERSPEKTYWIE HISTORYCZNEJ\*

Jednym z naturalnych odruchów człowieka, który stoi w obliczu końca, jest spojrzeć wstecz w pewnej zadumie nad zamkniętymi kartami swego życia.

Dzieje Uniwersytetu Wileńskiego stanowią dziś zamkniętą kartę, chociaż nie jest wykluczone, że uczelnia mająca obecnie swoją siedzibę w tych samych murach zechce kiedyś nawiązać jakąś nić duchowej wspólnoty z Akademią, którą zakładali w XVI wieku jezuici i z tym Uniwersytetem, w którym kształtował się geniusz Adama Mickiewicza. Moim zadaniem jest spojrzeć wstecz i uprzytomnić sobie te siły i prądy historyczne, wśród których narodził się i rozwijał Uniwersytet Wileński. Żeby te prądy uchwycić, trzeba sięgnąć nieco głębiej w przeszłość niż data założenia Uniwersytetu, w podłoże, na którego tle te prądy się zrodziły.

### *Wilno*

Oczywiście podstawowe znaczenie dla narodzin i rozwoju Uniwersytetu miało miasto, w którym był ulokowany. Wilno, które w pamięci wielu obecnych tkwi jako miasto wieżyc kościelnych i pogrążonych w zadumie pagórków, było jednocześnie miastem bardzo barwnym, gdyż krzyżowały się tam i wzajemnie przenikały różne idee zrodzone z wielkiej barwności etnicznej i religijnej tej części Europy wschodniej, dla której to miasto było stolicą.

\* Odczyt wygłoszony na dorocznej inauguracji Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, dn. 25 października 1980 r.

Ci z obecnych, którym zdarzało się brać udział w dorocznej inauguracji U.S.B. pamiętają zapewne, jak barwnie na tych uroczystościach w auli kolumnowej wyglądały dwa pierwsze rzędy, gdzie obok wojewody i inspektora Armii siedzieli w uroczystych szatach przedstawiciele wyznań: arcybiskup rzymsko-katolicki, prawosławny archierej, superintendent ewangelicko-reformowany, pastor luterański, mufti muzułmański, naczelny rabin miasta Wilna, figura otoczona specjalnym szacunkiem wśród ortodoksów żydowskich na całym świecie, dalej dostojna postać Hachana Szapszała, wybitnego orientalisty, który był światową głową wyznania karaïmskiego, a obok niego brodata postać prezesa gminy staroobrzędowców, reprezentującego przedstawicieli najdawniejszych tradycji prawosławia rosyjskiego, którzy w XVII wieku szukali opieki pod skrzydłami Rzeczypospolitej, ratując się od prześladowań patriarchy Nikona.

Były to cienie dawnej bogatej historii Wilna. Barwność tego miasta uderzała podróżników już za czasów Giedymina. Z niektórych kronik wynika, że Wilno zamieszkiwali wówczas obok Litwinów również Rusini (tzn. Białorusini), Niemcy, Żydzi i Tatarzy. Niemcy odgrywali wówczas pewną rolę również w sprawach wewnętrznych Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Mieszczanie niemieccy przyczynili się podobno do zamachu, który usunął W. Księcia Kiejstuta ze stolca wielkoksiążęcego w roku 1382.

Byli tam zapewne również Polacy, w wielu wypadkach potomkowie jeńców przyprowadzonych z litewskich wypraw na Mazowsze. Istnieje opowiadanie, że kiedy Aldona, córka Giedymina, wychodziła za mąż za Kazimierza Wielkiego, przyprowadziła ona w posagu kilka tysięcy jeńców polskich, przebywających na Litwie.

### *Wielkie Xięstwo Litewskie*

Wilno przez kilka stuleci było stolicą Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Czym było Wielkie Xięstwo Litewskie? Było to w skali owych czasów imperium powstałe jako przeciwwaga imperium tatarskiego. Gdy w XIII wieku hordy tatarskie szły na Zachód, podbijając księstwa Wschodniej Rusi, mały lecz bitny szczerp litewski zamieszkały w dolnym dorzeczu Niemna wzmógł swoją akcję na wschód i południe, podporządkowując sobie zachodnio-ruskie księstwa, lecz nie niszcząc organizacji religijnej zależnej od Patriarchy Carogrodzkiego. Powstało w ten sposób pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnym obszerne państwo, które

na południu opierało się o Morze Czarne, na wschodzie sięgało rejonu Tuły, a na północy źródeł Wołgi.

Gdy w końcu XIV wieku zarysował się rozkład potęgi tatarskiej, zaczęła narastać groźba ze strony Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, które było satelitą tatarskim i pełniło rolę żandarma tatarskiego w stosunku do innych księstw ruskich. Za czasów Iwana Kality Moskwa w drodze intryg i przekupstwa zabiegała o tatarską zgodę na inkorporowanie części innych księstw ruskich. Powstała idea zbierania ziem ruskich (*sobiranija ziemi ruskiej*). Stanowiło to bezpośrednią groźbę dla Wielkiego Księstwa Litewskiego, które pod względem językowo-kulturalnym było państwem ruskim (czyli, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, białoruskim). Henryk Paszkiewicz podaje, że w 1370 roku Wielki Książę Olgierd pisał do patriarchy carogrodzkiego, że Moskwę uważa za swego największego wroga.

Ta świadomość groźby moskiewskiej odegrała zapewne niepoślednią rolę w formowaniu się Unii polsko-litewskiej. Gdy w 1399 roku Wielki Książę Witold szedł nad Worskłę, maszerowały pod jego dowództwem zastępy rycerstwa polskiego jak również rycerstwa zakonnego. Latopisiec ruski podaje deklarację Witolda przed wyruszeniem na tę wyprawę: pobijemy cara Timur Kutłuka, zabierzemy jego carstwo i posadzimy na nim cara Tochtamysza, a ja sam *siadam na Moskwie, na wielikim kniaźeniu na wsiej ruskiej ziemi*.

Kłęska nad Worskłą była katastrofą, która znaczy koniec planów imperialnych Olgierda i Witolda. Odtąd Litwa zajmuje wobec naporu Moskwy prawie wyłącznie (z wyjątkiem krótkiego okresu w początkach XVII wieku) stanowisko obronne. W 10 lat po Worskli przyszedł Grunwald. Była to wspaniała manifestacja tej potęgi, która została stworzona Unią polsko-litewską. Litwa zabezpieczyła sobie władanie Żmudzią. W rosyjskiej szkole, w której byłem przed pierwszą wojną światową, uczono mnie że była to konfrontacja germanizmu ze zjednoczoną Słowiańszczyzną. Długosz wyraża pewne zdziwienie, że Jagiełło po Grunwaldzie ociągał się z atakiem na Malborg, co mogło zupełnie zniszczyć państwo krzyżackie. Odpowiedź — jak mi się wydaje — polega na tym, że Litwa nie była zainteresowana w zupełnej likwidacji państw zakonnych, a szczególnie państwa Kawalerów Mieczowych, które stanowiło zabezpieczenie lewego skrzydła w nieuniknionej rozprawie z Moskwą. Gdy w pół wieku po Grunwaldzie toczyła się trzynastoletnia wojna z Krzyżakami w obronie niemieckiego mieszczaństwa Gdańska, Elbląga i Torunia, które

szukało opieki króla polskiego przeciwko zdzierstwom Zakonu, Litwa nie brała w tej wojnie udziału. Nad Wielkim Xięstwem Litewskim wisi przed wszystkim problem właściwego ułożenia stosunków z sąsiadami z północnego wschodu: z państwem Kawalerów Mieczowych oraz z państwami Nowgorodu i Pskowa.

W sześćdziesiąt lat po Grunwaldzie przychodzi wydarzenie, które przyczyniło się ogromnie do zachwiania równowagi w północnej Europie oraz do wzrostu dysproporcji pomiędzy siłami Moskwy i Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Moskwa, wolna już od zwierzchnictwa tatarskiego, przeważającymi siłami zaatakowała republiki kupieckie Wielkiego Nowgorodu i Pskowa, bogate gospodarcze i kulturalne centra Rusi północnej. Nowgorod należał do Hanzy, miał liczne gospodarcze i polityczne więzy z Wielkim Xięstwem Litewskim i gotów był uznać zwierzchnictwo Wielkich Książąt Litewskich. W owym czasie jednak Kazimierz Jagiellończyk uprawiał w stosunku do Moskwy to, co byśmy dziś nazwali polityką *détente*. Ograniczył się więc do protestów dyplomatycznych. Zdobywając Wielki Nowgorod Moskwa opanowała właściwie całą północ dzisiejszej Rosji europejskiej, a więc szlaki do Morza Białego. Następcy Iwana III założyli port w Archangielsku, a Iwan IV Groźny proponował nawet małżeństwo Elżbiecie I.

Iwan III zarządził deportację nad środkową Wołgę prawie całej ludności Nowgorodu, nawet kupców hanzeatyckich, którzy przy tej okazji zostali ogarnięci przez wojska moskiewskie. W ten sposób została zapoczątkowana ta moskiewska metoda administracji na zdobytych terenach, dobrze znana ludziom mego pokolenia, a także zerwana bardzo cenna nić, która gospodarczo i kulturalnie łączyła Europę północną i środkową.

Niedługo po tym przyszedł bezpośredni atak cara Wasilija, syna Iwana III, na terytorium Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Wojska Rzeczypospolitej pod dowództwem ks. Konstantego Ostrogskiego, wielkiego hetmana litewskiego oraz opiekuna prawosławia, odniosły wspaniałe zwycięstwo w bitwie pod Orszą w 1514 roku. Na cerkwi św. Trójcy w Wilnie zawisły dzwony, na których wyrzeźbiono, że ufundowane są na pamiątkę zwycięstwa nad *kniazem moskowskim worogom wiery prawosławnej*. Lecz Rzeczpospolita utraciła Smoleńsk, Rosławł, Karaczew, Briansk i Kozielsk.

Po dojściu do Morza Białego aspiracje Moskwy zwracają się ku Bałtykowi. Iwan IV obsadza Połock i zajmuje znaczną część Inflant, nie może jednak zdobyć Rygi. Spadkobiercy Kawalerów Mieczowych oddają się pod opiekę Rzeczypospolitej. Stefan Ba-

tory szykuje wielką wyprawę w celu wyzwolenia Inflant. Widać coraz wyraźniej, że Litwa bez pomocy Korony nie jest w stanie zabezpieczyć swoich granic.

W tej właśnie atmosferze rodzi się Uniwersytet Wileński. Pierwszą cechą tej atmosfery jest wzmożona agresja Moskwy. Drugą jest bardzo szybkie rozpowszechnianie się reformacji. Na ziemię zakonne i na Inflanty reformacja przychodziła z Niemiec w formie luteranizmu, do Wielkiego Xięstwa Litewskiego w formie nauki Kalwina oraz herezji antytrynitarzkiej. Jest to główny czynnik, który pobudził władze kościelne do wysunięcia idei założenia uniwersytetu i zaproszenia takich ludzi jak Piotr Skarga lub Jakub Wujek.

Już w 1570 roku została utworzona uczelnia na poziomie uniwersyteckim, na której czele stanął Jakub Wujek. Akt erekcyjny podpisany przez Stefana Batorego w 1578 roku nadał tej uczelni status równy Akademii Krakowskiej. Trzecim czynnikiem był wielki problem unii kościelnej, która nie udała się w rezultacie Soboru Florenckiego w XIV wieku, bowiem realizacja uchwał tego Soboru została zablokowana zarówno przez władze sułtańskie jak i cara moskiewskiego, lecz była możliwa do załatwienia regionalnego w ramach Rzeczypospolitej. Wymagało to jednak wykształcenia zespołu ludzi z odpowiednim przygotowaniem teologicznym, filozoficznym i historyczno-prawniczym oraz znajomością specyficznych problemów Kościołów Wschodnich. Dzieło ks. Piotra Skargi, pierwszego rektora Uniwersytetu Wileńskiego „O jedności Kościoła Bożego” jest świadectwem wagi, jaką przywiązywano do tej sprawy.

### *Uniwersytet Jezuicki*

Nie jest moim zamiarem mówić o wewnętrznym rozwoju Uniwersytetu za czasów jezuickich, ani o pracach naukowych które w owym czasie powstały. Nazwiska Piotra Skargi, Jakuba Wujka, Macieja Sarbiewskiego, Marcina Smigleckiego należą do historii polskiej kultury, Wojciech Kojalowicz był autorem pierwszej Historii Litwy, napisanej oczywiście po łacinie. Ogólnie powiedzieć można, że zasadniczym kierunkiem nauczania było rozwijanie doktryny kontrreformacji.

Należy zastanowić się nad wpływem, jaki Uniwersytet ten wywarł na umysły w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że np. w 1596 roku studiowało na Uniwersytecie około 800 studentów, że wśród nich byli Litwini,

Polacy, Rusini (tzn. Białorusini i Ukraińcy), Szwedzi, Niemcy, Węgrzy i nawet Tatarzy, wpływ ten musiał być bardzo znaczny. W Wielkim Xięstwie Litewskim wpływ ten rozpowszechniał się również poprzez system szkół, zależnych od Uniwersytetu. Było w tym czasie na terenie Wielkiego Xięstwa Litewskiego i Inflant około 100 szkół podporządkowanych Uniwersytetowi.

Rezultatem tego wpływu był odpływ fali sympatii protestanckich. Rodziny szlachty ruskiej, które uległy wpływowi reformacji, a z nią razem przyjmowały w życiu codziennym język polski, teraz stawały się rodzinami przeważnie katolickimi. Wśród warstw wyższych i średnich rozpowszechniła się ogromnie znajomość łaciny, co wprowadzało te warstwy w krąg kultury europejskiej. Trzeba też wymienić Althussera, wraz z miłosierną inwokacją:

Tu stajemy wobec pytania, przez które nie mogę przeskoczyć, lecz na które nie umiem z pewnością sobie odpowiedzieć, bo to wymagałoby o wiele lepszej znajomości XVII wieku niż ta, którą posiadam. Chodzi mi o to, czy doktryna kontrreformacji głoszona na Uniwersytecie Wileńskim zaważyła na stosunkach polsko-szwedzkich. W warunkach zagrożenia przez Moskwę racja stanu Rzeczypospolitej, a w szczególności Wielkiego Xięstwa Litewskiego, wymagała współdziałania ze Szwecją. Należało więc zrobić maksymalny wysiłek, aby uniknąć wszelkich zadrażnień w sprawach mniej istotnych, jak np. rozgraniczenie polskich i szwedzkich wpływów na Inflantach. Ks. Janusz Radziwiłł, którego Henryk Sienkiewicz ucharakteryzował na zdrajcę, zajmował postawę, która odpowiadała racji stanu Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Nie jest wykluczone, że stan umysłów wytwarzany przez kierunek wychowawczy Uniwersytetu mógł w pewnym stopniu przyczynić się do tych wojen szwedzkich, od których rozpoczął się upadek Rzeczypospolitej.

Innym wielkim problemem, który absorbował wybitniejsze umysły Uniwersytetu była Unia Kościołów. Unia Brzeska zawarta w 1594 roku była wielkim wydarzeniem w dziejach chrześcijaństwa. Synod Kościoła Ukraińskiego, który niedawno pod przewodnictwem Papieża Jana Pawła II miał miejsce w Rzymie, jest dalszym ciągiem prądów historycznych, które zrodziła Unia Brzeska. Unia dała Kościołowi katolickiemu świętych i męczenników: św. Andrzeja Bobołę, św. Józafata Kuncewicza, setki męczenników masakrowanych zarówno przez władze carskie jak potem sowieckie. Bezpośrednio po Unii na Uniwersytet spadł obowiązek troski o podniesienie poziomu intelektualnego kleru unickiego. Jest to dziedzina, która wymaga specjalnych studiów historycznych.



Przychodzi nieszczęśliwy dla Polski wiek XVII, wojny szwedzkie, a potem najazd moskiewski w 1655 roku. Wojska moskiewskie zostają tu przez 6 lat. Majątek uniwersytecki rozgrabiony. Morowe powietrze, które kilkakrotnie nawiedza Wilno przyczynia się do zmian w etnicznym charakterze ludności. Poważną podniętą do zmian w charakterze nauczania i aktywności Uniwersytetu przynosi sekularyzacja związana z rozwiązaniem zakonu jezuitów oraz reorganizacja związana z powstaniem Komisji Edukacyjnej. Niedługo potem przychodzi katastrofa rozbiorów.

### *Paradoks*

Na początku wieku XIX rozwój stosunków przyjmuje charakter zupełnie niespodziewany, na pozór sprzeczny z logiką historii, z zasadniczymi dążeniami Moskwy oraz państwa rosyjskiego tak jak one uwydatniły się w ciągu uprzednich pięciu wieków. Uniwersytet nie zostaje zlikwidowany lecz, odwrotnie, wchodzi w najbardziej twórczy okres swoich dziejów. Staje się ośrodkiem promieniowania sugestywnych idei, które mają ożywiać naród polski przez całe następne stulecie. Zostaje rzucone hasło odrodzenia kultury litewskiej i białoruskiej. Uniwersytet staje się oficjalnym centrum nauki i oświaty, obejmującym cały dawny teren Wielkiego Xięstwa Litewskiego, włączając Kijów. Wszędzie na tych terenach rozlega się mowa polska i umacnia się znajomość języka polskiego. Powstają liczne szkoły z polskim językiem wykładowym. Francuski sławista Daniel Beauvois ogłosił niedawno dwa tomy swoich badań archiwalnych nad rozwojem oświaty w tym niezwykłym okresie. Nazwiska Śniadeckich, Lelewela, Mickiewicza, Domejki są dostatecznie znane każdemu.

Po wstąpieniu na tron Mikołaja I oraz Powstaniu Listopadowym polityka władz rosyjskich wróciła do tendencji ukształtowanych w ciągu poprzednich pięciu wieków: uniwersytet zamknięto, zaczęły się prześladowania języka polskiego oraz różne zarządzenia, aby zatamować ruch odrodzenia kultury litewskiej i białoruskiej.

### *U. S. B.*

Gdy w 1919 roku wojska polskie wkroczyły na barwny etnicznie i językowo teren Wielkiego Xięstwa Litewskiego, było

jasne, że nie przynosiły one żadnego rozwiązania na dalszą metę. Rosja, chociaż chwilowo znacznie osłabiona, stanowiła wciąż potencjalną groźbę. Wydawało się oczywiste, że aby jej nieuniknioną agresję utrudnić, trzeba było wzmocnić miejscowe siły oporu, a więc obudzić wolę do zaznaczenia odrębnej indywidualności kulturalnej i narodowościowej tych ziem, które stanowiły niegdyś Wielkie Xięstwo Litewskie. Wskreszenie Uniwersytetu miało być czynnikiem aktywizującym miejscowe zasoby intelektualne. Nie wątpię, że tak właśnie myślał Naczelny Wódz, gdy w kwietniu 1919 roku wydawał swoją odezwę do mieszkańców b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego, lub gdy w październiku tego samego roku, otwierając Uniwersytet, wzywał aby stworzyć Ateny Polskie na wschodzie.

Pomiędzy polityką Piłsudskiego a stanem umysłów w Polsce była jednak głęboka różnica. Większość Polaków myślała o nowo odbudowanym państwie jako o państwie narodowym, zakładając, że obcojęzyczne elementy muszą być szybko zasymilowane. W oparciu o to założenie negocjowano traktat Ryski, co tłumaczy różne właściwości tego traktatu, zawartego przez Komisję Sejmową, na którą Marszałek Piłsudski nie miał wpływu. Tym stanem umysłów wśród znacznej części społeczeństwa polskiego tłumaczyć należy, że wydział humanistyczny nigdy nie zdobył się na założenie ani katedry literatury litewskiej, ani też katedry literatury białoruskiej.

W 1922 roku Wilno na zasadzie uchwały Sejmu Wileńskiego zostało wcielone do Polski. Wilno, które według początkowych planów Józefa Piłsudskiego miało stać się metropolią dla poważnej części Europy wschodniej, stało się wojewódzkim miastem jednego z najbiedniejszych województw narodowego państwa polskiego, a Uniwersytet jednym z prowincjonalnych uniwersytetów w tym państwie.

Znaczenie i rolę każdego uniwersytetu można oceniać z dwóch zasadniczych punktów widzenia. Po pierwsze poprzez ocenę jego roli w naukach czystych (matematyka, fizyka, chemia, filozofia) oraz stosowanych (np. medycyna). Po wtóre poprzez ocenę jego roli jako ośrodka myśli twórczej i nowych idei, które mogą mieć wpływ na szerokie kręgi ludzi.

Jeżeli chodzi o pierwszy punkt widzenia, sądzę, że wystarczy jeden przykład. Uniwersytet Wileński był w latach trzydziestych jednym z kilku uniwersytetów świata, które przyczyniły się do największego wydarzenia naukowego naszych czasów, rozbitcia atomu. Dr Henryk Niewodniczański, doktoryzowany i habilito-

wany w U.S.B., był w latach trzydziestych członkiem ekipy Lorda Rutheforda w Cambridge. W 1939 roku wrócił do ojczy-  
tego Uniwersytetu, aby objąć katedrę fizyki eksperymentalnej.  
Po wojnie był dyrektorem Instytutu Badań Jądrowych Polskiej  
Akademii Nauk w Krakowie.

Jeżeli chodzi o drugi punkt widzenia, posłużę się znowu  
tylko jednym przykładem, chociaż nieco bardziej skomplikowa-  
nym. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych rozwinął się  
wśród młodzieży ruch intelektualny, poszukujący nowych dróg  
zarówno w dziedzinie ogólnego światopoglądu jak i w dziedzinie  
idej społecznych, a także nowych form ekspresji literackiej.  
Otrzymał on nazwę Dembińszczyzny, od nazwiska studenta, który  
go zapoczątkował. Wiele wydawnictw, szczególnie w Kraju,  
przedstawia ten ruch w krzywym zwierciadle, jako spontaniczny  
marsz młodzieży pod skrzydła Kominternu. Gdy więcej niż  
ćwierć wieku temu po raz pierwszy czytałem *Umysł zniewolony*  
Czesława Miłozza, miałem wrażenie, że w dużym stopniu jest to  
książka o psychologii tego ruchu. Uniwersytet Wileński wycho-  
wał nie tylko współuczestnika w pierwszym rozbięciu atomu, lecz  
również przyszłego laureata literackiej nagrody Nobla.

Aby ocenić rolę Uniwersytetu w tym okresie, należy również  
wspomnieć o Instytucie Europy Wschodniej. Ta instytucja nau-  
kowa postawiła sobie za cel zajęcie się sprawami, które w oczach  
wielu ludzi stanowiły misję Wilna w tej części Europy. Instytut  
Europy Wschodniej opierał się o Bibliotekę Wróblewskich, od  
Uniwersytetu był formalnie oraz finansowo niezależny, lecz dzia-  
łali w nim na ogół ludzie wykładający na Uniwersytecie. W Insty-  
tucie prowadzono badania nad problemami odrodzenia kultury  
litewskiej i białoruskiej. Pierwszym dyrektorem był Janusz Ję-  
drzejewicz. Gdy ten odszedł do Warszawy na stanowisko mi-  
nistra oświaty, a potem premiera, dyrektorem został doc. Wł.  
Wielhorski, autor szeregu studiów z historii Litwy i państw  
bałtyckich. Prezesem zarządu był prof. Stefan Ehrenkreutz, za-  
łożyciel Studium Historii Prawa Litewskiego przy Wydziale  
Prawnym Uniwersytetu oraz ostatni rektor U.S.B.

W tych końcowych akordach mego odczytu zwracam się myślą  
do jednego z największych umysłów naszego Uniwersytetu, prof.  
Mariana Zdziechowskiego. Był rektorem w latach 1925-26 oraz  
częściowo 1926-27. Jego wykłady z historii literatury powszech-  
nej porывały słuchaczy. Poszedł na emeryturę w pierwszej poło-  
wie lat trzydziestych. Miałem z nim stały kontakt w ostatnich  
latach jego życia. Miał wizję zbliżającego się kataklizmu. Przed  
śmiercią wydał książkę pt. „W obliczu końca”. W 1938 roku

wyłosił przez Radio Wileńskie odczyt, w którym powiedział, że czeka nas męczeństwo. Umarł niedługo przed wybuchem wojny.

Śmiercią męczeńską w więzieniach sowieckich zginęli ostatni rektor prof. Stefan Ehrenkretz oraz rektor w 1937-38 roku, prof. W. M. Jakowicki. Złożył on berło rektorskie, gdy zaczęto nalegać, aby dla utrzymania normalnego funkcjonowania Uniwersytetu zrobił pewne gesty antysemityczne. Uważał, że jego pojęcie honoru nie pozwala mu na żadne gesty tego rodzaju. Został aresztowany natychmiast po wkroczeniu wojsk sowieckich do Wilna na jesieni 1939 roku. W więzieniach sowieckich zamęczeni zostali również prof. Kempisty (matematyk) oraz doc. S. Cywiński (badacz literatury). Ciała prof. W. Godłowskiego (psychiatra) oraz dr. Oficjalnskiego (farmakolog) znalezione zostały w grobie katyńskim.

Niemcy rozstrzelali prof. M. Gutkowskiego (skarbowość), K. Pelczara (patologia), dr. S. Minkiewicz (chemia), prof. J. Iwazkiewicz (historia). 8 członków personelu wykładowego przeszło przez sowieckie więzienia i łagry.

Krew męczenników bywa posiewem rzeczy wielkich. Czy co się z tej krwi narodzi, pokaże historia.

Na tym zamknęła się karta Uniwersytetu Wileńskiego.

### *Zamknięte karty*

Rozważając dzieje Uniwersytetu Wileńskiego w perspektywie historycznej, musimy uwzględnić okresy przypływów i odpływów w dziejach wymiany kulturalnej Wschód - Zachód. Obecny los Uniwersytetu jest niewątpliwie związany z odwróceniem się procesu przenikania zachodnioeuropejskiej cywilizacji na wschodnioeuropejską równinę. Uniwersytet Wileński stanowił jedną ze ścieżek, którymi te wpływy przenikały. W najbardziej ogólnych terminach cywilizację europejską możemy określić jako mieszanekę różnych idei związanych z filozofią średniowieczną, reformacją oraz osiemnastowiecznym racjonalizmem. W toku stuleci cywilizacja zachodnia rozszerzała się na europejski wschód poprzez rozpowszechnianie się w tamtym kierunku niemieckiej i polskiej kultury.

Przenikanie niemieckie posuwało się wzdłuż brzegów Bałtyku oraz poprzez militarną aktywność zakonów rycerskich i handlową aktywność Hanzy. W XIII wieku Niemcy razem z Duńczykami założyli Rygę. Zakony rycerskie w ramach swojej misji zmierzającej do likwidacji pogaństwa eksterminowały poważną

część ludności zamieszkującej w rejonach na południe od Bałtyku: Prusaków, Kurów, Liwów i Zemgałów. Przed pierwszą wojną światową wielcy właściciele ziemscy w Prusach Wschodnich, Kurlandii oraz na Inflantach mieli przeważnie niemieckie nazwiska. Byli to potomkowie Kawalerów Mieczowych.

Polskie wpływy zaczęły przenikać w dwa stulecia później, po uformowaniu się wspólnoty polsko-litewskiej, tzn. w końcu XIV wieku. Wyższe warstwy wśród ludności litewskiej i ruskiej (białoruskiej) zaczęły powoli przyjmować polski język i polskie obyczaje. Proces ten objął również potomków Kawalerów Mieczowych na Inflantach. Jako wyraz tej niemieckiej i polskiej ekspansji kulturalnej powstały trzy uniwersytety: Królewiec (1540), Wilno (1578) oraz Dorpat (1632). Pomimo pewnych kontrowersji i konfliktów istniało wzajemne przenikanie i pewien zakres wzajemnej pomocy pomiędzy tymi dwoma prądami wpływów kulturowych. Kiedy w 1655 roku wojska Aleksieja Michajłowicza najechały na Wilno, najbardziej czczone świętości kultu wileńskich katolików — obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej oraz relikwie św. Kazimierza — zostały ewakuowane do luteranckiego Królewca\*.

W XIX wieku wytworzyła się również trzecia droga, przez którą idee zachodnie przenikały na wschodnioeuropejską równinę. Tym środkiem przekazu była liberalna inteligencja rosyjska. Wielu inteligentów rosyjskich uczyło się francuskiego i niemieckiego oraz ulegało wpływom filozofii i literatury zachodniej. Na początku bieżącego stulecia głosili oni ideał przekształcenia Rosji w konstytucyjne państwo na modłę zachodnioeuropejską. Ich wpływ na sposób myślenia przedstawicieli biurokracji oraz korpusu oficerskiego był bardzo poważny, co niewątpliwie wpłynęło na postawę tych sfer w dniach kryzysu w lutym 1917 roku.

Te wszystkie trzy kanały zostały zlikwidowane w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Niemieckie wpływy kulturalne zostały bardzo zredukowane w rezultacie pierwszej wojny światowej. Głównym czynnikiem były tutaj bardzo radykalne reformy agrarne przeprowadzone na Łotwie i w Estonii. Spowodowały one, że prawie wszyscy wielcy właściciele ziemscy oraz poważna część klasy średniej musieli wyemigrować do Niemiec. Polskie kanały zostały zlikwidowane częściowo przez masowe deportacje na Daleką Północ oraz do sowieckiej Azji środkowej, częściowo przez egzekucje, wśród których katyńska jest najbardziej na świe-

---

\* Prof. Henryk Mościcki, *Wilno, Warszawa 1924*. Cytowane w *Alma Mater Vilnensis*, Londyn 1950, str. 29.

cie znaną, częściowo przez przesiedlenie ludności z dawnych województw wschodnich na Zachód.

Rosyjska liberalna inteligencja uległa eksterminacji częściowo podczas wojny cywilnej w latach 1918-1921, częściowo podczas różnego rodzaju czystek stalinowskich. Dziś na terenie Europy wschodniej formuje się nowa cywilizacja, stanowiąca mieszaninę tatarskiego i moskiewskiego absolutyzmu z rosyjskim dziewiętnastowiecznym nihilizmem upiękuszonym frazeologią marksistowską. Obecni dysydenci reprezentują opozycję w stosunku do tej cywilizacji. W tej chwili nie sposób jednak ocenić znaczenia tej opozycji. Zlikwidowanie przeważającej części niemieckiej ludności we Wschodniej Nadbałtyce oraz przeważającej części ludności polskiej na wschód od etnicznych granic dawnego Królestwa Polskiego sprawia, iż jest wysoce nieprawdopodobne, aby na tych terenach języki niemiecki i polski stały się w przyszłości środkami przekazu w wymianie kulturalnej Wschód-Zachód. W tym sensie dzieje Uniwersytetu Wileńskiego stanowią zamkniętą kartę.

Istota rzeczy tkwi jednak nie w języku, lecz w całkiem odmiennej hierarchii wartości, którą nowa cywilizacja sowiecka chce narzucić światu. Jeżeli kraje bałtyckie, Ukraina i Białoruś uzyskają kiedyś niepodległość, panujące tam języki staną się najważniejszymi lingwistycznymi środkami przekazu idej zachodnich na teren Europy wschodniej. Wówczas też nic wspólnoty duchowej z dawnym Uniwersytetem Wileńskim zostanie odnowiona.

*Stanisław SWIANIEWICZ*

## WSPOMNIENIA

Karol KRACZKIEWICZ

### PRZEDWOJENNA „WIERZBOWA”

#### WSPOMNIENIE O POLSKIEJ SŁUŻBIE ZAGRANICZNEJ

W lipcu 1926 roku, zaledwie kilka tygodni po uzyskaniu dyplomu magistra prawa Uniwersytetu Warszawskiego, przyjęty zostałem do służby w MSZ w charakterze bezpłatnego praktykanta; stało się to za poparciem, dzięki stosunkom rodzinnym na Ukrainie, Romana Knolla, ówczesnego Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dwa miesiące przedtem, w czasie zamachu majowego, Knoll przejmował MSZ w imieniu obozu piłsudczyków. Z polecenia Knolla przyjęty zostałem przez Naczelnika Wydziału Osobowego, Dzieduszyckiego, który po krótkiej rozmowie mającej głównie na celu sprawdzenie mojej francuszczyzny, zlecił jednemu ze swych urzędników dopełnić formalności mego nowego statusu praktykanta i poinformował mnie, że mam następnego dnia zgłosić się do pracy w referacie Ligi Narodów, w Wydziale Organizacji Międzynarodowych.

Kwalifikacje moje do służby zagranicznej polegały na dyplomie magistra prawa, na dobrej znajomości języka francuskiego, nabytej od dzieciństwa dzięki wysiłkom kilku kolejnych *mademoiselles*, pogłębionej zaś potem pewnym odczytaniem z klasykami literatury francuskiej i dorywczymi tłumaczeniami z lub na francuski, podejmowanymi za czasów studenckich w celach zarobkowych; wreszcie na daleko mniej dobrej znajomości języków niemieckiego, angielskiego i rosyjskiego. Żadnego doświadczenia

narabytego za granicą oczywiście nie miałem, pomijając kilkutygodniowy pobyt w Genewie, w 1925 roku, jako członek delegacji akademickiego stowarzyszenia przyjaciół Ligi Narodów na Światowy Zjazd studenckiego ruchu przyjaciół tej organizacji międzynarodowej.

W chwili gdy zostałem praktykantem w MSZ nie miałem jeszcze 22 lat: studia udało mi się ukończyć wcześniej, gdyż mimo lat rewolucji na Ukrainie i niesprzyjających nauce wydarzeń wojennych 1920 roku w Polsce nie opuściłem żadnego roku szkolnego, a ze służby wojskowej zostałem zwolniony z powodu bardzo krótkiego wzroku.

Szkic niniejszy o polskiej służbie zagranicznej jest zarazem rodzajem pamiętnika, gdyż oparty jest niemal wyłącznie na osobistych wspomnieniach i znajomości ludzi których opisuję, a równocześnie jest próbą dania ogólnego choć pobieżnego obrazu tej służby, a zwłaszcza jej organizacji i personelu.

### *Organizacja i personel Centrali MSZ*

MSZ w tych latach miało organizację niezmiernie prostą i — jak wydaje mi się z perspektywy lat i doświadczenia — dość logiczną. Poza Gabinetem Ministra i kilkoma służbami niezależnymi — jak Protokół Dyplomatyczny, Biuro Personalne, referat szyfrów — dzieliło się ono na trzy Departamenty: Polityczny, Konsularny i Administracyjny. Departament Polityczny składał się z kilku wydziałów: Organizacji Międzynarodowych (P. I), Zachodniego (P. II), Wschodniego (P. III), Prawnego (P. V), Prasowego (P. VI) i Biura Rady Ekonomicznego. Osobny Wydział Środkowej Europy (P. IV) istniał przez pewien czas ale został wkrótce skasowany. Departament Konsularny miał trzy Wydziały, które w ostatnich latach przedwojennych nosiły miano: Polityki Emigracyjnej, Polaków Zagranicą i Opieki Prawnej; wreszcie Departament Administracji zawierał różne służby jak budżet, kontrola rachunkowości centrali i placówek, komunikacje, służby gospodarcze. Na czele każdego z Departamentów stał Dyrektor; w latach późniejszych zniknęło wszakże stanowisko Dyrektora Departamentu Politycznego (DPP) (funkcje te przejął nominalnie Podsekretarz Stanu, a faktycznie Szef Gabinetu Ministra), a na czele trzech głównych Wydziałów Politycznych stanęli urzędnicy z rangą wice-dyrektorów Departamentu Politycznego. Ku końcowi lat trzydziestych całkowity personel Centrali CSZ liczył nie więcej niż jakieś 500 osób, a personel



placówek dyplomatycznych i konsularnych może jakieś 750 osób. Wśród tego personelu było około 530 urzędników tzw. referendarskich, tzn. spełniających funkcje dyplomatyczne, konsularne lub administracyjne na wyższym poziomie, a więc wchodzących w skład właściwej służby zagranicznej: pozostali, tj. przeszło 750 osób był to personel pomocniczy — liczebnością niezmiernie skromny, zwłaszcza gdy się go porówna z obecnymi służbami zagranicznymi nawet państw „średnich”, a tym bardziej w porównaniu ze służbami wielkich mocarstw, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych, które zatrudniają w tym dziale wiele dziesiątków tysięcy pracowników.

*Wydział Organizacji Międzynarodowych (P. I)*, gdy w nim pracowałem, obejmował referaty: Ligi Narodów, Gdański, spraw wyznaniowych i tranzytowy — ten ostatni został później przeniesiony do Ministerstwa Komunikacji.

Naczelnikiem Wydziału był w 1926 roku Adam Tarnowski (ale nie ze znanej rodziny arystokratycznej), lewicujący Piłsudczyk, bodaj członek „Wyzwolenia”, człowiek spokojny, raczej miłkliwy, jakby zadumany w sobie, cieszący się dużym autorytetem wśród współpracowników — wyczuwało się u niego prawość charakteru i dbałość o obiektywny stosunek do spraw i ludzi. Został on w latach późniejszych Posłem RP w Bułgarii, a na emigracji był ostatnim Ministrem Spraw Zagranicznych przed cofnięciem uznania przez Aliantów rządowi polskiemu (Arciszewskiego). Jako młody praktykant nie miałem z nim częstych osobistych kontaktów, ale wiem że interesował się moją pracą i komentował przychylnie jej wyniki.

Po objęciu teki spraw zagranicznych przez Józefa Becka, Tarnowski stawał się coraz ostrzejszym krytykiem linii politycznej i metod nowego Ministra; pozostał nadal na stanowisku Posła w Bułgarii, zapewne tylko dzięki powiązaniom jakie posiadał w obozie Piłsudczyków, które okazały się mocniejsze niż wyraźna nieprzychylność szefa resortu.

Następą jego był Tadeusz Gwiazdoski, uprzednio przez wiele lat Radca Stałej Delegacji RP do Ligi Narodów w Genewie. W tym charakterze był w czasie mego pobytu nad Lemaniem moim bezpośrednim szefem, a zarazem mentorem techniki urzędowania w kancelariach dyplomatycznych, i z czasem również moim bliskim przyjacielem. Miał doskonałą pamięć i pasję dokładności — osobiście dopilnowywał prawidłowego umieszczenia dokumentów we właściwych teczках; jego raporty do Centrali zaczynały się od krótkiego, ale jasnego przytoczenia ante-

cedensów omawianej sprawy; słynęły też z precyzyjnego przedstawienia wszystkich jej elementów i przytoczonych w niej argumentów, a zwłaszcza faktów które były zawsze sprawdzane bardzo starannie. Był on z pewnością najlepszym w MSZ znawcą organizacji międzynarodowych i ich szczególnych metod pracy. Od-dany całą duszą służbie, był to urzędnik niezmiernie cenny — *un grand commis d'Etat* — jak go kiedyś określił jeden z dygnitarzy MSZ. Przy tym nie był bynajmniej zasuszonym biurokratą; bardzo towarzyski, umiał sobie zjednywać ludzi (a także panie) swoim wdziękiem i ożywieniem.

Kierownikiem Referatu Ligi Narodów był z początku Tytus Komarnicki, późniejszy Poseł w Bernie i Delegat do Ligi Narodów, a na emigracji autor szeregu książek historyczno-politycznych. Specjalista prawa międzynarodowego, a zwłaszcza interpretacji postanowień statutu Ligi Narodów, człowiek inteligentny ale nadto dający się ponosić swoim pasjom, w dodatku mało taktowny, nie był on ideałem klasycznego dyplomaty. Następcą jego został Stanisław Łepkowski, legionista, obrotny, zdolny, ogładzony, zręczny i trochę „lisi”. W latach późniejszych został zastępcą Szefa Kancelarii Cywilnej Prezydenta Mościckiego, a potem, w czasie wojny, Szefem kancelarii Prezydenta Raczkiewicza; pod naciskiem kół politycznych zbliżonych do Generała Sikorskiego musiał jednak to stanowisko opuścić, uzyskując w zamian nominację na Konsula Generalnego w Pretorii.

W codziennej pracy najbliżej stykałem się z Zygmuntem Gra-lińskim, młodym, przystojnym, energicznym radykałem wywo-dzącym się z „Wyzwolenia” i popieranym wyraźnie przez Tar-nowskiego. Człowiek otwartej głowy, nie bojący się głośno i ze swadą wygłaszać swych myśli, obdarzony dużą, choć może po-wierzchną inteligencją — była to sympatyczna postać, której trudno było nie lubić. Po kilku latach opuścił MSZ, zajął się adwokaturą, zawodem który przyniósł mu pokaźne dochody, a równocześnie możliwość działalności politycznej w ramach lewico-wej opozycji do reżymu. Spotkałem go znów we Francji, w la-tach 1939-40, jako wiceministra Spraw Zagranicznych w rządzie Sikorskiego. Po upadku Francji i przeniesieniu się Rządu do Londynu wysłany został w misji do Stanów Zjednoczonych i zginął na morzu na skutek storpedowania statku. Gdyby był Francuzem, widziałbym go doskonale w roli *radical-socialiste* w klimacie międzywojennym Paryża, łączącego bez wewnętrznych trudności głoszone przez siebie hasła radykalizmu społecznego z robieniem szybkiej kariery finansowej i politycznej. Zawdzię-czam mu pierwsze pobory w charakterze pracownika MSZ; do-

wiedziawszy się ze zdziwieniem, że po przeszło ośmiu miesiącach pracy jestem nadal bezpłatnym praktykantem (taki był wówczas zwyczaj), zajął się natychmiast, nic mi o tym nie mówiąc, naprawieniem tego stanu rzeczy, i po kilku dniach przyniósł mi triumfalnie do podpisu umowę służby kontraktowej z poborami X-go stopnia służbowego. Zdaje się, że był również motorem propozycji która została mi zrobiona latem 1927 roku, polegającej na wyborze między otrzymaniem stypendium MSZ-u na dodatkowe studia w słynnej École des Sciences Politiques w Paryżu (o które złożyłem podanie kilka miesięcy przedtem), a przydziałem do Stałej Delegacji RP przy Lidze Narodów w Genewie w charakterze tymczasowego *Attaché* — (tymczasowość nominacji miała ustać z chwilą pomyślnego zdania egzaminu dyplomatyczno-konsularnego, który był wymagany jako warunek przejścia na stanowisko etatowe). Wybrałem tę drugą alternatywę, co niekoniecznie dobrze świadczyło o mojej dojrzałości, ale w rezultacie utwierdziło moje zainteresowanie ustrojami międzynarodowymi i ułatwiło po wielu latach przejście do służby międzynarodowej.

Podczas mojej praktyki w P. I. pracowałem też przez pewien czas z ks. Stefanem Lubomirskim, którego po dziesięciu latach spotkałem znowu w Ambasadzie RP w Berlinie, gdzie był Radcą i zastępcą Ambasadora. Człowiek poważny, aż nadto ostrożny i konserwatywny; natura dość „kameralna”, mało udzielający się na zewnątrz, dobry prawnik, zdolny do nieraz bardzo finezyjnej argumentacji.

*Referat gdański*, który zajmował się nie tylko aspektami międzynarodowymi spraw Wolnego Miasta (sprawy te przez całe dwudziestolecie niemal nigdy nie schodziły z wokandy posiedzeń Rady Ligi Narodów) ale był równocześnie punktem koordynacji politycznej wszystkich innych aspektów wielostronnych stosunków Rzplitej z Wolnym Miastem, i głównym łącznikiem dla wszystkich tych spraw między Wysokim Komisarzem RP w Gdańsku a kompetentnymi władzami polskimi. Za czasów mego praktykanctwa kierownikiem tego referatu był Antoni Roman, późniejszy Minister Przemysłu i Handlu, człowiek kulturalny, dobry dyplomata, z dużą dozą *bonhomie* i dobrego humoru, podsyłanego nieraz sporymi dawkami napojów alkoholowych, na które jednak jego dość zażywna konstytucja wydawała się wcale odporna.

*Referat spraw wyznaniowych* (nazywano go powszechnie referatem watykańskim) redukował się w praktyce do jednego

urzędnika, którym przez szereg lat był młody świeżo promowany praktykant, Dunin-Borkowski. Po odbyciu stażu w Ambasadzie RP przy Watykanie, u boku swego krewnego, Ambasadora Władysława Skrzyńskiego, przydzielono go do tej pracy w Centrali. Wyjątkowo inteligentny, wyrobiony ponad swoje lata i pracowity, stał się w krótkim czasie wybitnym specjalistą od spraw polsko-watykańskich, i dzięki temu wyrobił sobie niezwykle wpływową pozycję pośrednika między hierarchią kościelną, Ministerstwem Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych i wreszcie Nuncjaturą Apostolską w Warszawie. Krótko przed wybuchem wojny przeszedł z MSZ do Ministerstwa WR i OP na wysokie i ważne stanowisko Dyrektora Departamentu wyznań. W czasie okupacji zginął z rąk Gestapo.

Naczelnikami *Wydziału Zachodniego (P. II)* był naprzód Tadeusz Romer, później Józef Lipski, a w ostatnich latach Józef Potocki. Wszyscy trzej należeli do najwybitniejszych członków służby zagranicznej tego okresu, pochodzących z grupy arystokratyczno-ziemiańskiej. Tadeusz Romer, przed wybuchem wojny Ambasador w Tokio, a później Ambasador w ZSSR (w Kujbyszewie), w końcu Minister Spraw Zagranicznych w rządzie Mikołajczyka, wyszedł ze szkoły paryskiego Komitetu Narodowego, który pod przewodnictwem Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego odegrał tak znaczną rolę w końcowych latach pierwszej wojny światowej i w czasie konferencji pokojowej. Jeśli nie był formalnie związany ze Stronnictwem Narodowym, to w każdym razie był przez wiele lat pod jego silnymi wpływami; potem związki te rozluźniły się, co — obok pochodzenia arystokratyczno-ziemiańskiego, które w pewnej mierze immunizowało urzędników służby zagranicznej od ryzyka zmieniających się wiatrów wewnętrzzopolitycznych — pozwoliło mu przetrwać okres pułkownikowski na stanowisku, choć nie pierwszoplanowym, Ambasadora w Japonii. Zetknąłem się z nim bliżej dopiero gdy zostałem Ministrem Spraw Zagranicznych w Londynie, w roku 1943. Miał bardzo dobre przygotowanie fachowe i dużą kulturę, był znawcą literatury francuskiej, którą wykładał po wojnie na Uniwersytecie w Montrealu, był doskonałym urzędnikiem, sprawnym i dokładnym, w obęjściu z ludźmi niezmiernie kurtuazyjnym, aczkolwiek trochę suchym. Był to dyplomata typu klasycznego, o skłonności do podchodzenia do spraw od strony formalno-prawnej, z lekkim zabarwieniem doktrynerskim. Umysł poważny i zrównoważony, ale bez szerszych horyzontów i bez wyobraźni. Bardzo użyteczny jako Ambasador (położył duże zasługi w nawią-

zaniu kontaktu z deportowanymi polskimi w ZSSR na początku wojny, korzystając z możliwości komunikacyjnych między Tokio a Rosją, a potem, jako Ambasador w Kujbyszewie, w organizacji pomocy dla zwolnionej z łagrów ludności). Nieczęsto się jednak zdarza by nawet najlepszy, fachowy Ambasador stawał się wybitnym ministrem Spraw Zagranicznych, a tym bardziej mężem stanu; te dwie linie progresji rzadko tylko łączą się w jedno pasmo, a jeszcze rzadziej w czasach trudnych i burzliwych.

Józef Lipski był pod wielu względami jego przeciwieństwem. Niezmiernie żywa inteligencja, duża intuicja, zdolność dostosowywania się do zmienionych okoliczności, wielki dar obserwacji i negocjacji, a także dar obcowania z ludźmi — wszystkie te cechy składały się na sylwetkę wybitnego fachowca dyplomacji. Pierwsze doświadczenie zawodowe nabył również w paryskim Komitecie Narodowym i zapewne — tak jak wielu poznańców — miał sympatie endeckie, których się jednak szybko pozbył. Posiadał mało stereotypowych cech dzielnicowych, poza lekkim akcentem i poza niemal instynktownym podziwem dla organizacji i porządku niemieckiego. Ten pół-arystokrata niepozbawiony snobizmu, ten sybaryta umiejący zorganizować wyszukane przyjęcia (bez pomocy żony — ożenił się dopiero na początku wojny w Paryżu), człowiek przyzwyczajony do wszelkich wygód i nie mający żadnego doświadczenia wojskowego, potrafił wykazać niezwykły hart ducha gdy po przyjeździe do Francji wstąpił do wojska w wieku czterdziestu kilku lat i odbył chwalebna kampanię francuską w stopniu kaprała podchorążego piechoty. W Berlinie wykonywał wiernie politykę Becka, ale w listach prywatnych do Ministra i — w mniejszym stopniu — w raportach oficjalnych z końcowego okresu swojej misji, nieraz zwracał uwagę na mnożące się oznaki przygotowywanej przez Hitlera zmiany kursu w stosunku do Polski. Moje stosunki osobiste z nim nie wykraczały poza chłodną poprawność, tym niemniej pragnę tutaj dać wyraz mojej opinii, że Józef Lipski byłby ozdobą każdej służby dyplomatycznej. Spośród znanych mi Ambasadorów RP był też tym, który miał najwięcej zrozumienia dla spraw gospodarczych i handlowo-finansowych; interesował się tymi zagadnieniami i poświęcał im sporo czasu i wysiłku.

Józef Potocki był kwintesencją autentycznego arystokraty. Piękna wysmukła sylwetka, trochę melancholijne, romantyczne, niemal szopenowskie rysy pięknej twarzy, ruchy pełne wrodzonej dystynkcji, zawsze ubrany z wytworną ale skromną elegancją. Obejście pozbawione pozy, pełne prawdziwej, choć nieco wyniosłej uprzejmości, mowa powolna używająca poprawnej polsz-

czynny, unikająca wszelkich wyrażen wulgarnych lub dwuznacznych, były dopełnieniem tego obrazu. Za tą imponującą fasadą krył się człowiek przyzwoity, choć zasklepioy w swoim konserwatywnym światopoglądzie, ostrożny, trochę miękki, poprawny urzędnik, odnoszący się z *reservatio mentalis* do wszelkich kierunków i zakrętów polityki, nigdy nie czujący się z żadnym osobicie głębiej związany. Z tytułu swego pochodzenia miał związki pokrewieństwa lub znajomości z członkami największych rodów Europy i rozległe stosunki z wpływowymi osobistościami wielu krajów. Jako urzędnik, raczej „panował” nad niż „rządził” Wydziałem którego był Naczelnikiem. Jego rady były jednak cenione, gdyż często wynikały ze zdrowego rozsądku i realistycznej znajomości świata.

Na czele *Wydziału Wschodniego* (P. III) stał Tadeusz Hołwko, lewicujący Piłsudczyk, zwolennik pojednawczego kursu w stosunku do mniejszości narodowych, zwłaszcza ukraińskiej i białoruskiej. Mało go znałem; wkrótce został zamordowany przez nacjonalistę ukraińskiego gdy był na wakacjach na Podkarpaciu. Z ówczesnym jego zastępcą spotykałem się częściej, zwłaszcza w latach późniejszych. Był nim Prezydent Edward Raczyński, w swej dalszej karierze Delegat RP do Ligi Narodów, długoletni Ambasador RP w Londynie i przez kilka lat kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Rządzie gen. Sikorskiego. Tej pięknej postaci Polski emigracyjnej nie wypada mi charakteryzować, zresztą jest ona wielu czytelnikom *Zeszytów* dobrze znana.

Naczelnikiem *Wydziału Wschodniego* we wczesnych latach trzydziestych był płk Tadeusz Schätzel. Niezwykle poważny, zamknięty w sobie, jakby pilnujący bez przerwy państwowych sekretów, reprezentował typ uczonego sztabowca. Następcą jego został mjr Kobyłański, z którego siostrą był żonaty Michał Mościcki, syn Prezydenta. Stąd stosunki na Zamku. Nie był on ozdobą Ministerstwa — pretensjonalny niby intelektualista, zwolennik rozmaitych skrajności i „mocnych” tekstów, impertynencki w swej arogancji, był typowym przykładem nieprzydatności pewnego typu wojskowych do służby zagranicznej, zwłaszcza dyplomatycznej.

*Wydział Prasowy* (P. VI) był jednostką dosyć rozbudowaną pod względem ilości zatrudnionych pracowników. Kierowali nim kolejno po 1926 roku: Leon Chrzanowski, znany dziennikarz i korespondent zagraniczny. Władysław Neuman, poprzednio Radca Prasowy Ambasady RP w Paryżu, a potem Poseł RP naj-

pierw w Oslo, a potem w Meksyku, Wacław Przesmycki, późniejszy Poseł RP w Tallinie, Konrad Libicki i wreszcie Wiktor Skiwski. Najwybitniejszą wśród nich postacią był niewątpliwie Wł. Neuman, człowiek silnych przekonań, szlachetnego charakteru, wielkiej erudycji, mądry i gorący patriota; miał też wielki dar przekonywania dobrze skonstruowanymi argumentami. Cieszył się szacunkiem i sympatią wśród kolegów ze służby zagranicznej a także wśród przedstawicieli prasy wielu krajów, wśród kół rządzących w krajach w których był akredytowany, oraz miejscowych korpusów dyplomatycznych.

Chciałbym tu wspomnieć także Jana Weinsteina, nieskazitelnego a niustępliwego charakteru, jednego z najzdolniejszych urzędników Wydziału Prasowego, pełnego pomysłów i inwencji, a potem twórcy, zaś w Londynie odtwórcy, sieci radiokomunikacyjnej MSZ, ponoć pierwowzoru dla podobnych sieci innych służb zagranicznych; z niezłomną energią zdobywał trudny do uzyskania sprzęt i organizował pierwszorzędną ekipę radiotechników dla jej obsługi; po wojnie, schorowany, zajął się farmerstwem w Walii i po kilku latach osiągnął wyniki, które zrobiły zeń eksperta rolniczego uznanego w szerokich kołach angielskich. W wieku już podeszłym zwrócił się do źródłowych badań historycznych dotyczących Dwudziestolecia.

*Departament Konsularny:* Dyrektorami tego Departamentu byli za moich czasów najpierw Wacław Babiński — następnie Poseł RP w Hadze, a następnie w Ottawie, solidny fachowiec i dobry administrator, potem Wacław Jędrzejewicz, późniejszy Minister WR i OP, a w końcu kpt. Wiktor Tomir Drymmer, głównie znany ze swej poprzedniej działalności Szefa Wydziału (później Biura) Personalnego MSZ, nad którym, mimo objęcia nowego stanowiska, nadal sprawował nieoficjalnie nadzór. Uważano go powszechnie za „miotłę” reżymu pułkowników, mającą za zadanie wyczyścić rzekomo zaśmieconą stajnię Augiasza MSZ-u. Wiele w tym było prawdy, ale też nieco przesady. Istotnie dość znaczna ilość urzędników została przeniesiona w stan spoczynku, zwolniona, przeniesiona do innych Ministerstw lub przydzielona do mniej odpowiedzialnych, albo mniej prestiżowych, stanowisk, przeważnie jednak dotyczyło to jednostek zawodowo mniej wartościowych, albo — w wypadku nie bardzo licznych zwolnień — chodziło głównie o osoby słusznie pokutujące za rzeczywiste przewinienia. Zrozumiałe jest, że dotknięci tymi rygorami woleli przypisywać je motywom politycznym. Osobiście pamiętam jeden jedyny wypadek gdy młody i zdolny

urzędnik etatowy, związany, jak mi wiadomo, za czasów studenckich z Obozom Narodowym, został nagle zwolniony z pracy. Drymmer był człowiekiem osobiście uczciwym, niewątpliwie ideowym, i w zasadzie dbałem o sprawiedliwość; stosował jednak metody zbyt uproszczone, jak na to usofistykowane środowisko w którym wypadło mu działać. Poprawił dyscyplinę personelu, co w zasadzie było pożądane, ale narzucił pewne formy i obyczaje raczej koszarowe, które nie pasowały do MSZ-u. Sprawy dotyczące zmian przydziału, awansów itp., gdzie chodziło o żywotne interesy ludzi, otaczane były przesadną tajemnicą i zainteresowani dowiadywali się o decyzjach powziętych co do ich losu dopiero z urzędowych zawiadomień, które znajdowali z rana na swych biurkach.

Decyzje te były zwykle bezapelacyjne i często nie brały pod uwagę, jeśli chodzi np. o przeniesienia, ważnych względów rodzinnych i innych, które normalnie powinny były przemawiać za danym przydziałem służbowym, albo też nie pozostawiały dosyć czasu na zwinięcie spraw osobistych przed nakazanym terminem wyjazdu. Tak np. w 1937 roku dowiedziałem się niemal w przeddzień mego ślubu o nominacji na I Sekretarza Ambasady w Berlinie z terminem objęcia nowego stanowiska wymagającym skasowania naszych planów podróży poślubnej; z tego mianowania byłem zresztą zadowolony, gdyż stanowiło niewątpliwą postępowanie w mojej służbie, i rozwiązywało trudności materialne młodego małżeństwa. Z drugiej strony zasługą Drymmera była dbałość o dobór młodego narybku i o jego właściwe przeszkolenie poprzez planową rotację przydziałów. Pod tym względem wysiłki te stanowiły pierwszą próbę racjonalizacji i unowocześnienia metod doboru i szkolenia nie tylko w MSZ, ale w ogóle w polskiej służbie państwowej. Przejrzałem niedawno ciekawe zresztą i stanowiące dobry wyśitek samoobrony pamiętniki Drymmera, ogłoszone kilka lat temu w *Zeszytach Historycznych*; uderzyły mnie m.in. powtarzane za *vox populi* docinki do pretensjonalnych manier tzw. „bubków z MSZ”, pochodzących z „arystokracji czy pseudo-arystokracji”; byli i tacy niewątpliwie, ale uogólnienie Drymmera ubawiło mnie, skoro jego uwielbiany szef, Minister Beck, tak lubił mieć w swoim najbliższym otoczeniu właśnie przedstawicieli tych sfer społecznych!

Mimo wszystko, wydając sąd o działalności Drymmera, niepodobna, moim zdaniem, ograniczyć się do stereotypowego porównania do przysłowiowego „słonia w składzie porcelany”.

Innym, dość znanym wojskowym w Departamencie Konsularnym był Naczelnik Wydziału Emigracyjnego, kpt. Zarychta.



Ten inteligentny zresztą oficer o ascetycznym, fanatycznym wyrazie twarzy był wizjonerem czystej wody: wyobrażał sobie wychodźstwo jako rodzaj piątej kolumny wspierającej mocarstwową Polskę; ponoć marzył o zbrojnym podbiciu Kurytyby i otaczających stanów Brazylii i stworzeniu tam czegoś w rodzaju polskiej kolonii. Te niewczesne i nierealne pomysły znajdowały na szczęście znikomą oddźwięk wśród samego wychodźstwa, które pozostając patriotycznym widziało swą przyszłość w zupełnie innym świetle. Trzeba też przyznać, że kierownictwo MSZ, włącznie z Beckiem, nie podzielało tych złudzeń, a w każdym razie nie czyniło, by je zbliżyć do realizacji.

*Departament Administracyjny*, obejmujący służby kontroli rachunkowości, budżetu, gospodarcze i komunikacyjne spełniał niezbędną rolę infrastruktury, od której dobrego działania zależała w znacznej mierze sprawność centrali, a jeszcze bardziej placówek zagranicznych. Dyrektorem tego działu był najpierw Karol Bertoni, pochodzący z austriackiej służby konsularnej, którego rozległe, fachowe doświadczenie było na pewno bardzo przydatne w okresie organizowania i początkowego rozwoju polskiej służby zagranicznej, ale którego postać, manieri i wymowa były niemal komicznym uosobieniem cesarsko-królewskiego urzędnika. Po nim nastąpił płk Matuszewski, późniejszy Minister Skarbu i mąż słynnej lekkoatletki, Konopackiej, a w końcu Stanisław Schimitzek, autor wydanych w Polsce interesujących pamiętników o swej służbie w MSZ. Departament Administracyjny był m.in. odpowiedzialny za pozostawienie trwałej spuścizny w postaci szeregu niezłych, a czasem świetnych siedzib polskich przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych, zakupionych, lub uzyskanych w drodze wymiany, w różnych krajach. Niektóre z tych gmachów służą nadal przedstawicielstwom Polski Ludowej. Sprawował on również nadzór nad przebudową Pałacu Brühla, siedziby Centrali.

*Szczyty piramidy.* Na zakończenie opisu Centrali należy oczywiście poświęcić kilka słów szczytom piramidy urzędniczej, tj. ówczesnym Ministrom Spraw Zagranicznych, Podsekretarzom Stanu oraz służbom związanym, z, lub podległym Gabinetowi Ministra.

Ministra Augusta Zaleskiego znałem dobrze, gdyż sekretarzo- wałem mu dwukrotnie łącznie przez okres niemal 5 lat. W okresie mojej praktyki w Centrali nie miałem z nim oczywiście kontaktu, ale przypadek zdarzył że pierwszy raz się z nim spotkałem w dość niezwykłych okolicznościach. Bodaj była to wiosna 1927

roku. Wezwał mnie do siebie Podsekretarz Stanu, Roman Knoll, i oświadczył mi, że postanowił przydzielić mnie na okres kilku tygodni do Dyrekcji Departamentu Politycznego, gdzie miałem objąć pieczę nad ściśle tajną dokumentacją dotyczącą spraw polsko-litewskich. Zdarzyło się wtedy jakieś kolejne zaognienie w nieuregulowanych stosunkach z Kowieńską Republiką litewską, jakieś zajścia graniczne, którymi — jak zwykle jeśli chodziło o sprawy litewskie — interesował się osobiście Marszałek Piłsudski. Otóż nadchodziły z kilku placówek raporty i telegramy o nieoficjalnych kontaktach z litewskimi przeciwnikami antypolskiego premiera Voldemarasa i oceny możliwości ewentualnych posunięć ze strony polskiej, a także komentarze o prawdopodobnej reakcji innych zainteresowanych rządów. Jako pierwsze zadanie miałem się z tymi materiałami zapoznać, by je zreferować Ministrowi Zaleskiemu, który miał nazajutrz powrócić z sesji Rady Ligi Narodów w Genewie. Knoll uprzedził mnie, że Zaleski miał wieczorem, po przyjeździe do Warszawy, udać się do Sulejówka, gdzie Marszałek jeszcze wówczas mieszkał, i że prawdopodobnie Minister będzie sobie życzył, bym mu towarzyszył w tej wizycie. Zdawało mi się to wielkim wyróżnieniem i nie bardzo wiedziałem, czemu je przypisać. Chodziło zapewne o wyłączenie tych papierów z normalnego obiegu wewnątrz Ministerstwa — pamiętam, że przydzielono mi kasę, do której tylko ja miałem klucze — wiadomo było, jak Marszałek lubił otaczać tajemnicą sprawy, którymi zajmował się osobiście; wybór padł na mnie zapewne dlatego, że Knoll myślał, iż młody praktykant ze znanej mu rodziny nie miał jeszcze okazji do nawiązania potencjalnie niebezpiecznych kontaktów z niedyskretnymi kolegami, a sam był pewnie wrażliwszy od starszych kolegów na surowe nakazy ścisłej tajemnicy. Nazajutrz stawiłem się więc z teczką tych sławetnych dokumentów w mieszkaniu Ministra Zaleskiego; zostałem niebawem przyjęty, uprzejmie ale chłodno; doręczyłem teczkę i zapytałem, czy minister sobie życzy, bym zreferował jej zawartość. Zaleski podziękował mi, ale oświadczył, że woli sam te papiery przeczytać. Nieco stropiony zapytałem jeszcze, czy mam mu towarzyszyć w wyjeździe do Sulejówka. Minister popatrzył na mnie, jeszcze raz podziękował i odpowiedział, że nie, nie będzie mnie potrzebował, że Marszałek zatrzyma go być może na kolację a wtedy sytuacja byłaby dla mnie ambarasująca, bo trudno się spodziewać, aby Marszałkostwo mnie też zaprosili, musiałbym zatem czekać na niego kilka godzin w samochodzie. Byłbym się i na to chętnie zgodził, ale nie pozostawało mi nic innego jak pożegnać się. Zaleski miał

oczywiście rację, cały pomysł był niewczesny; chociaż byłem zawiedziony, szybko się w tym zorientowałem, ale miałem trochę żalu do Knolla za wpakowanie mnie w tę sytuację. Było to pierwsze z moich dwu niedoszłych spotkań z Marszałkiem Piłsudskim. Drugie nastąpiło, a właściwie właśnie nie nastąpiło w rok później w Genewie, gdy Piłsudski przyjechał by uczestniczyć w posiedzeniu Rady Ligi Narodów, znowu w sprawie polsko-litewskiej. Wieczorem Marszałek miał spotkać na obiedzie w hotelu „Les Bergues” wszystkich członków delegacji polskiej, ale w ostatniej chwili okazało się, że nie można było wszystkich zmieścić przy stole, i wobec tego dwu najmłodszych, mnie w tej liczbie, wyeliminowano z udziału.

Zaleski został Ministrem Spraw Zagranicznych w 1926 roku chyba dość przypadkowo — był zbliżony do obozu Piłsudczyków, ale nie miał specjalnie bliskich stosunków z Marszałkiem. W okresie zamachu majowego znalazł się w Warszawie bez przydziału. Ówczesny Minister Spraw Zagranicznych (i Premier) Aleksander Skrzyński odwołał go kilka miesięcy przedtem ze stanowiska Posła w Rzymie, gdyż obiecał tę placówkę Kozickiemu, popieranemu przez obóz narodowy, o którego względy Skrzyński wówczas zabiegał. Zaleski nigdy tego Skrzyńskiego nie przebaczył, i będąc wolnym w Warszawie dołączył się do sprzysiężenia Piłsudczyków. Postawienie go na czele resortu spraw zagranicznych było dobrym wyborem na okres stabilizacji wewnętrznej, której Marszałek pragnął po objęciu władzy. Zaleski był spokojnym, zrównoważonym dyplomatą, umiejącym wzbudzić zaufanie u kontrahentów. Był bardzo europejski, nie mając zarazem, jak wielu Piłsudczyków, opinii człowieka o skrajnym nastawieniu antysowieckim. W ciągu przeszło sześciu lat urzędowania zyskał dla Polski, a także dla siebie, szacunek w kołach międzynarodowych; niewątpliwie przyczynił się do tego, że przestano uważać państwo polskie za element niepokoju w Europie, o skłonności do polityki „awanturniczej” — opinia taka była wszak dość rozpowszechniona w niektórych kołach na Zachodzie, zwłaszcza angielskich, i była świadomie podsycana przez propagandę niemiecką. W Lidze Narodów sytuacja Polski również znacznie się poprawiła, co nie było bez znaczenia wobec licznych spraw nas dotyczących, które stale znajdowały się na porządku dziennym Rady Ligi. Zaleski uzyskał dla Polski miejsce „pół-stałe” w Radzie, co było dużym osiągnięciem prestiżowym, gdyż przypieczętowało specjalną pozycję Polski wśród państw nie będących wielkimi mocarstwami. Z natury był Zaleski człowiekiem dość leniwym, przywiązany do wszelkich wygód; lubił dobrą kuch-

nię, znał się na niej znakomicie; miał maniery niemal wielkopańskie i flegmatyczny sposób bycia, jaki się często przypisuje Anglikom. Ogromnie lubił opowiadać anegdotki i kawały i wypełniał nimi wszystkie rozmowy; przepadał też za brydżem, któremu poświęcał stale wiele godzin; w podróżach dbał o to, by w jego otoczeniu było zawsze kilku brydżystów; z konieczności ja często bywałem tym niezbędnym czwartym; pamiętam moją rozpacz gdy, przyjechawszy z Zaleskim do Paryża w piękną wiosenną pogodę, przez cztery dni nie mogłem nawet wychylić nosa poza gmach Ambasady, bo wszystkie chwile wolne od pracy musiałem przesiadywać przy stoliku karcianym z Ministrem, Ambasadorem Chłapowskim i ks. Zdzisławem Lubomirskim, których klasa w brydżu znacznie górowała nad moją; nasłuchiwałem się wiele docinków na ten temat. Te dwie pasje Zaleskiego, kawały i brydż, nie zawsze robiły dobre wrażenie na ludziach, którzy go mało znali; przysłaniały one zalety jego umysłu i charakteru, przede wszystkim zdrowy rozsądek i zdolność patrzenia na wypadki z pewnej perspektywy, oraz zdolność samodzielnego osądu. Nie lubił szczegółów i papierków, nie było w nim nic z biurokraty ani nawet urzędnika, był jednym z nielicznych w historii międzywojennego MSZ-u prawdziwych Ministrów, choć może nie mężem stanu — na takiego zresztą przy Marszałku nie mogło być miejsca. Był zbyt leniwy na to, by samemu dużo pisać, ale umiał dobrze poprawiać przedłożone mu do aprobaty teksty (jeśli nie były zbyt długie), a czasem od ręki redagował telegraficzne instrukcje stylem prostym, zwięzłym i niezmiernie jasnym. Miałem z nim zawsze dobre stosunki, był dla mnie nieodmiennie uprzejmy i życzliwy i wydaje mi się, że mnie lubił, ale nigdy nie doszło między nami do większej bliskości, nie był bowiem skłonny do prowadzenia długich lub szerszych rozmów na tematy polityczne z młodymi sekretarzami, a ja ze swej strony byłem zbyt nieśmiały, by usiłować zmienić urzędowe stosunki z szefem na stosunki bardziej osobiste.

W czasie pierwszego okresu mojego sekretarzowania Zaleskiemu byłem w częstym kontakcie z Podsekretarzem Stanu Alfredem Wysockim, później Ambasadorem w Berlinie i w Rzymie (przy Kwirynale). Był on dawnym urzędnikiem austriackim i w służbie tej doszedł do wysokich stanowisk, był bodaj Szefem Gabinetu Premiera, po wojnie przeszedł do polskiego MSZ-u, gdzie był ceniony jako bardzo wytrawny urzędnik i dyplomata; jako Podsekretarz Stanu miał ogólny nadzór nad biurami i w tym był bardzo pomocny Zaleskiemu, którego te funkcje wcale nie

interesowały. Bardzo lubiłem tego już wówczas starszego, dystyngowanego pana o siwej czuprynie, przystrzyżonym białym wąsiku i miłym, dobrym uśmiechu. Biło od niego przyzwoitością i życzliwością dla ludzi. Odwoził mnie często służbowym samochodem do domu, gdyż mieszkał niedaleko. Słyszałem, że w czasie okupacji zachowywał się w stosunku do Niemców z wielką godnością, odrzucając wszelkie propozycje współpracy, ale nie wahając się interweniować w sprawach indywidualnych i ogólnych u rozmaitych dygnitarzy hitlerowskich, których znał z czasów berlińskich — działał w tym względzie w porozumieniu z władzami podziemnymi, podobnie jak ks. Janusz Radziwiłł, którego postawa była równie pełna godności. Po wojnie ogłosił pierwszy tom kulturalnych, sympatycznych pamiętników, w których dużo pisze o swej górnej i chmurnej młodości wśród przedstawicieli Młodej Polski. Drugi tom pamiętników, poświęcony jego pobytowi w Berlinie i Rzymie, jest mniej udany. Gdy go poznałem, mało z tej szumnej młodości pozostało, wyglądał na starannie noszącego się profesora, i jak przysłowiowy profesor był bardzo roztrągniony. Gdy pewnego razu wszedłem do jego gabinetu, by zaanonsować zastępcę Naczelnika Wydziału Osobowego Kruczkiewicza, wstał od biurka, stanął przede mną i zapytał zdziwionym głosem: „No dobrze, a jak Pan się nazywa?”. Innym razem zostawiłem mu na biurku teczkę z pismami do podpisu; po jakimś czasie zabrałem ją: prawie wszystkie listy były podpisane nazwiskiem „Kakowski”. Okazało się, że miał mieć u siebie tego dnia na obiedzie kardynała Kakowskiego i kilku Ambasadorów; miał kłopoty z umieszczeniem tych dygnitarzy przy stole, a zwłaszcza z usadowieniem Księcia Kościoła, toteż jego nazwisko ciągle chodziło mu po głowie; stąd pomyłka. Trzeba było wszystko na gwałt przepisywać, ku oburzeniu pań z kancelarii Gabinetu Ministra i uciecze mojej i kolegów. Miłe zachowuję wspomnienie o tej zacnej postaci, jak również o jego żonie, z którą po wielu latach współżycia kochali się jak para gołąbków.

Dyrektorem Gabinetu Ministra był Marian Szumłakowski, mały, niepozorny, zwinny jak kot, w sensie zarówno fizycznym jak umysłowym. Był on rodzajem totumfackiego Ministra, który zwał na niego wszystkie nieprzyjemne funkcje. W ten sposób sam mógł zawsze zachowywać oblicze *of a perfect gentleman*. Szumłakowski nie był w Ministerstwie lubiany, ale miał spore wpływy na zewnątrz poprzez zarządzanie wcale pokaźnym funduszem specjalnym; umiejętny użytek tych wpływów otwierał mu niejedne drzwi i ułatwiał stosunki z ludźmi.

Od jesieni 1931 roku Podsekretarzem Stanu został Józef Beck, który w rok później zastąpił Zaleskiego jako Minister Spraw Zagranicznych. Z Beckiem miałem mało kontaktów, zarówno w tym okresie, jak i w późniejszym, gdy po powrocie z Argentyny zostałem znów przydzielony do Gabinetu Ministra, ale tym razem nie jako Sekretarz Ministra, lecz jako radca przy Dyrektorsze Gabinetu, który wówczas sprawował faktycznie funkcje Dyrektora Departamentu Politycznego. W ciągu tych bardzo niewielu spotkań o charakterze oficjalnym trudno było sobie wyrobić zdanie o jego osobowości, zwłaszcza że nie był bynajmniej wylewny. Wydał mi się zimny i sztywny; miałem wrażenie, że nie darzy mnie sympatią; przypisywałem to okoliczności, iż uważa mnie za członka otoczenia Zaleskiego, swego rywala. Nie będę zatem usiłował nakreślić jego sylwetki — wielu innych już to zrobiło, a inni jeszcze zrobią, daleko lepiej niżbym potrafił.

Daleko częściej widywałem w czasie przeszło rocznego pobytu w Gabinetcie Becka Dyrektora tego Gabinetu Michała Łubieńskiego. Niezmiernie żywy, inteligentny, sympatyczny, wyglądający daleko młodziej niż na swoją ówczesną czterdziestkę, pracował szybko, ale nie zawsze bardzo dokładnie. Miał styl nieco „kawaleryjski” (był niegdyś w artylerii konnej, podobnie jak Beck, co przyczyniało się zapewne do lepszego wzajemnego zrozumienia), miał sporo wdzięku i dowcipu, który potrafił nawet czasami skierować przeciwko sobie (co jest zawsze do zaliczenia na dobro ludzi, mających tę cechę). Nie był chyba materiałem na wielkiego Ambasadora, ale był z pewnością nieprzeciętnym urzędnikiem służby zagranicznej, o niewyczerpanym jeszcze potencjale osiągnięć, kiedy po upadku Becka odsunięto go od współpracy.

Z Janem Szembekiem, Posekretarzem Stanu przy Becku, prawie nie miałem styczności. Znam go głównie z notatek robionych na gorąco, opublikowanych już po wojnie, a obrazujących tak wymownie narastanie niebezpieczeństw dla państwa polskiego w ostatnich latach przedwojennych. Poza dorywczymi misjami specjalnymi nie miał on przy Becku precyzyjnie określonej roli, choć w zasadzie miał sprawować kierownictwo Departamentem Politycznym; w praktyce jednak sprawy bieżące tego Departamentu docierały zwykle do biura Dyrektora Gabinetu, który był w bliższym kontakcie z Ministrem. Niemniej dyplomaci z kor-

pusu dyplomatycznego, a także wyżsi urzędnicy MSZ chętnie go odwiedzali, gdyż był człowiekiem pełnym doświadczenia, bystrej obserwacji i dobrej rady.

*Referat Szyfrów* w późnych latach trzydziestych podlegał Gabinetowi Ministra. Była to jednostka złożona z kilkunastu zawodowych szyfrantów, podzielonych na dyżury zapewniające służbę 24 godziny na dobę. Jak każdy początkujący urzędnik, przed wyjazdem na pierwszą placówkę zagraniczną, przeszedłem przeszkolenie w tym referacie, gdyż w tych czasach maszyny szyfrowe, choć już znane, nie były jeszcze używane w polskiej służbie, a dla uniknięcia znacznego kosztu nie przydzielano szyfrantów zawodowych do Ambasad i Poselstw; tak więc znaczny ciężar tej żmudnej i monotonnej roboty spadał na Sekretarzy i Attachés. Mam żywo w pamięci długie godziny, często późno w nocy, spędzone na mozolnym zaszyfrowywaniu albo odszyfrowywaniu telegraficznych raportów czy instrukcji. Podczas mego przydziału do Stałej Delegacji przy Lidze Narodów w Genewie ruch szyfrowy był zwłaszcza ożywiony w czasie posiedzeń Rady Ligi, gdyż wielu kierowników polskich placówek dyplomatycznych, wiedząc że Minister bawi nad Lemanem, przesyłało telegraficzne kopie swych szyfrowych komunikacji adresowanych do Centrali w Warszawie również do stałej Delegacji w Genewie. Później, gdy byłem w Berlinie, wypadało mi często w momentach kryzysowych odciążać zawodowego szyfranta, wówczas już przydzielonego do Ambasady, kiedy nie był w stanie podołać nawałowi korespondencji szyfrowej, która z reguły nadchodziła, lub była wysyłana pod wieczór albo w nocy. Teksty tej korespondencji, opatrzone symbolem „Statissime” (bardzo pilne) lub „Wyłącznie dla Pana Ambadora”, „wyłącznie dla Pana Ministra” zawierały, w dramatycznych chwilach jakie przeżywaliśmy w Ambasadzie, pasjonujące nieraz sprawozdania z rozmów, sformułowania poglądów na bieżącą sytuację i jej przewidywany rozwój lub dyrektywy polityczne dla dalszych rozmów i negocjacji. Dawało to wgląd, jak to się teraz mówi, „unikalnej” natury, w rozgrywkę polityczną na najwyższym szczeblu, nie tylko między dyplomacją polską i niemiecką, ale także między innymi partnerami dyplomacji europejskiej. Możliwość zapoznawania się z tą korespondencją dzięki pracy szyfrowej była niewątpliwą rekompensatą za mozół tej mechanicznej pracy, tym bardziej że teksty tajnej korespondencji szyfrowej między Ambasadorem i Ministrem Spraw Zagranicznych rzadko były dostępne młodszym urzędnikom, jeśli nie dotyczyły bezpośrednio ich pracy. Inną korzyścią

wyniesioną z pracy szyfrowej była okazja zaobserwowania „na gorąco” zalet lub wad w redakcji tekstów: redagowanie raportów i instrukcji szyfrowych jest sztuką niezmiernie cenną w zawodzie dyplomaty; tekst, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawę wielkiej państwowej wagi, powinien oddać myśl autora jasno, precyzyjnie i z uwzględnieniem koniecznych często finezji i niuansów; przy tym sprawa, nieraz z natury bardzo skomplikowana, musi być przedstawiona w możliwie najzwięźlejszej formie. Szyfrant ma możliwość w czasie swej pracy zauważyć niejasne sformułowania, złą konstrukcję albo użycie zbędnych słów itp., po prostu dlatego, że te niedociągnięcia przedłużają niepotrzebnie tekst, a więc dodają mu roboty. Tekst wyrazisty, jasny, używający języka prostego, jest z reguły łatwiejszy do za- lub rozszyfrowania. Minister Zaleski i Minister Beck, a także Ambasador Lipski byli moim zdaniem mistrzami w redagowaniu telegramów szyfrowych. Zdarzały się jednak często depeše mniej udatnie ułożone. Mimo pochłonięcia mechaniczną stroną swej sprawy, wprawny szyfrant może nie tylko zauważyć błędy redakcji, ale również w myśli je poprawiać, oczywiście nie zmieniając oryginalnego tekstu, nad którym pracuje. Tak więc szyfry mogą stać się niezłą szkołą praktyki dyplomatycznej, której współczesnych początkujących dyplomatów pozbawiło zastąpienie wysiłku ludzkiego przez maszyny szyfrowe.

Kilka słów jeszcze o służbach kryptograficznych, zajmujących się, między innymi jak wiadomo, wypracowywaniem metod rozszyfrowywania obcych szyfrów. II-gi Oddział sztabu polskiego miał taką służbę, która potrafiła osiągnąć interesujące a nawet świetne wyniki; wśród personelu Wydziału szyfrowego MSZ w Warszawie było również, jak słyszałem, kilku specjalistów tej branży; mało się o tym wiedziało, gdyż była to działalność z natury rzeczy bardzo tajna. W czasie ostatniej wojny i po jej zakończeniu służby kryptograficzne wielu krajów znacznie się rozwinęły, częściowo dzięki możliwości wykorzystania podsłuchów radiowych i komputerów. Już w czasach przedwojennych można było mieć poważne wątpliwości co do utrzymania w tajemnicy komunikacji szyfrowych, a obecnie niebezpieczeństwa pod tym względem są niewątpliwie znacznie poważniejsze, choć może i metody obrony bardziej udoskonalone. Przypomina mi się, że ponoć jeszcze dość długo po zakończeniu pierwszej wojny światowej rząd Stanów Zjednoczonych nie posiadał w swym rozporządzeniu służby kryptograficznej. Gdy ówczesnemu Sekretarzowi Stanu, bodaj Stimsonowi, przedłożono projekt stworzenia takiej służby, odrzucając z oburzeniem propozycję miał powiedzieć: „Dżentelmeni



nie mają zwyczaju czytać korespondencji do nich nie zaadresowanej!!!” *Tempora mutantur...*

*Protokół Dyplomatyczny* był osobną jednostką organizacyjną, związaną, choć nie wchodzącą w skład Gabinetu Ministra. Bracia Stefan i Rajmund Przędzieccy byli najpierw organizatorami, a potem przez wiele lat duszą tej jednostki. Stefan we wczesnych latach łączył funkcje Dyrektora Gabinetu a zarazem Dyrektora Protokołu; potem został Ambasadorem RP przy Kwirynale. Rajmund ustalił i skodyfikował praktyki protokolarne stosowane w Polsce, starając się wprowadzić do nich niektóre obyczaje pochodzące z czasów Rzplitej przedrozbiorowej. Nie jestem specjalistą od tych spraw, które mają, wbrew złośliwym komentarzom i dowcipom, określoną, choć skromną rolę w każdym państwie; wydaje mi się wszakże, że bracia Przędzieccy potrafili wprowadzić do ceremoniału polskiego ton nacechowanego godnością nie-napuszonego umiarkowania. Następcy ich, Karol Romer i Aleksander Łubieński, kontynuowali tę tradycję, ale z mniejszą klasą. *Protokół Dyplomatyczny* ma też inną, bardziej prozaiczną rolę: pełni on wobec członków korpusu dyplomatycznego rolę jak gdyby gospodarza domu wobec gości; dba np. o to, by dyplomaci obcy mogli mieć do dyspozycji odpowiednie mieszkania, zapewnia przysługujące im bezcłowe dostawy z zagranicy i w ogóle pośredniczy w załatwianiu z władzami krajowymi najróżniejszych spraw dotyczących ich życia materialnego lub korzystania z przywilejów, do których mają prawo.

*Pałac Brühla.* Zanim opuszczę temat Centrali MSZ, chciałbym poświęcić parę słów siedzibie resortu spraw zagranicznych w Warszawie międzywojennej, tj. Pałacowi Brühla.

Gdy wstępowałem do MSZ i przez kilka lat potem mieścił się on w oficynach pałacu, z głównym wejściem od ulicy Wierzbowej, oraz w przylegającej kamienicy zajmującej róg ulic Fredry i Wierzbowej; stąd powszechnie używany termin „Wierzbowa” dla Polskiego MSZ, tak jak „Quai d’Orsay” dla kierownictwa francuskiej dyplomacji albo „Downing street” dla brytyjskiego Foreign Office. Sam pałac był jeszcze wtedy zajęty przez główny urząd telegraficzny. Wchodziło się do dużej sklepionej sieni, i po schodach bardzo zwyczajnych ale wybitych porządnym granatowym chodnikiem na pierwsze piętro, gdzie na prawo znajdował się Gabinet Ministra a na lewo biura Dyrekcji Politycznej i mojego macierzystego Wydziału P.I. Biura były skromnie

umeblowane, ale schludne, i było ich dużo za mało; oprócz starszyzny, urzędnicy siedzieli po dwóch, a czasem nawet po trzech w pokoju. Gabinet Ministra i przyległe gabinety służbowe były niemal równie skromnie, ale przyzwoicie urządzone. Najpierw wchodziło się do sklepionej sali, która służyła jako poczekalnia Ambasadorów — na lewo była niewielka sala konferencyjna otoczona półkami podręcznej biblioteki; na wprost był korytarz, którego okna wychodziły na Wierzbową. Z tego korytarza szereg drzwi prowadził do różnych biur, a na końcu do pokoju Ministra, sporego, umeblowanego typowo polskimi mahoniami z pierwszej połowy XIX wieku. Taki gabinet można było znaleźć w niejednym polskim dworze. Całość, bynajmniej nie imponująca, była, przynajmniej dla mnie, miła swym umiarem i jakąś swojskością. Dobrze czułem się w tym budynku. Za ostatniego pobytu w Centrali w latach od 1935 do 1937 MSZ objął już w posiadanie cały pałac Brühlowski, pięknie przywrócony do swej barokowej świetności, ze wspaniałym, rozległym dziedzińcem, do którego dostęp był od placu Marszałka Piłsudskiego, przez wielką bramę z kutego żelaza, ozdobioną herbami Brühlów. Niestety wewnątrz nie było równie udane, jak fasady zewnętrzne. Chciało być imponujące i bogate, a było raczej nowobogackie w swej niepewnej mieszaninie elementów monumentalnych przejętych z dawniejszego gmachu, ale unowocześnionych niezbyt szczęśliwie, oraz motywów modernistycznych spod znaku Ładu, którego twórcą i kierownikiem, Warchałowski, był doradcą artystycznym dekoracji wewnętrznej. Całość robiła niespokojne wrażenie, perspektywy komnat reprezentacyjnych były niedobre, a biura, choć zaopatrzone w nadmiernie wielkie, kosztowne oddrzewia, były dalej małe i ciasne. Nie był to udany gmach biurowy. Ale pałac od zewnątrz był jednym z najpiękniejszych w Warszawie — szkoda, że go nie odbudowano; jest tam teraz jakby odnoga placu Saskiego, psująca tego placu perspektywę.

### *Placówki Zagraniczne*

Poza swymi granicami Polska utrzymywała w 1939 roku przeszło 30 przedstawicielstw dyplomatycznych (nie licząc Komisarjatu Generalnego w Wolnym Mieście Gdańsku i Stałej Delegacji RP przy Lidze Narodów w Genewie, która została zresztą zlikwidowana w połowie lat trzydziestych i zastąpiona urzędem konsularnym, a funkcje Delegata przy Lidze powierzone Posłowi RP w Bernie) oraz około 40 urzędów konsularnych. Jak wspo-

mniano uprzednio, znaczna większość pracowników służby zagranicznej (przeszło 750) miała przydziały do placówek za granicą. Ze zrozumiałych względów placówki te skoncentrowane były przede wszystkim w Europie: wszystkie kraje europejskie oprócz Luksemburga, Irlandii i mikroskopijnych tworów pseudopaństwowych jak np. Monaco czy Lichtenstein były w roku 1939 pokryte siecią polskich Ambasad i Poselstw, mających swe siedziby w ich stolicach.

Wśród przeszło 30 polskich przedstawicielstw dyplomatycznych 10 miało rangę Ambasad (Berlin, Londyn, Moskwa, Paryż, Rzym-Kwirynał, Rzym-Watykan, Bukareszt, Ankara, Waszyngton i Tokio), a pozostałe były Poselstwami (na czele których w nielicznych wypadkach stali nie Posłowie, lecz *Chargés d'Affaires*). Wspomnę tu, że powojenna praktyka dyplomatyczna uległa pod względem rangi i nomenklatury przedstawicielstw dyplomatycznych radykalnej zmianie; obecnie Poselstwa niemal całkowicie zniknęły i przedstawicielstwa dyplomatyczne są z reguły Ambasadami. Ta ogromna proliferacja Ambasadorów przeważnie jeszcze nie pokrytych siwizną i nie reprezentujących długoletniego doświadczenia razi nas nieco, dawnych pracowników służb zagranicznych, przyzwyczajonych do uważania starszych kolegów wyniesionych do rangi ambasadorskiej za dygnitarzy znajdujących się u samego szczytu służby nie tylko zagranicznej, ale w ogóle państwowej, uosabiających najwyższy poziom doświadczenia politycznego i odzwierciedlających najpełniej godność i suwerenność państw które reprezentowali. Jeszcze jeden przykład inflacyjistycznych dążeń naszego wieku.

Wielu wyższych urzędników MSZ, pełniących przed wybuchem wojny funkcje kierowników polskich przedstawicielstw za granicą, których poznałem dawniej w czasie moich pobytów w Centrali, wymieniłem już uprzednio. W ciągu trzynastu lat mojej służby przedwojennej miał wszakże miejsce nieustanny ruch służbowy, polegający na przydziałach urzędników Centrali do placówek i *vice versa*. Chciałbym więc poświęcić tutaj jeszcze kilka słów niektórym Ambasadorom i Posłom, o których dotychczas nie miałem okazji wspomnieć.

Konstanty Skirmunt, Minister Spraw Zagranicznych w latach 1922-23, a potem przez wiele lat Poseł i Ambasador RP w Londynie był w każdym calu dyplomatą starej szkoły. Postawa, twarz okolona piękną siwizną, staranny strój, wszystko zdradzało jego zawód i pozycję społeczną. Słynne były w MSZ jego zwięzłe i przejrzyste raporty znad Tamizy; mogły służyć swym oględnym,

jasnym stylem jako wzór korespondencji dyplomatycznej; nie widziałem raportu Skirmunta, nawet gdy był poświęcony najbardziej skomplikowanym sprawom, który by zawierał więcej niż trzy strony. Ponoć był lubiany i ceniony przez króla Jerzego V, i istotnie niektóre raporty zaczynały się od słów: „Wczoraj, gdy byłem u dworu...”. Słusznie więc, gdy król umarł, postanowiono reaktywować chwilowo Skirmunta, który już wówczas przebywał na emeryturze w swym majątku białoruskim, by mu powierzyć misję reprezentowania Prezydenta na pogrzebie. Nie mogę powstrzymać się od opowiedzenia zabawnego incydentu, który spotkał Jana Wszelakiego gdy był Sekretarzem Poselstwa w Londynie przy Skirmuncie: przyniósł on kiedyś siedzącemu za swym biurkiem Skirmuntowi teczkę z raportami i pismami przygotowanymi do podpisu. Stojąc za Ambasadorem, który uważnie czytał teksty, zauważył że na zwykle niepokalanym kołnierzu leżał jeden siwy włos. Chcąc usunąć tę rażącą skazę ambasadorskiej wytworności, delikatnym ruchem schwycił za włos i szybko go pociągnął; przerwało mu oburzone „Aj!” Skirmunta, który w pierwszej chwili myślał, iż Wszelaki usiłował wyrwać mu włos z głowy i naturalnie uważał to za bardzo niewczesny kawał.

Alfred Chłapowski przez wiele lat ambasadorował w Paryżu. Nie mam wrażenia, by wybijał się jako reprezentant polityczny, był raczej dyplomatą reprezentacyjnym — ta strona w Paryżu zawsze odgrywała dużą rolę; przyjęcia na Avenue de Tokio, a potem w pięknej, historycznej siedzibie Ambasady na rue Talleyrand cieszyły się zasłużoną sławą i ściągały zarówno sfery polityczne jak i śmietankę towarzyską „od strony Guermantes”. Praca polityczna i propagandowa spadała na barki zdolnych Radców Ambasady, którymi byli kolejno Arciszewski, Mühlstein i Frankowski. Chłapowski był też znakomitym brydżystą, grywał często w snobistycznych klubach paryskich i mówiono, że jego wygrane uzupełniały wydajnie pobory ambasadorskie i dochody z majątku w Poznańskim, co wszystko razem ledwo starczyło na utrzymanie wysokiego poziomu reprezentacji. Na kilka lat przed wojną został odwołany, powrócił do swych włości, gdzie na jesieni 1939 roku został schwytany przez Niemców i rozstrzelany w ramach jednej z licznych akcji „odwetowych”. Bywałem w Paryżu często, towarzysząc w podróżach Ministrowi Zaleskiemu, i mieszkaliśmy wówczas razem z nim w Ambasadzie: zdarzyło się raz, że Zaleski musiał gdzieś z Paryża wyjechać na kilka dni, a ja na zaproszenie Chłapowskiego pozostałem jako jego gość w Ambasadzie; spędziłem wtedy przemiły urlop przymusowy w

stolicy nadsekwąńskiej; jesienią 1932 miałem też obiecany przydział do Paryża jako II Sekretarz Ambasady, w nagrodę mej służby jako Sekretarz Ministra; omawiałem już mą przyszłą pracę z Amb. Chłapowskim, ale przydział nie doszedł do skutku z powodu ustąpienia Zaleskiego; jego następcą, Beck, wysłał mnie zamiast tego do Buenos Aires, tj. do placówki chyba najodleglejszej od Warszawy, co zapewne wynikało z jego planu „rozpędzenia” na cztery strony świata ludzi, których uważał za związanych z poprzednikiem.

Do starszej generacji należał też Stanisław Patek, Ambasador w Moskwie, a potem w Tokio, znany adwokat warszawski, zasłużony w obronie więźniów politycznych przed pierwszą wojną, Piłsudczyk, przejściowo Minister Spraw Zagranicznych (1921). Gdy go poznałem, był już z lekka *gaga*, nie mógł nic przedsięwziąć bez zagładnięcia do sławetnej „mierzawki”, jak nazywał notes w którym w miarę tracenia pamięci zapisywał na żywo wszystkie szczegóły spraw, którymi się zajmował, rozmów, godziny spotkań itp. Gdy „mierzawka” gdzieś się zapodziała, był zupełnie bezradny i wytrącony z równowagi — byłem świadkiem takiej sceny, gdy pomagałem mu odtwarzać cały plan zajęć na dzień następny, bo służący zapomniał mu włożyć notes do kieszeni. Nazwa „mierzawka” pochodziła podobno od jego zwyczaju zapisywania w notesie pełnych nieparlamentarnych słów, nieprzychylnych uwag o współpracownikach, które im później odczytywał. Ten chyba przedwcześnie postarzał dygnitarz niewiele lat przedtem, w czasie wojny polsko-rosyjskiej, zaciągnął się do wojska jako ułan i ponoć dzielnie robił szabelką: wyobrażam go sobie dobrze jako sierżanta kawalerzystę — miał wielkie wąsy podkreśnione do góry, no i *vocabularium* bodaj odpowiednie, gdyż znany był z łatwego wpadania w irytację i wtedy nie przebierał w słowach. To o nim krążyła anegdotka, iż pewnego dnia nadeszła z Tokio depesza szyfrowa o takiej treści: „Coś się dzieje, nie wiem co, jak się dowiem to zatelegrafuję”. Byli tacy, co twierdzili, iż to był autentyczny wypadek: *si non e vero...*

Kajetan Dzierżykraj Morawski był już urzędnikiem Departamentu Stanu Rady Regencyjnej przed 1918 rokiem, a później we wczesnych latach dwudziestych został w bardzo młodym wieku Dyrektorem Departamentu Politycznego MSZ, a potem Ministrem-Rezydentem (znowuż tytuł dyplomatyczny, który poszedł w zapomnienie) przy Lidze Narodów. Po zamachu majowym

odsunięty na boczny tor za rolę jaką odegrał jako tymczasowy kierownik resortu zagranicznego w Gabinetcie Witosza, sprawował przez długie lata funkcje przedstawiciela RP przy mieszanej Komisji arbitrażowej dla Górnego Śląska z siedzibą w Katowicach. Dzięki swym wyjątkowym zdolnościom, bystrej inteligencji, rozległemu doświadczeniu i politycznej rozwadze był on, moim zdaniem, jednym z najwybitniejszych dyplomatów którymi Polska rozporządzała w ciągu dwudziestolecia. Poznałem go bliżej i pracowałem pod jego zwierzchnictwem dopiero w Londynie, gdzie był Podsekretarzem w MSZ za czasu kierownictwa tego resortu przez ówczesnego Ambasadora Raczyńskiego; wprowadził on zwyczaj cotygodniowych odpraw szefów Wydziałów, w ciągu których w sposób niezmiernie jasny, z dużym talentem i piękną polszczyzną dawał nam obraz rozwoju sytuacji politycznej, po czym kierował ciekawą dyskusją i odpowiadał na pytania; te cotygodniowe zebrania stanowiły sympozjum naprawdę bardzo wysokiej klasy. „Kademor”, jak go wielu nazywało, był w dodatku świetnym redaktorem tekstów politycznych, a jego pamiętniki opublikowane w Paryżu odznaczają się nie tylko interesującą treścią ale także niewątpliwymi zaletami literackimi. Zakończył swą służbę jako Przedstawiciel RP przy francuskim Komitecie Wyzwolenia w Algierze, a potem jako Ambasador RP w Paryżu.

Jan Ciechanowski, niegdyś Poseł w Waszyngtonie, a po długiej przerwie Sekretarz Generalny emigracyjnego MSZ w latach 1939-40, a potem ponownie w Stanach Zjednoczonych, tym razem jako Ambasador, był sprawnym technikiem dyplomacji, człowiekiem zdolnym i energicznym, ale bez większego uroku, raczej zimnym, uprzejmym, ale nie zawsze taktownym. Przed wojną był bardzo zamożnym właścicielem pięknego majątku ziemskiego i wytwornego *hôtel particulier* w Lasku Bulońskim w Paryżu; miał rozległe stosunki i przyjaźni w sferach arystokracji polskiej, był członkiem Klubu Myśliwskiego w Warszawie i dosyć się snobował tymi osiągnięciami; chciał się wzorować na dyplomatach brytyjskich, ale raczej pasował do mentalności amerykańskiej, chociaż Roosevelt i koła doń zbliżone nie obdarzali go sympatią. Mogło to się przyczynić do tego, że Amerykański Departament Stanu w sposób dość brutalny, a tak odmienny od zachowania się w identycznych okolicznościach innych rządów, jak np. brytyjskiego i francuskiego, wyeksmitował jego i członków Ambasady z gmachu należącego do rządu polskiego, by przekazać go przedstawicielom Polski Ludowej po cofnięciu uznania rządowi londyńskiemu.

Słusznie zaliczało się do luminarzy nieco młodszego pokolenia dyplomatów dwudziestolecia Juliusza Łukasiewicza, Ambasadora w Moskwie, a potem w Paryżu, znanego Piłsudczyka niegdyś lewego skrzydła, człowieka dużych zdolności i żywej inteligencji; był on niewątpliwie w czołówce ówczesnych Ambasadorów. Brak mu było jednak tego olimpijskiego zrównoważenia, które cechowało niektórych jego kolegów — był Ambasadorem zaangażowanym, co nieraz przenikało z jego skądinąd świetnych raportów. Mirosław Arciszewski, równie zdolny i równie doświadczony, był mniej zaangażowany w sensie politycznym, ale za to bardziej zapalony — dawał się wciągać całym swym jestestwem w sprawy mu powierzone i czasem wskutek tego wykraczał poza instrukcje. Tak np. jako Poseł RP w Bukareszcie w okresie gdy rumuńskim Ministrem Spraw Zagranicznych był Titulesco, zwolennik małej Ententy i Paktu wschodniego, a także popierający Ligę Narodów — ta polityka była sprzeczna z założeniami linii politycznej Becka — prowadził Arciszewski prawdziwą osobistą vendettę przeciwko rumuńskiemu Ministrowi i organizował wewnętrzną opozycję przeciw niemu. Ta ingerencja w sprawy wewnętrzne alianta wywołała silne protesty i Arciszewskiego musiano odwołać; zastąpił go gładszy i subtelniejszy Roger Raczyński; wypadek ten potwierdza zasadność nauki udzielonej przez Talleyranda młodym dyplomatom: „*Surtout pas trop de zèle, Messieurs*”.

*Urzędy Konsularne.* Jak już wspomniano, urzędów konsularnych etatowych (tj. kierowanych przez urzędników służby zagranicznej) było około 40-tu. Nosiły one miano, zależnie od wagi urzędu, Konsulatów Generalnych, Konsulatów, Wicekonsulatów lub Agencji Konsularnych. Poza tym w wielu krajach sprawy konsularne i emigracyjne były powierzone Wydziałom Konsularnym Poselstw i Ambasad. Oprócz tego istniały w znacznej ilości miejscowości, gdzie nie opłacało się utrzymywać urzędów etatowych, Konsulaty honorowe, kierowane przez godnych zaufania obywateli krajów rezydencji, mających często związki rodzinne, kulturalne lub handlowe z Polską. Niektórym Konsułom Honorowym przydzielano do pomocy urzędników kontraktowych obywatelstwa polskiego. Największa ilość urzędów konsularnych znajdowała się w Niemczech, bo aż 14. Tłumaczy się to nie tylko istnieniem znacznej ilości rdzennych Polaków w zwartych ośrodkach stanowiących „mniejszość polską” w Niemczech, oraz licznej emigracji stałej lub sezonowej, rozproszonej na terytorium Rzeszy, ale także tym, że niektóre urzędy konsularne, podobnie jak i

w innych krajach ościennych, miały charakter polityczno-obszerny.

Mimo że w czasie mojego przydziału w Argentynie łączyłem funkcje Sekretarza Poselstwa z funkcjami Kierownika Wydziału Konsularnego, którego zakres działania był dość znaczny ze względu na wciąż wzrastającą emigrację polską, nie pracowałem nigdy w Departamencie Konsularnym Centrali, i stąd moja znajomość personelu konsularnego nie jest tak dobra jak w odniesieniu do personelu innych działów MSZ. Należy jednak zaznaczyć, że w służbie polskiej, jak również w bardzo wielu służbach innych państw w okresie dwudziestolecia, nie było już żadnego formalnego rozróżnienia między personelem konsularnym i dyplomatycznym. Zdarzały się stosunkowo liczne wypadki przeniesień urzędników etatowych z wydziałów politycznych na placówki konsularne i z wydziałów lub placówek konsularnych na stanowiska dyplomatyczne. Z biegiem lat wytwarzała się jednak pewna specjalizacja, wskutek której niektórzy urzędnicy, uzyskujący szczególnie dobre wyniki na stanowiskach konsularnych, wydawali się jak gdyby predestynowani do kontynuowania w tym dziale pracy; to samo odnosiło się do wielu urzędników, którzy mieli największe doświadczenie w pracy politycznej.

Wśród najbardziej znanych, lub najbardziej zasłużonych kierowników urzędów konsularnych z którymi się zetknąłem, wliczę: Mieczysława Grabińskiego (Monachium), płk. St. Kare (Berlin), Leona Malhomme (Opole) — zasłużonego w opiece nad ludnością polską na Śląsku, wówczas niemieckim, Karola Poznańskiego (Londyn) — znakomitego administratora, Kawałkowskiego (Lille) — organizatora i przywódcę podziemia polskiego w okupowanej Francji, Jerzego Warchałowskiego (Królewiec), Z. Zawadowskiego — później posła RP w Bejrucie, J. Szygowskiego (Chicago). Wielu innych, mniej mi znanych, zasługiwałoby na pewno na wspomnienie.

#### *Uwagi ogólne o personelu służby zagranicznej*

Przedwojenny personel polskiej służby zagranicznej dwudziestolecia odznaczał się, zwłaszcza w latach wcześniejszych, wielkim urozmaiceniem pod względem pochodzenia społecznego, a także regionalnego, poziomu i dziedzin otrzymanego wykształcenia, doświadczenia nabytego przed wstąpieniem do służby, poziomu kulturalnego i towarzyskiego, powiązań politycznych w przeszłości, i oczywiście uzdolnień oraz charakterów osobistych. Skład jej



przedstawiał sobą szeroką gamę różnych odłamów inteligencji polskiej w najszerszym tego słowa znaczeniu, i ten fakt był chyba najcharakterystyczniejszą cechą tej służby.

*Rozmaitość pochodzenia społecznego.* Dość liczną grupę wśród urzędników MSZ stanowili przedstawiciele arystokracji i wyższego ziemiaństwa. Z punktu widzenia zawodowego wielu z nich zaliczało się do najwartościowszych członków służby zagranicznej. Wiele jest po temu powodów. W okresie o którym mowa wielkie fortuny należały już do przeszłości; wielkich fortun, na skalę zachodnioeuropejską, a tym bardziej amerykańską, pozostało zaledwie kilka — Łańcut Potockich i Nieśwież Radziwiłłów były raczej wyjątkami — inni arystokraci byli po prostu zamożnymi ziemianami, a wiele rodzin nawet takiej zamożności nie posiadało. Pozostały natomiast dobre na ogół wykształcenie (lepsze niż ich przodków), znajomość języków, obycie z zagranicą, gdzie posiadali stosunki lub powiązania rodzinne, wreszcie pewna tradycja pracy państwowej, odziedziczona nieraz po ojcach, którzy w wielu wypadkach byli politycznie czynni w ramach konserwatywnej ugody z państwami zaborczymi, a zwłaszcza z ich panującymi dynastiami — dotyczy to zwłaszcza monarchii habsburskiej. Posiadali oni też inną cechę rzadką w społeczeństwie podzielonym od przeszło wieku na trzy zabory: często byli „naddzielnicy”, mając powiązania rodzinne i majątkowe poza kordonami granicznymi zaborów w których zamieszkiwali. Młodsza generacja, wychowana na ogół w duchu polskim, garnęła się chętnie do służby państwowej w niepodległej Polsce, czasem wojskowej, ale często zagranicznej. Inni rzucili się do przemysłu lub do handlu. Oczywiście były wyjątki — spotykano wśród rodzin o błękitnej krwi wielu utracjuszy, playboyów i innych nieodpowiedzialnych osobników. Wydaje mi się wszakże, że było ich mniej niż w poprzednich generacjach. Nieliczna ta klasa wydała jednak w okresie międzywojennym sporo ludzi oświeconych, nowoczesnych i wcale energicznych. Pod tym względem postawa tej grupy górowała wyraźnie nad postawą średniego i mniej zamożnego ziemiaństwa, klasy znacznie liczniejszej, stojącej jednak na ogół, mimo swych dawnych tradycji, na niższym poziomie, bardziej zasklepionej w swych ciasnych interesach, bardziej poddającej się wpływowi prymitywnego nacjonalizmu, bardziej zafanej w swych przesadnych już, nieuzasadnionych pretensjach do przywództwa w narodzie.

Z biegiem lat skład służby uległ jednak dość znacznym zmianom; licznie ogromną większość przedstawiali ludzie wywo-

dzący się pod względem pochodzenia społecznego ze sfer urzędniczych, inteligencji pracującej i mieszczaństwa. Brakło jednak nadal, trzeba to przyznać, pracowników o pochodzeniu chłopskim czy robotniczym (poza kilku wyjątkami), co się tłumaczy zresztą faktem, że te kręgi społeczne miały jeszcze wtedy skromny, choć wzrastający udział wśród inteligencji polskiej. Nie brakło natomiast w służbie zagranicznej Polaków pochodzenia żydowskiego, którzy byli dość liczni, a wśród nich wielu odznaczało się wysokim poziomem kwalifikacji i znacznymi zasługami. Wzmianki o niektórych bardziej znanych znajdzie czytelnik na poprzednich stronicach tego szkicu. Mówiąc o nich, celowo użyłem wyrażenia „Polacy żydowskiego pochodzenia”, gdyż byli oni rzeczywiście Polakami w pełnym tego słowa znaczeniu, i za takich uznawani, chociaż, niestety, niezawsze i nie wszyscy zapominali o ich pochodzeniu, ale na ogół bynajmniej nie w sposób złośliwy — o dyskryminacji pod względem kariery i koleżeństwa nie było mowy. Nie znajdowano natomiast wśród personelu MSZ przedstawicieli mniejszości narodowych, a w tym też Żydów uznających się za takich pod względem narodowym, ani też przedstawicieli innych nie-polskich narodowości; Drymmer wspomina o dwóch Ukraińcach przyjętych do służby, ale ich nie znałem i nie umiem powiedzieć, do jakiego stopnia można było ich uznać za rzeczywistych Ukraińców. Nie można jednak czynić zarzutu polityce personalnej MSZ z powodu tego braku przedstawicieli mniejszości narodowych w składzie urzędników — czasy były wówczas inne i służby zagraniczne niemal wszystkich państw były wtedy bardzo konserwatywne pod względem narodowościowego doboru personelu; a w wypadku Polski sprawa była jeszcze daleko trudniejsza: tak niedawne odzyskanie państwowości było dziełem Polaków, a nie mniejszości, wśród których było wiele niechęci, a nawet wrogości do kraju którego stali się obywatelami. Jeśli jest gdzieś wina, to należy jej szukać raczej w niekonsekwentnej i niedobrej polityce narodowościowej kolejnych rządów, które zresztą nie miały łatwego zadania w tej dziedzinie; uregulowanie sytuacji mniejszości i pozyskanie ich lojalności wobec państwa musiało być przecież niezbędnym warunkiem dopuszczenia ich przedstawicieli do tak eksponowanego odcinka jak służba zagraniczna.

Paradoksem Polski przedwojennej było, że będąc w rzeczywistości państwem narodowościowym i z powodu zarysu swych granic nie mogąc przyjąć rozwiązań federalnych, chciała jednak, i zmuszona było w pewnym stopniu zachowywać się jak państwo jednonarodowe.

*Pochodzenie regionalne.* Udział poszczególnych dzielnic i regionów pochodzenia był natomiast wśród masy urzędników z grubsza dość równomiernie rozłożony. W najwcześniejszych latach dużą rolę odgrywali „Galicjanie”, mający doświadczenie w służbie państwowej Austro-Węgier; wśród młodszej generacji, wykształconej już w Polsce, również byli nieźle reprezentowani. Uderzał stosunkowo wysoki udział wśród wyższych urzędników dyplomatycznych Wielkopolan ze sfery arystokratyczno-ziemiańskiej; kilku luminary służby należało do tej grupy. Liczni też byli kresowcy z Litwy, Białej Rusi i Ukrainy, odznaczający się jak zawsze silnym przywiązaniem sentymentalnym do obszarów skąd pochodzili; wśród starszej generacji tego koła pracowników można było też zauważyć kilku, którzy w sposób tak charakterystyczny ujawniali „kompleks rosyjski” polegający na głębokiej nieufności, nawet nienawiści do Moskwy, połączonej z widocznym pociąganiem do obyczaju rosyjskiego — niemal *a hate-love relationship*. Polaków z „Kongresówki” było oczywiście bardzo dużo, może najwięcej, ale na ogół roli proporcjonalnej do swej liczebności nie odgrywali.

*Inwazja wojskowych.* Od końca lat dwudziestych oblicze MSZ-u doznało dalszej transformacji przez dopływ do jego personelu, zarówno w Centrali jak i na placówkach, fali zawodowych wojskowych. Dopływ ten odbywał się w dwóch formach i dwoma różnymi kanałami. Pierwsza forma polegała na mianowaniu na liczne średniej i wyższej rangi *bona fide* stanowiska w służbie zagranicznej oficerów, przeważnie pochodzących z Legionów i często mających pewne doświadczenie pracy za granicą w biurach *Attachés* wojskowych przy Poselstwach i Ambasadach. Byli wśród nich niektórzy ludzie zdolni i przyzwoici, którzy potrafili się w ciągu lat przystosować do nowych warunków pracy i pracowali z pożytkiem, choć trudno wymienić wielu wybijających się wyraźnie nad poziom przeciętny. Inni natomiast nie przyczynili się bynajmniej do podniesienia zawodowej reputacji MSZ-u. Jednym z bardziej widocznych skutków napływu wojskowych odbijających się na wewnętrznej atmosferze i tonie MSZ-u było zastąpienie dawnego dyskretnego snobizmu przez styl, który można by nazwać „sztabowym”.

Równocześnie drugą formą militaryzacji służby zagranicznej było przydzielanie oficerów, także związanych z II-gim Oddziałem Sztabu, często pod zmienionymi nazwiskami, do mniej lub więcej fikcyjnych stanowisk na placówkach, zwłaszcza w urzędach konsularnych, dla celów ściśle wywiadowczych. Zapewne uży-

wanie immunitetu dyplomatycznego lub funkcji konsularnych jako wygodnej pokrywki dla działalności wywiadowczych jest kuszące i może być nawet usprawiedliwione, jeśli jest stosowane dyskretnie i niezbyt często. Niektóre biurokracje rządowe, zwłaszcza wielkich i największych mocarstw, rozbudowały jednak ten system do takiego stopnia w latach powojennych, że przeczy on w praktyce samej zasadzie kamuflowania służb informacyjno-wywiadowczych. Każdy obserwator mający nieco praktyki w tych sprawach może zwykle łatwo zidentyfikować rzekomych pracowników dyplomatycznych i konsularnych, pełniących w istocie funkcje zupełnie innego typu; te tajemnice poliszynela stają się czasem ambarasujące, a czasem wręcz humorystyczne. Przedwojenna „dwójka” polska miała również tendencję do ekspansji wśród personelu Ambasad, Poselstw i Konsulatów, i te „pokrywki” były nieraz dość przejrzyste ale, jak mi się wydaje, stan liczbowy jej agentów, przebranych za urzędników szermujących tytułami dyplomatycznymi czy konsularnymi, był raczej ograniczony w porównaniu do praktyk obecnych.

Zagadnienie, jak prawidłowo rozwiązać sprawę współpracy, rozgraniczenia ról i kompetencji służb zagranicznych z jednej, a służb informacyjno-wywiadowczych z drugiej strony, nie jest ani nowe ani też łatwe. Podstawowym faktem jest, że obie te służby są żywotnie zainteresowane w uzyskiwaniu i zbieraniu najrozmaitszych informacji, a także w ich analizie i ocenie. Od dawna istnieje kwestia sporna, do kogo należy funkcja analizy i oceny tych informacji. gdy dotyczą one spraw politycznych, a nie techniczno-wojskowych; służby wywiadowcze roszczą sobie często prawo do formułowania ocen na podstawie zebranych informacji również w dziedzinie spraw, nie mających związku z wojskowością. O ile funkcje zbierania informacji jest dość łatwo rozgraniczyć, gdyż metody stosowane przez obie służby są na ogół zupełnie odmienne i każda z tych metod ma swoje uzasadnienie oraz właściwe pole działania, o tyle funkcja oceny informacji politycznej, będąc podstawową funkcją dyplomatyczną ogromnej wagi, wymagającą znacznego fachowego doświadczenia i obycia z zagadnieniami polityki zagranicznej, a także nieraz bardzo rozległych horyzontów, powinna być prerogatywą aparatów służb zagranicznych, które ponadto powinny spełniać rolę koordynatorów wszystkich punktów widzenia wyrażanych przez inne organy administracji państwowej, jeśli dotyczą one stosunków z zagranicą. Cokolwiek by się sądziło o odmiennych, skomplikowanych urządzeniach w tym względzie przyjętych w Stanach Zjednoczonych, nie są one do naśladowania, gdyż źródłem ich są m.in. spe-

cyficzne aspekty konstytucyjne oraz tradycyjne nawyki amerykańskie, sprzyjające parcelacji zbliżonych funkcji między różne organy administracji, a komasacji w Białym Domu funkcji koordynacyjnych, wykonywanych w imieniu Prezydenta przez osoby szczególnie mu oddane.

Niestety praktyka wykazuje, że oceny polityczne robione przez służby wywiadowcze często grzeszą naiwnością lub prostactwem, a nawet jeśli tak nie jest — to nieraz są one naciągane w taki sposób, by wnioski z nich wyprowadzone pasowały do najskrajniejszych, nieraz apriorycznie przyjętych tez, reprezentujących poglądy tych czynników, które w danym reżymie, i to niezależnie od jego charakteru, zajmują najbardziej ekstremistyczne stanowisko.

*Literaci i uczeni.* W garstce poetów i innych ludzi pióra w służbie zagranicznej figurowały nie byle jakie nazwiska: Stanisław Baliński i Kazimiera Hłakowiczówna byli urzędnikami MSZ od wczesnych lat dwudziestych do wybuchu wojny, Jarosław Iwaszkiewicz był przez jakiś czas Sekretarzem Poselstwa w Kopenhadze, wreszcie Jan Lechoń był radcą kulturalnym Ambasady w Paryżu przez szereg lat. Z „Hłą” siedziałem przez kilka miesięcy w tym samym biurowym pokoju: opowiadała mi dużo o swej przyjaźni z Piłsudskim i gorliwie poprawiała moją wówczas bardzo mizerną angielszczyznę; zauważyłem też, że bynajmniej nie pogardała hrabiami. Lechoń cieszył się niemal dziecinnie swoim statusem dyplomatycznym, pamiętam wyraz błogości jaki rozlewał się na jego twarzy gdy go spotykałem w Paryżu ubranego w żakiet, z cylindrem w ręku, w drodze na jakąś oficjalną ceremonię; niewinne przywary znakomitego poety! MSZ zatrudniał też kolejno, jako kierowników biblioteki, a potem jako Naczelników Wydziału Historyczno-Archiwalnego, kilku historyków; a więc Emila Kipę, prof. Henryka Mościckiego i Władysława Pobóg-Malinowskiego.

*Wpływy masońskie.* W wielu kołach przedwojennych pannało przekonanie, że MSZ, zwłaszcza w okresie przed Beckiem, było spenetrowane przez masonerię. Myślę, że z pewnością była wśród starszej generacji pewna ilość urzędników związanych z masonami, bądź to spod znaku Wielkiego Wschodu, bądź to, prawdopodobnie częściej, z lożami typu brytyjskiego (szkockimi). Wątpię jednak, by ich było wielu i nie jestem skłonny przypisywać im jakiejś większej, tym bardziej decydującej roli, choć nie jest wykluczone, że w pewnych wypadkach powiązania masoń-

skie poszczególnych urzędników mogły bądź ułatwiać postępy kariery, bądź też stwarzać dla niej sprzyjające warunki przez utrzymywanie kontaktów w pewnych środowiskach zagranicznych.

W ogóle wydaje mi się, że rzekome uniwersalne wpływy masonerii były ogromnie przesadzone w umyśle przeciwników. We Francji międzywojennej odgrywali masoni pewną, dość znaczną nawet, rolę polityczną, ale, jak wykazały późniejsze wypadki, na pewno nie rozstrzygającą. W krajach anglosaskich loże i ich przybudówki mają też swoje znaczenie, ale raczej w dziedzinie gospodarczej i społecznej niż politycznej. Działalność masońska znajdowała też pewien oddźwięk w Polsce, ale głównie w kołach laicko-liberalnych, które były przecież nie tak liczne i nie- zbyt wpływowe.

Mówiono powszechnie, że Minister August Zaleski był maso- nem, mówiono również że był nim Roman Knoll. Ten ostatni był moim protektorem przy wstępowaniu do służby zagranicznej, a Zaleskiemu sekretarzowałem przez pięć lat... Spotykałem się też często i współpracowałem z innymi rzekomymi masonami polskimi. Muszę stwierdzić, że nigdy się nie natknąłem na żaden dowód ich przynależności do łóż. Fakt, że żaden z nich nigdy nie starał się mnie zwerbować do masonerii, która podobno prze- cież usiłowała przyciągnąć młode zdolniejsze elementy, wydaje się świadczyć, że albo nie zaliczano mnie do tej kategorii zdol- niejszych „przyszłościowych” ludzi, albo też, jeśli ta mała po- chlebna dla mnie supozycja jest niestuszną, pogłoski o przynależ- ności tych osobistości do masonerii mogły być przesadzone. Po- podobno Marszałek Piłsudski polecił niektórym swym zaufanym wstąpienie do masonerii, zapewne w nadziei wywarcia w niej wpływu lub celem uzyskania informacji. Jakby nie było, nie wydaje mi się, by należało przypisywać masonerii większą rolę ani w ówczesnej Polsce w ogóle, ani też w służbie zagranicznej, nawet jeśli się przyjmie, iż rozporządzała ona pewną ilością ludzi na wpływowych stanowiskach.

*Starsza i młodsza generacja.* Służba zagraniczna była jeszcze nawet w roku wybuchu wojny zespołem stosunkowo młodym; w pierwszych latach niepodległości młodzi adeptci tej służby robili błyskawiczne kariery, co oczywiście w ówczesnych warunkach było nieuniknione; konsekwencją tego stanu rzeczy była jednak niewielka różnica wieku między dygnitarzami służby zagranicznej a generacją praktykantów, która wchodziła do służby w drugiej połowie lat dwudziestych i latach następnym. Mimo to istniały bardzo znamienne różnice między tymi pokoleniami urzędników.

Generacja, która już wtedy odgrywała poważną rolę, a która za kilka zaledwie lat miała zająć stanowiska u szczytu kariery, odznaczała się pod wielu względami: przede wszystkim była bardzo zróżnicowana kierunkami wykształcenia oraz kierunkami swej poprzedniej działalności; ponadto dorastała w okresie przed uzyskaniem niepodległości, i wielu z nich miało praktykę pracy konspiracyjnej, albo wojskowej; wreszcie z powodu braku ludzi została od razu rzucona, przeważnie w wieku lat dwudziestu kilku, w wir czynnej działalności dyplomatycznej na poziomie który jest rzadko udziałem tak młodych ludzi. Było wśród nich sporo ludzi bardzo zdolnych, nic więc dziwnego, że posuwali się szybko w karierze. Późniejsze roczniki natomiast składały się z ludzi, którzy ukończyli już studia w Polsce niepodległej, mieli w ogromnej większości ten sam typ wykształcenia prawnego lub ekonomicznego; nie mieli wcale, albo mieli bardzo mało doświadczenia poprzedzającego wstąpienie do służby. Były to więc generacje daleko normalniejsze, ale za to mniej barwne, jakoś bardziej szare i, choć było wśród nich dużo ludzi mających rzetelne kwalifikacje, jakoś bardziej zbiurokratyzowane: zaprzężnięte od początku do mniej odpowiedzialnych i dlatego mniej interesujących, ale niezbędnych funkcji, daleko powolniej nabierały obycia i pewności siebie, które są tak potrzebne przy gestii trudnych problemów polityki zagranicznej. Z tych powodów, a także mając na wiele lat drogę zagrodzoną do wyższych i odpowiedzialniejszych stanowisk przez o kilka, lub najwyżej kilkanaście lat starszych kolegów, nie mogli młodzi pracownicy oczekiwać błyskawicznych awansów; później wojna i wypadki powojenne przerwały ich kariery; stąd członkowie tych „straconych” generacji służby zagranicznej nie mogli dać się poznać poza ciasnym gronem kolegów; pracowali wydajnie, byli fachowcami w obranym zawodzie, może niektórzy z nich, przy innej szansie, wybiliby się na czoło kariery; nie mieli szczęścia; stąd też myślę, że wystarczy pozostać na tych kilku uwagach, nie wchodząc w charakterystyki indywidualne.

Wymienię tutaj jedynie kilka nazwisk spośród tych młodszych generacji urzędniczych, których kariery zapowiadały się obiecująco: Antoni Baliński, Bolesław Celiński, Jan Librach, Józef Marlewski, Witold Mieczysławski, Mieczysław Sędzielowski, Paweł Starzeński, Henryk Stebelski, Stanisław Zabiełło, Józef Zarański. Kilku innych, należących już do najmłodszych generacji, również zapowiadało się dobrze.

Rekrutacja młodych początkujących pracowników służby zagranicznej w latach dwudziestych odbywała się dość przypadkowo,

metodą którą można by nazwać „kooptacją” albo, jak kto woli, przez protekcję, głównie na podstawie rekomendacji osób wpływowych w samej służbie, albo poza służbą. Od kandydatów wymagano jednak ukończonego wyższego wykształcenia, pewnej znajomości języków, i po rocznej praktyce poddawano ich egzaminowi dyplomatyczno-konsularnemu. Od lat trzydziestych poszukiwano bardziej aktywnie przydatnych kandydatów wśród absolwentów szkół wyższych posiadających dyplomy prawnicze, nauk politycznych lub ekonomii. Okres praktyki został zreorganizowany przez wprowadzenie zasady rotacji między kolejnymi przydziałami do różnych Wydziałów Centrali, a także do placówek, głównie konsularnych; obostrzono egzamin końcowy. System ten stanowił niewątpliwie postęp, choć nie wprowadzono najdemokratyczniejszej i stosowanej w wielu krajach metody konkursu wstępnego, co wymagało kosztownej organizacji i nie dawało zresztą większych gwarancji lepszego wyboru najprzydatniejszych. Słabą stroną zarówno doboru kandydatów jak i ich przeszkolenia było niedostateczne przywiązywanie wagi do naprawdę solidnej znajomości języków obcych. O ile w starszych generacjach spotykało się wielu urzędników mających pogłębioną znajomość najważniejszych z naszego punktu widzenia języków obcych, jak niemiecki, rosyjski, francuski i angielski, o tyle wśród generacji młodszych sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej; stosunkowo jeszcze najwięcej było wśród nich ludzi mających dobrą znajomość niemieckiego; rosyjskim władało poprawnie już tylko kilku; sporo z młodszych urzędników mogło jako tako porozumieć się w języku francuskim, ale tylko bardzo nieliczni byli w stanie podjąć się redakcji trudniejszych tekstów, choć przecież francuski był przyjęty w praktyce MSZ-u polskiego jako język obowiązujący w korespondencji oficjalnej z większością państw obcych; z angielskim było jeszcze gorzej. Niestety nie wprowadzono intensywnego, obowiązkowego przeszkolenia językowego dla tych, co go potrzebowali.

Sprawa właściwego doboru i uzupełnienia kadr jest bez wątpienia w służbach zagranicznych rzeczą niezmiernie ważną, ale zarazem trudną. Nie są to w zasadzie służby specjalistyczne, ale wymagają orientacji w najróżniejszych i coraz mnożących się dziedzinach, wykraczających poza tradycyjny krąg zagadnień prawnych, politycznych czy ekonomicznych. Poza tym, oprócz wiedzy i koniecznej znajomości języków, ogromną rolę odgrywa osobowość i charakter kandydatów, bodaj większą niż w wielu innych zawodach, a te imponderabilia trudno jest wycenić u absolwentów szkół wyższych. Takie zalety jak sztuka obcowania z ludź-



mi, sztuka negocjacji, zdolności analityczne itp., tak niezbędne w służbie zagranicznej, ujawniają się zwykle dopiero jako wynik pewnego doświadczenia. Dla tych powodów nie wystarcza poprzestać na rekrutacji najlepszych nawet młodych ludzi z ukończonymi studiami. Niezmiernie ważny jest również pewien wpływ kandydatów mających już co najmniej kilkuletnie doświadczenie pracy, np. w innych działach aparatu państwowego, w handlu czy przemyśle, w pracy naukowej, w prasie itd., o ile to doświadczenie wykazuje ich przydatność do służby zagranicznej. Przyływ do MSZ-u elementów wojskowych o jednostronnym doświadczeniu nie zaspakajał bynajmniej istotnej potrzeby stałej odżywczej odnowy służby zagranicznej.

Chciałbym w końcu zamieścić kilka uwag o *pracownikach kontraktowych Centrali i placówek*, których, jak już wspomniano, było znacznie więcej niż urzędników tzw. etatowych. Pracownicy tej kategorii zajmowali przeważnie stanowiska w niższych stopniach hierarchii służbowej i ich sytuacja prawna oparta była o kontrakty typem zbliżone do umów prywatno-prawnych, nie korzystali więc oni z wielu przywilejów przysługujących na zasadzie pragmatyki służbowej urzędnikom etatowym, jak np. z gwarancji ciągłości pracy, praw emerytalnych, ograniczeń dotyczących podstaw usprawiedliwiających ich zwolnienie ze służby itp. Dawało to wprawdzie większą swobodę władzom przełożonym w administrowaniu tą masą urzędniczą, ale, zwłaszcza z ubiegim lat, stanowiło względem nieraz doświadczonego i zasłużonego personelu rażącą niesprawiedliwość i objaw nieuzasadnionej dyskryminacji.

Kategoria ta była bardzo zróżnicowana pod względem rodzaju wykonywanej pracy i obejmowała kancelistów, sekretarki, maszynistki, księgowych, szyfrantów, pracowników gospodarczych i administracyjnych, a także, zwłaszcza na placówkach konsularnych, referentów pomocniczych do spraw prawnych, paszportowych, handlowych, prasowych itp.

Jeśli chodzi o Centralę, chciałbym wspomnieć kancelistki i maszynistki, które stanowiły obsadę osobnych kancelarii każdego Wydziału Politycznego. Podobne kancelarie istniały zresztą w przedstawicielstwach dyplomatycznych. Warto nadmienić, iż w owych czasach sekretarki osobiste niemal nie istniały, nawet Wicedyrektorzy Departamentów nie korzystali z usług sekretarek, przydzielonych wyłącznie do ich dyspozycji. Kancelarie wydziałowe, które znałem, pracowały bardzo wydajnie i na dobrym poziomie. Akty spraw które się miało do załatwienia otrzymy-

wało się szybko, zawierały one zwykle całokształt materiałów potrzebnych do zapoznania się z przebiegiem danego problemu od początku, lub co najmniej od kilku lat wstecz. Pod tym względem porównanie ze scentralizowanym systemem kancelaryjnym i archiwalnym ONZ-u, który dobrze znam, wypada wyraźnie na korzyść polskich kancelarii wydziałowych. Nie mogę nie wspomnieć niemal legendarnej postaci Pani Walerii Grabowskiej, kierowniczkii kancelarii Gabinetu Ministra przez chyba ćwierć wieku; była ona prawdziwą podporą MSZ-u i wychowawczynią wielu pokoleń koleżanek, a także początkujących dyplomatów.

Na placówkach spotykało się sporą ilość pracowników kontraktowych mających wyższe wykształcenie, bądź też rozległe doświadczenie warunków i spraw miejscowych — wielu z nich bowiem, choć zachowali obywatelstwo polskie, osiadło na stałe w kraju urzędowania i nie pragnęło brać udziału w ruchu służbowym między Centralą i placówkami, rezygnując więc ze sposobności polepszenia swej sytuacji. Zresztą nasilenie ruchu służbowego pracowników kontraktowych z placówek do Centrali i *vice versa* było daleko słabsze niż w wypadku kadr etatowych. Spośród młodszych wielu odbywało praktykę i miało powrócić do Centrali celem objęcia stanowisk etatowych; inni znów, zaangażowani na miejscu, jeśli okazali się przydatni i mieli wymagane kwalifikacje, nieraz mieli również szansę powołania do Centrali na dalszą praktykę poprzedzającą przeniesienie na etat.

**Zakończenie.** Czas już zakończyć ten szkic kilku słowami oceny ogólnej. Jako fachowy wykonawczy aparat urzędniczy służba ta stała, moim zdaniem, na zupełnie dobrym poziomie, lepszym niż ten, który osiągnęły służby zagraniczne wielu innych państw, jakie było mi dane w ciągu mego życia obserwować. Zaletami szczególnymi polskiej służby były jej mała liczebność, a więc prostota organizacji, niezwykła różnorodność wchodzącego w jej skład personelu oraz stosunkowo małe jeszcze zburokratyzowanie. Szeregu świetnych Ambasadorów, Posłów i Konsulów mogły nam pozazdrościć nawet największe mocarstwa świata. Oczywiście można by wyliczyć sporo jednostek poniżej przeciętnego poziomu albo wręcz nie nadających się do funkcji które im powierzono; znajdują się tacy w każdym zespole i w każdej służbie zagranicznej; nie powinno to wpływać na osąd ogólny, oparty o dobrą przeciętną.

Pod względem zabarwienia wewnątrz-politycznego personel polskiej służby, mimo przemożnego oczywiście wpływu obozu Piłsudczyków we wszystkich jego odcieniach i napływu elementu

wojskowego, przeważnie pochodzenia legionowego, nie był jednak, wbrew pozorom, całkowicie jednolity, nawet w ostatnich latach przedwojennych. Wielu o odmiennych poglądach lub anteedensach mniej lub więcej się „nawróciło”, bądź ze szczyrych pobudek, bądź dla kariery, a inni znów po prostu unikali dawania wyrazu swym przekonaniom, zgodnie zresztą z tradycją służb państwowych krajów nawet najbardziej demokratycznych, gdzie stylem obowiązującym dla urzędników było nie tylko nieangażowanie się w działalność polityczną, ale także daleko posunięta dyskrecja w głoszeniu swych osobistych poglądów.

W praktyce personel polskiej służby zagranicznej okazał się dość sprawnym instrumentem wykonawczym linii politycznej rządu oraz niezłym informatorem, analizującym i oceniającym często trafnie rozwój sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej w obszarach którymi Polska była szczególnie zainteresowana, a także dość sprężystym administratorem spraw emigracyjnych i obywatelskich. Co się tyczy wielkich decyzji politycznych, wpływających na los państwa i narodu, przychodziły one z góry i z zewnątrz, co zresztą było rzeczą nieuniknioną i naturalną: w historii Europy i świata fachowe służby zagraniczne rzadko miały sposobność decydującego wpływania na główne decyzje polityki zagranicznej swych krajów; nawet polityczni szefowie tych służb w czasach nowszych coraz częściej stają się raczej szefami biurokracji niż rzeczywistymi twórcami wielkich linii politycznych. W okresie w którym żyjemy, w przeciwieństwie do dawnych tradycji gry politycznej prowadzonej całkowicie niezależnie i w warunkach tajności przez monarchów lub ich zaufanych ministrów, polityka zagraniczna, głęboko związana z tyłu dziedzinami życia państwowego i traktująca o sprawach tak jak nigdy przedtem żywotnych dla interesów a nawet bytu państwa, jest i musi być przede wszystkim udziałem i odpowiedzialnością tych czynników, które mają władzę rozstrzygającą w całokształcie spraw państwowych, a więc szefów rządów czy parlamentów, a te czynniki z kolei muszą coraz częściej liczyć się z opinią publiczną swych krajów.

*Karol KRACZKIEWICZ*

Józef ŁOBODOWSKI

### DMYTRO DONCOW ŻYCIE I DZIAŁALNOŚĆ

#### I

Gdy na wiosnę 1973 roku dowiedziałem się o śmierci Dmytro Doncowa, w pierwszym odruchu postanowiłem napisać o nim dłuższy artykuł, ale poza kilka stron maszynopisu wtedy nie wyszedłem. Konieczność uprawiania codziennej publicystyki („dla chleba, panie, dla chleba”) sprawia, że najlepsze i najbliższe pisarskiemu sumieniu sprawy i pomysły coraz to się odkłada, „na święty nigdy”.

Doncowa nie znałem osobiście, ale wiele o nim wiedziałem i niejednokrotnie czytałem, głównie jego wypowiedzi w czasopiśmie *Literaturno-Naukowyj Wistnyk*. W dobrze mi znanym środowisku ukraińskim w Warszawie postawy były bardzo różne i Doncowa oceniano także rozmaicie. Zdecydowanym jego zwolennikiem był świetny poeta Jewhen Małaniuk, z którym obcowałem okresami niemal codziennie. Natomiast stosunek do Doncowa i jego *Wistnyka* takich wybitnych Ukraińców jak znakomity językoznawca Roman Smal-Stočkyj czy powszechnie szanowany Ołeksa Łotočkyj nacechowany był dość daleko posuniętą ostrożnością. To samo wolno powiedzieć o historyku prof. Doroszence.

W cztery lata po śmierci Doncowa otrzymałem obszerną pracę (420 stron) Mychajło Sosnowskiego pt. „Dmytro Doncow, portret polityczny”; podtytuł: „Z historii rozwoju ideologii ukraiń-

skiego nacjonalizmu”<sup>1</sup>. Z wielu stron proszono mnie o recenzję. Jedno łączy się z drugim. Pisząc o Doncowie, coraz to zaglądam do wszechstronnie udokumentowanej książki Sosnowskiego; w ten sposób mój artykuł staje się jednocześnie w sporej części recenzją.

Jeśli się nie mylę, śmierć Doncowa w ogóle nie została odnotowana na łamach polskiej prasy emigracyjnej oprócz *Kultury*. Dowiedzieli się o zgonie tego dziewięćdziesięcioletniego starca tylko ci nieliczni, którzy śledzą pilnie rozwój stosunków polsko-ukraińskich. Samo nazwisko olbrzymiej większości Polaków, tak w kraju, jak na emigracji, absolutnie nic nie mówi. Ta niewiedza zresztą rozciąga się w ogóle na wszystkie zagadnienia ukraińskie i sprawia, że polska opinia publiczna od dawna ignorowała i nadal ignoruje naszego najbliższego sąsiada, z którym ściśle związała nas wspólna historia. Natomiast prawie zawsze brakowało obopólnej znajomości i zrozumienia.

Jeśli bym wymienił w większym gronie polskich emigrantów nazwiska Mychajły Drahomanowa, Iwana Franko, Mychajły Hruszewskiego, Wołodymyra Wynnyczenki czy Wiaczesława Łypyńskiego, prawie nikt z obecnych Polaków nie wiedziałby o kogo chodzi. Znacznie lepiej ta sprawa wyglądała w XIX wieku, a także tuż przed pierwszą wojną światową, najlepiej na terenach, gdzie znajdowały się silne ośrodki inteligentkie. Na przykład w Kijowie i Petersburgu, gdzie na przełomie dwóch stuleci stosunki między Polakami i Ukraińcami były jak najbardziej poprawne, a często-gęsto przyjazne, pozwalając spoglądać w przyszłość z pewnym optymizmem. Wystarczy zajrzeć do wspomnień wyżej wymienionego Ołeksy Łotockiego, późniejszego dyrektora Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, „Storinky mynułocho” (Stronice z przeszłości), wydane w teżyż Warszawie w latach 1932-39. Ale kto z Polaków dzisiaj do nich zagląda?!

## II

Najpierw kilka koniecznych danych z politycznej biografii. Doncow urodził się w roku 1883, a więc w okresie gwałtownej reakcji (Pobiedonoscew), spowodowanej śmiertelnym zamachem na cesarza Aleksandra II (1 marca 1881). Lata studiów uniwersyteckich Doncowa przypadają na początek bieżącego stulecia,

1. Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, Biblioteka Ukrainoznawstwa, tom 38. Nowy Jork - Toronto, 1974.

a jego działalność publicystyczna zaczęła się w roku 1905, a więc za pierwszej rewolucji rosyjskiej, która wprawdzie skończyła się niepowodzeniem, ale zmusiła Mikołaja II do pewnych ustępstw i reform. Przede wszystkim znacznie zelżała cenzura, co umożliwiło rozwinięcie się bardzo żywej publicystyki politycznej.

Młody Doncow stał w owym czasie na pozycjach socjalistycznych, co było najzupełniej zgodne z duchem czasu. Ale jego socjalizm już wtedy nosił swoisty charakter. Prof. Doroszenko przypomniał w swoich wspomnieniach z petersburskich studenckich lat, że Doncow należał do grupy opozycyjnej w Ukraińskiej Hromadzie. Poszło o kwestie narodowe. Mychajło Sosnowskij podał w swojej książce (str. 75) urywki z rozmowy z Doncowym, przeprowadzonej w Kanadzie, w roku 1968. „Nie mogłem — mówił Doncow do Sosnowskiego — już wtedy pogodzić się z internacjonalistycznymi tendencjami ruchu, które były identyfikowane z rusofilstwem. Przyjmowałem platformę walki z caratem, ale jednocześnie i równolegle z tym stawiałem zagadnienie narodowe. Na tym tle doszło do konfliktu i mojego zerwania z ruchem socjalistycznym...”.

Działalność młodego Doncowa nie mogła nie zwrócić uwagi carskiej policji i w roku 1907 został on aresztowany i znalazł się w kijowskim więzieniu. Groził mu ciężki wyrok, ale dzięki staraniom wpływowych osób udało się uzyskać dla niego warunkowe zwolnienie (po ośmiu miesiącach). W roku następnym Doncow przeszedł nielegalnie rosyjsko-austriacką granicę i dostał się najpierw do Lwowa, a następnie do Zakopanego, gdzie przebywał przez prawie dwa lata na leczeniu płuc. Tu interesujący polonik. W Zakopanem Doncow poznał Stanisława Brzozowskiego (już zdecydowanego gruzlika). Sosnowskij cytuje uwagi Rudnyckiego, który w kwartalniku *My* (Warszawa, 1934) uznał Brzozowskiego za duchowego ojca Doncowa. „Brzozowski zrodził Dmytro Doncowa, jako krytyka i publicystę...”. Sosnowskij, nie podając w wątpliwość oczywistego wpływu Brzozowskiego, uważa opinię Rudnyckiego za grubo przesadzoną (str. 76-77).

Po rekonwalescencji w Zakopanem Doncow przeniósł się do Wiednia i na tamtejszym uniwersytecie rozpoczął studia prawnicze, które ukończył dopiero we Lwowie, w roku 1917. W Wiedniu zawarł małżeństwo z koleżanką ze studiów, Marią Baczyńską. W dziesięć lat później ów związek małżeński będzie miał zasadnicze znaczenie dla dalszych losów Doncowa. Rzecz w tym, że dzięki temu małżeństwu mógł on w roku 1922 osiedlić się na stałe we Lwowie (w latach 1919-1921 przebywał w Szwajcarii), o czym zdecydował fakt, że jego małżonka urodziła się

na terenie Ziemi Czerwieńskiej (Hałycyna), miała więc pełne prawo do powrotu do kraju. Podobno sprawa ta, przed jej pozytywnym rozstrzygnięciem, oparła się o samego Józefa Piłsudskiego (str. 153).

Uprzednio przez prawie cały rok 1918 Doncow przebywał w Kijowie, a choć był bardzo czynny, większej roli politycznej nie odegrał. Na Ukrainie panowała ówczesnie daleko posunięta anarchia, władza przechodziła z rąk do rąk, przy czym nie zawsze było wiadomo, kto co reprezentuje i na kim się opiera. Najpierw była Centralna Rada, a następnie, gdy ta nie potrafiła zapanować nad sytuacją, przy pomocy Niemców i Austriaków ogłoszony został hetmanem generał Pawło Skoropadśkyj. Pochodził ze starego ukraińskiego rodu, niemal całkowicie zrusyfikowanego. W końcowym okresie utrzymywał się przy władzy dzięki rosyjskiemu oficerstwu, które praktycznie rządziło w Kijowie. Po ogłoszeniu federacyjnego związku z przyszłym państwem rosyjskim (14 listopada 1918 roku) wszyscy niepodległościowcy odeszli od Skoropadśkiego, a w miesiąc później oddziały Dyrektorii (Symon Petlura) weszły do stolicy i obaliły władzę hetmańską, zresztą ówczesnie zupełnie już iluzoryczną.

Doncow początkowo żywił poważne złudzenia co do Skoropadśkiego i dopiero nieprzyjemne doświadczenia obudziły go z niezbyt realnych marzeń. Wojna domowa na terenie byłego imperium rosyjskiego dochodziła do punktu kulminacyjnego. Ukraina po odejściu wojsk państw Centralnych była zagrożona jednocześnie z kilku stron. W styczniu 1919 roku Doncow znowu udaje się za granicę, przy czym wszystko wskazuje, że stało się to z inicjatywy Symona Petlury i pułkownika Jewhena Konowalca, którzy, ceniąc wysoko publicystykę Doncowa, chcieli go trzymać z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

Jaka była sytuacja na Ukrainie, gdy Doncow osiedlił się na dłuższy czas we Lwowie (siedemnaście lat pobytu!) i przystąpił do energicznej działalności publicystycznej, która przez długi czas wywierała wielki, często decydujący wpływ na umysły, zwłaszcza młodszych pokoleń? Gdy się bada przyczyny ukraińskiej katastrofy narodowej i państwowej w latach 1918-1920, trzeba osobno przyrzeć się politycznemu kierownictwu i osobno masom ludowym, które rewolucjoniści różnego typu tak chętnie obdarzają mianem „narodowych żywiołów”. Zwycięska Moskwa zachowała się najzupełniej odmiennie od imperialnego Petersburga. Minister Wałujew wślawił się jeszcze w roku 1863 wydaniem prawa, według którego „żadnej osobnej małorosyjskiej mowy nie było, nie ma i być nie może”, a tzw. e m s k i m dekretem (rok 1876)

Aleksander II jeszcze bardziej rozszerzał wszystkie antyukraińskie zakazy i szykany. Natomiast czerwona Moskwa stworzyła wszelkie możliwe pozory, byle Ukraińcom do reszty zamydlić oczy.

Stworzono rzekomo niezawisłą Republikę Ukraińską, ze stolicą w Charkowie, rozpoczęła się kulturalna „ukrainizacja”, patrzono przez palce na polityczne dyskusje, niekiedy dość swobodne, bujnie zaczęła się rozwijać literatura ukraińska. I w konsekwencji nastąpiła dezorientacja, sięgająca do samych szczytów. Hruszewskij i Wynnyczenko powrócili do kraju, a wraz z nimi mnóstwo niedawnych emigrantów. Komuniści ukraińscy brali na serio kłamliwe hasła i szczerze współpracowali z narzuconym systemem. „Nie ze strachu — pisze Sosnowskij — z przekonania”. Nastroje filosowieckie przerzuciły się także przez granicę ryską na teren Rzeczypospolitej Polskiej, obejmując dezorganizację ideowo-polityczną także tamtejszych Ukraińców (bracia Kruzelnyccy, Fedorciw i inni).

Sosnowskij zacytował Manuilskiego, który w sierpniu 1922 roku oświadczył publicznie, że ilość zgłaszających się do powrotu emigrantów jest coraz większa, co nazwał „rozkładem ukraińskiej kontrrewolucji” i „niewątpliwym sukcesem politycznym”. Nie od razu i tu i tam nastąpiło tragiczne rozczarowanie, spowodowane z jednej strony przymusową kolektywizacją i sztucznie zorganizowaną klęską masowego głodu, z drugiej — krwawymi represjami w stosunku do twórczej inteligencji ukraińskiej.

Na tym tle antysowiecka i w ogóle antyrosyjska orientacja Doncowa coraz bardziej się pogłębiała. Jego polityczne i historyzoficzne koncepcje omówię nieco dalej. Na razie jeszcze garść danych i dat, dotyczących pozostałego życia i działalności. Gdy wybuchła druga wojna światowa, Doncow miał pięćdziesiąt sześć lat, był w pełni sił. Lata wojenne to ciągnęła wędrówka, bez zaczepienia się nigdy na stałe: Gdańsk, Berlin, Bukareszt, Kraków, znowu Berlin, Praga. Wkrótce po wojnie Doncow dostaje się do Paryża, następnie do Londynu i wkrótce do Stanów Zjednoczonych. Ostatecznie wyjechał w roku 1947 do Kanady, gdzie pozostał aż do śmierci, czyli przez całe dwadzieścia sześć lat. Pracował nadal jako publicysta, ale nie chciał objąć redakcji żadnego czasopisma, choć mu to niejednokrotnie proponowano. Raz jeszcze wybrał się na krótko do Europy, mianowicie do Portugalii, ale ze względu na szybko pogarszający się stan zdrowia musiał wracać do Kanady, gdzie po roku umarł i został pochowany na ukraińskim cmentarzu. Śmierć jego odbiła się niezwykle szerokim echem w całej ukraińskiej diasporze, zarówno w Europie zachodniej, jak w obydwu Amerykach i Australii. Jeszcze



jeden dowód, jak wielką cieszył się popularnością i jaki wpływ wywierał. Nawet jego przeciwnicy — a miał ich niemało — nie mogli zaprzeczyć, że w ukraińskim życiu społeczno-politycznym i ideowo-kulturalnym przez długi czas był postacią kluczową, zaś w ukraińskim odrodzeniu narodowym pierwszej połowy XX wieku odegrał rolę zasadniczą.

### III

Pierwszych kilkanaście lat publicystycznej działalności Doncowa to niewątpliwie okres zwątpień i poszukiwań. Czasy były trudne, niezmiernie skomplikowane i obdarzony niezwykłym temperamentem pisarz nie mógł trafić od razu na właściwą drogę. Jego socjalizm miał prawdopodobnie w sporej mierze charakter koniunkturalny, nie wypływał z głębokiego, ideowego przekonania. Skoro był jedyną ówczesnie partią rewolucyjną, ostro przeciwstawiającą się caratowi, już choćby z tego jednego powodu należało doszłusować do jego szeregów.

Osoby, które dobrze znały młodego Doncowa (Doroszenko, Łotoćkyj, Petlura), charakteryzowały go jako człowieka dynamicznego, ambitnego, wyjątkowo pracowitego, nałogowego pochłaniacza książek, a jednocześnie autorytatywnego i bardzo trudnego w pożyciu. Sosnowśkyj zacytował (str. 83-84) interesujące urywki z listów Petlury do Doncowa. Petlura był wtedy redaktorem czasopisma *Życie Ukraińskie*, Doncow — jego stałym współpracownikiem. Ot, choćby taki urywek: „Jeżeli za jakieś 8-10 lat nie przeniosę się na łono praojców i zostanę bankierem, albo dyrektorem jakiegoś akcyjnego towarzystwa, zaproszę Was do objęcia redakcji czasopisma, specjalnie dla Was założonego, w którym będziecie mieli wolną rękę do wypowiedania wszelkich możliwych herezji, oraz będziecie mogli swobodnie besztuć wszystkie rodzime świętości...”

Sosnowśkyj słusznie uznał tę żartobliwą charakterystykę za niezwykle celną. „Otwarcie powiem — pisał Petlura w innym liście, w lutym 1912 roku — że bardzo cenię i lubię Wasze artykuły; redakcja podziela moją opinię i wielce Was szanuje, jako literata i współpracownika o jasnej inteligencji, umiejętności łatwego, żywego i ciekawego poruszania rozlicznych zagadnień... Ale może byćście zechcieli nieco szanować prawa redakcji i nie sprowadzali jej do roli aparatu, który otrzymuje rękopisy i od razu przekazuje do drukarni, nie licząc się z żadnymi okolicznościami...!”

W powyższych słowach Doncow został pokazany (miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat) w całej okazałości. Arbitralny, bezwzględnie przekonany o swojej słuszności, narzucający innym własne poglądy i interpretacje. To typowe dla ludzi bezkompromisowych, ale utrudnia, jak już podkreśliłem, współzycie i współpracę. I takim Doncow pozostał na zawsze, aż do zgonu.

W młodości był nie tylko antyklerykałem, ale również zdecydowanym przeciwnikiem religii w ogóle, a chrześcijaństwa w szczególności. Sosnowskij przytoczył fragment ze słynnej broszury „Szkoła i religia”, wydanej w roku 1910. Doncow wzywał w niej do usunięcia ze szkół nauki religii, gdyż „tak Kościół katolicki, jak Cerkiew prawosławna były zawsze zaciekleymi wrogami wolności...”. Doncow stał wtedy jeszcze na pozycjach wującego materializmu, ale dość szybko je opuścił. „Parafrazując słowa samego Doncowa — pisze Sosnowskij (str. 88) — że kto zbliża się do socjalistycznych bożków, ten musi odwrócić się od Chrystusa, moglibyśmy dziś powiedzieć, że kto odwrócił się od socjalistycznych bożków, ten musiał nawrócić do Chrystusa”. A nieco dalej: „Duchowa ewolucja Doncowa na przestrzeni dziesięcioleci prowadziła od skrajnie lewych pozycji ortodoksyjnego marksizmu-socjalizmu i materializmu do skrajnie prawicowych, do zaakceptowania woluntarystycznego idealizmu, irracjonalizmu i wreszcie nawet do mistycyzmu w politycznej filozofii...”.

A na razie zerwanie z socjalizmem dojrzywało nie tyle na tle religijno-moralnym, co polityczno-narodowym. W roku 1914 Doncow ogłosił drukiem broszurę pt. „Engels, Marx, Lassalle o niehistorycznych narodach”, a prawie w tym samym czasie „Nowoczesne moskwofilstwo”, oraz „Obecna sytuacja polityczna narodu i nasze zadania”. „Te dwie prace — ponownie cytuję Sosnowskiego — nie tylko zapewniły Doncowowi miejsce w awangardzie ukraińskich publicystów, lecz ponadto przyniosły mu międzynarodową renomę. Zagadnienia i sprawy, poruszone przez Doncowa w tych publikacjach, wzbudziły polemikę na łamach prasy ukraińskiej, rosyjskiej, polskiej i niemieckiej, a ponadto wywołały poważne zaniepokojenie w najwyższych kołach politycznych carskiego imperium”.

Polemika miała, rzecz prosta, charakter krytyczny, ale przy wszystkich brakach i niedostatkach wymienionych tekstów miały one niewątpliwie znaczenie historycznego przełomu. Doncow w sposób kategoryczny odżegnywał się od wpływów rosyjskich we wszystkich dziedzinach, a głównie w dziedzinie ideowo-kulturalnej, którą uznał za najważniejszą i najbardziej decydującą. Wzywał do całkowitego odcięcia się od Rosji, bo to jedyny spo-

sób na przewyższenie w ukraińskiej masie kompleksu „narodowego hermafrodytyzmu”, określanego kiedy indziej jako mentalność prowansalska. Na tej drodze musiał dojść i doszedł do postulatu polityczno-państwowego rozvodu z Rosją.

Broszury Doncowa zostały we właściwy sposób ocenione przez najwybitniejszych Rosjan owego okresu. Sosnowskij przytoczył w swojej książce przemówienie, wygłoszone przez Milukowa na posiedzeniu rosyjskiej Dumy, 19 lutego 1914 roku. Milukow był, jak wiadomo, przed pierwszą wojną światową i podczas wojny liderem Partii Konstytucyjno-Demokratycznej (popularna nazwa „Kadeci”). Na posiedzeniu tym roztrząsano sprawę administracyjnego zakazu obchodzenia rocznicy Tarasa Szewczenki. Milukow, jak i całe jego stronnictwo, uważał, że tego rodzaju polityka pobudza nastroje separatystyczne, więc jest szkodliwa. Punktem wyjścia dla przemówienia Milukowa stała się jedna z antyrosyjskich broszur Doncowa. Oto zakończenie przemówienia Milukowa:

„Panowie, separatystycznego ruchu na Ukrainie jeszcze nie ma, a jego zarodki są na razie dość nikłe. Ale można go wychować, można go rozwinąć... Gdy obecnie odbieramy Ukraińcom ich ostatnią nadzieję na polepszenie się ich sytuacji w granicach Rosji, teraz, gdy Ukraińcy zaczynają głośno mówić, podobnie jak Doncow i jego towarzysze, że wszelkie rachunki na Rosję to utopia i należy szukać ratunku w separatyzmie... jakież widzimy rezultaty? Widzimy ponowne odrodzenie się separatystycznych nastrojów, dowodem czego jest broszurka Doncowa, którą wam cytowałem. I powiadam wam: lękajcie się tego człowieka! Jeżeli będziecie uprawiać identyczną politykę co dotychczas, takich Doncowych będą setki, tysiące, miliony!”.

Rosyjskie, skrajnie nacjonalistyczne koła zaczęły bić na alarm znacznie wcześniej. Separatyzm ukraiński określano najchętniej mianem „mazepiństwa” (od hetmana Mazepy), którego widmo wciąż straszyło obrońców „jedynej i niepodzielnej”. Jak te nastroje wyglądały, niech zaświadczy tekst artykułu, ogłoszonego w roku 1911 w szowinistycznym, ukraiñożerczym dzienniku *Kijewlanin*:

„Ukraińska sprawa to zasadnicze zagadnienie rosyjskiego narodu i rosyjskiego państwa, a zarazem — zasadnicze niebezpieczeństwo. Polskie, ormiańskie, fińskie i inne zagadnienia dotyczą okrain państwa, a tym samym są drugorzędne. Nie Polska, nie Finlandia, nie inne kraje dały Rosji jej wielkość. Przeciwnie, te kraje raczej podcinały jej wielkość i potęgę. Wielkość Rosji powstała po osiągnięciu jedności rosyjskiego narodu; początkiem rosyjskiej wielkomocarstwowości stał się dzień 8-my stycznia 1654 roku, gdy nastąpiło zjednoczenie Małorosji z państwem moskiewskim. I oto obecnie ruch mazepiński usiłuje zniszczyć narodową, kulturalną i polityczną jedność rosyjskiego narodu, czyli, używając innych słów, zniszczyć rosyjską mocarstwowość. Oto gdzie tkwi największe niebezpieczeń-

stwo. Ruch mazepiński rośnie. Z tym trzeba się pogodzić. O tym trzeba wołać na cały głos. Niestety, rosyjskie władze państwowe pozostają głuche i ślepe w stosunku do tego najniebezpieczniejszego ze wszystkich ruchów. Ze swojej galicyjskiej bazy mazepiństwo rozlaźi się po całej południowej Rosji. Ale władze milczą. Konieczność podjęcia przez wielki naród rosyjski narodowo-państwowej samoobrony wskazuje nam na zdecydowaną walkę z mazepiństwem...”.

„Mazepiństwo” nie odegrało w latach rewolucyjnych roli, jakiej obawiali się rosyjscy szowiniści. Sosnowskij podał obszernie wyimki z tekstu znanego historyka Hruszewskiego, który ocenił ówczesną sytuację na Ukrainie w sposób zdecydowanie negatywny. Zbieżność z ocenami Doncowa — niemal całkowita. Oto, co ten pisał w artykule, ogłoszonym na łamach czasopisma *Nasz Głos* jeszcze w roku 1911:

„Poziom politycznej dojrzałości współczesnego społeczeństwa ukraińskiego jest nie tylko niższy od poziomu w wieku XVII i XVIII, ale nie można go nawet zestawiać z ideologią Towarzystwa Cyryla i Metodego. Ten upadek myśli politycznej spowodowany jest przede wszystkim tym, że obecne społeczeństwo ukraińskie jest, pod względem narodowym — hermafrodytą. Nie odczuwa swojej przynależności do całkiem osobnej, odrębnej narodowości, która oprócz swoich potrzeb narodowo-kulturalnych posiada również potrzeby polityczne, odmienne od potrzeb i dążeń innych narodów, a głównie rosyjskiego”.

Idąc konsekwentnie po tej linii, Doncowa niepowodzenia ukraińskie w latach 1917-20 przypisywał warstwie kierowniczej, nie zwalniając od odpowiedzialności żadnego działacza i ani jednego z działających ówczesnie ugrupowań politycznych. I na tym tle powstała nienawiść do Rosji jako głównej sprawczyni takiego stanu rzeczy.

Nazwałem Doncowa zgodnie z prawdą historyczną człowiekiem bezkompromisowym i o wielkim temperamencie. Był także gwałtownikiem, posuwającym się, gdy chodziło o sprawy zasadnicze, aż do fanatyzmu.

Dla zilustrowania nie zawadzi dać parę próbek prozy publicystycznej Doncowa. Odpowiadając swoim krytykom i krytykom *Wistnyka* pisał: „Idee, propagowane przez *Wistnyk*, to ideologia naszych czasów. Grzmi nad nimi *filosofia militans*, a nie filozofia „pokoju i ciszy”. Jest to okres konfliktu między „purytanami” i obojętnymi — konfliktu, a nie syntezy. Doba ludzi wiary, „pijanych swoim Bogiem”, surowych, a nie pobłażliwych wobec bezbożnych wrogów ludzkości. Doba, do której dorosli tylko ci, co posiadają „abstrakcyjny dynamizm”, ludzie określonych haseł, wiadomej rasy. Ludzie adekwatni do naszej ciężkiej, twardej

epoki. Nie eklektycy, nie łątacze, nie ludzie koniunktury, nie słowni nierządnicy, rzucający głośne hasła, a rozporządzający pustymi głowami. Między tymi dwoma rodzajami ludzkimi — kompromisu nie ma i być nie może”.

A przy innej okazji: „Nie ma na świecie większego przekleństwa od tak zwanego 'obiektywizmu', nie ma większego nieszcześcia od 'bezsronnych' i neutralnych. 'Obiektywni' to ci, co obawiają się zająć wyraźne stanowisko, to ani zimni, ani gorący, a panoszą się w życiu społecznym, w prasie, w literaturze, krytyce. Nie znoszą tych, co ustawiają drogowskazy i zmuszają do wyboru: za albo przeciw, zmuszają do nastawienia steru na określony kierunek...”.

Nic dziwnego, że na podstawie tego rodzaju sformułowań Sosnowskij uznał, że „słownik Doncowa nie zna innych barw, jak tylko „czerni” i „bieli”, że nie ma u niego żadnych gradacji, żadnych „szarych” przejść między tymi barwami. Teraz już nas nie może zdziwić, gdy czytamy, że Doncow wysunął koncepcję zakonu jako przeciwstawienia i przeciwwagi partii, uwydatnienie roli „mniejszości z inicjatywą”, z uszczerbkiem dla demokracji, idei „prowadzącej, kierowniczej kasty” jako decydującego czynnika w życiu narodowym, nosiciela „woli życiowej” i „woli władczej”. Czy więc Doncow nie zapatrzył się na taki czy inny faszyzm, jak to twierdził niejedyn z jego przeciwników? I na to pytanie trzeba będzie odpowiedzieć w dalszym ciągu.

Doncow bardzo wcześnie, bo w niewiele lat po zwycięstwie bolszewickiej rewolucji właściwie ocenił jej istotną treść i cele. Uznał bolszewizm za typowo „rosyjskie zjawisko”, przy czym zwracał uwagę (nie bez pewnej słuszności), że Bakunin wpłynął na główne cechy bolszewizmu w większym stopniu niż Marx i Engels (historycy sowieccy kategorycznie temu zaprzeczają). Stawiał sprawę jasno i niedwuznacznie: „Mamy przed sobą wielki konflikt dwóch cywilizacji, dwóch politycznych, społecznych i kulturalno-religijnych ideałów, konflikt Europa - Rosja”<sup>2</sup>.

Na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii, oddawano się ówczesnie (a i po wielu latach!) naiwnym złudzeniom i pobożnym życzeniom: liczono na korzystną ewolucję i stopniową europeizację

---

2. Zdaje się, że nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na poważne zbieżności między Doncowym, a tym, co o Rosji pisał w swoim kapitalnym, wielotomowym dziele pt. „Od białego do czerwonego caratu” Jan Kucharzewski. Nie wiem, czy Doncow czytał Kucharzewskiego; jeżeli, to na pewno w latach późniejszych, gdy jego poglądy na Rosję były już od dawna skryształizowane. A Kucharzewski chyba o Doncowie tylko to i owo słyszał. Nie tylko słowa, także idee „latają”.

Rosji Sowieckiej. Ciekawe i znamienne: takich złudzeń nie mieli zachodni Europejczycy przez cały prawie wiek XIX, od markiza de Custine poprzez Jules Micheleta aż do Dawida Urquharta. Nawet Tomasz Masaryk, chociaż Czech, potrafił wyłamać się z tradycyjnych marzeń panslawistycznych i w swojej francuskiej książce „Sur le bolchévisme” przeprowadził celną analogię między Rosją carską i sowiecką. Na opinię jego narodu praca ta nie wywarła żadnego wpływu i bodaj nawet nie ukazała się w przekładzie na czeski.

Wychodząc z założenia, że Rosja stanowi największe, zasadnicze niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu ukraińskiego, Doncow żądał absolutnej separacji pod każdym względem. Już cytowałem uprzednio jego celną opinię, że bez duchowego odcięcia się od Rosji zerwanie powiązań politycznych (a raczej w i ę z ó w ! ) nie będzie w ogóle możliwe. A że temperament stale go ponosił, szedł często zbyt daleko i przekreślał Rosję w całości, nie uznając żadnych paliatywów, co było psychologicznie zrozumiałe, ale historycznie nie dające się ani usprawiedliwić, ani obronić.

Gdy raz doszedł do przekonania, że Rosję należy traktować jak źródło nie dającej się opanować, a tym bardziej uleczyć zarazy, wysunął koncepcję postawienia na Europę Zachodnią i jej cywilizację. Zerwanie z „rosyjskim kompleksem” wymaga, zdaniem Doncowa, zwrócenia się frontem do Europy, pełnej okcydentalizacji ukraińskiego narodu. Zresztą nie był w tym jedyny, ani odosobniony. Już Drahomanow wysuwał identyczny postulat, choć traktował go niedość konsekwentnie. Na Ukrainie podsowieckiej stawał na „psychologiczną Europę” Mykoła Chwyłowyj, który znajdował się pod wpływem Doncowa, oraz niezależnie od niego Mykoła Zerow, świetny tłumacz greckich i rzymskich poetów, autor głośnego hasła *ad fontes*. Obydwaj zapłacili za to życiem. Chwyłowyj zastrzelił się latem 1933 roku. Zerow zginął w łagrze sołowieckim, do ostatnich chwil, już konający, pracując nad przekładem „Eneidy” starego Marona. Dwa tragiczne symbole owego dążenia do okcydentalizacji.

Doncow uważał, że wcale nie powinno chodzić o jakieś „uzachodnienie” ukraińskiego narodu, lecz po prostu o powrót do starych tradycji, ciągle żywych, a tylko przygłuszonych i częściowo wynaturzonych rosyjskim wpływem. Pozostawał pod tym względem w pełnej zgodzie ze znanym historykiem Krupnyckym, który swój pogląd sprecyzował w następującym lapidarnym zdaniu: „Należąc fizycznie do Europy Wschodniej, Ukraina należy duchowo do Europy Zachodniej”. Doncow także uważał, że

orientacja prozachodnia powinna sprawić, aby do decydującego głosu doszły te wartości, które swego czasu określały naród ukraiński jako część składową Zachodu.

#### IV

Już padło na jednej z poprzednich stronik określenie „dynamiczny nacjonalizm”. Łączy się on bardzo ściśle ze zwalczaniem Rosji w każdej, jak podkreśliłem, dziedzinie i na każdym terenie. Przeciwwstawiając się ostro ukraińskiemu prowincjonalizmowi, którego korzenie kryły się w wieku XVIII, po nieudanej próbie hetmana Mazepy (klęska pod Połtawą), Doncow proponował jako najskuteczniejsze lekarstwo doprowadzony do skrajności woluntaryzm, stanowiący podstawę światopoglądu, etykę, stawiającą na czele wartości interes narodowy, historiozofię, interpretującą przeszłość jako sumę wydarzeń zrodzonych z idei. W wykrywaniu i piętnowaniu wad i przywar ukraińskiego narodu był bezlitośnie bezkompromisowy. Nie obeszło się bez przesady. Gdy Doncow nazywa swój naród „pariasem”, „fellachem”, gdy mu zarzuca „wąski i tępy intelektualizm” i „wiarę w abstrakcyjne doktryny”, i gdy wreszcie posuwa się do obelgi: „psychologia plebeuszów”, jest w tym tyleż słuszności co jaskrawej przesady. Ale ten szok traumatyczny był najwidoczniej potrzebny, skoro drastyczny zabieg okazał się po jakimś czasie skutecznym.

Już wspominałem, że Doncowowi bardzo często zarzucano zbyt intensywne zapatrzenie się w faszyzm, a nawet ślepe jego naśladownictwo. Słowo „faszyzm” zrobiło za naszych czasów zawrotną karierę, oczywista, w sensie zdecydowanie negatywnym. Zrobiono z niego demona, wywierającego potężny wpływ na wszystkie niemal narody, zawsze w równym nasileniu duszącego wolność, demokrację, ludzkie prawa. „Faszyzm” stał się w takim ujęciu kluczem pasującym do każdych drzwi, ubraniem skrojonym na uniwersalną miarę. Faszyzm włoski, niemiecki hitleryzm, hiszpański franquizm, portugalski salazaryzm, dyktatury południowoamerykańskie, wszelkie autokracje, choćby stosunkowo umiarkowane — wrzuca się do jednego worka, nie odróżniając i nie chcąc odróżniać odrębnych cech. Gdy ktoś wskazuje na istotne różnice, natychmiast zostaje napiętnowany jako faszystowski apologeta. Ostatecznie faszystą zostaje każdy, kto nie chce utożsamiać się ze skrajną lewicą.

Wypada stwierdzić, że wpływy włoskiego faszyzmu były na Doncowa oczywiste, ale ani wyłączne, ani obejmujące całość.

Istotne wpływy światopoglądowe przyszły z czasów o wiele wcześniejszych, gdy Mussolini ledwie zjawiał się na świat. Nie ulega wątpliwości, że w o l u n t a r y z m, z taką energią propagowany przez Doncowa, wywodził się jednocześnie z Schopenhauera i Nietzschego. Zwłaszcza nietzscheanizm zaważył najmocniej. Doncow wziął dosłownie schopenhauerowskie *Wille zum Leben* (wola życia) i nietzscheańskie *Wille zur Macht* (wola mocy), ale interpretacja tych haseł nie zawsze i nie we wszystkim była zgodna z intencjami obydwu filozofów. Trzeba Doncowowi przyznać, że potrafił te wpływy przetrawiać po swojemu i nadawać im odmienny sens. Stąd wziął się „tragiczny optymizm”, określenie dobrze pasujące do pisarzy, którzy poszli za Doncowym i skupili się przy *Wistnyku*: Jurij Łypa, Ołeh Olżycz, Jewhen Małaniuk, Jurij Kłen, Łeonid Mosiendz, Ułas Samczuk... Zwraca uwagę, że w znacznej większości byli to liryczni poeci, czego nie uważam za przypadek.

Wszyscy wymienieni wcześniej czy później rozeszli się z ideologią Doncowa i zajęli inne pozycje, niekiedy przeciwstawne. Sosnowskij twierdzi (str. 25), że rozstanie to odbyło się nie tyle ze względów zasadniczych, co ze względu na nadmierną arbitralność Doncowa, który nie tolerował najmniejszej krytyki i sprzeciwu; wymagał, aby jego poglądy były przyjmowane w całości, bez żadnych poprawek i zastrzeżeń. A jego współpracownicy byli także indywidualistami, więc niejednokrotnie redaktorska kosa trafiła na kamień. Niektórzy z wymienionych pisarzy odeszli daleko od mistrza, inni, nawet przy odmienności poglądów, zachowali do niego sentyment na zawsze, *exemplum* Małaniuk.

Co ludzi wykształconych, a nastawionych krytycznie zrażało u Doncowa, to jego kapryśna niekonsekwencja. Potrafił powoływać się na pisarzy, ideologów, polityków, którzy mieli ze sobą niewiele albo zgoła nic wspólnego, i sprowadzał ich do jednego mianownika. Sosnowskij zacytował amerykańskiego badacza kwestii ukraińskiej, Johna A. Armstronga, który w swoim artykule „Collaborationism in World War II” określił Doncowa jako „człowieka o niezwykle złożonym składzie intelektualnym”. Armstrong wymienił listę „dziwnych bohaterów” Doncowa: Nietzsche i Bergson, George Sorel, Kipling, Kitchener i Teodor Roosevelt...! O wiele słuszniej byłoby postawić na czele tej listy Charles Maurrasa.

Krytycy Doncowa rekrutowali się prawie wyłącznie spośród pisarzy, historyków, polityków; gdy chodziło o znaczną część społeczeństwa, a zwłaszcza o młode pokolenia, był niemal wyłącz-



nym władcą uczuć i myśli. Młodzi nacjonaliści ukraińscy z OUN widzieli w nim przywódcę z powszechnej nominacji, ideologa o niewątpliwym autorytecie, niemal narodowego proroka. Tego nie kwestionował i nie kwestionuje nikt, nawet żaden zdeklarowany oponent.

Doncow nie żyje od siedmiu lat, umarł po dwudziestu ośmiu latach pobytu na emigracji. Niektórzy już wtedy twierdzili, że Doncow przeżył sam siebie, że był bezsilnym świadkiem stopniowego odchodzenia ukraińskiej diaspory od jego ideologii. Czasy się zmieniają. O powodzeniu ideologii Doncowa zadecydował w latach dwudziestych i następnych głęboki kryzys, wywołany katastrofą narodowych dążeń w okresie bolszewickiej rewolucji i wojny domowej, w której Ukraina była raczej przedmiotem niż podmiotem. Zakończenie drugiej wojny światowej spowodowało nowy kryzys, pod pewnymi względami głębszy od poprzedniego.

Ten etap historyczny, który najświetniej był reprezentowany przez Doncowa, jest już definitywnie zamknięty. Pozostaje jednak aktualny główny postulat Doncowa: moralny nakaz nieustannej walki. Wyjaśniam: nie chodzi o moralność jako kategorię czysto etyczną, lecz o bezwzględną wiarę w posłannictwo narodowe. Cechy te nie potrzebują żadnej podbudowy ideologicznej, więc pasują do każdej orientacji, byleby ta stała na gruncie niepodległościowym.

„Nowe czasy — to końcowe słowa książki Sosnowskiego — wymagają nowych myśli i koncepcji, nowych taktycznych sposobów i nowej strategii. Ze skarbniecy przeszłości można brać tylko to, co w nowej rzeczywistości uznane zostanie za pozytywne i stymulujące. W mojej analizie zasad 'dynamicznego nacjonalizmu' starałem się wskazać te polityczne elementy, które nawet w zmienionym kontekście polityczno-społecznym zachowały swoje znaczenie i mogą znaleźć odpowiednie zastosowanie. Natomiast jako całościowy system ideologia 'dynamicznego nacjonalizmu' wraz z jej projekcją na polityczną i społeczną organizację narodu nie może stanowić dla ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego niezbędnej bazy ideowej, tak by stał się, oparty na niej, czynnikiem konstruktywnym na drodze organizowania narodu ukraińskiego w jego zmaganiach o polityczną niezależność i państwową niepodległość. Przywódcy ukraińskich organizacji narodowych uświadamiali sobie to już w latach czterdziestych i wyciągnęli z tego konieczne wnioski. Dalszy rozwój sytuacji aż po dzisiejszy dzień dowiódł, że poczynione ówczesne wnioski były prawidłowe”.

Takie postawienie sprawy przysporzyło Sosnowskiemu niejednego wroga, głównie wśród stuprocentowych zwolenników i wielbicieli Doncowa. Sądzę, że jeszcze sporo wody upłynie

w ukraińskich i emigracyjnych rzekach, zanim poruszone zagadnienia zostaną rozstrzygnięte i wyczerpane bez reszty. Żaden ruch wyzwolenczy nie jest w stanie wyzbyć się fanatyzmu i nienawiści, czy się to nam podoba, czy nie. Doncow był głosicielem takiej akcji dynamicznej, która daje potężny impuls do zwycięskiego zwalczania wszelkich trudności. Zapowiadał konieczność zwycięstwa w dziedzinie duchowej, zanim zmaterializuje się w życiu realnym. Zasada była ze wszech miar słuszna, choć jej rozwinięcie mogło grzeszyć pod tym czy innym względem. I dochodząc do tego punktu, wszelkie krytyczne analizy, gdzie indziej właściwe, natychmiast stają się bezużyteczne. Takie jest Doncowa „zza grobu zwycięstwo”.

## V

Czytelnicy *Kultury* mają prawo postawić pytanie: a jaki był stosunek Doncowa do narodu polskiego, do Drugiej Rzeczypospolitej? Konflikty ukraińskie z sąsiadami dzielił on na takie, które mają znaczenie zasadnicze, i inne, o znaczeniu lokalnym. Niebezpieczeństwo rosyjskie wysuwał zawsze na pierwsze miejsce, wszystko inne usuwał w cień. Był zwolennikiem powstania antyrosyjskiej koalicji, do której obok Ukrainy miałyby wejść przede wszystkim Polska, następnie także Węgry i Rumunia. Zgadzał się na „Warszawską konwencję”, zawartą w roku 1920 przez Piłsudskiego z Petlurą, ponieważ w tamtej sytuacji nie widział żadnego innego rozwiązania. Pisał, że utrata Hałyczyny (Wschodniej Galicji) i części Wołynia była wielce bolesna, ale przejściowo konieczna.

Jeżeli do powstania takiego antyrosyjskiego bloku nie dojdzie — zapowiadał proroczo — to Rosja prędzej czy później skorzysta z jakiejś okazji i „zjednoczy wszystkie ukraińskie ziemie pod swoją władzą”. W „Podstawach naszej polityki” pisał, że „każdy, kto dąży do natychmiastowego połączenia wszystkich ukraińskich ziem, wysuwając ten postulat ponad wszystko i uprawiając wschodnią orientację, pracuje na korzyść Rosji i pomaga jej postawić krzyż nad ukraińską niepodległością. Logiczne następstwo takiej polityki — panowanie Rosji na całości naszych ziem...”.

Wojna 1920 roku, w której dywizje Petlury biły się po polskiej stronie, zakończyła się zwycięstwem Polski i katastrofą

dla Ukrainy. Przyszłość wykazała, że było to dla nas zwycięstwo Pyrrusowe, zaś pokój Ryski chwilowym zawieszeniem broni. A w wyniku drugiej wojny światowej nastąpiło to najgorsze, czego tak bardzo obawiał się Doncow: zjednoczenie Ukrainy pod bolszewicką, rosyjską egidą. Polska dostała się do tego samego, sowieckiego worka, choć jej położenie jest bez porównania pomyślniejsze.

Jak podałem, w roku 1922 Doncow uzyskał pozwolenie na osiedlenie się we Lwowie i aż do roku 1939 wydawał i redagował czasopismo *Wistnyk*, sztandarowy organ ukraińskiego odrodzenia narodowego. Jak wyglądał jego stosunek do Polski w ciągu tych siedemnastu długich lat? Nie mógł być pozytywny. Nonsensowna polityka administracyjna wobec „mniejszości” ukraińskiej, która to „mniejszość” na terenie sześciu województw stanowiła oczywistą większość, doszła w ostatnich latach drugiej niepodległości do szczytów obłędu. Nie można było w tych warunkach oczekiwać od takiego pisarza jak Doncow przyjaznego, czy choćby tylko neutralnego stosunku. Ale nie tylko to.

Niejednokrotnie rozmawiałem na ten temat z poetą Jewhenem Małaniukiem, który, jak już mówiłem, był wielkim przyjacielem Doncowa. Małaniuk postawił sprawę bez żadnych ogródek. Traktowanie Ukraińców przez władze polskie nie mogło naturalnie wzbudzać zachwytu. Ale Doncow wskazywał, że Druga Rzeczpospolita nie miała żadnej atrakcyjnej idei, duchowo i moralnie nie była w stanie nikomu zaimponować. I ten brak ideologicznej atrakcyjności był dla człowieka i pisarza typu Doncowa najważniejszy. Zrażał go nieprzyjemnie do Rzeczypospolitej i do ówczesnych Polaków<sup>3</sup>.

Nieznajomość nastrojów w masach ukraińskich była zaiste zatrważająca. Gdy na początku roku 1938 w tygodniku *Wołyń*, wychodzącym w Łucku, ukazał się artykuł ostrzegający przed konsekwencjami akcji antyukraińskich, natychmiast odezwała się *Polska Zbrojna*, organ polskiej armii. Pewien pułkownik, mocno

---

3. W chwili wybuchu wojny gen. Składkowski nie miał nic pilniejszego do roboty jak osadzić Doncowa w Berezie, skąd uwolnili go Niemcy i z honorami przewieźli do Berlina. Po klęsce wrześniowej znalazłem się w Bukareszcie, gdzie przejściowo pracowałem jako sekretarz ambasadora R. Raczyńskiego. Któregoś dnia późną jesienią 1939 roku zgłosił się do mnie w ambasadzie Doncow (którego znałem przed wojną) i poprosił... o wydanie paszportu polskiego. Był to piękny rycerski gest, który głęboko odczułem i który stał się początkiem naszej przyjaźni. (Trzeba również zaznaczyć, że kilka artykułów Doncowa było drukowanych w redagowanym przeze mnie *Buncie Młodych* i *Polityce*. — *Redaktor*).

zaangażowany w tzw. kampanii rewindykacyjnej, pouczył redakcję *Wołynia*, że chłop ukraiński jest nastawiony całkowicie lojalnie do Rzeczypospolitej i w razie wojny nic nam z jego strony nie grozi. Ów pułkownik od dawna nie żyje i nie chce wymieniać jego nazwiska. Nie wiem, gdzie przebywał we wrześniu roku 1939 i w latach następnych. Gdyby zawadził wtedy o Wołyn, miałby okazję przekonać się, jak zabawnie w świetle wydarzeń wypadły jego zapewnienia o lojalności.

## VI

Jeszcze na zakończenie kilka słów o książce Mychajły Sosnowskiego, która bardzo mi pomogła przy pisaniu niniejszego szkicu. Jest to praca niezmiernie solidna, wyczerpująca podjętą tematykę i problematykę, wszechstronnie udokumentowana. Centralną postacią jest naturalnie i zgodnie z tytułem Dmytro Doncow, ale jednocześnie mamy na tych przeszło czterystu stronach plastycznie i wyczerpująco przedstawione polityczne dzieje narodu ukraińskiego na przestrzeni całego półwiecza, od przełomu dwóch stuleci aż poza drugą wojnę światową. Nie waham się nazwać tej książki swoistą encyklopedią ukraińskości owego okresu, już zamkniętego, już należącego do historii, a wciąż domagającego się dalszego ciągu, dalszej twórczej kontynuacji.

Orientuję się, że niejedni uznali ją za kontrowersyjną, czy za zbyt stronną, że powinna wywołać krytyczną, uzupełniającą polemikę. To dobrze! Ci, co w swojej młodości, nieraz bardzo wczesnej, poszli za Doncowym, są w najlepszym razie w sile wieku, pozostali dobiegają do starości. Uczestniczyli w opisywanych wydarzeniach. Niektóre oceny i opinie Sosnowskiego mogły im się wydać jednostronne, a nawet krzywdzące. To przy tego rodzaju pracach jest nieuniknione — zawsze i wszędzie.

Niemniej praca Sosnowskiego należy do książek, do których stale się powraca jako do niewyczerpanego źródła informacji i dokumentów. I choćby ich interpretacja miała budzić niekiedy pewne wątpliwości, wielki ciężar gatunkowy tej książki nic na tym nie traci.

Józef ŁOBODOWSKI

---

## UKRAIŃSKO-POLSKA KONFERENCJA NAUKOWA\*

6-7 października 1980 roku

Jako gospodarz tej instytucji, otwieram dzisiejszą konferencję z wyjątkową radością i nie bez pewnej satysfakcji. Radość ta wypływa z uznania ich ważności konferencji w jej historycznym aspekcie, co zostało należycie podkreślone w nadesłanych pozdrowieniach; w pełni docenić jej znaczenie będziemy mogli prawdopodobnie dopiero po dłuższym czasie, gdy ta początkująca inicjatywa zostanie właściwie zrozumiana w o b y d w u wspólnotach, których emanację stanowią wielce szanowni Uczestnicy, a przede wszystkim inicjatorzy, referenci i kierownicy poszczególnych sesji. Witam ich najserdeczniej, nie zamierzając nikogo specjalnie wyróżniać, bośmy się tu zbrali wspólnie, jako kole-dzy. Spada na nas odpowiedzialność za to, czy dzisiejszy początek znajdzie w przyszłości dalszy ciąg i pogłębienie.

Ponadto moja satysfakcja wynika z faktu, że konferencja spełnia prawdziwe zadania Niezależnego Uniwersytetu Ukraińskiego (UWU — Ukrainśkyj Wilnyj Uniwersytet), czego osiągnięcie wymagało zresztą kilkudziesięciu lat intensywnej pracy, zanim zdobyliśmy odpowiedni prestiż i ciężar gatunkowy. Jeżeli się zważy, że nauka ukraińska nie miała możliwości swobodnego rozwoju nie tylko w carskiej, czy — z biegiem czasu — sowieckiej Rosji, ale nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach w konstytucyjnej monarchii austro-węgierskiej, ani nieco później, w okresie między dwiema wojnami, na zachodnich terenach Ojczystych Ziemi, to rolę UWU (który za trzy miesiące obchodzić będzie sześćdziesiątą rocznicę swego istnienia w wyjątkowo ciężkich warunkach emigracyjnego życia, w trzech różnych krajach) wolno uznać za wręcz jedyną w swoim rodzaju. Z tym, że chodzi nie tylko o swobodne studia, bez cenzury i tworzenia fałszów, co jest typowe pod totalitarnymi reżymami, bez zniekształcania prawdy, konsekwentnie stosowanego po dziś dzień w państwach Bloku Wschodniego; chodzi głównie o stworzenie ośrodka, który corocznie jest odwiedzany przez profesorów i młodzież z piętnastu krajów, na czterech kontynentach naszej diaspory. Wystarczy przypomnieć, że każdego roku gościmy w tych murach, w naukowo-pedagogicznych celach, od czterdziestu

---

\* Przemówienie wygłoszone na otwarciu Konferencji na Niezależnym Uniwersytecie Ukraińskim w Monachium 6 października 1980 r.

do pięćdziesięciu najwybitniejszych ukrajinistów wolnego świata i że, jak dotychczas, nasi wychowankowie zajęli dzięki temu ważne pozycje na obcych uniwersytetach, sprawnie wykonując swoje zadania. A są wśród nich nie tylko Ukraińcy, ale i Polacy, Czesi, Węgrzy i inni.

Jednakże, gdybyśmy się zasklepili wyłącznie w powyższych zadaniach, byłoby to marnowaniem uzdolnień, otrzymanych od Boga. Pobyt w obcych środowiskach zobowiązuje; od wielu lat stale urządzaliśmy naukowe sesje i konferencje — ich liczba zbliża się do setki, z czego ponad czterdzieści we współpracy z różnymi nie ukraińskimi instytucjami Niemiec, Francji, Stanów Zjednoczonych, Austrii i Belgii, przy czym mieliśmy referentów, reprezentujących piętnaście innych narodów. Niekiedy zdarza się wykonywanie prac dosłownie pionierskich, tak np. wydaliśmy książki w języku francuskim o takich wybitnych postaciach jak Skowroda i Franko. Ale nie wolno nam ograniczać się do naukowych informacji, by w kołach naukowców zdobywać zrozumienie dla znaczenia naszej Ojczyzny i jej ciężkich losów. Pragnęliśmy tymi naukowymi związkami wnieść konkretny wkład w rozwijanie wielkiej idei duchowej jedności Europy, jako odległego celu, polegającego na stworzeniu lepszego ładu światowego, który by zapewnił pokój powszechny i stał się podstawą współpracy narodów o wspólnych tradycjach i założeniach kulturalnych. Właśnie „rok europejski” — rok pierwszych wyborów powszechnych do europejskiego parlamentu — stał się dla nas dobrą okazją do podkreślenia w czasie różnych imprez naszej obecności we wspólnocie europejskiej, która dotychczas nie zdobyła się na żaden gest, by zapewnić narodom Europy Wschodniej i Środkowej miejsca choćby obserwatorów na swoim forum, mającym przynieść zapowiedź nastania nowej ery w dziejach ludzkości.

Na tym tle świat słowiański musi odegrać specjalną rolę, niezależnie od tego, czy poszczególne narody żyły ze sobą w zgodzie, czy też — odwrotnie — miały swoje historyczne porachunki, po jakich pozostały różne resentymenty. To dlatego, organizując nasze spotkania i wieczory, poświęcaliśmy tak wielką uwagę naukowym konferencjom z naszymi sąsiadami. Z natury rzeczy najściślejszy związek łączył nas z bratnim narodem czeskim, któremu UWU zawdzięczał swoje istnienie w ciągu dwudziestu lat czechosłowackiej niepodległości. Podczas gdy inne słowiańskie narody usiłowały wykorzystywać „słowianofilstwo” dla swoich egoistycznych celów, dążąc do tego, by „wszystkie słowiańskie rzeki” zlały się — jak im się wydawało — z jednym imperialistycznym morzem i by zapanowały jedno prawo, jeden obyczaj, a nawet jedna „ogólnie zrozumiała mowa”, odrodzone państwo czeskie udowodniało przykładowo, jak powinna wyglądać prawdziwa przyjaźń. Z tych względów na różnych wspólnych wieczorach wspominano z wdzięcznością takie postacie jak Come-

nus, Masaryk, jak plejada czterech czeskich kompozytorów; więc świętując to nasze sześćdziesiąte, urządzimy obchód sto trzydziestej rocznicy narodzin Masaryka, wspólnie z Instytutem Sławistyki w Paryżu, który swój rozwój zawdzięcza temuż wielkiemu myślicielowi, największemu jak dotąd mecenasowi naszego UWU. Drugi wieczór planujemy razem z uniwersytetem w Sztutgarcie, z którym współpracujemy już od 25-ciu lat; będzie to najlepszy przyczynek do ukraińsko-czeskich stosunków na emigracji, skoro zważymy, że wieczory te przygotowuje nasz czeski wykładowca, prof. dr J. Kratochwil.

Na tych wieczorach — między innymi ukraińsko-bułgarskich i ukraińsko-żydowskich — nie zabrakło spotkań z licznymi polskimi zwolennikami przyjaznej współpracy, zapoczątkowanych pamiętnym wieczorem prof. Jerzego Wojciechowskiego (18 lipca 1975 roku). Następnie odbył się wieczór autorski znanego polskiego poety awangardowego, filozofa, eseisty, krytyka i historyka literatury Tymoteusza Karpowicza. Wieczór ten został bardzo pozytywnie oceniony w przodującym polskim miesięczniku *Kultura*, który zamieścił moje powitanie. Zresztą *Kultura* zawsze poświęcała i nadal poświęca wiele miejsca artykułom ukraińskich publicystów i naukowców, co także przyczyniło się do przygotowania i zrealizowania niniejszej konferencji.

Przy tej okazji należy wspomnieć, że konferencja stanowi logiczne przedłużenie I Ukraińsko-Polskiego spotkania w Hamiltonie (Kanada), na uniwersytecie MacMasters, w roku 1977, tym bardziej, że dziś witamy u nas z należnym szacunkiem inicjatora i organizatora tamtego spotkania, prof. dr. P. Poticznego, który poprowadzi u nas jedną z sesji. Sporo obecnych prelegentów także wzięło udział w tamtej pierwszej konferencji.

Sądę, że nasze zadanie nie jest łatwe, i wiem, że nie jest popularne; pewny jestem natomiast, że nasza inicjatywa spotka się — i to w równej mierze z obu stron — z zastrzeżeniami, niedowierzaniem i z krytyką. Ale zadaniem i obowiązkiem duchowej elity jest odważne zdobywanie się na niepopularne posunięcia, które znajdą swoje usprawiedliwienie dopiero w dalekiej przyszłości. A jeżeli zabraknie jednostek, które wezmą na siebie ryzyko niepopularności, to historia nigdy nie stanie się nauczycielką narodowego bytu, przejdzie nad nim do porządku, przekreśli nasze aspiracje, albo nas zmiażdży, jak się to już tyle razy stało w przeszłości.

Nie jest zadaniem duchowej elity tworzenie faktów historycznych — bo to nie należy do kompetencji intelektualistów, więc nie możemy pretendować do zastępowania w jakikolwiek sposób politycznego kierownictwa, czy działać ponad głowami czynników politycznych. Gdy byłem przed kilkoma dniami w Waszyngtonie (30 września), energicznie zastrzegłem się w wywiadzie udzielonym *Głosowi Ameryki* przeciw interpretowaniu naszej konferencji jako czegoś w rodzaju aktu w pełni doko-

nanego porozumienia. Mamy przed sobą niemniej ważne zadanie, mianowicie zadanie wytworzenia odpowiedniej atmosfery dla działania naszych politycznych centrali czy ugrupowań. Jakże wiele wrogich nastrojów i resentymentów wynika z ignorancji, albo z niezrozumienia! Wspólne konferencje naukowe, a następnie dokumentarne publikacje mogą umożliwić wzajemne zrozumienie, mające być wstępem do zbliżenia, a w dalszym ciągu, być może, także do konkretnego porozumienia. Dlatego też na czoło każdej konferencji tego rodzaju powinny być wysuwane opanowanie, dyskrecja i wyrozumiałość, umożliwiające dialog. Z tych samych powodów nie będziemy naszych rozmów rozpoczynać od rozpatrywania koszarnej przeszłości, lecz od wizji wspaniałej przyszłości, co zresztą umożliwia prawdziwa kultura osobista jednostek, tworzących kulturę środowiska. Taką atmosferę przyjaznego dialogu zapewnia forum akademickie i mam nadzieję, że następną konferencję urządzimy razem z Polskim Uniwersytetem na Obczyźnie (PUNO). Jak bardzo nabruździła w przeszłości fałszywa ocena ukraińskiego potencjału, gdy mylnie traktowano naród, zepchnięty przez okupanta do jednowarstwowej społeczności, wzgardliwie określanej jako „chłopy i popy”! Naukowy dialog na najwyższym poziomie może wzbudzić wzajemny szacunek, wyływający z poznania duchowych wartości. Tylko taki dialog zakłada porozumienie równych z równymi.

Jakże przyjemnie podkreślić, że dziś będzie mowa o odrodzeniu „ukraińskiej szkoły w polskiej literaturze”, tej szkoły, która kiedyś, w okresie romantyzmu, tak wydatnie przyczyniła się do złagodzenia resentymentów i przeciwstawiła się „paleniu mostów”. I czy w konsekwencji nie warto by było przeprowadzić analizy wpływu polskich wieszczów na wzrost ukraińskich nastrojów rewolucyjnych w Polsce międzywojennej, kiedy młodych ukraińskich patriotów chroniła przed odchyleniem się od postawionych sobie celów między innymi postać Kordiana, który przez całe swoje życie zatrzymał w pamięci swoje przejściowe wahania się w chwili niebezpieczeństwa, które z czasem musiał zmyać bohaterską gotowością na złożenie ostatecznej ofiary?

Moja radość zwiększyła się z tej racji, że nasza pierwsza ogólna konferencja w Ukraińskim Domu Naukowym w Monachium z miejsca przyjęła tak wielkie rozmiary. Oczywiście, dokładne dane statystyczne będą ogłoszone po konferencji, a nie w tej wstępnej chwili, ale już teraz należy stwierdzić, że mamy ponad dwudziestu aktywnych uczestników — referentów i kierowników sesji — gdy uprzednio planowano, poza wprowadzeniem, 15 wystąpień, oraz dodatkowe posiedzenie z udziałem pięciu osób. A skoro stanowiska kierownicze oraz ilość wypowiedzi rozdzieleno równomiernie między reprezentantów obu naszych narodów, okoliczność ta wydaje się obiecującym prologiem do dalszej współpracy i harmonijnego uzgodnienia planów. Inna po-



ciesząca okoliczność: mam przyjemność witać wśród aktywnych uczestników gości z siedmiu różnych krajów diaspory, którzy pracują na siedmiu uniwersytetach, w tym pięciu wykładowców i profesorów-gości UWU i dwóch z PUNO, chociaż ci występują indywidualnie. „Pole walki” na argumenty uczonych badaczy zapowiada znacznie więcej niż krwawe zmagania armat i karabinów maszynowych...

Spodziewam się, że powyższe fakty pozwolą w przyszłości na przeprowadzenie pogłębionej analizy nawet najbardziej drastycznych chwil naszej historii, a że istnieje taka możliwość, niech najlepszym przykładem będzie Taras Szewczenko, którego realistyczne opisy w „Hajdamakach” jeszcze i dziś mogą oburzać, ale jednocześnie Szewczenko, wczuwając się genialną intuicją w nastroje tamtych czasów, przedstawiając po mistrzowsku psychologię głównych postaci i broniąc ich z przekonaniem przed zarzutami rosyjskich historyków, którzy uznali hajdamaków za „zbrojców i złodziei”, jednocześnie głęboko wyczuł konieczność zbliżenia i współpracy z Polakami w natchnionych słowach do Bronisława Zaleskiego. Ostro potępiwszy przeszłość, kiedy to „ponikły głowy kozackie” i jedna po drugiej padały pod toporem kata, Szewczenko wołał do przyjaciela ze wspólnego zesłania w Orsku na mrocznej poduralskiej północy:

*Więc podaj rękę Kozakowi  
i czyste serce podaj!  
A znowu w imię Chrystusowe  
odnowimy nasz cichy raj!*

(przekład dosłowny — J.Ł.).

To dlatego tak wiele potrafiła zrobić dla prawidłowej oceny Szewczenki w oczach Polaków książka Jerzego Jędrzejewicza pt. „Noce ukraińskie albo rodowód geniusza”.

Za oczywisty znak takiego samego podejścia do tej sprawy uważam obecność na konferencji Władysława Żeleńskiego (poprowadzi jedną sesję), głównego prokuratora w głośnym warszawskim procesie Bandery i towarzyszy. Ja byłem wtedy jednym z głównych oskarżonych i członkiem Egzekutywy Krajowej w lwowskim procesie banderowców. Nie sądzę, abyśmy mogli — Żeleński i ja — cokolwiek zarzucić naszym sumieniom, gdyż nasza jednostkowa działalność wynikała z całej sytuacji i z nawarstwienia wydarzeń. I nie uważam, aby nasza obecność tutaj była przypadkowa. To raczej odezwał się głos rozważliwej i rozumnej myśli, z czego wypływa przestroga i wskazówka na przyszłość. Od wspomnianych procesów minęło pół stulecia i na pewno jeszcze minie, zanim nastąpi chwila uzgodnienia postaw naszych środowisk politycznych. Ale tę chwilę, w której dojdzie do roz-

mów między politykami, my — intelektualiści — mamy przygotowywać już dziś, aby uniknąć sytuacji, w jakich decyduje pogarda i nienawiść, bo czas nie stoi na miejscu i doszłoby do tragedii, gdybyśmy w decydującej godzinie nadchodzących przemian na Wschodzie mieli rozpocząć nowy rozdział historii tym, czym ta historia zakończyła się w tragicznych latach wojny, czy zaraz po jej zakończeniu. Tu jedynie powtórzę słowa, wypowiedziane do Karpowicza podczas jego wieczoru w UWU:

„Obyśmy nie rozpoczynali nowego rozdziału naszej wspólnej historii krwią, łzami, cierpieniem nowych przesiedleńców, wzajemnymi oskarżeniami, dążeniem do zemsty... Byłoby zbrodnią, gdybyśmy zechcieli wykorzystać przyszły chaos przy zmianie sytuacji na europejskim Wschodzie i uderzyć nożem w plecy tego, kto w danej chwili okaże się słabszym. Wtedy historyczna Nemezis wzięłaby na nas zemstę — myślę, że tym razem już niepowrotną. Możliwe niesprawiedliwości możemy wyrównywać jedynie we wspólnej rozmowie, a nie w walce, jako wolni z wolnymi, równi z równymi — na podstawie paktów między suwerennymi rządami, czy też legalnych wypowiedzi naszych narodów. Do tej chwili, jeżeli chcemy osiągnąć nasz cel, musimy się nawzajem podtrzymywać w naszej walce o wolność, bez ukrytych zamiarów, bez chytrego oszukaństwa, z poszanowaniem istniejących obecnie granic państwowych...”.

Słowa te wydają mi się osobliwie ważne dzisiaj, kiedy na Wschodzie zaczynają dziać się doniosłe rzeczy, gdy zdobycze bohaterkich robotników polskich mogą ulec zniszczeniu przez interwencję, idącą z zewnątrz.

Kiedy polscy robotnicy zastąpili portrety Lenina portretami słowiańskiego papieża, ten nie zawahał się modłami podtrzymywać dalekich — a tak bliskich jego sercu — rodaków, sam przebywając w oczekiwaniu i trwodze. To wtedy Jan Paweł II publicznie oświadczył, że każdy naród ma prawo do samostanowienia, co jest zgodne z międzynarodowym uznaniem tego prawa. Mówiąc to, Jan Paweł II podkreślił, że jest Polakiem, ale natchmiast dodał, że oświadczenie to jest niezależne od jego uczuć patriotycznych, ponieważ żadne prawo moralne nie może mieć jednostronnego znaczenia *ad nationem*, lecz znaczenie powszechne — *ad nationes*, więc nie tylko naród polski, w ogóle żaden naród nie powinien stać się ofiarą agresji i przemocy. To co powiedział dotyczy poszanowania praw każdego narodu, złączonych organicznie z prawami człowieka. Oto w skrócie słowa jednego z największych współczesnych.

Nadejście polskiego papieża wyśnił w proroczym wierszu Słowacki wówczas, gdy nikt nie mógł marzyć o takim wywyższeniu polskiego narodu. Oświadczenie papieskie nastąpiło w przededniu naszej konferencji, zaplanowanej na długo przed Jego historycznym wystąpieniem. Nawet i dziś towarzyszy nam swoją myślą i modlitwą, o czym wyraźnie świadczy nadesłane

nam pozdrowienie-błogosławieństwo. Identyczne pozdrowienie-błogosławieństwo nadesłał także ukraiński patriarcha, ojciec Józef, błogosławiąc „w imię Chrystusa” uczestników naszej konferencji, ludzi o czystych sercach i o szlachetnych poszukiwaniach prawdy. I przekleństwo powinno paść na każdego, kto w decydującej chwili nie posłuchałby tych głosów, które obecnie stanowią dla nas zachętę, abyśmy szli dalej wybraną przez nas drogą.

Niegdyś, wśród ciemnej nocy niewoli, narody słowiańskie odprawiły swoje kongresy, które dawały im pokrzepienie i przeszły jako „milowe kamienie” do historii. Uważam, że z tych naszych na pewno jeszcze skromnych poczynań powinna wyjść inicjatywa nowego, wielkiego kongresu słowiańskiego, Kongresu Naukowego, którego zadanie polegałoby na wzmocnieniu naszej solidarności. Jednakże to my powinniśmy przyjąć odpowiedzialność za taki kongres, bo początek został już zrobiony. Kończąc poczuwam się do obowiązku podziękowania tym wszystkim, którzy przyczynili się do powodzenia — przede wszystkim całemu Komitetowi Organizacyjnemu, który pracował pod przewodnictwem prof. dr. Z. Sokoliuka, a ponadto specjalnie redaktorowi E. Irankowi-Osmeckiemu, reprezentującemu polskich zwolenników porozumienia, bo bez jego udziału trudno byłoby mówić o powodzeniu wstępnych przygotowań. Również przyjemnie mi podkreślić, że na konferencję przyjedzie (z niewielkim opóźnieniem) redaktor J. Giedroyc, który w polskiej wspólnocie należał do grupy polsko-ukraińskiego porozumienia i to w okresie, gdy idea ta była wielce niepopularna.

A myśląc o wielkim kongresie słowiańskiej diaspory, pragnę zakończyć słowami, które Jędrzejewicz umieścił jako motto swojej książki o Tarasie Szewczence — cytatem z Wyspiańskiego:

*Wielkości! — komu nazwę twą przydano,  
ten tęgich sił odżywia w sobie moce  
i dusza trwa, wielekroć powołana,  
świecąca w długie narodowe noce!*

Nasze noce są długie i ciemne, ale właśnie dlatego jesteśmy zobowiązani do pozostawienia nadchodzącym pokoleniom pochodni, które wyjaśnią ów mrok przed nadejściem jasnego świtania. Mamy pozostawić światło na drodze wspólnych zmagañ o naszą wolność, w nowym układzie sił, które zapewnią światowy pokój i odrodzą ludzkość, osłabioną hedonistycznym dobrobytem wiążącym współczesnego człowieka wygodnym lenistwem i mętnym dążeniem do egoistycznego używania życia. Wielka to odpowiedzialność, ale tym bardziej czcigodne zadanie, decydujące o wspomnieniu, jakie zostawi po sobie w dziejach nasze pokolenie, skazane na cierpienia, aby poprzez tragedie i udrękę dojść do

prawdy, czy choćby tylko przypomnieć prawdę Chrystusowych zapowiedzi, które przez całe stulecia były wiarą naszych przodków i muszą nią pozostać na wieki wieków. Jedynie wtedy będzie „trwać nasza dusza”!

Życzę konferencji — zgodnie z akademicką tradycją — aby wszystko odbyło się „szczęśliwie, z hojnością i pożytkiem”, jak głosi łacińska formuła, którą zaczynają się wszystkie uniwersyteckie pisma i dyplomy!

*Wołodymyr JANIW*

*(Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI)*

NOWA KSIĄŻKA

**Lesława Jurewicza**

**ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY  
DOMOWEJ**

Rok 1943. AK, NSZ, PPR - GL. NARODOWE SIŁY ZBROJNE usiłują zniszczyć tyranie w zarodku. — Walki bratobójcze. — Sowiecka interwencja zbrojna. — Ostatnie oblawy: wiosna 1956. Bogata dokumentacja i mapy.

Do nabycia u Autora:

528 WEST 111-th STREET,  
NEW YORK, N.Y. 10025. USA.

Cena wraz z przesyłką \$ US 12,00.

## DOKUMENTY

Henryk JABŁOŃSKI

### 20-LETNI DOROBEK POLSKI W DZIEDZINIE SPOŁECZNEJ\*

Przy rozpatrywaniu postępu w jakiegokolwiek bądź dziedzinie życia społecznego na przestrzeni określonego czasu przyjąć należy metodę prostą, lecz wzbudzającą stosunkowo mało wątpliwości. Jest to porównanie sytuacji w momencie startu i w końcu omawianego okresu wraz z ewentualnymi perspektywami na przyszłość. W ramach tych dwóch granic czasowych obserwować będziemy, jak przypływy i odpływy, okresy postępu i cofania się, a podsumowanie rezultatu tych przeciwnych ruchów da nam dopiero to, co nazwiemy „dorobkiem” zarówno w sensie dodatnim, jak i ujemnym.

Wszystko to nie dzieje się, rzecz prosta, w oderwaniu, lecz jest ściśle współzależne od zgrania się czynników gospodarczych, ustrojowych, politycznych itp. Zobrazowanie tego tła ze względu na charakter naszego wydawnictwa nie mieści się jednak w ramach zakreślonych niniejszemu artykułowi.

#### *I. Polityczne ramy postępu społecznego w Polsce*

Nie zamierzając dawać pełnej charakterystyki ustroju Polski w okresie 20 lat niepodległego bytu państwowego, przypomnieć

---

\* Referat wygłoszony (a później wydany na powielaczu) w październiku 1941 r., w Grenobli, w schronisku PCK w Grand Hotelu, zorganizowanym bezpośrednio po upadku Francji, w którym przebywał m.in. Henryk Jabłoński. Po wojnie H. Jabłoński wrócił do kraju, gdzie zajmował szereg wysokich stanowisk: min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, wiceprezes PAN, prof. U.W., członek B.P. PZPR a od 1972 — przewodniczący Rady Państwa. Drukowany tu referat nie figuruje w oficjalnym dorobku naukowym Profesora. (*Redakcja*).

musimy pewne ogólne ramy, w jakich życie społeczne się zamykało.

Nie wystarczy bowiem, stwierdzić, że powstałe w 1918 roku państwo polskie, rozciągające się między 47°44' a 55°51' szerokości północnej i 15°47' a 28°22' długości wschodniej od Greenwich, obejmujące 388.634 km<sup>2</sup> i około 30 milionów mieszkańców (w 1921 r. — 27,2 mln, w 1931 r. — 32,1 mln) było republiką. Rzeczpospolita Polska, wyrosła z wojny światowej 1914-1918 roku, przyjęła jak wszystkie powstałe z nią niepodległe państwa Europy środkowej i wschodniej, ustrój demokratyczny wzorowany na mieszczańskiej Republice Francuskiej. Wzory te odbiły się u nas na ogólnej strukturze państwa, a konstytucja 1921 roku utrwaliła parlamentarny system rządzenia, w dziedzinie jednak prawodawstwa socjalnego przyjęte zostały najnowsze wówczas teoretyczne hasła, dające się pogodzić z demokracją mieszczańską. W tym też zakresie byliśmy raczej zbliżeni do weimarskiej Rzeszy Niemieckiej, niż do Francji, pozostającej pod tym względem daleko w tyle.

Z biegiem czasu ogólne normy rządzenia uległy zmianie, początkowo raczej tylko faktycznie, przez powstanie skutkiem zbrojnego zamachu stanu w maju 1926 roku dyktatury Marszałka Piłsudskiego, przy nieznacznych tylko korektach istniejącej konstytucji. Nowa konstytucja 1935 roku utrzymała republikańską formę rządu, opartą jednak na niezwykle silnej władzy Prezydenta Rzeczypospolitej. Wprowadzone jednocześnie nowe ordynacje do parlamentu utrzymały powszechność głosowania do Sejmu, znosząc ją przy wyborze członków Senatu. Zmiany te, znajdujące swe źródło w błędach przedmajowego ustroju parlamentarnego, szły jednak przez ugruntowanie panującego reżymu w kierunku nie odpowiadającym większości społeczeństwa.

W dziedzinie prawodawstwa socjalnego obserwujemy dwa sprzeczne prądy i utworzone w początkach istnienia państwa instytucje nie zawsze zdawały dobrze egzamin życiowy, konieczność ich reformy powodowała dążność czynników wstecznych do ograniczenia ich znaczenia i zasięgu działania, z drugiej zaś strony akcja organizacji zawodowych świata pracy dążyła do utrzymania starych zdobyczy i osiągnięcia nowych, w pewnych wypadkach, jak np. w kwestii godzin pracy, z pełnym powodzeniem.

Nie ulegający natomiast wahaniom postęp obserwujemy w dziedzinie prawodawstwa ogólnego. A była to rzecz wcale nie łatwa do uregulowania w młodym państwie, powstałym z trzech różnych zaborów, posiadających własne, nieraz niejednolite (jak np. Królestwo Polskie i reszta zaboru rosyjskiego) normy prawne.

Na ziemiach nowej Rzplitej obowiązywały naraz 4 różne przepisy prawa cywilnego i handlowego, 3 kodeksy karne, 3 kodeksy postępowania cywilnego i karnego. W każdej z dzielnic istniała odrębna organizacja sądownictwa.

Pierwszym znamieniem postępu w tej dziedzinie było utworzenie na podstawie dekretu Naczelnika Państwa z 8 lutego 1919 wspólnego dla całego kraju Sądu Najwyższego, w 1922 roku zaś powstaje Najwyższy Trybunał Administracyjny. Powołana do życia specjalna Komisja Kodyfikacyjna przygotowywała projekty praw, wprowadzanych następnie w życie.

Ustawa z 1 lipca 1921 roku zniósła ograniczenia kobiety w prawie cywilnym b. Kongresówki, w 1924 roku wprowadzono jednolite prawo wekslowe i czekowe, skodyfikowano wreszcie prawo karne (1932 r.), wydano kodeksy postępowania cywilnego, karnego i administracyjnego, posunięto bardzo daleko prace nad kodyfikacją prawa cywilnego.

Budowane na podstawie bądź to dawnego sądownictwa zaborczego, bądź polskiego z czasów wojny światowej, sądownictwo Rzplitej przybrało jednolity charakter (ustawa o ustroju sądownictwa powszechnego z 6 lutego 1928 roku). Obok sądownictwa powszechnego powstały sądy specjalne jak wojskowe, handlowe, dla nieletnich i pracy.

Rola tych ostatnich zwłaszcza miała dla stosunków społecznych wyjątkowo poważne znaczenie. Około 20 tys. spraw cywilnych rocznie, jakie sądy te rozpatrywały, dotyczyło kwestii często wyjątkowo w życiu jednostki ważkich i bolesnych. Nie od rzeczy będzie dodać, że normalnie ponad trzy tysiące skarg załatwiano w sądach pracy ugodą, bez wyroku.

Samorządy: terytorialny, gospodarczy i wyznaniowy przechodzą w ciągu lat 20 różne okresy. W walce o własną pozycję w państwie nie zawsze wychodzą one zwycięsko. W ostatecznym rezultacie jednak gruntują coraz bardziej swe znaczenie, a w ostatnim czasie, wobec specyficznej sytuacji politycznej, stały się samorządy przedmiotem specjalnej troskliwości ze strony społeczeństwa.

Na ogół najślabszy odcinek rozwoju naszego postępu społecznego to życie polityczne w ścisłym znaczeniu. I tutaj jednak zanotować możemy szereg poważnych zjawisk, zasługujących całkowicie na miano postępu. Udział społeczeństwa w organizacji rządów państwem i ich kontroli był w ostatnich kilkunastu latach minimalny, czego wymownym dowodem były ostatnie wybory do sejmu w 1935 roku, kiedy to tylko 46 % uprawnionych

(wobec 67,9 % w 1922 r., 78,3 % — 1928 r. 74,8 % — 1930 r.) wzięło udział w głosowaniu. Dodajmy dla pełności obrazu, że procent głosujących największy był w posiadających najwyższy procent analfabetów województwach wschodnich (59,5 % — 1935 r., gdy w 1922 r. 56,9 %, 1928 — 66,3 %, 1930 — 63,4 %), najniższy zaś w województwach centralnych (39,1 % — 1935 r., gdy w 1922 r. 78,7 %, 1928 — 80,2 %, 1930 — 74,2 %).

Ten negatywny stosunek do panującego w Polsce systemu rządzenia pociągał za sobą i inne skutki niż tylko absencja wyborcza. Do najważniejszych zaliczyć musimy wyraźny postęp w dziedzinie organizacji politycznej. Wśród szerszych mas widać wyraźnie pogłębienie się myśli politycznej, zjawia się konieczność konsolidacji społeczeństwa, rozbitego bardzo w pierwszych latach niepodległości. Zamiast szeregu drobnych stronnictw pozostaje na widowni politycznej tylko kilka partii, będących w istocie silnymi blokami ideologicznymi. I tak, obok małego zwarłego wewnątrznie ugrupowania zwolenników panującego reżymu, poważniejszą rolę w skali ogólnopaństwowej odgrywały tylko 3 stronnictwa: wśród ludności wiejskiej — Polskie Stronnictwo Ludowe (wobec przeciętnie 3-4 uprzednio), w miastach — Polska Partia Socjalistyczna (wspierana przez związki zawodowe) i Stronnictwo Narodowe. Inne ugrupowania bądź to miały, co najwyżej, znaczenie lokalne (Stronnictwo Pracy na Górnym Śląsku i Pomorzu, Obóz Narodowo-Radykalny w Warszawie), bądź organizowały tylko ludność niepolską i wobec dużego rozbitcia również nie stanowiły poważniejszej siły, bądź wreszcie, jak przechodząca pod koniec omawianego okresu wyraźny kryzys wewnętrzny Partia Komunistyczna, pozostawały poza legalnym życiem politycznym.

Ta zaakceptowana wyraźnie w czasie ostatnich wyborów samorządowych struktura polityczna społeczeństwa polskiego wskazywała dobitnie na głębokie przeniknięcie w szerokie masy ogólnopaństwowego systemu myślenia. Każde stronnictwo stanowić zaczęło organizację ludzi o jednakowym względnie poglądzie politycznym, tracąc charakter sekty czy koterii. Coraz wyraźniej dał się też obserwować wpływ nastrojów społeczeństwa i jego opinii, niezależnie od ram prawnych, na ogólną politykę państwa. Najwyraźniej dało to się może zaobserwować w ostatnim okresie przed wybuchem wojny 1939 roku, kiedy to niemal jednolity front kraju wobec hitlerowskich Niemiec każdemu rządowi, jaki by on wówczas nie był, narzucić musiał jednakową postawę.



## II. Ludność i ogólne warunki bytowania

Nie chcąc wykraczać poza swój odcinek pracy i zajmować się sprawą życia gospodarczego ziem polskich w okresie lat 1918-1939, musimy mimo to omówić bliżej skutki, jakie rozwój ekonomiczny spowodował w życiu szerokich mas społeczeństwa.

To co uderza w oczy przy pobieżnym choćby przyjrzeniu się strukturze społeczno-gospodarczej ludności Rzplitej to stały wewnętrzny ruch ludnościowy w ramach państwa. Najlepiej zobrazują to cyfry dwu powszechnych spisów ludności.

Rok	Liczba ludności (w milionach)	% zajmujących się rolnictwem, ogrodnictwem i leśnictwem	% zajmujących się górnictwem i przemysłem
1921 . . . .	27,2	63,9	17,2
1931 . . . .	32,1	60,9	19,2

Jak więc z tych choćby liczb widać, kraj zachowywał wciąż jeszcze charakter rolniczy, ale rolnictwo i gałęzie pokrewne życia gospodarczego absorbowały coraz mniejszy procent ogółu mieszkańców Polski. Nietrudno jednak było się tego domyśleć nawet bez uciekania się do zestawień statystycznych. Mniej natomiast widoczne, ale wielkiej wagi w życiu społecznym były znaczne przesunięcia, jakie dokonywały się w ramach ludności miejskiej.

Przyrost naturalny był u nas wyjątkowo wysoki i np. w roku 1935 osiągnęliśmy pod tym względem, nie licząc ZSSR, prymat w Europie, tj. 12,1 na tysiąc mieszkańców, wobec 11,8 w przodującej dotychczas Bułgarii, 7,1 — w Niemczech, 9,4 — we Włoszech, 3,0 — w Anglii, 6,0 zaś w Stanach Zjednoczonych.

Dzięki temu rośnie ludność naszych miast, mimo że przyrost naturalny w nich silnie zmalał. Dla ilustracji przypomnijmy, że przeciętny przyrost w wielkich miastach Polski (powyżej 100 tys. mieszkańców) wynoszący w 1925 r. 10,8, : 1934 r. wynosił 3,1, w 1935 r. już tylko 2,5, a w 1936 r. 2,8 na tysiąc mieszkańców. Ludność miast rośnie jednak dzięki zasiłkom z zewnątrz.

Charakter tych przesunięć łatwo zilustrować na przykładzie Warszawy. Ludność jej w 1915 r. wynosiła 790.000, w 1921 r. — 936.700, w 1925 r. — 1.001.900, w 1931 r. — 1.171.900, w 1934 r. — 1.174.000. Ludność rośnie mimo że przyrost naturalny jest minimalny. Nic dziwnego, bo w r. 1921 ilość

mieszkańców Warszawy, urodzonych poza nią, wynosi 43 %, a w dalszym ciągu napływ ten wzrasta. Nie pozostaje to zapewne bez odbicia się na strukturze społecznej wyjątkowo „drobno-mieszczańskie” Warszawy. Według obliczeń Sempołowskiej na podstawie spisu z 1921 roku, tylko 15 % mieszkańców stolicy stanowili robotnicy wykwalifikowani, drobnomieszczaństwo zaś (samodzielni rzemieślnicy, kupcy, pośrednicy itp.) aż 22 %.

Nie znajdując pola do pracy, ludność naszych wsi zmuszona jest szukać zarobku w mieście i to w mieście dużym, gdzie widnieją szersze perspektywy zaczepienia się, a w razie utraty pracy łatwiejszego poszukiwania nowej. I dzieje się tak nie tylko z ludnością wiejską. Prawdziwy wstrząs społeczny przechodziła ludność małych miast i miasteczek. Tracą one bowiem w związku z rozwojem komunikacji swą rolę ośrodkową. Bezrobocie w nich jest coraz trwalsze i boleśniesz. I mimo, że pewna, mała zresztą, część gmin wiejskich zostaje przekształcona, względnie wcielona do miejskich, ludność małych miast stale maleje.

Ludność miast poniżej 5.000 w 1921 r. stanowiła 3,8 %, gdy w 1931 r. już tylko 2,9 %. Podczas gdy ludność miast powyżej 500.000 w 1921 r. stanowiła 3,5 %, w 1931 r. doszła już do cyfry 5,6 % ogółu ludności. W miastach od 100.000-500.000 ludność wzrasta w ciągu tego okresu z 4,3 % do 4,9 %. Dodajmy, że dzieje się to wszystko w czasie, kiedy ludność miejska wzrasta z 24,6 % ogółu ludności w 1921 r. do 27,2 % w 1931 r. Pewną rolę odgrywało tu przyłączenie gmin wiejskich do miasta. Było ono jednak niemal z reguły prawnym załatwieniem stanu faktycznego i owe wsie dawno straciły swój pierwotny charakter.

Reasumując, dochodzimy do wniosku: ogólnie ludność miast stale wzrasta, przy czym największy rozwój wykazują wielkie miasta, najmniejsze obejmują coraz mniej ludności, miasta od 10.000 do 100.000 nie wykazują większych zmian. Takie przesunięcia ludnościowe powodują jednak szereg skutków, stanowiących w życiu społecznym prawdziwie wielkie kłopoty. Wystarczy wymienić choćby trudności mieszkaniowe, aprowizacyjne i sanitarne.

Najprymitywniejszą obok wyżywienia potrzebą ludzką jest mieszkanie. A byliśmy na tym polu zacofani poważnie, gdyż niekorzystny stan dawny pogorszyły jeszcze poważnie zniszczenia wojenne w okresie 1914-1920. Sporo więc było do odrobienia, wiele należało budować, by jako tako ulokować narastającą szybko ludność miasta. Wysiłek więc musiał być wielki i systematyczny.

Przyznajmy się, że choć zrobiono na tym odcinku wiele, nie dotrzymano tempa i gęstość zaludnienia głównych miast Polski uległa na ogół pogorszeniu.

Przeciętna ilość osób na izbę wynosiła:

R o k	Warszawa	Łódź	Lwów	Poznań	Kraków
1921 . . . .	2,0	2,3	1,7	1,4	1,9
1931 . . . .	2,1	2,5	1,8	1,6	1,8

Stan ten był tym bardziej bolesny, że klęska mieszkaniowa dotknęła ludność najuboższą, gnieźdzącą się w lokalach małych, jednoizbowych.

W mieszkaniach jednoizbowych przeciętna gęstość zaludnienia wynosiła:

R o k	Warszawa	Łódź	Lwów	Poznań	Kraków
1921 . . . .	3,7	3,6	3,2	2,7	3,5
1931 . . . .	4,0	3,8	3,4	3,3	3,5

Odmierna sytuacja jest w mieszkaniach 3, 4 i więcej izbowych:

R o k	Warszawa		Łódź		Lwów		Poznań		Kraków	
	3-izb.	4-izb.	3-izb.	4-izb.	3-izb.	4-izb.	3-izb.	4-izb.	3-izb.	4-izb.
1921	1,8	1,2	1,6	1,2	1,6	1,1	1,6	1,1	1,7	1,2
1931	1,7	1,1	1,6	1,1	1,5	1,1	1,6	1,1	1,5	1,1

Nawet więc w Krakowie, gdzie stan ogólny w 1931 roku był lepszy niż w 1921 roku, warunki „jednoizbowców” nie polepszyły się. Rozważania, dlaczego tak było i czy nie można było klęski tej uniknąć, leżą poza ramami zakreślonymi dla niniejszego tematu. Stwierdźmy tylko, że w społeczeństwie naszym zdawano sobie z tego sprawę i nie brakło zarówno prób własnych jak i nacisku na kierownicze sfery państwowe w celu zaradzenia złu.

Najszybciej i w stosunkowo najlepszych warunkach rozwijać się zaczęły różne spółdzielnie mieszkaniowe i mieszkaniowo-budowlane pracowników umysłowych. Za ich przykładem powstał

szereg innych. W 1928 roku istnieje takich spółdzielni 167, w 1933 r. — 189, w 1934 r. 214. Niektóre z nich mają znaczny zasięg, a związana np. ze związkami zawodowymi, pozostającymi pod wpływami Polskiej Partii Socjalistycznej tzw. Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa w jednym swym osiedlu na Żoliborzu potrafiła wkrótce zgrupować kilka tysięcy mieszkańców, zarówno pracowników fizycznych jak i umysłowych. Nie ograniczała się ona zresztą tylko do stworzenia dla swych członków znośnych warunków lokalowych, ale utrzymywała znaczną bibliotekę, przedszkole, szkołę powszechną, gimnazjum, przychodnię lekarską itp.

Ogólnie jednak w stosunku do ogromu potrzeb wyniki prac spółdzielni były znikome. Polityka tanich kredytów budowlanych i ulg podatkowych stosowana przez Rząd zawiodła także, gdyż właściciele domów kierowali się w budowie jedynie słusznym z ich punktu widzenia kryterium rentowności, a nie potrzeby społecznej. Wzrosła w ten sposób znacznie ilość mieszkań średnich, a w nikłym tylko stopniu najmniejszych. Pod naciskiem konieczności powstaje też w Polsce „Towarzystwo Osiedli Robotniczych”, mające za zadanie budowę tanich mieszkań. Opierając się głównie na funduszach państwowych i samorządowych wybudowało ono w latach 1934-1936 9.785 izb, rozwijając stale swoją akcję. Byliśmy jednak w tej dziedzinie ciągle jeszcze w stanie prób i poszukiwania właściwej drogi. Ciągle jeszcze Warszawa pozostawała w tyle za innymi stolicami europejskimi jak np. Londyn (0,89 człowieka na izbę), Berlin czy Kopenhaga (1,01). Konieczność odbudowy zniszczonego wojną kraju, nieprzystosowanie do wspólnego bytowania różnych dzielnic, wreszcie długotrwały kryzys ekonomiczny paraliżowały w znacznym stopniu podniesienie się stopy życiowej przeciętnego mieszkańca Polski. Po roku 1928 spada spożycie gazu, wody i elektryczności, lekką poprawę widać dopiero od roku 1926 (? Red.). Podobnie przedstawia się sprawa ze spożyciem głównych artykułów, jak żyto, ziemniaki, cukier, z wyjątkiem mięsa, którego spożycie wzrasta. W tych warunkach tym bardziej podkreślić musimy dorobek jaki posiadają polskie miasta w dziedzinie podniesienia kultury sanitarnej, unowocześnienia swego wyglądu i urządzeń wewnętrznych. A do odrobienia po okresie zaborczym było wiele, jeśli zwrócić uwagę choćby na to, że drugie miasto w Polsce Łódź nie posiadało kanalizacji.

Tylko olbrzymieniu wysiłkowi na tym polu zawdzięczać należy, że rosnąca szybko ludność polskich miast nie stała się ofiarą groźnych epidemii. Że mimo wzrostu gęstości zamieszkania

wśród ludności uboższej i znacznej ilości bezrobotnych śmiertelność nie rośnie lecz spada. W miastach, liczących ponad 100.000 obywateli ilość zgonów na każde 10.000 mieszkańców wynosi kolejno: w 1929 r. — 128,8, w 1930 r. — 122,3, w 1934 r. — 110,3, w 1935 r. — 111,6, w 1936 r. — 109,7.

Przeciętna śmiertelność na ziemiach polskich w latach 1896-1900 wynosiła na 1.000 żyjących 26,5, w latach 1931-1932 już tylko 15,4. Specjalnie zmniejszyła się śmiertelność wśród dzieci w wieku od 0 do 4 lat: w okresie 1896-1900 r. — 95,8 na 1.000, w okresie 1931-1932 r. — 45,8 na 1.000. Osiągnięto w ten sposób mniejszą śmiertelność niż we Francji lub na Węgrzech, mimo, że mieliśmy olbrzymi procent zgonów na gruźlicę narządów oddechowych (17,6 na 10.000 w 1932 r., wobec 11,9 we Francji, 6,8 w Anglii), i choroby nagminne (14,2 na 10.000 wobec 6,2 we Francji, 8,9 w Anglii). I pod tym jednak względem istniała stała poprawa. Najtrudniejsza do zwalczania na terenie miast gruźlica narządów oddechowych z 14,8 w 1934 r. spada w 1935 r. do 13,9, w 1936 r. do 13,4 na 10.000. W zwalczaniu chorób zakaźnych zastosowanie szczepień ochronnych wzrasta z roku na rok. Szczepienia przeciw durowi brzuszemu, nie licząc przeprowadzonych w wojsku, w 1927 roku wynosiły 87.000, w 1930 r. — 149.000, w 1932 r. — 220.000, w 1936 r. — 256.000, przeciw czerwonce w 1927 r. — 24.000, w 1932 r. — 38.000, w 1936 r. — 252.000 itd.

Wysiłek państwa, na tym odcinku jest stały i wyraźny. Ilość lekarzy była jednak w Polsce stale jeszcze zbyt mała, ale widać i na tym odcinku stała i wyraźną poprawę (w 1928 r. — 3,2 na 10.000 mieszkańców, w 1933 r. — 3,5, w 1935 r. — 3,7). Większość ich grupowała się wprawdzie głównie w miastach liczących ponad 50.000 mieszkańców (w 1935 r. — 16,8 na 10.000 mieszkańców, gdy w miastach mniejszych i wsiach 1,6), ale istniało szereg prób. zmierzających do poprawy sytuacji i na terenie mniejszych skupisk ludzkich. W tym kierunku szła właśnie ustawa, nakazująca młodym lekarzom kilkuletni pobyt na wsi, względnie w miasteczku. Tkwił tu zresztą zasadniczy błąd w kierowaniu na najtrudniejszy odcinek pracy najmniej doświadczonego elementu, ale tendencja poprawy warunków sanitarnych wsi była słuszną.

Zbyt powoli niestety rosła ilość szpitali, co obrazuje jedynie istotne w danym wypadku zestawienie stosunku ilości łóżek szpitalnych do liczby ludności (w 1928 r. — 16,6 łóżek, w 1936 r. — 22,9 na 10.000 mieszkańców). Natomiast bardzo poważny

był wysiłek związków samorządu terytorialnego w organizacji i utrzymaniu ośrodków zdrowia. Na przestrzeni lat 1931-1935 liczba ich wzrasta z 205 do 310, a liczba osób pozostających pod stałą opieką z 435.000 do 705.000.

Rośnie również stale ilość stacji opieki nad matką i dzieckiem (337 w 1934 r., 388 w 1935 r., 423 w 1936 r., 488 w 1937 r.), stanowiących głównie własność samorządu terytorialnego (w 1937 r. — 327), i organizacji społecznych (148 w 1937 r.). Działalność Państwa i Ubezpieczalni Społecznych w tym zakresie maleje, co jednak nie odbija się na stanie ogólnym.

Jeśli dodamy do wszystkich tu przytoczonych cyfr, że nie licząc członków rodzin, przeciętna liczba ubezpieczonych przymusowo na wypadek choroby (Kasy Chorych, następnie Ubezpieczenia Społeczne) wynosiła ok. 2 milionów osób — otrzymamy obraz pracy nad podniesieniem stanu zdrowotnego społeczeństwa, i bardziej będzie zrozumiałą omówioną na początku spadek śmiertelności na ziemiach polskich, mimo że stan ekonomiczny kraju wiele pozostawiał do życzenia.

### *III. Ubezpieczenia społeczne i opieka społeczna*

Zagadnienie przymusowych ubezpieczeń społecznych i organizacja opieki społecznej są dzisiaj powszechnie doceniane i nie ma kraju, w którym w ten czy inny sposób nie wysunęłyby się na czoło spraw państwowych. Nic dziwnego zresztą, gdyż dla szerokich mas, niezależnie od panującego systemu politycznego, są to kwestie pierwszoplanowe. Wiemy jednak, jak wiele wysiłku trzeba było zużyć w starych stojących na mocnych podstawach państwach, by dojść do postawienia konkretnych rozwiązań głównych kwestii socjalnych. Wystarczy przypomnieć choćby dyskusje wokół amerykańskiego *Fair Labor Standards Act* w 1939 roku czy przeobrażenia francuskie czasów ostatnich, aby zdać sobie sprawę z trudności pogodzenia wielu sprzecznych tendencji, ogniskujących się w każdym z tych państw przy najdrobniejszej zmianie życiowych warunków świata pracy.

Omówiliśmy już ogólnie okoliczności w jakich powstała i żyć miała Polska po krwawej kąpieli świata w latach 1914-1918. Powstałe z trzech różnych zaborów nowe państwo w każdej z dzielnic posiadało odrębne warunki socjalne, odrębne normy regulujące rozwiązywanie podstawowych bolączek społecznych.

Tradycja ubezpieczeń społecznych w zaborze pruskim była już

dość stara. Prawo z 1881 roku wprowadziło ubezpieczenie od wypadków przy pracy, prawa z 1883 i 1885 roku organizowały ubezpieczenia na wypadek choroby, w 1889 roku wprowadzono ubezpieczenia od starości, inwalidztwa i wdowieństwa. Całość ubezpieczeń społecznych skodyfikowano w 1911 roku (*Reich-Versicherungsordnung*) i w 1912 roku (*Knappschaftsordnung*), wprowadzając w ubezpieczenia urzędników prywatnych i górników.

W zaborze austriackim (Galicja i część Śląska) istniało prawo z 1888 roku o ubezpieczeniu na wypadek choroby, z 1887 roku od wypadków przy pracy, z 1889 roku o kasach górniczych, z 1906 roku o ubezpieczeniu pracowników prywatnych oraz z 1914 roku o ubezpieczeniu od wypadków w górnictwie.

W zaborze rosyjskim przymusowych ubezpieczeń społecznych w zasadzie nie było. Prawo przemysłowe z 1903 roku nadawało tylko pracownikom opiekę lekarską, w 1911 roku zaś wprowadzono ubezpieczenie od wypadków w przedsiębiorstwach państwowych, w 1915 roku ubezpieczono od wypadków pracowników kolei żelaznych.

W tych warunkach nowe państwo polskie znalazło się wobec konieczności zrównania uprawnień i przywilejów świata pracy, zniesienia znacznych rozpiętości w traktowaniu tych samych grup obywateli w różnych częściach kraju. Niemiała trudność polegała i na tym, że nawet w tych dzielnicach gdzie prawo przewidywało ubezpieczenia socjalne oderwanie ziem polskich od reszty dawnych państw powodowało odcięcie lokalnych organów ubezpieczeniowych od ich central, uniemożliwiając normalne funkcjonowanie całej aparatury. Wysiłek władz polskich iść musiał zatem w dwóch kierunkach: wprowadzenia jednolitego ustawodawstwa socjalnego i powołania do życia w okresie przejściowym urzędów już przed powstaniem Rzeczypospolitej istniejących. W tych warunkach trudno rozpatrywać systematycznie całość zagadnienia, gdyż samo życie narzucało tu już pewną niejednorodność zarówno w samym prawodawstwie jak i w praktyce. Dlatego też będziemy zmuszeni, licząc się ze szczupłymi ramami naszego artykułu, ograniczyć się do ilustrowania ogólnej tezy oderwanymi obrazami, nie kusząc się o dokładne przedstawienie całokształtu.

Dekret o inspekcji pracy z dnia 3 stycznia 1919 roku wprowadzał pośrednio pewne ujednoczenie warunków pracy, organizował nadzór nad wykonywaniem praw socjalnych, zapewniał kontrolę stosowania się do zarządzeń państwowych. Poza tymi

funkcjami przyznano szerokie uprawnienia inspekcji pracy w kwestii załatwiania zatargów zbiorowych między pracodawcami a pracownikami w przemyśle, ustawą zaś z dnia 1 sierpnia 1919 roku wzięto pod nadzór prawa podobne zatargi w rolnictwie.

Za tym przyszła ustawa z 18 grudnia 1919 roku, ustalająca, że zasadniczo we wszystkich przedsiębiorstwach handlowych, przemysłowych, komunikacyjnych oraz innych obliczonych na zysk czas pracy wynosi 8 godzin na dobę, w sobotę zaś 6 godzin, przy sześciodniowym tygodniu pracy. Zaznaczmy więc nawiasem, że ustawa ta określała w Polsce taki czas pracy, jaki rooseveltowski *Fair Labor Standarts Act* wprowadzał w Stanach Zjednoczonych dopiero w czasie od 24 października 1939 do 24 października 1940 roku.

Jednocześnie z rozpoczęciem budowania własnego ustawodawstwa socjalnego przystąpiła Polska do międzynarodowego biura pracy, co pociągnęło za sobą przyjęcie szeregu konwencji międzynarodowych, jak np. konwencji berneńskiej 1906 roku o zakazie nocnej pracy kobiet. Rozwinięciem jej była ustawa z 2 lipca 1924 roku normująca pracę kobiet i młodocianych w przemyśle, zakazująca pracy dzieciom niżej lat 15. Uprzednio jeszcze ustawa z 16 maja 1922 roku normowała zagadnienie urlopów dla pracowników zatrudnionych w handlu i przemyśle.

Oczywiście wydanie ustawy, o czym dotychczas tutaj mówimy, nie załatwia jeszcze sprawy, której ona dotyczy. Nie mniej istotne jest jak i w jakich warunkach zostaje ona wprowadzona w życie. Może najłatwiej na małym odcinku urlopów robotniczych przyjdzie nam zilustrować jak wchodziły w życie poszczególne ustawy socjalne w Polsce.

Ustawa z 1922 roku nadawała robotnikowi prawa do 8 dni urlopu płatnego po jednorocznej nieprzerwanej pracy w danym przedsiębiorstwie, a 15 dni po trzyletniej pracy. Tylko w górnictwie uprawnienia urlopowe dawał nie czas pracy w jednym przedsiębiorstwie, a w górnictwie w ogóle. Jednocześnie pozwalano na odmienne umowne normowanie spraw urlopowych, z tym jednak, że warunki umowne będą korzystniejsze od ustawowych. Za czas urlopowy robotnik miał otrzymywać normalne pobory. Spod prawa korzystania z urlopów wyłączeni byli pracownicy przedsiębiorstw sezonowych, w których praca trwała krócej niż 10 miesięcy w roku.

Walor tej ustawy poważnie obniżył jednak fakt, że nie objęła ona całości państwa i najbardziej uprzemysłowiona dzielnica, tj.



górnosłaska część województwa śląskiego, rządziła się w tym wypadku własnymi prawami. Sprawy urlopowe normowały tu odrębne umowy taryfowe, mniej dla robotnika korzystne niż ustawa ogólnopanstwowa. I tak na przykład według umowy taryfowej z 31 stycznia 1920 roku dla kopalń węgla, koksowni kopalnianych i fabryk brykietów urlop dla robotników na powierzchni wynosił od 3 dni roboczych po jednorocznym zatrudnieniu do 9 dni roboczych po 7-letnim zatrudnieniu i dalej już nie wzrastał. Dla robotników na dole od trzech dni po jednorocznym zatrudnieniu do 12 dni po 20 latach pracy. Umowa dla górnosłaskich hut żelaza z 1929 roku normowała czas urlopu zależnie od wieku robotnika i tak np. robotnik w wieku 17-21 lat miał prawo tylko do trzech dni urlopu, w wieku 30-35 lat — 8 dni, ponad 35 lat — 9 dni, robotnik zaś mający ponad 40 lat i pracujący u tego samego pracodawcy 20 lat miał prawo do 10 dni roboczych urlopu.

Stan taki trwał aż do 15 kwietnia 1935 roku, kiedy Sejm śląski zgodził się na rozciągnięcie na teren Górnego Śląska ustawy ogólnopanstwowej, znowelizowanej uprzednio ustawą z dnia 22 marca 1933 roku. Nowela ta pogarszała sprawę wynagrodzenia urlopowego, gdyż odtąd wynosić ono miało tyle tylko, ile by zarabiał robotnik pracujący w tym czasie. Potrącał w ten sposób pracodawca na swą korzyść wszelkie dni niedzielne i świąteczne, jakie wypadły w okresie urlopu robotnika. Podobnie wynagrodzenie za dniówkę urlopową przy skróconym czasie pracy zmniejszono w takiej proporcji w jakiej była przeciętna tygodniowa liczba dni pracy robotnika w ostatnich 3-ch miesiącach przed urlopem do normalnej liczby dni pracy, tj. do 6-ciu.

Mimo tej zmiany ustawa o urloпах robotniczych była bez porównania korzystniejsza niż normalnie obowiązujące umowy. Żeby jednak zorientować się, jaką rolę odgrywała ona w życiu robotnika polskiego, trzeba poznać jaki procent ogółu robotników korzystał w praktyce z jej dobrodziejstwa. W danym wypadku jasne jest, że dwa czynniki wpływały tu niekorzystnie: sezonowość w niektórych gałęziach pracy i istnienie mniejszych przedsiębiorstw, gdzie omijanie ustawy było częstsze i łatwiejsze. Przeprowadzona w 1934 roku specjalna ankieta potwierdziła całkowicie tę teorię. W przemyśle mineralnym zaledwie 12,9 % przeciętnej liczby zatrudnionych w ciągu roku korzystało z urlopu, w budowlanym — 13,2 %, drzewnym — 15,6 %, skórzanym — 32,4 %, odzieżowym — 37 %, w papierniczym zaś 57 %, w chemicznym — 64 %. Wahania te wykazują wyraźnie, że im

dana gałąź przemysłu posiadała większe przedsiębiorstwa, tym wykonanie ustawy było ściślejsze.

Ponadto w większych ośrodkach postęp pod tym względem był wyraźny. Dla przykładu podajmy, że w tym właśnie 1934 roku w przemyśle chemicznym Warszawy na 36 zakładów, objętych omawianą ankietą, tylko jedno przedsiębiorstwo nie wykazało dniówek urlopowych, w 4-ch stosunek liczby dniówek urlopowych wykorzystanych do należnych był niższy od 6-ciu procent, natomiast w 16-tu stosunek ten był większy od 100 %. Widać było jednak stale, jak ustawa urlopowa coraz głębiej przenikała w życie robotnicze. Wprowadzenie jej zaś na górnym Śląsku miało poważne znaczenie dla tego największego ośrodka pracy przemysłowej. Dla przykładu przypomnijmy, że procent wynagrodzeń urlopowych w stosunku do całości wynagrodzeń w śląskich kopalniach rudy, cynku i ołowiu z 2,4 % w 1934 r. wzrósł do 3 % w 1935 r. następnie do 3,4 % w 1936 r.; w hutach cynku i ołowiu z 2 % w 1934 r. do 3,7 % w 1935 r.

Podobnie opornie szła realizacja i innych ustaw dotyczących opieki społecznej — tym niemniej powoli wchodziły one w życie, stale rozszerzając swój zakres działania.

Przykładem stałego, choć powolnego postępu może być wiele dyskusji wywołująca sprawa ochrony macierzyństwa robotnicy. W dniu 2 lipca 1924 roku wydana została ustawa, mocą której „w zakładach gdzie pracuje ponad 100 kobiet winien przedsiębiorca utrzymywać dla nich urządzenia kąpielowe oraz żłobek dla niemowląt”. Ponadto matkom karmiącym nadawano prawo korzystania w ciągu godzin pracy z 2-ch półgodzinnych przerw, które wliczało się do godzin pracy. Długich kilku lat trzeba było, aby ustawa ta weszła w życie. Rozporządzenie wykonawcze wydało Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej dopiero w 1927 r., nakazując wprowadzenie ustawy od 1 stycznia 1928 roku. Wtedy powstały nowe trudności, z których największą była niechęć przemysłowców tak ze względu na znaczne koszty urządzenia żłobka jak trudności lokalowe itp. Zjawiła się wtedy koncepcja organizacji zamiast żłobków — stacji opieki lotnej. Polegać one miały na: 1) odwiedzinach dzieci przez pielęgniarki w czasie pracy matek, 2) periodycznych oględzinach dzieci przez lekarza, 3) stałym dożywianiu dzieci, 4) dostarczaniu niemowlętom wyprawek. Mimo tego ułatwienia zakłady przemysłowe dość niechętnie odnosiły się do wykonania ustawy; liczba żłobków i stacji stale jednak wzrasta: w 1928 r. jest ich 14, w 1929 r. — 65, w 1930 r. — 81, w 1931 r. — 101. Później, w okresie 1932-

1935, następuje spadek do 90 względnie 91, co stało w związku ze znacznymi redukcjami kobiet w fabrykach i zamykaniem żłobków. Od 1936 roku następuje ponownie znaczny wzrost. W roku tym istnieją 32 żłobki i 97 stacji, w 1937 r. — 30 żłobków i 138 stacji. Ta rekordowa liczba instytucji opiekuńczych znaaczyła, że na ogólną liczbę 266 fabryk, obowiązanych do wykonania ustawy o ochronie macierzyństwa robotnicy, tylko 159 fabryk, zatrudniających 68.707 kobiet, ustawę tę wykonywało, niektóre organizując i żłobki i stacje jednocześnie. Tymczasem 30.681 kobiet nie korzystało z przysługujących im ustawowo przywilejów. Fakt, że 40 % fabryk, zatrudniających 31 % kobiet uprawnionych do opieki, nie wykonało tej ustawy, świadczy ponownie, że krzywda spotkała robotnicę głównie w mniejszych zakładach pracy, przy czym wykonało ustawę 91,5 % fabryk państwowych, a tylko 56 % prywatnych. Ogólnie więc i w tym wyjątkowo trudnym wypadku stwierdzić musimy, że stan rzeczy nie był dobry, gdyż słuszna ustawa bardzo powoli wchodziła w stadium realizacji, tym niemniej i tutaj widać było wyraźny postęp.

Mniejsze lub większe wykonywanie ustaw socjalnych związane było z ogólną sytuacją ekonomiczną i polityczną kraju, od niej uzależniona była działalność tak Ministerstwa Opieki Społecznej (początkowo „Pracy i Opieki Społecznej”) jak i Państwowej Rady Opieki Społecznej, powstałej na mocy ustawy z dn. 18 lutego 1926 roku, a złożonej z przedstawicieli województw, miast, sejmików powiatowych, instytucji społecznych i reprezentantów ministerstw: Sprawiedliwości, W.R. i O.P., Rolnictwa i Opieki Społecznej. Ogólnie jednak, jak ilustrowały to przytoczone przykłady, realizacja zdobyczy świata pracy postępowała stale naprzód.

W dziedzinie ubezpieczeń społecznych, jak już uprzednio powiedzieliśmy, najspieszniejszą potrzebą było odnowienie istniejących przed powstaniem państwa instytucji. Sytuacja w zaborze pruskim była o tyle skomplikowana, że np. Poznańskie posiadało własną prowincjonalną centralę ubezpieczeniową (*Landesversicherungsanstalt*), główna część Pomorza miała centralę w Gdańsku, powiat działdowski — w Królewc. Powstała w tych warunkach konieczność powołania w 1919 roku specjalnego urzędu ubezpieczeń społecznych w Poznaniu dla województw poznańskiego i pomorskiego. Na czele tego urzędu stanęła rada, w skład której weszło 10 przedstawicieli pracowników umysłowych oraz 10 przedstawicieli robotników fizycznych. Jako sekcje specjalne

tego urzędu wydzielono: sekcję rent górniczych, ubezpieczeń prywatnych pracowników umysłowych i ubezpieczeń przeciw wypadkom. W 1927 roku zresztą wydzielono sprawy pracowników umysłowych, w związku z wprowadzeniem odrębnych metod ubezpieczeniowych. Zgodnie z obowiązującymi ustawami niemieckimi powołano w 1919 roku do życia kasy chorych itp.

Podobnie załatwiona została sprawa w autonomicznym województwie śląskim.

Dla celów ubezpieczenia pracowników kolejowych w byłym zaborze pruskim powstała „Kasa Emerytalna dla robotników Polskich Kolei Państwowych”, z oddziałami w Poznaniu, Gdańsku i Katowicach.

Ubezpieczenia górnicze, oparte o „kasy brackie”, wzięto pod opiekę państwa, udzielając im opieki gdy znalazły się w trudnościach, spowodowanych dewaluacją pieniądza.

Na terytorium b. zaboru austriackiego sytuacja była bez porównania łatwiejsza, gdyż wszystkie działy ubezpieczeniowe były scentralizowane we Lwowie. Wystarczyło tylko przestrzeganie dawnych praw zaborczych. W b. zaborze rosyjskim istniało tylko częściowe ubezpieczenie od wypadków przy pracy. W styczniu 1924 roku rozciągnięto nań przepisy austriackie o ubezpieczeniu w przemyśle, w lipcu 1925 roku wprowadzono ubezpieczenia od wypadków w małych przedsiębiorstwach przemysłowych i w rolnictwie.

Wielką natomiast nowością dla tego zaboru było powstanie na podstawie ustawy z dnia 19 maja 1920 roku kas chorych. Obowiązkowi ubezpieczenia w nich podlegały odtąd „wszystkie osoby bez różnicy płci, zatrudnione na podstawie stosunku roboczego lub służbowego”. Kasy Chorych udzielać miały pomocy lekarskiej i zasiłku na koszty pogrzebu swym członkom i ich rodzinom w ciągu całego czasu pracy i 26 tygodni (względnie w kasach istniejących 3 lata — 29 tygodni) po jej utracie. W tym ostatnim okresie kasy udzielały nadto zasiłków w wysokości 60 % płacy ustawowej. Ponadto bezpłatna pomoc lekarska i lekarstwa przysługiwały wszelkim osobom, mieszkającym razem z ubezpieczonym i utrzymywanym wyłącznie z jego zarobku.

Ustawa o kasach chorych otwierała cykl ustaw polskich, rozszerzających ubezpieczenia społeczne.

Prawo z dnia 18 lipca 1924 roku wprowadzało w całej Polsce przymus ubezpieczenia robotników na wypadek bezrobocia. Dnia

20 października 1924 roku rozciągnięto je na pracowników umysłowych, nowelizując następnie w 1927 roku. Dnia 24 listopada 1924 roku objęto ubezpieczeniami na wypadek bezrobocia zatrudnionych w Polsce robotników zagranicznych. Utworzony celem wykonywania tych ustaw specjalny Fundusz Bezrobocia współpracował odtąd z Państwowymi Urzędami Pośrednictwa Pracy w opiece nad bezrobotnymi. Na czele tego funduszu stanął zarząd główny w składzie: przewodniczący, mianowany przez Ministra Opieki Społecznej, dwóch przedstawicieli tegoż Ministerstwa, jeden przedstawiciel Ministerstwa Skarbu, sześciu przedstawicieli robotników, czterech przedstawicieli pracodawców i czterech przedstawicieli samorządu terytorialnego.

Nierówność w traktowaniu pracowników umysłowych w poszczególnych dzielnicach spowodowała silną akcję związków zawodowych, której wynikiem było wprowadzenie od 1 stycznia 1928 roku ogólnych ubezpieczeń pracowników umysłowych na wypadek: niemożności pracy, niemożności wykonywania swego zawodu, starości i śmierci. W dalszej konsekwencji tej akcji wydano w dniu 22 marca 1928 roku dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o kontraktach pracy dla pracowników umysłowych.

Ukończone zostało w ten sposób zrównanie przywilejów świata pracy w całym państwie, rozpoczęto prace nad ich pogłębieniem. Z kolei przyjść musiało scalenie form i instytucji ubezpieczeniowych. Od 1928 roku rozpoczynają się też projekty unifikacyjne, którym z pomocą przychodziła praktyka życiowa. Dodajmy jednak gwoźli obiektywizmu, że ze strony władz państwowych tendencja ta łączy się z jednoczesnym dążeniem do ograniczenia samorządu w instytucjach ubezpieczeniowych, z silniejszym uzależnieniem ich od władz administracyjnych.

Jednocześnie jednak obserwujemy dalsze zdobycze socjalne świata pracy i tak np. rozporządzenie ministra Opieki Społecznej z 2 maja 1930 roku i kilka następnych, znowelizowanych 9 stycznia 1933 roku regulowało sprawę uprawnień do zasiłków na wypadek bezrobocia robotników zatrudnionych za granicą. W stosunku do robotników sezonowych zmniejszono do 4-ch dni pracy liczbę dni uważanych za tydzień pracy, podlegający obowiązkowi ubezpieczenia w okresie 12 miesięcy przed dniem zgłoszenia prawa do zasiłków (rozporządzenie M.O.S. z 14 grudnia 1932 roku). Trudności wreszcie w opanowaniu problemu bezrobocia zmusiły rząd do powołania do życia od dn. 1 kwietnia 1933 roku tzw. Funduszu Pracy, mającego organizować zatrudnienie bezrobotnych. Z tą samą datą zniesiono Urzędy Pośred-

nictwa Pracy, przekazując ich funkcje Funduszowi Bezrobocia. Czynności natomiast nadzorcze w zakresie społecznego i zarobkowego pośrednictwa pracy przekazano władzom administracyjnym.

Dalszym etapem unifikacyjnym było zastąpienie kas chorych jednolitą organizacją „ubezpieczalni społecznych”, obejmujących całokształt pracy ubezpieczeniowej na najniższym szczeblu, a wreszcie zlanie w jedną instytucję Funduszu Pracy i Funduszu Bezrobocia. Ostatnią wreszcie zdobyczą było obniżenie czasu pracy w górnictwie do 6 godzin dziennie.

Aby stwierdzić postęp w dziedzinie opieki społecznej i ubezpieczeń społecznych wystarczyłoby zatrzymać się na przytoczonej wyżej aktywności ustawodawczej. Przyjrzyjmy się jednak pokrótce, jaki zasięg miały te ustawy w praktyce, jak wyglądało ich wykonywanie.

Pewne cyfry przytoczyliśmy już uprzednio mimochodem, aby zilustrować jakie trudności napotykała realizacja teoretycznych zdobyczy świata pracy. Dla uzupełnienia obrazu musimy jednak dorzucić jeszcze kilka zestawień.

Liczba inspektorów pracy nie ulegała na ogół większym zmianom. Inspektorów okręgowych było w roku 1928 — 12-tu, w 1935 r. — 11-tu; odwodowych w 1928 r. — 56-ciu, w 1935 r. — 11-tu; odwodowych w 1928 r. — 56-ciu, w 1935 r. — 58-ju; liczba podinspektorów wzrosła z 36-ciu do 43-ch. Wzmógł się natomiast zakres działania inspekcji pracy w tym okresie, liczba bowiem zakładów pozostających w ich ewidencji wzrosła z 48,1 tys. do 54,5 tys. W związku z tym liczba wizytacji wzrosła z 15 tys. do 22,2 tys., przy czym stwierdzono w 1928 r. 40,9 tys. wykroczeń przeciw przepisom ochronnym, w 1935 r. aż 85,1 tys.

Liczba robotników zabezpieczonych w Funduszu Bezrobocia w początkach jego działalności, tj. w 1925 r., wynosiła 573.171, w 1933 r. — 696.023. Ubezpieczenie to pozwoliło w ciężkich, kryzysowych latach 1930-1932 korzystać wielkiej ilości bezrobotnych z pomocy Funduszu. Liczba pobierających zasiłki wynosiła w tych latach kolejno: 11,4 %, 13,7 %, 12,9 % ogółu ubezpieczonych robotników.

Działalność Funduszu Pracy w ostatnich kilku latach wyraźnie wzrastała. W 1933/34 r. dochody jego wynosiły 88,3 mln złotych, wydatki — 85,7 mln zł, w 1936/37 r. dochody wynosiły już 161,7 mln zł, wydatki zaś 164,9 mln zł.

Liczba osób pobierających renty lub zasiłki z zakładów ubez-

pieczeń społecznych wynosiła: na skutek ubezpieczenia na wypadek braku pracy w 1928 r. — 30.313 osób, w 1936 r. — 72.508; na podstawie ubezpieczenia emerytalnego w 1928 r. — 132.527, w 1935 r. — 225.013; na podstawie ubezpieczenia od wypadków w zatrudnieniu wzrosła z 86.052 w 1928 r. do 113.912 w 1936 r.

Zestawienia bilansowe zakładów ubezpieczeń społecznych wykazują, że stały one na całkiem mocnych podstawach. Aktywa wynosiły w 1928 r. 568,6 mln zł, gdy pasywa — 191,2 mln zł, w roku zaś 1935 aktywa wynosiły 1.415,1 mln zł, pasywa — 380,5 mln zł.

Działalność ubezpieczalni społecznych w zakresie lecznictwa podnosiła stan zdrowotny całego świata pracy w Polsce.

W tych warunkach nietrudno dojść do wniosku: walczące o dalszą poprawę bytu świata pracy jego organizacje zawodowe walczyły o sprawę słuszną, ale mimo to stan naszej opieki i naszych ubezpieczeń społecznych był znacznie wyższy niż w szeregu innych krajów cywilizowanych, niejednokrotnie znajdujących się w znacznie lepszych warunkach ekonomicznych niż Polska.

Dodajmy jednak od razu, że olbrzymia większość tych wszystkich dorodziejstw ustawodawstwa socjalnego dotyczyła ludności miejskiej. Robotnicy i pracownicy umysłowi potrafili osiągnąć korzyści znaczne, które wieś pragnęła dopiero zdobyć. I tu jednak, jak zobaczymy, sytuacja nie była beznadziejna.

#### *IV. Związki zawodowe*

Dekret Naczelnika Państwa z dn. 8 lutego 1919 roku zezwalał na dowolne zakładanie związków zawodowych, nakładając na nie tylko obowiązek rejestracji w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Przy powoływaniu zaś wszelkich ciał zbiorowych w tymże ministerstwie i wszelkich jego organach powoływani być winni przedstawiciele związków zawodowych i uważani, według paragrafu 15 wymienionego dekretu, za jedyne prawnych przedstawicieli interesów zawodowych klasy pracującej.

Ta formalnie wysoka pozycja związków zawodowych w życiu państwowym niezawsze szła w parze z ich prawdziwą rolą, pomniejszaną przez wewnętrzne rozbicie samych związków, zorganizowanych w kilka central, zwalczających się wzajemnie.

Najsilniejsze, związane ścisłymi więzami z Polską Partią So-

cialistyczną, to znaczy klasowe związki zawodowe przechodziły wstrząsy organizacyjne, spowodowane głównie względami natury politycznej. I tak np. stosunek do reżymu pomajowego był główną przyczyną rozdzwieniu między centralą związków socjalistycznych a związkami stojącymi pod wpływem powstałej w październiku 1928 roku „PPS dawnej frakcji rewolucyjnej” (Centralne Zjednoczenie Klasowych Związków Zawodowych), nie odgrywającymi zresztą większej roli w skali państwowej. Podobnie różnice poglądów na polityczny charakter robotniczych związków zawodowych stały u kolebki przejściowo bardzo silnego, wyznającego teorie apolitycznego syndykalizmu tzw. Zjednoczenia Związków Zawodowych. Tenże sam wreszcie Z.Z.Z., stając w kolizji z reżymem, stracił na znaczeniu, a poważna część jego członków przeszła do powstałego pod patronatem Obozu Zjednoczenia Narodowego tzw. Zjednoczenia Polskich Związków Zawodowych.

Mimo tych wszystkich kolei socjalistyczny związek stowarzyszeń zawodowych, nie przestając nigdy być najliczniejszą organizacją świata robotniczego, w ostatnich latach rósł stale na siłach, zarówno pod względem liczebności członków jak i własnej aktywności.

Inne związki robotnicze, z których najpoważniejszymi na przestrzeni 20-lecia były: zbliżone do N.P.R. — Zjednoczenie Zawodowe Polskie, następnie Chrześcijańskie Zjednoczenie Zawodowe i Zjednoczenie „Praca Polska” (pod wpływami Stronnictwa Narodowego) — przechodziły koleje swego losu ściśle zależnie od wpływu jaki na terenie robotniczym posiadały popierające je stronnictwa polityczne.

Ogólnie jednak w omawianym okresie liczebność zrzeszonych w związkach zawodowych robotników nie ulega większym wahanom i wynosi ok. 600.000 (z czego tylko niespełna połowa w związkach klasowych).

Związki zawodowe pracowników umysłowych po wielkim wysiłku w 1925 roku przechodzą znaczny kryzys organizacyjny w latach 1927-1928, kiedy liczebność ich gwałtownie spada. Związki pracowników państwowych i samorządowych, liczące w 1926 r. 279.000, w 1928 r. mają tylko 186.000, w 1929 r. osiągając znów cyfrę 300.000. Związki pracowników prywatnych w 1926 r. liczą 76.000, w 1927 r. już tylko 60.000, aby w 1929 roku osiągnąć znów pokaźną liczbę 79.000. Na tym mniej więcej poziomie utrzymują się w ciągu następnych kilku lat.



Te różne wahania cyfrowe dadzą się jednak wytłumaczyć tylko łącznie z historią odmiennych losów, jakie przechodziły związki robotnicze i pracowników umysłowych w sensie aktywności i znaczenia społecznego.

W pierwszym okresie istnienia państwa świat robotniczy usiłuje odegrać większą rolę przez stworzone tu i ówdzie rady robotnicze, z najważniejszą warszawską na czele. Wkrótce jednak przychodzi okres silnych wewnętrznych sporów, które bardzo osłabiły rady, zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz. Tymczasem uprzedzając uchwałę warszawskiej rady robotniczej o organizacji pracy z dn. 24 listopada 1918 roku, wydaje rząd 23 listopada 1918 roku dekret o 8-godzinny dzień pracy, dn. 8 lutego 1919 roku uznaje zaś związki zawodowe za legalną reprezentację ekonomicznych interesów świata pracy, wysuwając je formalnie na plan pierwszy wśród organizacji robotniczych. Jednocześnie rady robotnicze spotykają silne represje. W marcu 1919 roku, opuszcza je Narodowy Związek Robotniczy, w maju 1919 roku — PPS, a w czerwcu następuje ich likwidacja. Przychodzi okres wojny, paraliżujący działalność klasowych organizacji robotniczych.

Pierwsze trzy lata po wojnie są okresem znacznej aktywności robotniczych związków zawodowych. Walka robotników o spełnienie ich postulatów ekonomicznych, prowadzona przy pomocy licznych strajków, daje na ogół korzystne rezultaty, a ilość niepowodzeń jest stosunkowo nieliczna.

Okres 1924-1926 jest wyjątkowo niepomyślny dla robotników. Mimo, że ilość akcji związków spada, procent niepowodzeń wzrasta. Atmosfera w kraju jest wybitnie podniecona, co ilustruje szereg krwawych rozruchów: w lutym 1926 roku w Kaliszu, w marcu w Stryju, w kwietniu w Lublinie. W nadziei poprawienia własnej sytuacji związki klasowe popierają zamach stanu Piłsudskiego, będąc jednym z głównych czynników jego powodzenia. Rychło jednak przechodzą do opozycji, na co rząd odpowiada poparciem czynników rozłamowych w związkach socjalistycznych, a skłócone organizacje robotnicze nie mogą zdobyć się na skuteczną działalność, zaakcentowaną tylko w marcu 1927 i w październiku 1928 roku poważnymi strajkami włókienniczymi w Łodzi. Przejściowa koniunktura osłabia zresztą napięcie walk socjalnych. Później przychodzi nadto okres załamania się tej koniunktury, pogarszając sytuację świata pracy.

Jednocześnie stojące na uboczu związki zawodowe pracowników umysłowych przechodzą wspomniany już kryzys organizacyj-

ny, zdezorientowane w nowopowstałej sytuacji, zwłaszcza osiągnięciem pewnych sukcesów w dziedzinie ubezpieczeń społecznych. Wkrótce jednak idą dalej w swej ofensywie, wyciągając wnioski analogiczne do doświadczeń świata robotniczego.

Rośnie w znaczenie Unia Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych, zrzeszająca pracowników prywatnych, powstaje następnie Komisja Porozumiewawcza, będąca organem nadrzędnym związków pracowników prywatnych, państwowych i samorządowych. Zjawia się wreszcie idea współpracy ze związkami robotniczymi, współbieżna czasowo z podobnymi tendencjami ścisłej współpracy wśród związków robotniczych.

Rezultaty są widoczne. Siła związków zawodowych i ich znaczenie wzrasta. Akcje przybierają na rozmachu, przy czym wzmaga się wśród kierowników ruchu zawodowego poczucie odpowiedzialności za swoją pracę. Ilustruje to najlepiej załączona tabelka obrazująca liczbę strajków, z podaniem procentu strajków nieudanych, przy czym uwzględniono tylko wyniki pewne.

<i>R o k</i>	1921	1922	1923	1924	1925	1926	1927	1928
<i>Ilość strajków</i>	720	800	1263	915	532	590	616	769
<i>% strajków nieudanych</i>	22,9	19,5	21,1	32,2	31,2	30,3	23,7	23,1

<i>R o k</i>	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	1936
<i>Ilość strajków</i>	494	312	357	504	631	946	1165	2040
<i>% strajków nieudanych</i>	26,5	30,8	26,6	24,6	16,1	18,2	16,4	12,6

Dla charakterystyki rozwoju związków zawodowych nie będzie od rzeczy dodać, że zaczynają one pod koniec omawianego okresu odgrywać rolę znacznie szerszą niż formalnie tkwi ona w założeniach tego rodzaju instytucji.

Niezwiązany z żadnym ugrupowaniem politycznym Z.Z.Z., wyznający ideologię syndykalizmu względnie, jak ujmowali to jego młodszy działacze, anarcho-syndykalizmu, stawał się samodzielną pozycją polityczną, przejawiając nadto poważną ruchliwość głów-

nie na polu oświatowym (Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury), organizacji wczasów robotniczych itp. Bardziej zwarty wewnętrznie dzięki odpływowi chwiejnych elementów do Z.P.Z.Z., zbliżał się coraz bardziej do współpracy ze związkami klasowymi. Te zaś z kolei, stojąc długo w cieniu PPS, w ostatnich latach stają się jej bratnią, ale równorzędną siłą. Przyjęta w czasie wyborów samorządowych nazwa dla list socjalistycznych (PPS i klasowe związki zawodowe) oddawała ściśle sytuację, podkreślając „koalicyjny” charakter tego ugrupowania. Pogłębia się też poważnie wewnętrzna praca związków, a wśród ich działaczy oświatowych potrafimy znaleźć nazwiska profesorów uniwersytetu, żeby wymienić choćby znakomitego socjologa Stefana Czarnowskiego (Związek Zawodowy Drukarzy), profesora Szymanowskiego i in.

Na terenie innych związków podporządkowanie ugrupowaniom politycznym trwa nadal, ale krzepną one coraz bardziej wewnętrznie, stawiając na pierwszym planie swych zainteresowań obronę ekonomicznych interesów warstw pracujących, co w rezultacie prowadziło do idei współpracy z pozostałymi związkami zawodowymi.

## *V. Wieś a opieka społeczna*

Wieś, pod wieloma względami upośledzona, najżywiej mogła chyba odczuwać pozostawienie swoim losom w dziedzinie opieki społecznej. Ustawy brały wprawdzie pod ochronę prawną robotników rolnych i zapewniały im opiekę lekarską, ale to właściwie wszystko co dla wsi robiono ze strony państwa. Natomiast olbrzymia większość ludności wiejskiej, gospodarująca często na minimalnych wprost skrawkach własnej ziemi (np. w Małopolsce Środkowej) nie mogła się wykazać zatrudnieniem „na podstawie stosunku roboczego lub służbowego”, co według ustaw naszych było podstawą do ubezpieczeń społecznych i ochrony pracy. W tych warunkach działalność władz państwowych ograniczała się raczej do ogólnego nadzoru nad sanitarnym stanem wsi, głównie przez podniesienie stanu oświaty i poziomu kulturalnego ludności, resztę zrzucając na samorządy.

Niestety samorządy nie dawały sobie pod tym względem rady z wielorakością potrzeb wsi. Nietrudno to zresztą wywnioskować z cyfr wydatków na opiekę społeczną. Przejściowo w okresie lat 1929-1933 wynoszą one w gminach wiejskich od 7,2 mln zł do 10,5 mln zł (w ramach 69,2 do 74,4 mln zł wydatków samorządu

terytorialnego), w innych latach wynoszą przeciętnie zaledwie ok. 5 mln zł). Nic więc dziwnego, że np. w zakładach opieki całkowitej dla dzieci i młodzieży w Polsce w korzystnym jeszcze 1935 roku na 43.000 dzieci znalazło się tylko 5.000 dzieci rolników i robotników rolnych razem. W tym samym roku na 387 stacji opieki nad matką i dzieckiem, w tym 234 stanowiących własność samorządu terytorialnego, zaledwie 8 było własnością gmin wiejskich. W 1937 roku liczba ich doszła do 16 na 488 stacji w Polsce.

W tych warunkach wśród działaczy wiejskich zrodzić się musiały pomysły samodzielnego rozwiązywania zagadnień społecznych. Na pierwszy plan wysuwa się tu nabierająca coraz szerszego rozgłosu akcja wiejskich spółdzielni zdrowia. Człowiekiem, który posiada w tym zakresie zasługę inicjatywy, jest kierownik uniwersytetu ludowego w Gaci inż. Solarz. Jeden z czołowych działaczy Stronnictwa Ludowego. I tak jak w ubezpieczeniach społecznych szukaliśmy wzorów niemieckich, w oświeceniu pozaszkolnej duńskich, w wiejskiej opiece społecznej sięgał Solarz do wzorów jugosłowiańskich.

W 1935 roku powstaje w Polsce pierwsza spółdzielnia zdrowia we wsi Markowa powiatu przeworskiego. Bierze ona sobie za zadanie: 1) zapewnienie swym członkom w razie choroby taniej opieki i porady lekarskiej oraz dostarczenie lekarstw po możliwie niskich cenach; 2) umożliwienie swym członkom nabywania przemyśleń potrzebnych do podniesienia zdrowotności; 3) tworzenie, utrzymywanie i prowadzenie zakładów dla ratowania i pielęgnowania zdrowia; 4) udzielanie pożyczek lub innej pomocy w razie choroby lub śmierci członków; 5) krzewienie zasad zdrowia wśród członków i dbałość o zdrowotne warunki ich życia; 6) popieranie innych instytucji spółdzielczych; 7) współdziałanie moralne i materialne w pracy kulturalnej z innymi zrzeszeniami wiejskimi.

Patrząca niechętnie na działanie wszelakich „kas chorych” ludność wiejska przyjęła nieco nieufnie inicjatywę Solarza. Wkrótce jednak okazało się, że bez grosza subwencji państwowych czy samorządowych, z samych tylko minimalnych składek członkowskich potrafi spółdzielnia markowska pracować, z ogólnie uznanym pożytkiem. Nic dziwnego, że zaczęła ona zataczać coraz szersze kręgi swej działalności i od dn. 15 września 1936 roku objęła swą opieką wsie sąsiednie: Gać, Białoboki, Sietesz, Chodakówkę, Lipnik i Husów. Niewielkie to wciąż były ramy, ale pokazywały drogę innym pracą rzetelną, na samej tylko inicjatywie chłopskich działaczy społecznych opartą.

W ostatnio ogłoszonym drugim sprawozdaniu tej spółdzielni w jednym tylko marcu 1938 roku wykazano: 307 porad lekarskich (124 członkom, 183 nie-członkom, w tym 21 bezpłatnych), 5 wyjazdów (w lutym natomiast aż 28), 6 większych zabiegów, 38 opatrunków, 84 iniekcje. Niezależnie od tego wygłoszono szereg pogadarek oświatowo-sanitarnych we wsiach okolicznych. Zorganizowaną przez spółdzielnię „Wystawę Zdrowia” zwiedziło 6.000 osób, płacąc wstęp po 10 groszy, kupując jednocześnie za 600 zł broszur uświadamiających. Rozciągając swą działalność na coraz szersze kręgi, założyła spółdzielnia markowska w 1938 roku 8 dziecińców, w których opiekę znalazło 300 dzieci.

Przykład Markowej szybko znalazł zrozumienie w różnych dzielnicach Polski. W tym samym jeszcze 1935 roku powstaje spółdzielnia zdrowia w Turośli Kościelnej powiatu białostockiego. W 1937 roku powstaje podobna spółdzielnia w Dmitrowicach, powiat Brześć nad Bugiem.

Ogłoszone pierwsze sprawozdania Markowej dają nowe rezultaty. Członkowie spółdzielni mleczarskiej w Raczkach (powiat augustowski) zakładają w 1938 roku spółdzielnię zdrowia. W tym samym roku powstaje taka spółdzielnia w Odrowążu (powiat konecki), założona przez grupę członków miejscowej spółdzielni spożywców. Potrafiła ona w krótkim czasie swej działalności założyć dwa dziecińce, skanalizować wieś, zbudować studnię artezyjską, łaźnię, pralnię i park wioskowy, utworzyć wreszcie oddział we wsi Niekłanin.

Z inicjatywy prywatnej powstaje w 1938 roku Spółdzielnia Zdrowia w Górcie pod Buskiem. Lokalna kasa spółdzielcza zakłada w tymże roku jedną z najlepiej działających spółdzielni zdrowia w Sochaczewie.

W ten sposób inicjatywa społeczna zapełniała luki, stworzone przez ustawodawstwo państwowe, tworząc instytucje mocne i działające z dużym rozmachem, znajdujące swe źródło nie w sztucznie przeszczepionej literze prawa, lecz w dobrze zrozumiałej w masie ludowej potrzebie ogólnej. Ten objaw chłopskiej siły i chłopskiego instynktu zbiorowego był najbardziej pocieszający dla nieuprzedzonych badaczy polskiego życia społecznego. W ciężkich warunkach życia polskiej wsi rodziła się spontanicznie myśl pracy zbiorowej dla dobra ogólnego, stwarzając wspaniałe perspektywy na przyszłość. Akcję zapoczątkowaną w Markowej oceniać winniśmy nie według cyfr posiadanych finansów i zasięgu terytorialnego, lecz jako pole doświadczalne i sprawdzian sił wewnętrznych, tkwiących, na przekór wszelkim przeciwnościom, w stanowiącej większość narodu ludności chłopskiej.

## VI. Oświata, kultura, wychowanie fizyczne

### a) Szkolnictwo

„Dekret o obowiązku szkolnym” — tak brzmiała w skrócie nazwa prawa z dn. 8 lutego 1919 roku, nakazującego rodzinom posyłanie dzieci do szkoły celem pobierania tam obowiązkowej nauki. Nie przywilej, jak to było dotychczas, ale obowiązek społeczny miał stać u podłoża pracy polskiej szkoły, którą w chwili wydania tego dekretu trzeba było dopiero organizować w całych połaciach kraju.

Najszczęśliwszy pod tym względem, jak zresztą i wieloma innymi, był zabór austriacki, szczycący się aż dwoma uniwersytetami w Krakowie i Lwowie i szeroko rozbudowaną siecią szkół wszelkiego typu.

W zaborze rosyjskim okres okupacji przez państwa centralne, w dobie wojny światowej, jest fazą intensywnej rozbudowy słabego polskiego szkolnictwa prywatnego i przejmowania dawnego państwowego szkolnictwa rosyjskiego.

W byłym zaborze pruskim trzeba było wszystko zaczynać od początku, zastępując szkolnictwo niemieckie własnym.

Zastraszający był też procent analfabetyzmu, gdyż w 1921 r. aż 33,1 % ogółu obywateli Polski nie umiało czytać ani pisać.

Nic więc dziwnego, że olbrzymi wysiłek społeczeństwa i państwa zwrócony być musiał w pierwszym rzędzie przeciw tej klęsce społecznej. Pierwszym i zasadniczym środkiem zaradczym było budownictwo nowych szkół powszechnych i rozszerzanie istniejących, aby objąć nim możliwie najszerzej nowe pokolenie.

Mimo znacznego wysiłku w tej dziedzinie w kilku pierwszych latach olbrzymia liczba dzieci w wieku 7-13 lat, obowiązanych prawnie do uczęszczania do szkoły, nie mogła w niej znaleźć miejsca. W roku szkolnym 1922/23 tylko 68,9 % dzieci w wieku szkolnym spełnia swój obowiązek. Najgorzej przedstawiały się stosunki w województwach wschodnich, gdzie do szkół powszechnych uczęszczało zaledwie 36,4 % uprawnionych. Z biegiem czasu stosunki poprawiają się wyraźnie, częściowo dzięki zmniejszeniu się liczby dzieci, dopiero w kilku ostatnich latach wysiłek państwa i samorządów w tej dziedzinie nie dotrzymuje kroku wzrastającym potrzebom. Zaradzić temu usiłowano przez rozwijanie działalności Towarzystwa Budowy Szkół Powszechnych, które w jednym tylko 1935 roku buduje 1.281 izb lekcyjnych, w 1937 roku — 1.309 izb.

Rozwój realizacji nauczania powszechnego przedstawia poniższa tabelka, uwzględniająca szczególnie postęp w najbardziej zacofanych województwach wschodnich.

<i>Rok szkolny</i>	<i>Liczba dzieci w wieku 7-13 lat w tysiącach</i>	<i>% uczniów na 100 dzieci ogółem</i>	<i>% uczniów na 100 dzieci w województwach wschodnich</i>
1922/23 ....	4.852	68,9	36,4
1923/24 ....	4.519	75,1	41,8
1924/25 ....	4.230	79,5	49,8
1925/26 ....	3.920	85,6	61,0
1926/27 ....	3.736	90,6	70,3
1929/30 ....	4.108	92,3	72,1
1932/33 ....	4.809	90,5	77,5
1934/35 ....	5.027	89,4	75,0
1935/36 ....	5.101	89,0	74,7

Mając pod dostatkiem sił pedagogicznych i mogąc swobodnie podwyższać ilość etatów nauczycielskich (w 1928/29 roku ogółem 72.463, z czego w szkołach powszechnych 62.057, w 1937/38 roku ogółem 83.310, w szkołach powszechnych 72.968) stale napotymano w Polsce na główną trudność w postaci braku pomieszczeń szkolnych. I w tej jednak dziedzinie istnieje stały, choć niedostateczny postęp.

<i>R o k</i>	<i>Izb lekcyjnych w szkołach powszech.</i>	<i>W budynkach własnych</i>	<i>Wynajętych</i>
1925/26 ....	54.203	31.480	22.723
1930/31 ....	63.490	39.459	24.031
1934/35 ....	67.625	44.316	23.309

Za rezultat głównie szkoły powszechnej i jej rozwoju uznać należy zmniejszenie się analfabetyzmu. W okresie czasu odgradzającym 2 powszechne spisy procent analfabetyzmu wśród ludności w wieku 10 lat i więcej spadł z 33,1 % ogółem w 1921 r. (30 % mężczyzn i 35,7 % kobiet) do 23,1 % w 1931 r. (17,8 % mężczyzn i 27,9 % kobiet).

Omawiane już pogorszenie się sytuacji szkolnictwa powszech-

nego w późniejszych latach pociągnąć musiało w konsekwencji przykre następstwa. Spotykamy się ponadto ze zjawiskiem analfabetyzmu powrotnego, głównie na ziemiach wschodnich. Mimo te wszystkie braki jednak potrafiliśmy pod względem procentu czytających i piszących wyprzedzić szereg państw, jak np. Włochy, Portugalię, Hiszpanię i inne.

Ogólnie biorąc postęp w dziedzinie rozwoju szkolnictwa wszelkich typów istnieje stale, nawet w ostatnich trudnych dla oświaty latach.

Jeśli chodzi o powszechność oświaty, w szerszym pojęciu tego terminu, wiele jeszcze pozostawało do życzenia. Znikoma ilość dzieci chłopskich wychodzi poza szkołę powszechną, a nawet procent ich wśród uczniów szkół średnich ogólnokształcących maleje. Lepsza jest sytuacja dzieci robotniczych, co przypisać należy większej dostępności szkoły, znajdującej się w mieście. To pokrzywdzenie wsi próbują zmniejszyć lokalnie samorządy przez ustanawianie stypendiów, zjawiają się różne projekty zaradcze ze strony organizującej się coraz bardziej inteligencji wiejskiej, realnych jednak wyników akcje te jeszcze nie dały, gdyż energia działaczy wiejskich zwrócona była głównie w kierunku podniesienia na wsi oświaty pozaszkolnej.

Zmiany tu zaobserwowane pociągały za sobą przesunięcia wśród kształcącej się młodzieży w jej strukturze wyznaniowej. Pominąć tu oczywiście należy jednakowo obowiązane do nauki dzieci w szkole powszechnej, natomiast w szkołach średnich i wyższych zmiany są bardzo wyraźne. W szkołach wyższych różnie, zwłaszcza w ostatnich latach, procent młodzieży wyznania rzymsko-katolickiego (w 1928/29 r. — 70,1 %, w 1935/36 — 77,9 %) i ewangelickiego (w 1928/29 r. — 2,5 %, w 1935/36 — 2,8 %) i prawosławnego (w 1928/29 r. — 1,9 %, w 1935/1936 r. — 2,8 %). Maleje natomiast wydatnie ilość młodzieży wyznania mojżeszowego (w 1928/29 r. — 20,4 %, w 1935/36 r. — 13,8 %) i grecko-katolickiego (w 1928/29 r. — 4,6 %, w 1935/36 r. — 3,0 %).

Z przytoczonych już wyżej cyfr widać jasno, że o ile wyraźny i niepodlegający żadnej dyskusji był postęp w dziedzinie szkolnictwa powszechnego w pierwszym dziesięcioleciu, w drugim wysiłek państwa i samorządów jest na tym odcinku niedostateczny i widać pogarszanie się sytuacji. Natomiast rozwój szkolnictwa średniego posiada swoje ciekawe i specyficzne oblicze. Maleje ilość zakładów i uczniów szkół ogólnokształcących, rośnie natomiast ilość szkół zawodowych. Zmienia się również ich pozycja w społeczeństwie. Traktowane jako wyraźnie niższa forma



nauczania, zamykająca dostęp do szkół wyższych dla swych wychowanków, były one w początkach państwa polskiego całkowicie w cieniu. Z biegiem czasu wzrasta zrozumienie ich znaczenia, przyjęta ogólnie tylko dla średniej szkoły ogólnokształcącej nazwa „gimnazjum” zostaje rozciągnięta na szkoły zawodowe (gimnazjum handlowe, krawieckie itp.). Umożliwione zostało przejście z gimnazjum, następnie z liceum zawodowego do szkół wyższych.

Największy stosunkowo rozmach widać jednak w rozwoju szkolnictwa wyższego. Obok uniwersytetów w Krakowie, Lwowie i Warszawie powstały uniwersytety państwowe w Wilnie i Poznaniu, prywatny katolicki w Lublinie; na szkołę akademicką przekształciła się Wolna Wszechnica Polska w Warszawie z oddziałem w Łodzi. Obok uniwersytetów szereg innych uczelni wychowywało polską inteligencję: politechniki w Warszawie i Lwowie, Akademia Górnicza w Krakowie, Akademia Medycyny Wet. we Lwowie, Akademia Stomatologiczna, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, Szkoła Główna Handlowa i Wyższa Szkoła Dziennikarska w Warszawie, Akademie Handlowe w Poznaniu i Lwowie. Szkoły Nauk Politycznych w Krakowie i Warszawie, Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie, a obok nich szereg szkół wojskowych z Wyższą Szkołą Wojenną na czele.

Ponadto ok. 1.200 nauczycieli i kilkanaście tysięcy uczniów gromadziły szkoły artystyczne średnie i wyższe. Trudna do uchwycenia cyfrowo działalność prywatnego szkolnictwa artystycznego była podstawą naszego dorobku w tej dziedzinie. Według obliczeń z 1934/35 roku pracowało wówczas w Polsce 161 prywatnych szkół artystycznych. Uchwycona cyfrowo statystyka 121 z nich wykazuje 900 nauczycieli i ok. 10.000 uczniów. W tym samym czasie pracują 3 średnie państwowe szkoły artystyczne (73 nauczycieli, 424 uczniów) i jedna samorządowa (20 nauczycieli, 140 uczniów).

Państwowe szkolnictwo artystyczne wyższe obejmowało: 3 szkoły sztuk pięknych (10 wydziałów) z 58 nauczycielami i 581 uczniami, 3 szkoły muzyczne (21 wydziałów) z 121 nauczycielami i 1.361 uczniami oraz 1 szkołę dramatyczną (2 wydziały) z 30 nauczycielami i 77 uczniami.

## b) *Oświata pozaszkolna*

Oświata pozaszkolna w Polsce szła różnymi, często niezależ-

nymi od siebie drogami. Państwo zorganizowało całą sieć instruktorską po kuratoriach i inspektoratach szkół powszechnych, powołało do życia blisko półtora tysiąca komisji oświatowych powiatowych i gminnych, pomagało w organizowaniu kursów dokształcających dla dorosłych i młodocianych, szkół wieczorowych, uniwersytetów niedzielnych i powszechnych, świetlic, teatrów i chórów ludowych, domów ludowych wreszcie. Niezależnie od tego istniała znaczna inicjatywa instytucji społecznych i samorządowych i na tej drodze widać było nie tylko postęp, ale najlepsze perspektywy na przyszłość. Akcja w tym zakresie istniejąca w zaborze austriackim, głównie dzięki pracy Towarzystwa Szkoły Ludowej, miała w zaborze rosyjskim inne, ale świetne tradycje w tajnym nauczaniu i kołach oświatowych.

Zaledwie wojska rosyjskie opuściły Warszawę, we wrześniu 1915 roku Komitet Obywatelski stolicy powołuje grono oświatowców do zorganizowania kursów dla dorosłych. Rozwijają się one szybko, dając podstawę do wspaniałego rozwoju oświaty pozaszkolnej samorządu stolicy. Wyszła z mroków konspiracji 1915 roku, nabierająca swobodnego oddechu w niepodległej Polsce miejska oświata pozaszkolna w Warszawie osiągnęła w 1935/36 roku stan, którego po tak krótkim okresie pracy nie mogła się powstydić: 13 szkół powszechnych dla dorosłych (65 kompletów) z 2.764 uczniami, 12 szkół dla młodocianych (52 komplety) z 2.479 uczniami, 7 uniwersytetów powszechnych (57 kompletów) z 1.120 słuchaczami, 70 kompletów świetlicowych (1.786 uczestników), 253 komplety odczytowe (20.105 uczestników), 13 chórów (733 uczestników), 792 komplety wycieczkowe (26.054 uczestników), 29 drużyn sportowych (800 uczestników).

Pracownicy warszawskich kursów dla dorosłych zakładają w 1919 roku Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych (następnie Instytut Oświaty Dorosłych), mające na celu prace badawcze i poradnicze. Po kilku latach, po zmianie nazwy, instytut ten, pozostając nadal instytucją społeczną, nie urzędową, stał się centralą prac naukowo-oświatowych w Polsce. Jak na samorząd jednego miasta i 20 lat dorobek to wcale niemały. Nie zapominajmy bowiem, że pominięto tu działalność tak licznych towarzystw ideowych.

Na prowincji działalność oświatowa była słabsza, ale i tutaj cyfry obrazują nam widoczny postęp. Ilość domów ludowych stale wzrasta i tak np. na 927 domów istniejących w 1933 roku (w tym na wsi 825) tylko 185 było założonych w 1919 roku lub wcześniej, 286 założono w latach 1920/28, reszta zaś, tj.

456, powstała dopiero w latach 1929/33. Powstają liczne uniwersytety ludowe, świetlice, głównie różnych organizacji społecznych, kilkadziesiąt tysięcy śpiewaków pracuje w chórach, rozwijają swą działalność teatry ludowe. Liczba tych ostatnich spada wprawdzie po 1931 roku (z 1.966 do 1.367 w 1936 roku), ale wzrasta za to ilość książek w ich bibliotekach instruktorskich (w 1931 r. — 8.800 tomów, w 1936 r. — 1.359 tomów (? Red.)), ilość kostiumów, wzrasta liczbą i jakością ich produkcji. Potrafią one wreszcie ugruntować swój żywot na podstawach samowystarczalności.

Specyficzną formą oświatową była działalność wojska w tej dziedzinie. Rośnie stale liczba bibliotek oświatowych (nie licząc Centralnej Biblioteki Wojskowej i Okręgowych, w 1929 roku — 487.000 tomów, w 1936 roku — 847.000 tomów), świetlic, aparatów radiowych i kinematograficznych. Pragnąc wreszcie stworzyć z wojska szkołę lojalnych obywateli, objęto w 1935/36 roku wszystkich żołnierzy pracą oświatową w formie nauki obywatelskiej, dla wszystkich analfabetów i powrotnych analfabetów zorganizowano kursy nauki początkowej. W 1935/36 roku posiadały one 709 kompletów i 20.000 uczniów, z których egzamin z wynikiem dodatnim złożyło 17.000.

To co jednak budziło prawdziwy optymizm na tym odcinku pracy społecznej nie dało się jeszcze ująć w zestawienia statystyczne.

Obok starych instytucji, jak Polska Macierz Szkolna czy Towarzystwo Szkoły Ludowej, stają nowe organizacje społeczne, mając specjalnie oświatę pozaszkolną na celu. Pod tym względem ruch na polskiej wsi przybiera rozmiary imponujące. Istnieje tu pewna akcja ze strony władz państwowych, które powołały do życia specjalny Instytut Kultury Wsi, prowadzący działalność badawczo-naukową oraz Komitet dla Spraw Kultury Wsi jako organ doradczy rządu. Ciężar akcji spoczywał jednak na własnych barkach społeczeństwa. Chłopski ruch oświatowo-kulturalny i ekonomiczny posiadał szereg form organizacyjnych, nieraz walczących ze sobą, ale coraz mocniej tkwiących w gruncie. Były to w pierwszym rzędzie: 1) organizacje rolnicze o charakterze kulturalno-gospodarczym (kółka rolnicze, koła gospodyń wiejskich itp.); 2) organizacje spółdzielcze (spółdzielnie spożywców, rolnicze, mleczarskie, kredytowe, zdrowia, budowlane, turystyczne); 3) związki młodzieży wiejskiej; 4) związki teatrów ludowych; 5) uniwersytety organizacji chłopskich; 6) związki inteligencji chłopskiej. Każde z tych form zahaczały o siebie nawzajem i tak np. Cen-

tralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych w swych oddziałach wojewódzkich posiadało inspektoraty oświatowe, spółdzielnie o charakterze ściśle gospodarczym inicjowały wycieczki krajoznawcze dla swych członków, organizacje polityczne lub półpolityczne, tworzyły kursy dokształcające itp.

Te wszystkie czynniki dopiero mogły ruszyć z miejsca oświatę w ośrodkach wiejskich, dotychczas nie dającą wciąż jeszcze zadowalających wyników. Przyczyn początkowych niepowodzeń pracy oświatowej na wsi, mimo znacznych niezaprzeczenie wysiłków, nie trzeba długo szukać. Zwalono *gros* całej roboty na barki nauczycielstwa szkół powszechnych. To zaś, przeciążone obowiązkowymi pracami szkolnymi, nierzadko używane do akcji politycznych, często nie związane psychicznie ze środowiskiem — nie mogło znaleźć z nim kontaktu i często wielki wysiłek szedł na marne. Inaczej przedstawiała się sprawa gdy zagadnienie kultury wsi przejmować zaczęli w swe ręce własni jej synowie.

W miastach, głównie wśród młodzieży robotniczej, widać również stały postęp roboty oświatowej. Siła takich organizacji jak Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego lub Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. Żeromskiego polega na pogłębianiu pracy i doskonaleniu jej metod.

Cyfry te nie tłumaczą, rzecz prosta, wszystkiego. Nie tłumaczą one np. zasięgu pracy młodzieży „wiciowej” (zbliżonej do Polskiego Stronnictwa Ludowego), choć głośny był w Polsce uniwersytet ludowy w Gaci pod dyрекcją inż. Solarza. Był on wielką szkołą przodowników kulturalnych wsi, a absolwenci jego stawali się wysokowartościowymi twórcami nowych placówek.

Pominięty w tym zestawieniu Związek Strzelecki, ze względu na specjalny charakter jego pracy i założeń, posiadał bardzo znaczny zasięg i w dziedzinie kulturalno-oświatowej stanowił jedną z mocniejszych pozycji. Posiadał on w 1936 roku 151 domów strzeleckich, 1.421 własnych świetlic z 8.276 zespołami, 4.986 bibliotek stałych i ruchomych, 7.145 ogniw męskich, 961 żeńskich, 1.149 kół przyjaciół, 2.190 drużyn orląt, 617 kursów, 1.724 zespoły przysposobienia rolniczego, 14.105 kół sportowych męskich, 964 kół żeńskich.

Poza wymienionymi organizacjami istniał cały szereg inicjatyw, w skutkach swoich na dalszą przyszłość niemałego znaczenia. Nie o wszystkich dochodziły nawet głosy do wiadomości ogólnej. I tak np. na niedługo przed wojną Związek Osadników w Wilnie przystąpił do organizacji uniwersytetu społecznego na dużą skalę dla „młodzieży wiejskiej bez różnicy narodowości,

wyznania i płci”, w 1933 roku 11 różnych instytucji państwowych i organizacji społecznych powiatu kostopolskiego, jak inspektorat szkolny, oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Związek Robotników Przemysłu Górniczego itp. łączą swoje biblioteki w jeden wielki księgozbiór dla ogólnego użytku. Takich przykładów mnożyć można bez liku i w nich tkwiły prawdziwe zaczątki postępu na tym polu.

### c) Czytelnictwo

Ilość bibliotek rosła w Polsce stale, jak widać było choćby z cyfr przytaczanych powyżej w związku z omówieniem oświaty poszkolnej. Najważniejsze, że postęp odbywał się tu na wszystkich odcinkach, zarówno jeśli chodzi o małe szkolne biblioteczki jak i wielkie biblioteki publiczne.

1924 roku bibliotek liczących ponad 100.000 woluminów mieliśmy tylko 15 z 3,8 mln tomów. W 1930 roku mamy już takich bibliotek 27, a zawartość ich wynosi już 5,9 mln tomów.

Pokaźne są również cyfry ogólne, dotyczące bibliotek mniejszych. W roku 1935/36 biblioteki oświatowe osiągnęły cyfry bardzo poważne:

	Stale	Ruchome		Tomy w tys.	Czytelnicy w tys.	Wypoż. w tys.
		Centr.	Oddz.			
Samorządowe	442	122	2.841	828,9	237,4	1.981,7
Społeczne ...	7.936	194	3.738	4.014,1	718,5	7.613,2

Rosną również biblioteki szkół powszechnych, które w 1927 roku dochodzą do liczby 22.298, w 1929 roku — 23.084, w 1931 roku — 23.604. Inne typy szkół przechodzą mniejsze zmiany.

Z inicjatywy prywatnej powstaje w 1927 roku Towarzystwo Bibliotek dla Dzieci, oparte na systemie bibliotek amerykańskich. W ciągu 10 lat swej działalności zorganizowało ono 6 bibliotek dziecięcych na krańcach Warszawy. Powodem rejestracji ich na tym miejscu jest ich specyficzny, niecodzienny charakter. Były one bowiem nie wypożyczalniami, lecz raczej szkołami czytania książek. Było to tym ważniejsze, że zespół przeciętnie 200 czytelników dziennie w każdej bibliotece stanowiły dzieci ulicy sto-

łącznych przedmieść. Po 10 latach biblioteki te przeszły na własność miasta, a po uzyskaniu nowych funduszków liczba ich już po paru miesiącach wzrosła do 15. Na wzór stolicy podobne biblioteki zaczęły powstawać w szeregu miast prowincjonalnych.

Brak nam niestety dokładnych danych porównawczych dotyczących wydawnictw drukowanych w Polsce, gdyż nie było pod tym względem jednolitych metod obliczania. Posiadane cyfry wystarczały jednak, by stwierdzić zwiększanie się liczby druków, po ustaleniu norm obliczeniowych druków nieperiodycznych. Nie licząc nut, map, rycin, kalendarzy, odezów, sprawozdań, cenników itp. wydawano w latach 1932-34 przeciętnie 5.924 druków (w nakładzie 16.986,6 tys. egzemplarzy), w 1935 roku — 7.460 druków (20.645,7 tys. egzemplarzy), w 1936 roku — 7.971 druków.

Rozwój prasy datuje się od 1922 roku. Powstają nowe pisma, obliczone na szeroki ogół czytelników. Po dziesięciu latach nakłady ich są 10-krotnie większe niż pism istniejących w początkach niepodległości. Obok istniejących przedsiębiorstw wyrastają dwa potężne koncerny prasowe, o najbardziej nowoczesnych urządzeniach technicznych, mogących sprostać (jak w Warszawie) nawet zamówieniom zza oceanu. Dodać jeszcze można, że udoskonalenia maszyn drukarskich wykonane zostały przez polskich konstruktorów i robotników.

Prasa polityczna przeżywała kilka kryzysów w Polsce, na ogół jednak zawsze potrafiła wyjść z nich zwycięsko. Liczba periodyków naukowych, gospodarczych, oświatowych i młodzieżowych stale wzrastała.

#### d) *Organizacja nauki i sztuki*

Działalność w dziedzinie organizacji nauki i sztuki, poza utrzymywaniem względnie popieraniem szkolnictwa wyższego i artystycznego, tworzącego już z natury rzeczy ośrodki grupujące wybitniejszych uczonych i artystów, polegała na popieraniu instytucji i osób w tych dziedzinach wartościowszych, subwencjonowaniu badań, zjazdów i kongresów, oraz propagandy artystycznej i wystaw.

Zasiłki ze skarbu Państwa wahały się ostatnio w granicach 7-8 mln zł rocznie, wliczając w to wydatki tzw. Funduszu Kultury Narodowej. Miał on głównie na celu popieranie badań naukowych i ułatwianie pracy, zwłaszcza nowej kadrze, pracownikom nauki i sztuki. Od 1931 roku budżet tego funduszu niewiele

przekracza 1 mln zł rocznie, z czego około 300 tys. zł na stypendia naukowe, 60-90 tys. zł na stypendia artystyczne.

Imponująco przedstawia się rozwój towarzystw naukowych w Polsce na przestrzeni omawianego dwudziestolecia. Według kartotek Kasy im. Mianowskiego zestawienie 314 towarzystw naukowych (central i jednostek statutowo samodzielnych) w dniu 31 grudnia 1936 roku przedstawia się według roku założenia następująco:

1900 r. i wcześniej — 42; 1901 r. - 1918 r. — 50;  
1919 r. - 1920 r. — 37; 1921 r. - 1925 r. — 72;  
1926 r. - 1930 r. — 63; 1931 r. - 1935 r. — 30;  
1936 — 7; Rok nie podany — 13.

Według zakresu pracy dzieliły się one na: ogólne (26), bibliotekarstwo i bibliofilstwo (10), religioznawstwo i teologia (3), filozofia, psychologia, logika (12), matematyka, fizyka i chemia (9), nauki przyrodnicze (25), filologia i językoznawstwo (8), historia i nauki pomocnicze (20), geografia, krajoznawstwo i regionalizm (14), literatura i sztuka (10), prawo i polityka (24), ekonomia i nauki społeczne (21), pedagogika (3), medycyna i higiena (55), farmaceutyka i weterynaria (4), handel i przemysł (1), technologia (37), rolnictwo (13), wojskowość (13), różne (6).

Siedzibą znacznej ich części, bo aż 143, była Warszawa, następnie Lwów — 38, Kraków — 33, Poznań — 23, Wilno — 17.

#### e) *Muzea, teatry, kina, radio*

Liczba muzeów nie wzrastała zbyt szybko (w 1925 r. — 142, w 1936 r. — 147), bogaciły się jednak ich zasoby, rosło zrozumienie ich roli w społeczeństwie. Brak cyfr nie pozwala nam zilustrować postępu, jaki np. w tym okresie zrobiło warszawskie Muzeum Narodowe, które dzięki doskonałej w ostatnich latach organizacji ściągало na swe wystawy tłumy mieszkańców stolicy, przy czym wstęp był płatny tylko w ciągu 2-ch dni w tygodniu.

O kryzysie teatrów w Polsce pisało się bardzo wiele, nie potrafiły one bowiem znaleźć najwłaściwszej dla siebie formy pracy, wciąż jak np. teatry stołeczne były w poszukiwaniu form

organizacyjnych. Mimo to jednak i tu nie było cofania się. Dane cyfrowe wykazują nawet pewien postęp w ostatnich latach. W 1935 roku sprzedano w polskich teatrach 5.142.000 biletów, w 1936 r. — 5.157.000; na koncerty i recytacje w 1935 r. — 450.000, w 1936 r. — 521.000 biletów. W kinematografach liczba sprzedanych biletów wzrosła w tym czasie z 42.238.000 do 45.624.000. Rozwój kina był zresztą w Polsce bardzo wyraźny. Pozostawiając na uboczu trudny do bezspornej charakterystyki postęp w dziedzinie produkcji, stwierdzmy tylko, że ilość teatrów świetlnych z 428 w 1923 r. wzrosła w 1936 r. do cyfry 741, mimo przejściowego kryzysu, jaki spowodowała konieczność instalacji aparatów dźwiękowych. Ilość miejsc i dni spektakli wykazałaby ten postęp jeszcze wyraźniej.

Historia polskiej radiofonii w znaczeniu ogólnym rozpoczyna się około roku 1925. W dn. 1 stycznia tego roku liczyła Polska 200 radioabonentów. W 1930 roku liczba ich wynosiła już 202,6 tys., w 1935 r. — 374 tys., w końcu 1936 r. — 677,4 tys., a dzięki usilnej propagandzie liczba radioabonentów na dzień 1 lutego 1937 roku wyniosła już 711,7 tys. Znaczyło to innymi słowy, że na tyśiąc mieszkańców posiadało aparaty radiowe w Warszawie — 83, na Śląsku — 60, na Pomorzu — 35 itp. Jedyne kresy wschodnie wciąż jeszcze były daleko w tyle, ale i tam z roku na rok radiofonizacja postępowała naprzód.

#### f) *Wychowanie fizyczne i sport*

Niezorganizowana z punktu widzenia państwowego praca nad podniesieniem kultury fizycznej obywateli rozwijała się jednak w pierwszych latach Rzeczypospolitej głównie przez istnienie takich organizacji jak harcerstwo, Sokół, Strzelec, Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego wraz z później zorganizowanym „Czerwonym Harcerstwem” itp., przez kluby sportowe, których ilość szybko wzrasta, stowarzyszenia turystyczne, przez szkołę wreszcie, gdzie wychowawca fizyczny zyskiwał sobie coraz bardziej właściwe miejsce.

Różne lokalne organizacje pracują w tym okresie bardzo intensywnie, że podamy dla przykładu małą w zasięgu instytucję, jaką były „Ogrody im. Raua”, poświęcone rozwijaniu sił fizycznych dzieci. Liczba korzystających z ich urządzeń wzrosła z 794.234 w 1921 roku do 1.941.204 w 1926 roku.

Pierwszą poważniejszą próbą skoordynowania tych wysiłków



było utworzenie 25 kwietnia 1925 roku Rady Naczelnej Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego. W 1927 roku powstaje przy Ministerstwie Spraw Wojskowych specjalny Instytut W.F. i P.W. Niemałego znaczenia dla powagi i znaczenia Rady w kraju był fakt, że na jej czele stał w ciągu kilku lat Marszałek Piłsudski.

Pierwszą potrzebą narzucającą się wyraziście przy organizacji pracy w tej dziedzinie było wykształcenie odpowiedniej ilości wychowawców fizycznych i instruktorów. W 1926 roku powołana zostaje do życia specjalna wyższa uczelnia: Centralny Instytut Wychowania Fizycznego. Ogół społeczeństwa przyjął go początkowo z pewną nieufnością, później z coraz większym zrozumieniem, czego dowodem było przekształcenie go na krótko przed wojną wrześnieową w Akademię Wychowania Fizycznego. Obok popularnego CIWF-u znaczne zasługi w kształceniu wychowawców fizycznych położyło specjalne studium przy Uniwersytecie Poznańskim.

Ogólny postęp w dziedzinie wychowania fizycznego trudno jest do ujęcia w liczbach. O jego rozwoju świadczyć może tylko fakt, że weszło ono w program stałej pracy całego szeregu organizacji młodzieżowych wiejskich, że wielki nacisk kładła nań YMCA, rosła frekwencja w szkolnych schroniskach turystycznych, rozwój sportu nie szedł tylko wzwyż, ale coraz bardziej wszersch.

Dla przykładu podajmy, że Związek Harcerstwa Polskiego liczył w 1934 roku — 85.000 harcerzy (956 miejscowości), 50.000 harcerek (691 miejscowości). W rok później liczy on 103.000 harcerzy (1.301 miejscowości) i 62.000 harcerek. W kursach i obozach w 1933 roku uczestniczyło 26.000 harcerzy i 7.600 harcerek, w 1935 roku już 37.000 harcerzy i 17.000 harcerek.

Liczba szkolnych schronisk wycieczkowych, otwartych zresztą nie tylko dla młodzieży szkolnej, wzrosła ze 113 w 1931 roku do 190 w 1936 roku. Liczba zaś wycieczek, które w nich gościły wzrosła w tym okresie z 2.806 do 9.896. A obok tego pracowały przecież zasobne i świetnie zorganizowane liczne stowarzyszenia turystyczne z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim (14.000 członków, 41 własnych schronisk górskich), Polskim Towarzystwem Krajoznawczym (7.000 członków), Polskim Związkiem Narciarskim (13.000 członków) i szeregiem innych, z których 4 liczyły od 3.000 do 4.000 członków.

Ilość zrzeszonych sportowców ze 172.000 w 1926 roku, tj. w roku powstania CIWF-u, wzrasta do 289,9 tys. w 1932 roku,

po 3-ch latach wynosi już 473,2 tys. Ostatnio liczba ich wzrastała jeszcze szybciej.

Liczba urządzeń sportowych, mimo ich wielkich kosztów, rośnie bardzo szybko i np. na przestrzeni lat 1933-1939 ilość boisk do gier wielkich wzrasta z 1.368 do 1.877, boisk do gier małych z 4.258 do 10.000, pływalni z 173 do 350, przystani wioślarskich i kajakowych z 171 do 326. Nad tym wszystkim czuwało ponad 6.000 instruktorów, w tym ok. 1.000 kobiet.

W dziedzinie samych wyników sportowych, aczkolwiek dla ogólnego poziomu wychowania fizycznego ma to mniej doniosłe znaczenie, zanotować możemy również cały szereg znamion postępu. Na liście rekordów coraz częściej zaczęły pojawiać się nazwiska polskie, a wyniki Walasiewiczówny, Kusocińskiego, Heliasza, Weissówny, Konopackiej i in. w lekkiej atletyce, Jędrzejowskiej w tenisie, Marusarza i Czecha w narciarstwie, drużyny szablowej, reprezentacyjnej drużyny bokserskiej itd. były coraz częściej wynikami na miarę światową. W dziedzinie zaś lotnictwa sportowego i w aeronautyce byli polscy zawodnicy zawsze jeśli nie pierwsi to jedni z pierwszych, co potwierdzały sukcesy w Challengu lotniczym i walkach o puchar Gordon-Benneta.



Kończąc szkic niniejszy zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie daliśmy pełnego obrazu postępu społecznego w Polsce. Nie to zresztą było naszym celem. Rozmyślne nasilenie światła na pewnych odcinkach tego zagadnienia pozwoliło tylko na zilustrowanie dróg postępu społecznego w naszym kraju, przeszkód jakie na tych drogach leżały i wysiłku jaki dla ich pokonania zrobiono. I to wszystko. Wystarczyło to jednak do stwierdzenia, że wobec całego szeregu państw nie mamy się czego wstydzić, bo choć nie bez wahań, ale wciąż szliśmy naprzód. A fakt, że mimo to wielu, jak i autor tegoż artykułu, było niezadowolonych z tego stanu rzeczy, świadczy tylko o tym, że chcieliśmy iść jeszcze szybciej i bardziej planowo. Dziś bogatsi w doświadczenie, poznawszy z perspektywy lepiej swe błędy i zalety, potrafimy wytyczyć gościniec postępu prostszy i szerszy.

Henryk JABŁOŃSKI

Grenoble, w październiku 1941 r.

W Nr. 13 *Zeszytów Historycznych* w 1968 roku zamieściliśmy inne opracowanie prof. Jabłońskiego pt.: „Piłsudski jako historyk”, wydane także w Grenobli w maju 1941 r.

## SKARGI NA RĘCE TOW.TOW. KANI, KOWALCZYKA I ŁUKASIEWICZA

Wrzawa, jaką określone koła reakcyjne podniosły ostatnio w kraju i za granicą wokół tzw. sprawy Moczarskiego w związku z inscenizacją teatralną jego książki „Rozmowy z katem” i, niestety, sekundujące tej wrzawie liczne publikacje oficjalnych, państwowych i partyjnych, środków masowego przekazu — skłaniają mnie do zwrócenia uwagi Kierownictwa Partii na rzeczywisty stan sprawy oraz na jej istotne, aktualne aspekty polityczne.

W szczególności obliguje mnie do tego artykuł Michała Miśniewskiego zamieszczony w *Trybunie Ludu* z dnia 15-go bm., w organie Komitetu Centralnego Partii, a zatem będący wyrazem jej oficjalnego stanowiska w tej sprawie, które w wyniku dezinformacji i braku rozeznania w prawdziwym stanie rzeczy — *jest z gruntu niestuszne* i wymaga niezbędnej korekty w imię prawdy, a także doraźnych racji politycznych.

Zarówno wrogie publikacje zagraniczne jak i publikacje krajowe, nie wyłączając *Trybuny Ludu* — przedstawiają sprawę w ten sposób, że Moczarski, autor skądinąd ciekawej, oryginalnej i wartościowej książki — był, jakoby, *jako żołnierz* aresztowany przez organy bezpieczeństwa publicznego jesienią 1945 roku na podstawie fałszywego oskarżenia o zwalczanie ruchu lewicowego w okresie okupacji i za to, jakoby, *wtedy* został osądzony i skazany na dożywotnie więzienie.

W rzeczywistości Moczarski został jesienią aresztowany *nie za działalność w okresie okupacji*, lecz za działalność wrogą wobec Polski Ludowej *po wyzwoleniu*, jako członek londyńskiej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj oraz współzałożyciel WiN-u i eksponowany członek jego pierwszej Komendy Głównej, szef propagandy i agitacji w tej Komendzie w okresie największego nasilenia wrogiej działalności band, inspirowanej właśnie przez Moczarskiego w kierunku dezercji z wojska w okresie trwającej jeszcze wojny, szpiegostwa, mordowania działaczy demokratycznych, w wyniku czego zginęły tysiące patriotów, w tym, w maju 1946 roku, mój Ojciec, organizator władzy ludowej w Zamojskiem.

Ujęty *in flagranti* wraz z licznymi dowodami rzeczowymi w

postaci produkowanego przez niego materiału propagandowo-agitacyjnego jednoznacznego charakteru — Moczarski *za tę tylko* działalność i *za ten tylko* okres, tj. po wyzwoleniu — został w 1946 roku osądzony i skazany w procesie I-szej Głównej Komendy WiN-u — na 10 lat więzienia.

Swoje rozmowy ze Stroopem przeprowadzał już *jako więzień karny*, odsiadujący wyrok *nie będący nigdy przedmiotem postępowania rehabilitacyjnego*, a więc do dziś nie wzruszony tak pod względem dowodowym, jak i politycznym.

Już jako więzień karny, pod koniec odbywania kary za wyżej opisane przestępstwa wobec Polski Ludowej — został pociągnięty do odpowiedzialności za działalność okupacyjną w *innej, dodatkowej sprawie*, będącej później przedmiotem postępowania rehabilitacyjnego, w toku którego sąd przeszedł do porządku dziennego nad rzeczywistymi okolicznościami i podstawami aresztowania oraz osądzenia Moczarskiego w 1945-46 roku — i w ten sposób powstała nieprawdziwa wersja sprawy, przedstawiająca Moczarskiego jako ofiarę bezprawnego postępowania organów bezpieczeństwa w 1945 roku, w wyniku czego odsiedział on rzekomo niewinnie 10 lat w więzieniu — a także jako *sztandowego, a zarazem typowego* przedstawiciela uczciwych mas akowskich, rzekomo represjonowanych przez organy władzy Polski Ludowej za ich działalność w ruchu oporu, gdy w rzeczywistości sprawa dotyczyła jedynie takich jak Moczarski epigonów AK, krwawo tę Polskę zwalczających. Ta fałszywa wersja „sprawy Moczarskiego” daje obecnie „moralną” podstawę i asumpt kołom reakcyjnym do rozwijania szerokiej, wrogiej akcji politycznej. Korzystając z dezinformacji i braku rozeznania władz w obecnym ich składzie osobowym o prawdziwym stanie rzeczy — bez przeszkód, a nawet z pomocą partyjnych i państwowych środków masowego przekazu sączą wśród społeczeństwa, a w szczególności wśród nieorientowanej i nie pamiętającej tamtych czasów *młodzieży* jad nienawiści do organów władzy ludowej, szkalują je wobec opinii w kraju i za granicą, posługując się ewidentnym fałszem, którego zdemaskowanie, z uwagi na aktualne aspekty polityczne, staje się nieodzowną i nie cierpiącą zwłoki koniecznością.

Jako ówczesny Wicedyrektor Departamentu Śledczego MBP brałem jesienią 1945 roku wydatny udział w likwidacji I-szej Głównej Komendy WiN-u z Janem Rzepeckim na czele, w skład której wchodził również Moczarski — i *za to* w 1946 roku zostałem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, który noszę i nosić będę z uczuciem dumy i dobrze speł-

nionego obowiązku — na przekór różnym kontrrewolucyjnym szmatławcom i nie należycie uświadomionym, niezorientowanym o prawdziwym stanie rzeczy publicystom partyjnym jak Michał Misiorny, który uważał za stosowne napisać, iż „ci, co niegdyś gorliwie dbali o nadanie niejednemu polskiemu losowi podobnie (jak Moczarskiego) tragicznego rysu — zostali moralnie i politycznie osądzeni i że pamiętają o tym — jeśli mają dobrą pamięć”. Tak się właśnie składa, że pamięć mam dobrą, zatem wystąpienie niniejsze traktuję jako wypełnienie swego obowiązku wypływającego z artykułu zamieszczonego w centralnym organie partyjnym.

Przy okazji pragnę zwrócić uwagę, iż sprawa Moczarskiego jest tylko drobnym przyczynkiem do szerszego problemu, a mianowicie konieczności rewizji niesłusznej oceny działalności organów bezpieczeństwa publicznego w I-szym dziesięcioleciu Polski Ludowej, oceny opartej w dużej mierze na fałszach i mitach, brzemiennych w szkodliwe skutki polityczne — problem ten wymaga zatem ponownego, szczegółowego i rzetelnego rozpatrzenia.

Adam HUMER

Warszawa, dnia 20 lutego 1978 r.



W ślad za przesłanym przeze mnie pismem z dnia 20 lutego bież. roku dotyczącym tzw. sprawy Moczarskiego, w przeciągającym się oczekiwaniu na zajęcie przez Towarzysza stanowiska w tej sprawie, pozwalam sobie przekazać związane z nią dalsze uwagi i wyjaśnienia.

W poprzednim piśmie wskazałem na uboczne, szkodliwe reperkusje dokonanej przez Wajdę i Hübnera teatralnej inscenizacji „Rozmów z katem”, a zwłaszcza eksponowanej tam sceny „spotkania autorskiego” z Moczarskim (Hübnerem), stanowiącej jedynie pretekst i okazję dla wrogiej kampanii politycznej, której efekty nieopatrznie powielane są przez oficjalne środki masowego przekazu z *Trybuną Ludu*, centralnym organem Partii, włącznie.

Obecnie pragnę zwrócić uwagę, iż ten kreowany na „bohatera narodowego” Moczarski — w rzeczywistości był nie tylko jednym z organizatorów i prowodyrów krwawej kontrrewolucji po wyzwoleniu Polski, skazanym za to *nieuchylonym do dziś, prawomocnym wyrokiem sądowym*, lecz także, uprzednio, od najmłodszych swych lat w okresie przedwojennym i w czasie okupacji — aktywnym działaczem antykomunistycznym.

Wynika to w sposób ewidentny z treści wyroku tzw. „rehabilitacyjnego”, który wprawdzie stwierdza, iż zarzut zwalczania elementów lewicowych we współdziałaniu z władzami okupacyjnymi, co stanowiłoby nieodzwoną przesłankę prawną odpowiedzialności z tzw. dekretu sierpniowego o współpracy z okupantem — nie znalazł potwierdzenia, to jednakże zawiera miarodajne ustalenia, iż Moczarski, działacz przedwojennej dywersyjnej, sanacyjno-piśsudczykowskiej organizacji „Legion Młodych” — w czasie okupacji, *poza przynależnością do AK*, brał również aktywny udział w działalności tzw. „Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa” (PKB), będącego kontynuatorem przedwojennej „defenzywy” („defy”), kierowanym i obsadzonym przez działających również przed wojną na odcinku walki z „komuną” notorycznych „dwojkarzy” — policyjnym organem Delegatury „rządu londyńskiego”, zajmującym się m.in. rozpracowaniem „komuny”, zakładaniem kartotek osób o poglądach lewicowych oraz sporządzaniem list proskrybicyjnych tych osób, które po wyzwoleniu miały być represjonowane m.in. przez osadzanie w obozach koncentracyjnych, tworzonych na wzór osławionej Berezki Kartuskiej.

Te ustalenia wyroku („rehabilitacyjnego”) oparte są *nie na zeznaniach oskarżonych, lecz na oryginalnych dokumentach z archiwum PKB*. Wyrok stwierdza: „Kilka dokumentów świadczy o tym, że PKB interesował się działalnością PPR, kilka zaś zawiera spis pewnej ilości komunistów oraz lokali kontaktowych PPR... Z dokumentów tych nie wynika, w jakim celu sporządzono listę działaczy komunistycznych...”. Wobec tego, że wyjaśnienia na ten temat ze strony oskarżonych były wykrętne, a nawet prowokacyjne, np. że listy te sporządzano dla celów „kronikarskich” — sąd, od siebie, daje takie oto, sensowne zresztą, wyjaśnienie tej „wątpliwości”: „PKB był organem Delegatury Rządu Londyńskiego, a więc *organem burżuazyjnego aparatu państwowego*. Jako kadrowy i organizacyjny załóżek przyszłej policji — PKB *musiał* się interesować tym wszystkim, co wchodzi w zakres zainteresowania policji. Zainteresowanie PKB działalnością lewicy należy tłumaczyć charakterem tej organizacji i jej *ogólnymi funkcjami natury policyjnej*”. W archiwum znaleziono oryginalne dokumenty PKB dotyczące przygotowań do organizowania obozów koncentracyjnych. Sąd w wyroku stwierdza na ten temat, co następuje: „Należy wspomnieć o zagadnieniu przejściowych obozów odosobnienia (k. 182 i nast.). Krak (współoskarżony Moczarskiego) wyjaśnia, iż obozy te miały być przeznaczone dla Niemców, kolaborantów i pospolitych przestępców. Dokumenty

określają to bardziej ogólnie, mówiąc o *elemencie szkodliwym dla Państwa*, a Kowalski („Korab”), który jest autorem spisu komunistów, zeznał, że obozy te miały być przeznaczone również i dla komunistów. Abstrahując od oceny zeznań Kowalskiego... stwierdzić należy, że kwestia przeznaczenia i w ogóle stworzenia przejściowych obozów odosobnienia jest z prawnego punktu widzenia *obojętna*. Skoro bowiem obozy te miały powstać w momencie wycofania się hitlerowców, a wcześniej przecież powstać nie mogły, to jakiegokolwiek wiązanie tych projektów z przepisami dekretu z 31. VIII. 1944 roku — jest prawnym *absurdem*. Ponadto kwestia przejściowych obozów odosobnienia nie wyszła przecież poza sferę projektów i przygotowań, praktycznie zaś, *ze względu na bieg wydarzeń* — nie usiłowano nawet przystąpić do ich realizowania”.

Udział Moczarskiego w wyżej opisanej działalności PKB, jako kierownika komórki śledczej pod wymownym kryptonimem „Magiel”, zakres jego zadań i kompetencji wynika również z oryginalnego dokumentu archiwum (k. 257 t. IV akt sprawy), gdzie na spisie szeregu osób określonych jako „członkowie milicji PPR” widnieje dekretacja jednego z hersztów PKB, zlecająca Moczarskiemu „rozpracowanie” tych osób. I nie jest ważne, czy dokument ten dotarł do Moczarskiego, czy „rozpracował” on te osoby i jaki był rezultat tego „rozpracowania” — istotnym jest, iż „rozpracowanie” komunistów należało do zakresu działania Moczarskiego w PKB, iż był on znaczącym ogniwem w okupacyjnej „defie”, „policyjnym organie burżuazyjnego aparatu państwowego”, powołanym do walki z „komuną” — i za to był sądzony, a nie za to, że był oficerem AK!

Wprawdzie za słuszne należy uznać stwierdzenie sądu, że brak dowodów współdziałania Moczarskiego (i innych) z gestapo w zwalczaniu elementów lewicowych uzasadnia jego uniewinnienie z zarzutów przewidzianych w przepisach tzw. „dekretu sierpniowego”, że „kwestia obozów jest z prawnego punktu widzenia obojętna”, a wiązanie jej z przepisami tego dekretu nawet „prawnym absurdem” — to z *politycznego punktu widzenia* nieobojętna jest postawa sądu Polski Ludowej, który w swoich licznych, *pozakodeksowych dywagacjach politycznych* — nie tylko nie zdołał się na należną ocenę społeczno-politycznego oblicza „policyjnego organu burżuazyjnego aparatu państwowego”, inwigilującego komunistów i przygotowującego dla nich obozy koncentracyjne — ale uznał za stosowne stwierdzić, że Moczarski, jeden z kierowników tegoż policyjnego organu — „od czasów studenckich poprzez działalność okupacyjną aż do krótkiego okresu przed

jego aresztowaniem po wyzwoleniu — prowadził konsekwentnie działalność demokratyczną, postępową” (sic!).

Z politycznego punktu widzenia nie tylko sprawą nieobojętną, ale wręcz politycznym absurdem jest powielanie tej laurki dla antykomunistycznego szpicla oraz ideologa i prowodyra kontrrewolucyjnych band po wyzwoleniu — przez centralny organ partyjny, a także uhonorowanie Michała Misiornego, autora panegyryku na cześć Moczarskiego — nagrodą im. B. Prusa „za osiągnięcia w publicystyce podejmującej szczególnie ważną i *aktualną* problematykę” — w sytuacji, gdy reakcja nie ukrywa, lecz wręcz podkreśla, iż właśnie sprawa Moczarskiego ma dla niej historyczne i prestiżowe znaczenie, gdyż jakoby nobilituje koncepcje i postawy polityczne tzw. „obozu londyńskiego” w czasie okupacji i po wyzwoleniu, a dezawuuje ocenę tych koncepcji i postaw — przez obóz lewicy.

Tak wyraźnie i jednoznacznie stawia sprawę aktualna rzeczniczka wrogiej opozycji w kraju i dywersyjnych ośrodków zagranicznych — mec. Aniela Sztajnsberg w swojej książce wydanej przez paryską *Kulturę*, a jej stwierdzenie, iż „teraz *reżyseria* była w naszych rękach” odnosi się nie tylko do przebiegu i rezultatu rozprawy „rehabilitacyjnej” Moczarskiego, ale i do całej, trwającej do dziś, „*aktualnej*” kampanii politycznej, której ten proces był inauguracją.

Ten stan rzeczy, będący źródłem wciąż aktualnych politycznych emocji i frustracji społecznych — nie może się dłużej ostać i wymaga odpowiedniej korektury i kontrakcji. Ewentualne obiekcje z tego powodu, iż Moczarski nie żyje — nie powinny tu mieć miejsca, gdyż „żyje” on na scenie teatralnej i politycznej — żyją ci, którzy zdemaskowali jego wrogie oblicze i położyli kres jego kontrrewolucyjnej działalności, za co zostali „moralnie i politycznie osądzeni” oraz zepchnięci na margines życia politycznego i zawodowego — żyją nieświadome prawdziwego stanu rzeczy szerokie kręgi społeczeństwa, a wśród nich masy b. członków AK — nieświadome dywersyjnej roli działającej w ramach ruchu oporu dwójkarskiej mafii, zmierzającej do fizycznej i politycznej eksterminacji elementów lewicowych, a także dzisiejsza młodzież łaknąca prawdy oraz liczni uczciwi intelektualiści i działacze społeczni, nawet ci niektórzy z nich pozostający pod wpływami „KOR-u”, dla których fałszywa wersja sprawy Moczarskiego stanowi jedno ze źródeł kontestacji wobec władz Polski Ludowej.

Niewydarzone elukubracje Misiornego również można by położyć na karb dezinformacji i braku rozeznania w realiach



jednostkowej sprawy Moczarskiego, zwłaszcza że tenże, mimo jego działalności w „policyjnym organie burżuazyjnego aparatu państwowego” i w Głównej Komendzie „WiN-u” — został odznaczony przez władze Polski Ludowej orderem „Polonia Restituta”, jednakże polityczny tenor artykułu Misiornego, zawarte tam tezy o znaczeniu zasadniczym — świadczą o budzącym zastrzeżenia stanie świadomości politycznej i poglądach szerzących się wśród czołowego aktywu publicystyki partyjnej, kształtującej opinię milionowych mas społeczeństwa.

Stwierdzenie, iż „ci, co niegdyś gorliwie dbali o nadanie niejednemu polskiemu losowi podobnie (jak Moczarskiego) tragicznego rysu...” — zawiera sformułowane w lapidarnym ujęciu, lansowane przez wrogie ośrodki za granicą i w kraju historycznie fałszywe, jakoby organy bezpieczeństwa publicznego prześladowały b. członków AK za ich udział w ruchu oporu w czasie okupacji oraz „robiły wszystko, aby nie dopuścić do pokojowej likwidacji AK, aby zepchnąć masy akowskie do podziemia i wykrwawić” — jak to wynika z cytowanej przez Sztajnsbergową i przez nią afirmowanej wypowiedzi Moczarskiego oraz *jednobrzmiąco korespondującego* z nią eufemizmu użytego przez Misiornego w *Trybunie Ludu*.

Misiorny rozczuła się nad „tragicznym losem” Moczarskiego i jemu podobnych, nie pomnąc o prawdziwie tragicznym losie tysięcy działaczy demokratycznych, którzy „ze względu na bieg wydarzeń” uniknęli osadzenia w przygotowywanych m.in. przez Moczarskiego „obozach odosobnienia”, lecz zostali wymordowani przez bandy i bojówki inspirowane przez tegoż Moczarskiego jako szefa propagandy „Delegatury” i „WiN-u” — a także ugruntowuje prowokacyjną tezę, jakoby to organy bezpieczeństwa publicznego „pierwsze zaczęły strzelać”. Co prawda, to „Aurora” strzelała pierwsza i nikt, oprócz wrogów rewolucji, nie kwestionuje historycznej prawidłowości i słuszności tego wydarzenia, jednak w Polsce, w wyniku szczególnego układu okoliczności, siły rewolucyjne nie miały żadnej sensownej potrzeby, by strzelać pierwsze. Władze rewolucyjne w lipcu 1944 roku wezwały wszystkich Polaków do tworzenia prawdziwie demokratycznej, ludowej Polski, a w szczególności, z uwagi na trwającą jeszcze wojnę, do wstępowania do wojska, w wyniku czego tysiące członków AK, w poczuciu patriotycznego obowiązku, znalazło się na froncie — i ich to, jak na przykład Alojzego Sroge, należałoby zapytać, czy ktokolwiek „nadał ich losowi tragiczne rysy”, czy *ktos pierwszy i czy w ogóle ktokolwiek do nich strzelał* — oprócz hitlerowców z przeciwnej strony frontu?

Natomiast bez trudu można udowodnić, iż nazajutrz po wyzwoleniu uzbrojone bandy i bojówki złożone z pewnej części AK, podjudzane przez aparat propagandy kierowany przez Moczarskiego — wszczęły działania terrorystyczne wobec demokratycznych patriotów, organizatorów władzy ludowej, wobec chłopów obejmujących ziemie obszarncze, organizowały dezercję z szeregów wojska w obliczu wroga, gromadziły broń do walki z Armią Czerwoną i Wojskiem Polskim.

Takiego stanu rzeczy nie tolerowałaby żadna armia, żadna władza i jej organy powołane do utrzymania porządku i bezpieczeństwa na bezpośrednim zapleczu frontu oraz do ochrony zdobywcy rewolucyjnych — stąd odsądzanie za to od czci i wiary funkcjonariuszy tych organów stanowi przejaw *co najmniej* politycznej ignorancji.

Wywody Misiornego w *Trybunie Ludu* są wyrazem szerzących się wśród społeczeństwa, a nawet, niestety, wśród środowisk partyjnych wysokiego szczebla — fałszywych i złośliwych mitów, mających swe źródło nie tylko w oszczerczej kampanii wrogich ośrodków, lecz i w *dezinformacji* dokonanej przez część ówczesnego kierownictwa partyjnego w okresie lat 1955-56, w ramach naprawiania tzw. „błędów i wypaczeń” — dezinformacji skwapliwie podchwyconej przez wrogie elementy i wykorzystywanej przez nie dla swoich kontrrewolucyjnych celów aż po dzień dzisiejszy.

Przejawem takiej dezinformacji było przemilczenie przed opinią publiczną okoliczności, iż ujawnione wówczas fakty naruszenia praworządności — zresztą *przesadnie i złośliwie wyolbrzymione* — miały w rzeczywistości jedynie *ograniczony zasięg* i odnosiły się głównie, a nawet prawie wyłącznie, do niektórych tylko spraw związanych z międzynarodową aferą w ruchu robotniczym i prowadzących te sprawy *wyodrębnionych w tym celu* jednostek aparatu bezpieczeństwa publicznego, tj. „Grupy Specjalnej”, przekształconej w „Biuro Specjalne”, a następnie w X Departament, a także do niektórych spraw prowadzonych przez Główny Zarząd Informacji Wojska Polskiego — *nie dotyczyły natomiast całego pozostałego aparatu* i jego walki z politycznymi i wywiadowczymi agenturami wrogich ośrodków zagranicznych oraz reakcyjnym podziemiem — a więc działalności, której żadną miarą nie można włączać do rejestru tzw. „błędów i wypaczeń”.

Fałszem i mistyfikacją w oświadczeniach partyjnych i rządowych oraz dokumentach sądowych w związku ze sprawą naruszenia praworządności, procesami rehabilitacyjnymi i aferą Świat-

ły — było uporczywe tytułowanie płk. Różańskiego „dyrektorem Departamentu Śledczego”, gdy w rzeczywistości w okresie od połowy 1948 do marca 1950 roku, a więc w okresie inkryminowanej mu działalności — *nie pełnił on tej funkcji*, będąc *oddelegowany* do prowadzenia śledztwa w wyżej wymienionych — „Grupie Specjalnej” i „Biurze Specjalnym” (późniejszym X Departamencie) — *nie mających nic wspólnego z Departamentem Śledczym*, do tego stopnia, że np. o miejscu odrębnego, specjalnego ośrodka więziennego w Miedzeszynie, o nazwiskach przebywających tam osób aresztowanych — nie mówiąc już o przebiegu i szczegółach śledztwa — pracownicy Departamentu Śledczego wraz z jego kierownictwem w mojej wówczas osobie — dowiedzieli się dopiero z relacji prasowych w okresie 1955-56 roku.

Rzetelna analiza spraw rzeczywiście prowadzonych przez Departament Śledczy, procesów sądowych w tych sprawach — wykazałaby, iż w zasadzie wszystkie one nie zostały nigdy dotąd podważone z punktu widzenia zasad praworządności, politycznej słuszności i rzetelności dowodowej. *Nota bene* — również owo niefortunne śledztwo w sprawie *okupacyjnej* działalności Moczarskiego nie było prowadzone przez Departament Śledczy.

Z uwagi na specyficzne usytuowanie organizacyjno-operacyjne Departamentu Śledczego, w wyniku czego jego działalność była reprezentatywna dla całości aparatu — *insynuacja*, jakoby Różański dopuszczał się naruszania praworządności *jako dyrektor Departamentu Śledczego* i w ramach działalności tegoż Departamentu — obarcza cały zasadniczy trzon organów bezpieczeństwa publicznego *odpowiedzialnością za sprawy, z którymi one, tak samo jak i Departament Śledczy, nie miały nic wspólnego* — natomiast elementom reakcyjnym dała asumpt do intensywnej kampanii oszczerstw i insynuacji, mającej ewidentne cechy *odwetu* za klęski poniesione w starciach z organami bezpieczeństwa publicznego w pierwszych latach po wyzwoleniu — a także okazją do prób galwanizacji wrogich koncepcji politycznych oraz *alibi* dla ewidentnych wrogów Polski Ludowej i ich nobilitacji.

Jest godnym pożałowania objawem, iż kampanii tej sekundują oficjalne środki masowego przekazu, w tym i *Trybuna Ludu*, która w okresie tzw. „polskiego Października”, rywalizując w doborze epitetów z „Wolną Europą”, m.in. piórem Ludwika Kraśnickiego, o organach bezpieczeństwa publicznego *jako całości* pisała — „ta osławiona bezpieka”, maskując dość przejrzyste, złośliwe aluzje tym eufemistycznym *quasi-ruthenizmem*.

W swojej książce drukowanej również w odcinkach w *Trybunie Ludu* Ryszard Wojna serwuje tezę, iż „błędy” popełnione

w pierwszym okresie po wyzwoleniu były „zawinione” przez skład ekipy *jakoby zbyt mało związanej z polskością* — co ściśle *koresponduje* z dość szeroko rozpowszechnianą *demagogiczną i prostacką* teoryjką, przedstawiającą działalność organów bezpieczeństwa publicznego jako przejaw machinacji obcych elementów, w tym m.in. syjonistycznych — teoryjką stanowiącą policzek dla internacjonalistów, a zarazem gorących patriotów polskich, komunistów, b. członków KPP, tworzących zasadniczy trzon kierowniczej kadry organów bezpieczeństwa publicznego.

Artykuł Misiornego w *Trybunie Ludu*, zawierający zresztą ten sam insynuacyjny podtekst — jest kontynuacją trwającej od lat, idącej na rękę reakcji nagonki na organy bezpieczeństwa publicznego, zwłaszcza w związku z ich działalnością w pierwszym okresie po wyzwoleniu — i chyba nadszedł najwyższy czas na zaprzestanie szkalowania tych, „co gorliwie dbali” o ochronę rewolucji i jej zdobyczy przed zakusami Moczarskich, a słusznym byłoby, aby Krasucki, Wojna, Misiorny i inni — swoje wierszówki zarabiali za demaskowanie reakcyjnych kłamstw i obłudnej gry różnych fałszywych „obrońców robotników” — zostawiając plucie na bojowników o socjalistyczną Polskę „Wolnej Europie”, paryskiej *Kulturze* i innym antykomunistycznym szmatławcom.

Chciałbym podkreślić, iż bynajmniej nie neguję konieczności surowej krytyki i wyciągania niezbędnych wniosków z niewątpliwych, do dziś zresztą do końca nie przewyżczonych jeszcze błędów, będących pochodnymi pewnych ogólnych, ideologicznych i praktycznych deformacji w międzynarodowym ruchu robotniczym — jednakże krytyka ta i wnioski powinny wypływać z rzetelnej, opartej na prawdzie analizy zjawisk i wydarzeń — a nie na fałszach, mitach i mistyfikacjach *politycznie satysfakcjonujących wrogie, kontrrewolucyjne elementy*.

W związku ze zbliżającą się rocznicą 35-ciolecia Polski Ludowej sprawa sprawiedliwej i opartej na rozsądnych przesłankach politycznych oceny działalności organów bezpieczeństwa publicznego i ich *kreacyjnego* wkładu w utrwalenie demokratycznego ustroju w Polsce staje się nieodzowną, wprost historyczną koniecznością.

Przedstawiając ten postulat w trybie p-ktu 2 lit. j) Statutu Partii — oczekuję na zajęcie przez Towarzysza stanowiska w omawianej sprawie i przedsięwzięcie w tym zakresie odpowiednich kroków.

Z partyjnym pozdrowieniem,

*Adam HUMER*

Warszawa, dn. 16. XII. 1978 r.

## RECENZJE

Piotr WANDYCZ

### NOWE KSIĄŻKI

Prace z dziedziny najnowszej historii Polski, ukazujące się na Zachodzie, stanowią mikroskopijny ułamek wydawnictw z dziejów nowożytnych, którymi zalewany jest rynek księgarski. Jest to rzeczą naturalną, ale wymagającą tym bardziej systematycznego odnotowywania, jeśli nie recenzowania tych opracowań. W uwagach poniższych ograniczę się do zasygnalizowania kilku nowych książek, poświęcając nieco więcej uwagi jednej z nich.

W Anglii ukazały się w tym roku dwie ważne pozycje, które zasługują na oddzielne i szczegółowe omówienie. Są to: Antony Polonsky i Bolesław Drukier, red., *The Beginnings of Communist Rule in Poland 1943-45* (Londyn, Routledge and Kegan Paul), oraz zbiorowa historia Polski od 1863 roku do chwili bieżącej pod redakcją R. F. Leslie'go, wydana nakładem Cambridge University Press. Pierwsza z tych książek zawiera zbiór dokumentów wywiezionych z Polski przez jednego z redaktorów tomu, Bolesława Drukiera, dokumentów nieznanych i bardzo interesujących. Drukier, przypomnijmy, był członkiem Związku Patriotów Polskich w Moskwie, a następnie zastępcą kierownika wydziału KC PZPR oraz prorektorem Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC. Usunięto go po czystkach 1968 roku. Dokumenty obejmują okres od powstania KRN aż do chwili objęcia wicepremierostwa przez Mikołajczyka w rządzie warszawskim. Dają one ciekawy wgląd do zagadnień wewnątrz-partyjnych i ilustrują stosunki między polskimi komunistami, aparatem sowieckim i Stalinem na tym pierwszym etapie sowytyzacji Polski. Drugim redaktorem tomu jest Polonsky, historyk brytyjski młodszej generacji, wykładający w London School of Economics, autor najlepszej chyba historii Drugiej Rzeczypospolitej w języku angielskim (*Politics of Independent Poland 1921-1939*, Oxford 1972).

Polonsky jest również współautorem drugiej z wyżej wymienionych prac, której ukazanie się winno wzbudzić duże zainteresowanie polskich czytelników. *History of Poland from 1863* jest pierwszym tego rodzaju dziełem wydanym po angielsku, jeśli pominiemy krótki i bardziej popularny tekst M. K. Dziewanowskiego, *Poland in the 20th Century*. Ponieważ oddzielna recenzja tej pracy ukaże się z pewnością w późniejszym numerze *Zeszytów*, ograniczę się tutaj tylko do przedstawienia jej autorów. Redaktor tomu, R. F. Leslie, to historyk angielski, pozostający pod wpływem dziejopisarstwa Stefana Kieniewicza (zwłaszcza z wcześniejszego okresu) i autor dwóch poważnych, choć kontrowersyjnych monografii, dotyczących powstania listopadowego i styczniowego. Leslie, niezależnie od redaktorstwa, opracował również pierwszą część tej książki. Historię lat międzywojennych zaprezentował wyżej już wspomniany Polonsky; okres drugiej wojny przypadł w udziale Janowi Ciechanowskiemu, którego praca o powstaniu warszawskim wzbudziła w swoim czasie sporo dyskusji i polemik. Część czwarta wyszła spod pióra Zbigniewa Pełczyńskiego z Oxfordu, politologa, zajmującego się historią myśli politycznej. Pełczyński ma w swym dorobku prace o Heglu, a z tematyki polskiej kilka interesujących artykułów. Jest to więc jego debiut książkowy.

W Stanach Zjednoczonych ukazały się ostatnio trzy monografie, odnoszące się do XIX wieku. Autorami ich są młodzi historycy amerykańscy. William W. Hagen ogłosił pracę na temat konfliktów narodowościowych pod zaborem pruskim, od pierwszego rozbioru do wojny światowej, pt. *Germans, Poles and Jews: The Nationality Conflict in the Prussian East 1772-1914* (Chicago University Press, 1980). Pozostawiając specjalistom szczegółowe omówienie i ocenę tej monografii, chciałbym zwrócić uwagę na obszerną bibliografię i staranne opracowanie zagadnienia. Z ogólnymi tezami Hageny, które *nota bene* są życzliwe dla Polski i Polaków, można się na pewno zgodzić. Opracowanie przez Normana M. Naimarkę dziejów Wielkiego Proletariatu (*A History of the 'Proletariat': The Emergence of Marxism in the Kingdom of Poland 1870-1887*) zasługuje na uznanie. Autor zebrał bardzo obfity materiał źródłowy i wykorzystał go w sposób interesujący i dogłębny. Autor ma zdecydowane poglądy na szereg zjawisk związanych z Wielkim Proletariatem, łącznie z postacią samego Waryńskiego. Nuta polemiczna występująca w książce — wobec innych badaczy początków ruchu socjalistycznego w Polsce — dodaje pracy kolorytu. Trzecią wreszcie pozycję stanowi nieduży tom pt. *Roman Dmowski, Party, Tactics, Ideology 1895-1907* pióra Alvina Marcusa Fountain II. Byłoby ze wszech miar pożądane, aby ktoś ze specjalistów od Dmowskiego, na przykład Wojciech Wasutyński, zrecenzował tę książkę. Na pierwszy rzut oka wydaje się ona ciekawa, choć jest miejscami trochę powierzchowna. Zaskakujące są pewne luki w bibliografii.

Zarówno ta praca jak i monografia Naimarka ukazały się w serii wschodnioeuropejskich monografii wydawanych pod redakcją Stephena Fischer-Galatiego, profesora uniwersytetu Colorado. Jest to seria, mająca już w dorobku kilkadziesiąt pozycji o różnej wartości. Zważywszy koszty wydawnicze i ograniczony rynek dla książek o tematyce środkowowschodnioeuropejskiej, seria Fischer-Galatiego spełnia bardzo pozytywną rolę, ułatwiając, lub wręcz umożliwiając ukazanie się prac mniej znanych autorów, czy też książek, z których wydaniem byłyby poważne kłopoty.

Opracowanie, któremu pragnąłbym poświęcić nieco więcej miejsca, to monografia historyka zachodnioniemieckiego Gerharda Wagnera pt. *Deutschland und der polnisch-sowjetische Krieg 1920* (Franz Steiner Verlag, Wiesbaden 1979). Sprawa stosunku Niemiec do wojny polsko-bolszewickiej, a szczególnie kwestia kontaktów między Berlinem a Moskwą w tym przełomowym dla Polski okresie od dawna fascynuje historyków i miłośników naszych dziejów. Wokół niemiecko-bolszewickiej współpracy w 1920 roku narosło już sporo legend i teorii, które wymagają wyjaśnienia i odpowiedniego naświetlenia. Wagner przedstawia w swej pracy nastawienie i politykę Niemiec wobec Polski w oparciu o obszerną bazę źródłową. Ośrodkiem jego zainteresowania są Niemcy, tak iż nie jest to praca traktująca *sensu stricto* o stosunkach polsko-niemieckich, i tym też należy tłumaczyć słabe wykorzystanie przez autora literatury naukowej i źródeł polskich. Z analizy wydarzeń przedstawionych przez Wagnera z dużą dozą obiektywizmu wynika, iż nie było między Berlinem a Moskwą żadnego tajnego układu skierowanego przeciw Polsce. Istniały natomiast kontakty, przeprowadzano rozmowy i sondáže, w których brali udział bolszewicy dyplomaci i komisarzy z jednej, a przedstawiciele niemieccy z drugiej strony. Autor omawia je bardzo szczegółowo.

Główna teza Wagnera głosi, że polityka neutralności, przyjęta i ogłoszona oficjalnie przez rząd niemiecki, była jedyną możliwą alternatywą w istniejącym układzie wewnątrzno-politycznym i w międzynarodowej sytuacji Rzeszy. Neutralność popierały wszystkie główne kierunki polityczne, jakkolwiek z bardzo różnych powodów. Międzynarodowa sytuacja zaś Niemiec była tego rodzaju, że na żadną inną politykę nie mogły sobie one pozwolić. Jest rzeczą niewątpliwą, co wynika bardzo wyraźnie z lektury książki Wagnera, że gdyby Niemcy miały swobodę działania w polityce zagranicznej, a Rosja nie była komunistyczna, współpraca obu państw wymierzona przeciw Polsce byłaby faktem dokonanym.

Dobrze się stało, że właśnie historyk niemiecki napisał pracę, przeznaczoną dla niemieckiego czytelnika, która tak dobitnie ukazuje cały bezmiar nienawiści ówczesnych Niemców do Polski. Prawicowcy byli wrogami komunizmu, ale byli również wrogo

nastawieni do Polski; lewica popierała zwycięstwo komunizmu i piorunowała przeciw polskim obszarnikom i imperialistom. W tym nienawistnym chórze zabrakło miejsca dla wyrażenia jakiegokolwiek sympatii czy współczucia dla Polski i Polaków. Poseł niemiecki w Warszawie, hr. von Oberndorff, należał do nielicznych jednostek, które w ogóle brały pod uwagę fakt, iż państwo polskie, oddzielające Rzeszę od komunistycznej Rosji, może być pewną korzyścią dla Niemiec. Znana wypowiedź gen. von Seeckta: „Ani jedna ręka niemiecka nie może być wyciągnięta, aby uratować przed bolszewizmem Polskę, tę kreaturę i sojusznika Francji, tego rabusia ziem niemieckich i niszczyciela niemieckiej kultury, a jeśli diabli Polskę wezmą, to powinniśmy im tylko pomagać” odzwierciedlało dość wiernie skrajne nastroje panujące w Niemczech. Jest rzeczą zrozumiałą, iż w tych warunkach neutralność Niemiec miała subiektywnie wrogię nastawienie i była neutralnością jedynie w sensie politycznie-prawnym.

W dziewięciu rozdziałach książki Wagner daje jasny i obszerny przegląd wydarzeń. Zaczyna od zwięzłej analizy i charakterystyki samej wojny — wiele tu jest trafnych uwag i sformułowań. W rozdziale drugim przedstawia stosunek Niemiec do Polski, uwzględniając przy tym istniejące tarcia polityczne i gospodarcze między obu krajami. W rozdziale trzecim bada koncepcje polityczne rządu niemieckiego i armii, programy poszczególnych ugrupowań politycznych i głosy prasy. W rozdziale czwartym rozpatruje i analizuje zagadnienie neutralności. Tytuł rozdziału piątego brzmi „Rosja sowiecka zbliża się” — rozdział zawiera rozpatruje i analizuje zagadnienie neutralności. Tytuł rozdziału między innymi omówienie kontaktów niemiecko-sowieckich na granicy Prus Wschodnich i w Działdowie. W rozdziale szóstym autor przedstawia rozwój wypadków w Polsce z uwzględnieniem postawy mniejszości narodowej niemieckiej; w siódmym koncentruje swą uwagę na polityce Zachodu; w ósmym bada linię polityczną rządu niemieckiego w kontekście wewnętrzno-politycznych debat i dyskusji. Rozdział dziewiąty wreszcie omawia sytuację powstałą po polskim zwycięstwie pod Warszawą.

Lektura książki Wagnera jest ciekawa, miejscami pasjonująca. Czytelnik uzyskuje doskonały wgląd w nastroje panujące w Rzeszy i politykę wobec Polski. Szkoda może, że Wagner nie uwzględnił szerzej spraw gdańskich lub zagadnienia plebiscytów na Mazurach, co mógł zrobić bez uszczerbku dla konstrukcji całości książki. Choć nie ze wszystkimi sformułowaniami autora można się zgodzić, nie ulega wątpliwości, iż monografia Wagnera jest solidną pracą, wnoszącą dużo nowego materiału i wypełniającą poważną lukę w historiografii.

Piotr WANDYCZ



## NA GRANICY WOJNY I POKOJU

Richard Woytak jest młodym badaczem europejskich dziejów nowożytnych. Jest Amerykaninem polskiego pochodzenia i typowym przykładem tych wnuków czy prawnuków polskich emigrantów, którzy — osiągnąwszy wyższe wykształcenie i zapoznawszy się z dziejami z górą tysiącletniej Polski — są dumni ze swego etnicznego rodowodu. Woytak ogłosił już kilka esejów z dziedziny najnowszej historii środkowej Europy a omawiana poniżej monografia\* jest jego pierwszą obszerniejszą pracą. Wybrawszy sobie temat o kluczowym znaczeniu autor przygotował się do napisania książki gruntownie i starannie. Przeczytał wszystkie źródła już ogłoszone, zapoznał się z archiwami polskimi w Stanach Zjednoczonych, w Anglii i w Polsce. Spotkał się także z żyjącymi świadkami i aktorami trzechlecia w którym Hitler rozbijał ład wersalski niebroniony przez jego architektów.

Hitler rozpoczął terytorialną rozbudowę swego *Grossdeutsches Reich*'u od aneksji Austrii i rozbicia Czechosłowacji. Osaczywszy Polskę z trzech stron próbował jej narzucić statut satelity a zarazem sojusznika w wyprawie na Moskwę. Są to rzeczy niby dobrze znane ale w zachodniej historiografii niezawsze oceniane zgodnie z rzeczywistością. Autor charakteryzuje niemoc Francji i jej wolę uniknięcia wojny za wszelką cenę, nawet kosztem niedotrzymania sojuszniczych zobowiązań; krytycznie ocenia brytyjską politykę *appeasement*'u poświęcającą Czechosłowację na rzecz *peace in our time*; nie zapomina także o małości Mussoliniego, który najpierw bronił niepodległości Austrii a później wydał ją na łup Hitlerowi, który tę zdradę skwitował słynnym telegramem: *Mussolini, Ich werde Ihnen dieses nie vergessen!*

Woytak poświęca w swej książce najwięcej miejsca i uwagi polskiej polityce zagranicznej. Z wielkim uznaniem pisze o polskim wywiadzie dzięki któremu Warszawa wiedziała o wszystkich niemieckich planach. Nie mając żadnych złudzeń co do gotowości Zachodu stanięcia w obronie Austrii Beck oświadczył Hitlerowi 13 stycznia w Berlinie że Polska zachowa neutralność w tej sprawie za co *Führer* odwdziczył się wyjawieniem swych planów dotyczących Czechosłowacji. W drugiej połowie lutego przybył do Polski Göring namawiając Śmigłego-Rydza i Becka

---

\* Richard A. Woytak, *On the Border of War and Peace — Polish Intelligence and Diplomacy, 1937-1939*. "East European Quarterly", Boulder. Distributed by Columbia University Press, New York, 1979. Str. 144.

do wspólnej antysowieckiej polityki, uspokajając ich zarazem że w związku ze sprawą Czechosłowacji Polska nie będzie zaskoczona żadnymi niespodziankami.

Niespodzianki, oczywiście, były a największa dotyczyła decyzji Benesza, że armia czechosłowacka nie będzie się biła. „Gdyby rząd czechosłowacki zdecydował bronić swej niepodległości przeciw niemieckiej napaści to polityka polska zmieniłaby się w ciągu 24 godzin” — zapewniał Beck naczelne władze państwa i dodał: „W wypadku prawdziwej wojny z Niemcami Polska nie mogłaby stanąć nawet pośrednio po ich stronie” (str. 31). „W rzeczywistości — zauważa Woytak — Beck znalazł się w drażliwej sytuacji, nie leżącej historycznie w interesie Polski”.

Drugą niespodzianką było to, że na mapie zatwierdzonej w Monachium w nocy z 28 na 29 września 1938 roku przez „wielką czwórkę” linia odcinająca na rzecz Niemiec pograniczne obszary czeskie obejmowała także Zaolzie wraz z Boguminem. Beck postanowił sprawę Zaolzia rozwiązać bilateralnie. Jego zdaniem było rzeczą nie do pomyślenia aby Benesz rezygnował na rzecz Niemiec z obszarów z mniejszościami niemieckimi ale nie stosował tej samej metody na Zaolziu z ludnością polską. W rezultacie Grupa Operacyjna gen. Władysława Bortnowskiego zajęła Zaolzie między 1 a 10 października. Zamykając ten rozdział swej pracy Woytak komentuje melancholijnie: „Geopolityczne zmiany wynikające z układu monachijskiego są wielką porażką polskiej polityki zagranicznej” (str. 41).

Po proklamowaniu przez Hitlera Czesko-Morawskiego Protektoratu, oraz rozciągnięciu niemieckiej „opieki” nad Słowacją, pozostała do załatwienia sprawa Rusi Zakarpackiej, którą się szczególnie interesowały Polska i Węgry. Gdy ksiądz Wołoszyn proklamował 14 marca 1939 roku niepodległość „Karpato-Ukrainy” nazajutrz — za zgodą Hitlera — wkroczyły tam wojsko węgierskie. Kilka dni później, brnąc w śniegu po kolana, wojskowe oddziały polskie i węgierskie spotkały się na przełęczy Sianki. Polsko-węgierska wspólna granica (*magyaar-lengyel közös határ*) stała się faktem — niestety, na pół roku tylko.

Zajęcie Pragi spowodowało wielki przewrót w nastrojach angielskiej opinii publicznej. W nowej atmosferze premier Neville Chamberlain proklamował 31 marca w Izbie Gmin że Wielka Brytania gwarantuje niepodległość Polski. Beck był zaproszony do Londynu gdzie 6 kwietnia podpisał z Lordem Halifaxem tymczasowy dwustronny układ sojuszniczy. Dnia 11 kwietnia Hitler wydał tajny rozkaz niemieckim siłom zbrojnym przygotowania się do wykonania *Fall Weiss* czyli napadu na Polskę. Jednocześnie Hitler podjął ofertę Stalina, który już 10 marca oświadczył na zjeździe sowieckiej Partii Komunistycznej, że Związek Sowiecki gotów jest do rozmów z „państwami nienaruszającymi jego interesów”. Wymownie pro-hitlerowskim gestem Stalina było

udzielenie dymisji Maksimowi Litwinowi (Żydowi) i mianowanie komisarzem ludowym do spraw zagranicznych Władysława Mołotowa. Rozpoczęte w Moskwie 11 sierpnia rozmowy między misją wojskową angielsko-francuską a komisarzem ludowym do spraw obrony Klimentem Woroszyłowem, były tylko dymną zastoną bowiem już 2 sierpnia Ribbentrop oświadczył sowieckiemu *chargé d'affaires* Georgijowi Aksakowowi, że stosunki niemiecko-sowieckie mogą być przyjazne pod warunkiem, że Berlin i Moskwa osiągną zadawalające porozumienie w sprawie Polski. W nocy z 23 na 24 sierpnia Ribbentrop i Mołotow podpisali w obecności uśmiechniętego Stalina „pakt nieagresji” z tajnym protokołem będącym umową o rozbiórce Polski, a właściwiej o jej wymazaniu jako państwa niepodległego z mapy Europy. Jeszcze w maju — wyjawia Woytak (str. 86) — Göring nieoczekiwanie zaprosił na kolację pułkownika Antoniego Szymańskiego, naszego *attaché* wojskowego w Berlinie, sadzając go obok gen. Karla Bodenschatza, który w toku rozmowy popełnił planowaną niedyskrecję. Powiedział mianowicie, że Hitler nie da się oskrzydlić i aby się wyrwać z okrażenia gotów jest zawrzeć sojusz nawet *mit dem Teufel*. Taki właśnie sojusz Hitler podpisał. Nie pomyślał o przestrodze Schillera: *Das eben ist der Fluch der bösen Tat, das sie fortzeugend immer Böses muss gebären*.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

---

Stanisław BÓBR-TYLINGO

### TRZECIE WYDANIE

Należy odnotować ukazanie się trzeciego wydania historii Polski profesora Gottholda Rhodego<sup>1</sup>. Dwa pierwsze rozeszły się tak szybko, iż autor, nabywany ze wszystkich stron, zdecydował się na następne, wprowadzając tylko nieznaczne i konieczne poprawki. We wstępie do nowego wydania, pisany pod koniec marca 1980 roku, dziękuje trzem historykom za „szczególną dokładność recenzji”: Manfredowi Hellmanowi z Monasteru i dwóm Polakom, Stanisławowi Grodzkiemu z Krakowa i Stanisławowi Bóbr-Tylingo, żyjącemu na emigracji.

Wyjaśnia także, iż rozszerzenie treści, dołączenie map, dokładniejsze wytłumaczenie wzmiankowanych tylko problemów, podanie najważniejszych

---

1. Gotthold Rhode, *Geschichte Polens. Ein Überblick. Wissenschaftliche Buchgesellschaft, Darmstadt 1980*, str. XX-543. Omówienie pierwszego wydania, patrz: *Kultura* Nr 9/227, wrzesień 1966, str. 137-145.

nawet pozycji bibliograficznych, przedłużenie treści ponad wrzesień 1939, wymagałoby znacznej pracy autora, przede wszystkim jego czasu, i obarczyłoby wydawców nowymi kosztami, które by uniemożliwiły szybkie wydanie wyczerpanej książki. A zainteresowanie sprawami polskimi wśród Niemców wzrosło znacznie w ostatnich piętnastu latach. Złożyły się na to liczne wyjazdy turystyczne do Polski i następnie „sensacja” wyboru „polskiego arcybiskupa” na papieża. Domyślamy się, iż wybicie się nowego polskiego przywódcy, Lecha Wałęsy, tę ciekawość tylko wzmocniło<sup>2</sup>.

Wydanie to, jak i poprzednie, poświęcone jest bratu autora, który, przypomniemy, wyszedł w sierpniu 1939 roku na wojnę w polskim mundurze, i który nie wrócił; grób jego nie jest znany. Drugą wzmiankowaną osobą jest Werner Market, autor podręcznika „Polen”, który zasłużył się był bardzo w organizowaniu polsko-niemieckich zjazdów historycznych. Trzecią osobą, nie wspomnianą poprzednio, jest ojciec autora Arthur Rhode (1868-1967), „szczególnie cieszący się” z pierwszych wydań tej historii.

Sama praca pozostaje nadal najlepszą jednotomową historią Polski, jaka się ukazała od zakończenia drugiej wojny światowej; żadna inna historiografia, włączając w to polską, na tak dokładny i sumienny zarys dotychczas się nie zdobyła.

*Stanisław BÓBR-TYLINGO*

---

2. W liście prywatnym z 1 grudnia 1980 autor stwierdził, iż trzeci nakład w liczbie 1.200 egzemplarzy został całkowicie wykupiony, i że drukuje się dalszych 800 egzemplarzy.

Ewa NOWAK-UKLEJSKA

## POLSKIE ODYSEJE

Pamiętnikarstwo polskie, które tak się rozwinęło po wojnie zarówno w kraju jak i na emigracji, w znacznej mierze jest poświęcone walce i martyrologii Polaków w czasie wojny. Najwięcej książek napisano o AK, Powstaniu Warszawskim, życiu w okupowanej przez Niemców Polsce, obozach koncentracyjnych, i ciągle tych wspomnień przybywa.

Zupełnie zaniedbaną dziedziną są dzieje Polaków, rozsianych w czasie wojny po całym świecie. Mamy zaledwie kilka książek na ten temat, dwie nauczycieli-wychowawców, jedną księdza i jedną podróżnika. Jedynym wyjątkiem jest mała książeczka, napisana i wydana w Polsce — wspomnienia dziecka z osiedla w Afryce. W skrócie próbuję opisać życie Polaków w tych dalekich osiedlach, na podstawie wiadomości zaczerpniętych z tych książek.

Ludność polska, która zdołała wydostać się z Sowietów razem z armią polską, została rozszana po całym istniejącym wówczas imperium brytyjskim, a nawet poza nim, gdyż jedna grupa pojechała do Meksyku. Polskie skupiska znajdowały się w Indiach, Afryce, trzech krajach Środkowego Wschodu, a ogromny sierociniec z kilkuset dziećmi pojechał do Nowej Zelandii. Ludność polska w tych osiedlach składała się głównie z kobiet z dziećmi, niedoroślej młodzieży i starszych osób. Każde z tych skupisk polskich miało inne problemy i trudności związane z krajem, w którym się znalazło.

Polacy po opuszczeniu Związku Sowieckiego przybywali do Persji, skąd po krótszym lub dłuższym pobycie wędrowali dalej. Większość przewożono do Karachi w Indiach, gdzie był obóz rozdzielczy. Według statystyki czasopisma *Polak w Indiach* przez obóz w Karachi przeszło ponad 22.000 Polaków. Tu przygotowywano ich do dalszej drogi, do Meksyku, Nowej Zelandii i Afryki.

Specjalny rozdział to osiedla polskie w Afryce. Były tam 22 osiedla a w nich prawie 19.000 Polaków, w tym około 10.000 dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. Dużo można się dowiedzieć z książki ks. Lucjana Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo”. Autor w pierwszej części opisuje ratowanie dzieci polskich w Sowietach, ale cała druga część tej książki jest poświęcona osiedlom afrykańskim. Położone były w Ugandzie, Tanganice, Kenii, Rodezji i Unii Płd., przeważnie z dala od miast, w buszu. Osiedla liczyły od 400 osób do paru tysięcy. Np. Masindi w Ugandzie składało się z 6 wiosek, miało gimnazjum ogólnokształcące, kupieckie, krawieckie, szpital i kościół. Ugandę ks. Królikowski nazywa klejnotem Afryki i rajem dla ludzi i zwierząt. Mieszkańcy wkrótce pozbyli się przysłowiowego „siedzenia na walizkach” i zaczęli budować nowe życie. Mieli tu spokój, zapewniony byt i opiekę. Osiedla rozkwitły, pobudowano szkoły, szpitale, w kilku nawet kościoły. Gliniane chaty pobielono, wokół posadzono kwiaty i krzewy, które tam rozrosły się bujnie. W opowiadaniach swych mieszkańcy podkreślają, że były to osiedla malownicze i często przypominały zamożne wsie polskie. Ks. Królikowski nie poznał wszystkich obozów, ze względu na ich wielkie rozrzucenie, ale jeździł do wielu i szczegółowo opisuje życie w nich, wszystkie problemy, zalety i wady tego życia. Najwięcej uwagi poświęca dzieciom, które po strasznym dzieciństwie w Rosji dopiero tu odzyskiwały równowagę. Dzieci miały tu wszystko, dostatek, opiekę, szkołę, piękny świat naokoło. Żyli w świecie znanym im tylko z książek, szczególnie z „W pustyni i w puszczy”. Harcerstwo miało tu wszelkie warunki do rozwoju. Bardzo były zabawne reakcje chłopców, którym się zdawało, że w Afryce niemal codziennie można zobaczyć lwa, słonia czy inne zwierzę. Jeden z chłopców pisał: „Chodziliśmy po dżungli i po buszu, lecz nie widzieliśmy żadnego dzikiego zwie-

rza, oprócz pana kierownika". Skojzarzenie kierownika z dziką zwierzyną nie było przypadkowe. Poza obóz nie wolno było się oddalać bez opieki. Chłopcy jak to chłopcy często się wykradali do dżungli, a przyłapani przez kierownika, byli karani. Jeden z chłopców zapłacił życiem za nieposłuszeństwo. Zachciało mu się kąpiele w jeziorze Wiktorii, mimo zakazu ze względu na krokodyle. Na oczach swoich kolegów został schwytyany przez krokodyla. Na wycieczki, „safari”, wyruszano gromadą, samochodem, z odpowiednim ubezpieczeniem i wtedy dzieci mogły do woli obserwować życie zwierząt na stepach Afryki.

Specjalną uwagę poświęca ks. Królikowski sierocińcowi. Opisuje istną Odyseję tego sierocińca przez Azję, Afrykę, po wojnie Włochy i w końcu okupowane Niemcy. Dzieci których rodzice po wojnie się odnaleźli odjechali, ale pozostałe w liczbie 150, które nie miały rodzin w Polsce, nie chciały wracać do kraju, ciągle miały w pamięci swoje straszne dzieciństwo w Rosji sowieckiej i obawiały się powtórzenia tych dziejów. Sierociniec, naciskany przez UNRA, a potem IRO, by dzieci odstawiono do Polski, czego domagał się rząd warszawski, broni się jak może, szuka sprzymierzeńców i opiekunów i wreszcie po ogromnych trudnościach cały sierociniec dostaje wizy do Kanady i wyjeżdżają tam dopiero w kilka lat po wojnie.

Te wszystkie perypetie w Europie bardzo źle się odbiły na psychice wychowanków sierocińca, i tak mających wiele urazów z powodu sieroctwa i ciężkich przeżyć w Rosji. Przyjechawszy do francuskiej części Kanady ciężko im było się zaaklimatyzować. Szczególnie młodzieży trudnej. Trudno im było żyć w nowym i tak innym społeczeństwie. Toteż często wracali do sierocińca, szukając w nim oparcia i namiastki domu. Opiekunowie sierocińca trwali na posterunku, jeździli do wychowanków, którzy wzywali pomocy, tłumaczyli, pocieszali, ingerowali gdzie trzeba, dopóki po paru latach wychowankowie nie usamodzielnili się, przeważnie pozawierali wczesne związki małżeńskie i wrosli w życie Kanady.



Wiktor Ostrowski w książce „Safari przez Czarny Ląd” jeden rozdział poświęcił osiedlom polskim. Wędrując po Afryce odwiedził kilka z nich. Zachwyca się ich organizacją, pięknym wyglądem, dziećmi, ale przytaczając różne dane statystyczne zastanawia się, dlaczego większość młodzieży uczęszcza do gimnazjów ogólnokształcących, do zawodowych bardzo mało, np. w szkole mechanicznej jest tylko 72 chłopców. Nie ma ani jednego seminarium nauczycielskiego, chociaż brak fachowych sił nauczycielskich już się tu w Afryce odczuwa. Uważa, że źle gospodarowano materiałem młodzieżowym. Bo jakie przygotowanie do pracy na obczyźnie daje gimnazjum ogólnokształcące przy

braku znajomości obcego języka? Piszę ze zgrozaniem, że w ciągu czterech lat większość młodzieży nie nauczyła się języka angielskiego.

Książkę swoją napisał w roku 1947. Ponieważ podziwia dobre zagospodarowanie obozów, należy przypuścić, że odwiedzał je w końcowym okresie, gdy było już jasne, że wielu uchodźców pozostanie na obczyźnie.



Życie w afrykańskim osiedlu opisała Barbara Rybałowska w uroczej książeczce pt. „Szkoła pod baobabem”. Razem z matką znalazła się w osiedlu Kodża nad jeziorem Wiktorja. Po wojnie wróciła do Polski i w 1969 napisała książkę w formie pamiętnika małej dziewczynki, jaką była w czasie wojny. Jest to chyba jedyna książka, napisana przez mieszkankę osiedla i wychowankę szkoły. „Szkoła pod baobabem” jest doskonałym obrazem życia w osiedlu. Niestety, jak wszystkie wydane w Polsce książki o tematyce czasów wojennych ta też ma różne niedopowiedzenia. Autorka zaczyna opowiadanie w Karachi, ale nie wyjaśnia skąd się tam wzięła. Książkę wydał MON i uległa różnym poprawkom i uzupełnieniom.



Osiedlenie 700 sierot w Nowej Zelandii jest najpiękniejszą kartą w historii osiedlenia polskiego w czasie wojny. Historię tego osiedlenia opisuje Krystyna Skwarko w książce pt. „Osiedlenie młodzieży polskiej w Nowej Zelandii w 1944 roku”, wydanej w Londynie w 1972. Autorka, wychowawczyni i nauczycielka, 2 pierwsze rozdziały poświęca opisowi ratowania dzieci polskich w Rosji, organizowaniu sierocińców i ich wyjazdowi do Ispahanu w Persji, gdzie spędziły dwa lata. Ale niestety w 1944 roku następuje likwidacja polskich obozów w Persji i sierociniec czeka dalsza tułaczka. W tym czasie rząd nowozelandzki wspinałomyślnie ofiarował sierocińcowi pobyt w Nowej Zelandii — na czas wojny. 700 sierot wraz z personelem przybyło do Nowej Zelandii i zamieszkało w osiedlu Pahiatua. Warunki tu były wspaniałe, kraj bogaty, mieszkańcy troskliwie opiekowali się osiedlem, które stworzyli dla małych przybyszów.

Po zakończeniu wojny, w zmienionej sytuacji politycznej rząd nowozelandzki nie naciska na ewakuację sierocińca. Przejmuje nad nim opiekę i w miarę dorastania młodzieży pozwala jej na osiedlenie się w Nowej Zelandii. Po wojnie pewna ilość dzieci odjechała do Polski lub Anglii na wezwanie rodziców, którzy się odnaleźli. W paru wypadkach rodzice dołączyli do dzieci. Kierownictwo sierocińca nie popełniło tego błędu, że nie przygotowało swych wychowanków do samodzielnego życia. W książce są wymienione 42 zawody, w których pracują wychowankowie

sierocińca, od architektów i lekarzy do farmerów, piekarzy, słusarzy itp.

Wychowankowie sierocińca widocznie dobrze zapisali się w tamtejszym społeczeństwie, jak to widać z przemówienia arcybiskupa J. M. Listona, wygłoszonego z okazji zjazdu w 25-tą rocznicę przybycia dzieci do Nowej Zelandii. „Jakież to błogosławieństwo wniosły nam polskie dzieci zaproszone przez dobrego premiera Piotra Fräser: siłę charakteru, ciepło serc, moc znoszenia cierpienia, piękną tradycję, rozum, głęboką lojalność i niezmierną miłość Boga i Matki Bożej”. A pewien dygnitarz nowozelandzki wyraził żal, że tych sierot polskich przyjechało tylko 700, chętnie widzieliby ich 7.000.



Osiedlenie w Meksyku przedstawia mniej różowy obraz. Opisuje je A. Jacewicz w książce „Santa Rosa”, od nazwy polskiego osiedla. Polacy w liczbie około 1.500, w tym 600 dzieci, przybyli do Meksyku w 1943 roku na podstawie umowy, jaką gen. Sikorski zawarł z rządem meksykańskim. Podobno był projekt osiedlenia w Meksyku 20.000 polskich wygnańców. Szczęśliwie do tego nie doszło, gdyż jak się później okazało, były tam najmniej sprzyjające warunki do osiedlenia mimo życzliwości mieszkańców i rządu meksykańskiego. Dzienniki dzieci, z których wyjątki są umieszczone w książce, wiele o tym mówią. Uchodźcy polscy odbywają wędrówkę przez pół świata, od Teheranu do Karachi, skąd płyną do Melbourne, potem do Wellingtonu, stamtąd do Los Angeles i już pociągami do Meksyku. Kontrast ogromny. Ze statku podziwiają piękne miasta Australii, Nowej Zelandii, Stanów Zjednoczonych. Po przekroczeniu granicy meksykańskiej dzieci piszą: znowu nas wiozą do jakiegoś Uzbekistanu. Okazuje się, że krajobraz meksykański, lepianki mieszkańców i ich ubóstwo przypominają azjatycki Uzbekistan.

Z opisu życia uchodźców w Santa Rosa przygnębiające wrażenie robi daremność ich wysiłków. Santa Rosa była starym młynem z zabudowaniami gospodarskimi, więc trzeba było ciągle coś przerabiać i dobudowywać. Gdy prawie wszystko jest wykończony, nawet zbudowany nowy budynek dla sierocińca, jest już koniec wojny i przychodzi zarządzenie likwidacji osiedla.

Większość wydatków osiedla pokrywał rząd Stanów Zjednoczonych, na szkolnictwo ogromne sumy łożyła Polonia amerykańska. Rząd Stanów Zjednoczonych przez swego przedstawiciela naciskał na zlikwidowanie osiedla, więc w pośpiechu całe to małe społeczeństwo się rozlatuje. Około 300 sierot zabrała Polonia amerykańska, nieliczna grupa kobiet z dziećmi odjechała do rodzin w Polsce. Autor książki uważa, że likwidacja osiedla nie była przeprowadzona *fair*. Np. na skutek bardzo nieprzyjemnych nacisków tuż przed Bożym Narodzeniem 1946 roku w po-



śpiechu opuściło osiedle około 700 osób, nieraz nie mając dosłownie zapewnionego dachu nad głową. Rząd meksykański zezwalał na stałe osiedlenie się w Meksyku i kto miał już jakieś możliwości, opuszczał obóz i szukał pracy. Nie było to jednak dla Europejczyka łatwe w tamtych warunkach, Meksykańczycy sami wędrowali za zarobkiem do Stanów Zjednoczonych. Trochę Polaków próbowało pracy przy wyrębie puszczy tropikalnej na półwyspie Jukatan, ale wkrótce pisali stamtąd rozpaczliwe listy z prośbą o ratunek. Autor wspomina, że w Mexico City spotykał Polaków żebrzących.

W osiedlu pozostała jeszcze spora grupa sierot, którym trzeba było zapewnić opiekę. Opiekunowie osiedla wynajęli budynek w miejscowości Tlalpan i tam sierociniec znalazł schronienie, a w nim parę staruszek. Sierociniec przetrwał do 1952 roku, utrzymywany przez Polonię amerykańską i z różnych subwencji polskich i meksykańskich.

Mieszkańcy Santa Rosa z czasem emigrowali do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Łacińskiej, a niewielka ich liczba, głównie kobiet, pozostała w Meksyku.



Nie znalazłam żadnych wspomnień o osiedlach w Indiach. Trochę wiadomości można znaleźć w czasopiśmie *Polak w Indiach*, które wraz z dodatkiem dla dzieci wychodziło w Bombaju w latach od 1943 do 1948. Pismo to jednak było przeznaczone dla mieszkańców obozu, informując ich o toczącej się wojnie i wydarzeniach w Polsce i w świecie. Ale można tam natknąć się na opis różnych uroczystości w obozach Jamnagan, Panchgani i Valivade. To ostatnie, najczęściej wspominane, osiedle-olbrzym, liczyło prawie 4.000 mieszkańców. Na fotografiach widzimy kościół wybudowany przez uchodźców, teatr amatorski, piękne sceny z wystawionego „Wesela”, „Ślubów Panińskich” itp. Jak się toczyło życie mieszkańców — nie wiemy.



Oddzielną pozycję w tej wędrówce po świecie zajmują Polacy, którzy znaleźli się na Środkowym Wschodzie, a ściślej mówiąc w ówczesnej Palestynie. O nich wiemy stosunkowo dużo, ponieważ stały tam przez dłuższy czas oddziały wojska polskiego, i aż do roku 1947 zawsze znajdowały się na tamtym terenie jakieś jednostki wojska polskiego. W Palestynie też zostały aż do 1947 roku Szkoły Junaków i Szkoły Młodszych Ochotniczek, oraz kilkutysięczna rzesza cywilów przybyłych z Polski przez Rumunię, Jugosławię i Turcję. W 1942 roku dołączyły do tej grupy kobiety z małymi dziećmi oraz zupełnie starsi panowie i panie, przybyli z armią polską z Rosji. Przyjechali w mundurach, bo

tylko w mundurze można było się dostać do Palestyny. Po przyjeździe cała ta grupa odeszła do cywila, ze względów oczywistych nie nadając się do służby wojskowej.

Cywile nie żyli w żadnym skoszarowanym obozie. Prowadzili zupełnie prywatne życie, korzystając z zasiłków polskiego ministerstwa opieki społecznej lub z wojskowych dodatków rodzinnych, gdyż było tam sporo rodzin wojskowych. Kilkuletni pobyt w Palestynie był z wielu względów zupełnie wyjątkowy. Przede wszystkim Palestyna w czasie wojny przypominała małą Polskę, nie tylko ze względu na ogromną ilość Polaków w tym małym kraju. W tym czasie większość zamieszkałych tam Żydów pochodziła z Polski, więc wszędzie można było porozumieć się swobodnie. W Tel-Awivie i w Haifie były wypożyczalnie książek polskich, a w obozowych kinach wojsko oglądało przedwojenne filmy polskie.



Piszę o tych wszystkich społecznościach polskich w świecie w czasie wojny, gdyż mamy tylko 4 wyżej wymienione książki, wszystkie napisane przez ludzi, sprawujących w tamtym czasie jakąś funkcję w tych społecznościach. Oprócz „Szkoły pod baobabem” nie mamy żadnej książki napisanej przez młodsze pokolenie. Co prawda autorzy przytaczają wspomnienia dzieci, ale są to krótkie fragmenty z wypracowań i dzienników szkolnych, przeważnie o Rosji i Persji, czasem o podróży. Ponad dziesięć tysięcy dzieci wychowało się w tych szkołach pod baobabem i pod innymi egzotycznymi drzewami. Żyły w niezwykłych czasach i niezwykłych warunkach, wędrowały przez kontynenty i żeglowały po oceanach. Co za temat dla utalentowanego pióra. Pokolenie to jest obecnie w średnim wieku, miejmy więc nadzieję, że ukaza się jeszcze interesujące wspomnienia.

Polscy uchodźcy przebywali też w Libanie. Na uniwersytetach w Bejrucie kształcili się nasi zdemobilizowani żołnierze i młodzież polska. M.in. Kardynał Rubin.

Polacy w Libanie nie byli nieznanymi przybyszami. W drugiej połowie XIX wieku stały tam garnizony złożone z pułków polskich w służbie tureckiej. Wynikło to stąd, że w czasie panowania Turków w Libanie Druzowie dopuszczali się rzezi chrześcijańskiej ludności Libanu. Na skutek protestów Francji i Anglii Turcja zobowiązała się utrzymywać tam garnizony chrześcijańskie i mianować gubernatorami wyłącznie chrześcijan. Jednym z tureckich gubernatorów był Polak W. Czaykowski, syn sławnego Sadyka-Paszy, męża Ludwiki Śniadeckiej.

*Ewa NOWAK-UKLEJSKA*

## OKRUCHY HISTORII

---

Leon CHAJN

### WOLNOMULARSTWO I PIŁSUDSKI W 1921 ROKU\*

W *Monitorze Polskim* nr 205 z 29. 12. 1920 roku ukazał się komunikat o nadejściu zaproszenia od rządu francuskiego dla Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego dla przybycia do Francji celem przeprowadzenia bezpośrednich rozmów politycznych i gospodarczych. Mimo iż Polska od chwili uzyskania niepodległości w 1918 roku opierała swą politykę zagraniczną na sojuszu z Francją, nie miała zawartej z nią formalnej umowy między państwowej. Na ten stan rzeczy złożyło się szereg przyczyn: przez dłuższy czas przeszkody do zawarcia takiej umowy czynione były przez rezydujący w Paryżu i uznany przez aliantów Polski Komitet Narodowy pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, łudzącego się, że sprawując polityczną władzę nad polskimi formacjami wojskowymi powstałymi na zachodzie zdoła wrócić do Polski i przejąć władzę. PKN zdołał wytworzyć we Francji wrogi stosunek do Piłsudskiego. Sytuację ówczesną dwojacznie określał francuski dziennik *Temps*, który pisał że istnieją dwa rządy polskie: jeden który nie chce opuścić Paryża i drugi, którego nie chcą wpuścić do Paryża<sup>1</sup>.

Przez dłuższy czas sam Piłsudski również nie spieszył się do tego aliansu, upatrując w Anglikach większe szanse dla swoich koncepcji rozczłonkowania Rosji. Jak pisze przysły ambasador Francji w Polsce Jules Laroche, Piłsudski zrozumiał jednak, jakie niebezpieczeństwa groziły Polsce, jak wiele zawdzięczał Fran-

---

\* Artykuł ten drukujemy bez wiedzy i zgody Autora.

1. Cyt. wg Wł. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. I, str. 388, Paryż 1953.

cji (choć grały przeciwko temu względy miłości własnej), i zdał sobie sprawę ze znaczenia takiego aliansu dla Polski położonej między nienawidzącymi ją Niemcami a wrogą Rosją<sup>2</sup>. Dlatego też w listopadzie 1920 roku piśsudczykowski dziennik *Naród* zamieścił inspirowany artykuł, zawierający aluzję do korzyści jakie dawałoby Polsce i Francji zawarcie między państwowego sojuszu. Polska prawica również zdążyła do szybkiego zawarcia sojuszu. W dniu 17. 12. 1920 roku z inicjatywy posła Dubanowicza, jednego z przywódców Narodowo-Chrześcijańskiego Stronnictwa Ludowego Sejm podjął uchwałę o konieczności zawarcia ścisłego sojuszu z Francją.

W opinii szerokich kół politycznych i wojskowych Francji sprawa sojuszu z Polską i osoba Piłsudskiego budziły poważne zastrzeżenia. Najwyższy autorytet wojskowy Francji, marszałek Foch, dowiedziawszy się o skierowanym do Polski zaproszeniu, wystąpił do rządu francuskiego z listem, wypowiadając się przeciwko sojuszowi z Polską jako „z państwem [takim jak Polska], które nie posiada jeszcze granic, ani rządu ani armii<sup>3</sup>”. „Marszałek Foch wprost oskarżał Piłsudskiego, że obsadza stanowiska wojskowe swymi przyjaciółmi politycznymi, a nie według zasług wojskowych. Z punktu widzenia wojskowego przewidywał kompletną klęskę, jeśli Piłsudski nie zrezygnuje z jednej funkcji — naczelnego dowódcy lub Naczelnika Państwa<sup>4</sup>”. Wpływowo francuskie koła sztabowe uważały Piłsudskiego za amatora i wyrażały dezaprobatę dla jego sposobu dowodzenia. Generał Weygand, który po kampanii 1920 roku wrócił z Polski, również urabiał złą opinię o Piłsudskim i uważał, że Francja nie powinna brać na siebie wobec Polski „zobowiązań zbyt szerokich”.

Owczesny premier i francuski minister spraw zagranicznych Arystydes Briand w depeszy z 17. 11. 1920 roku do pierwszego posła francuskiego w Warszawie De Panafieu wyrażał obawy, czy Piłsudski, zabezpieczywszy się od strony niemieckiej, nie wykorzysta traktatu dla wciągnięcia Francji w jakąś awanturę na odcinku rosyjskim. Wpływowo koła Quai d'Orsay z sekretarzem generalnym Filipem Berthelotem przyłączały się do tej opinii. Francuski dyplomata „zwracał kilkakrotnie uwagę posła Zamoyskiego (w Paryżu — Ch.) na niebezpieczeństwo awantury ukraińskiej oraz ostrzegał, że rząd francuski nie poprze układów z Petlurą<sup>5</sup>”.

Gwałtownie wypowiadała się przeciwko wiązaniu się z Polską część prawicy francuskiej, która niejako była solidarna z inspirowanymi polskiej prawicy, usiłującej podważyć pozycję Piłsud-

---

2. Jules Laroche, *Polska lat 1926-1935*, str. 17, Warszawa 1926.

3. Cyt wg. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, t. II, str. 377, Londyn 1956.

4. J. Kukułka, *Francja a Polska po traktacie wersalskim*, str. 225.

5. *Tamże*, str. 161.

skiego. Francuska prasa prawicowa „przedstawiała Piłsudskiego jako wielkiego autokratę, intryganta, człowieka chorobliwie ambitnego, chciwego sławy wojskowej, który chcąc osłabić za wszelką cenę swoich przeciwników wprowadza poprzez zaufanych ludzi politykę do wojska<sup>6</sup>”. Bardzo wpływowy i wybitny prawicowy pisarz polityczny Jacques Bainville w swej głośnej książce pt. *Les conséquences politiques de la paix* nie szczędził zjadliwych słów Polsce i przestrzegał przed wiązaniem się z nią jako z krajem, znajdującym się w stanie stałej anarchii<sup>7</sup>.

Z innych względów niechętnie wiązaniu się z Polską były koła radykałów i socjalistów francuskich. Koła te uważały państwo polskie za reakcyjne i imperialistyczne. Ogólnie panowała atmosfera uprzedzeń, niechęci i podejrzeń w stosunku do osoby Piłsudskiego zarówno ze strony kół politycznych jak i wojskowych.

Ówczesnemu prezydentowi Francji Aleksandrowi Millerandowi, który przypisywał polsko-francuskiemu soюзowi rolę namiastki sojuszu francusko-rosyjskiego i jednego z czynników polityki antysowieckiej — udało się przełamać opory Quai d'Orsay, zastrzeżenia sfer wojskowych i zaproszenie do Piłsudskiego zostało skierowane.

Przed wyjazdem do Paryża, Piłsudski w rozmowie z szefem biura propagandy zagranicznej przy Prezydium Rady Ministrów Wł. Baranowski wyrażał zadowolenie, że stosunki z Francją zostaną unormowane. „Tak jak było bowiem dotąd — mówić — było, delikatnie mówiąc, 'niewygodnie' i niekiedy obraźliwie dla stron obu. Było zbyt wiele irytujących 'ale'. Przy tym ci, których nam tu przysyłało, i ton protekcyjny, z jakim do Polski się odnosili, zupełnie mi nie odpowiadał. Niejednokrotnie nasłuchali się ci panowie ode mnie rzeczy niemiłych, a może i niedyplomatycznych (...). Z dyplomatów obecny poseł Panafieu dostosował się także z czasem do mojej atmosfery, i dziś rozmowy z nim są łatwe i prowadzące do celu (...). Naturalnie wiem, gdzie szukać przyczyn różnych podejrzeń i uprzedzeń francuskich. Wyznawali mi to sami Francuzi przyciśnięci do muru (...). Chcę, by ten występ nasz na arenie światowej i dyplomatycznej wypadł jak należy<sup>8</sup>”. W dalszym ciągu Baranowski pisze, że w związku z wizytą we Francji Piłsudski zapytywał, czy nie wie, jaka jest tam po wojnie istotna siła masonerii. „Interesował się tym zagadnieniem bardzo żywo i z właściwą Mu powagą. Orientował się w roli masonerii w państwach zachodnich i znał dość dobrze działalność wolnomularstwa polskiego w czasach przedpowstaniowych. Pragnął, by odrodzone w Polsce niepodległej nawiązało nic tradycji historycznych i by

6. *Revue de Paris*, 17. X. 20, cyt. wg *Francja a Polska...*, str. 353.

7. Cyt. wg J. Ciałowicz, *Polsko-francuski soюз wojskowy 1921-1939*, str. 28.

8. Wł. Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim*, Warszawa 1938, str. 142-144.

zdołało wśród pokrewnych organizacji na terenie światowym zdobyć szacunek i odegrać swoistą rolę...”.

Piłsudski uznał, że polskie wolnomularstwo może odegrać istotną rolę już teraz w związku z zapowiedzianą wizytą. Postanowił w tej trudnej dla siebie sytuacji wykorzystać stosunki łączące wolnomularzy i „brata” szachować „bratem”.

Dla propagandowego przygotowania wizyty we francuskich kołach politycznych, w prasie i opinii publicznej zostali skierowani do Paryża, na dwa tygodnie przed wizytą, dwaj członkowie polskiego zakonu wolnomularskiego: zaufany współpracownik i adiutant Piłsudskiego B. Wieniawa-Długoszowski i cytowany uprzednio rozmówca Naczelnika Państwa Wł. Baranowski. W swoich wysiłkach pozyskania opinii publicznej kół radykalnych, lewicowych oraz większości centrum dla zrozumienia znaczenia sojuszu oraz dla przeciwdziałania krytycznej opinii o Piłsudskim korzystali oni z pomocy polskiego wolnomularza, stale zamieszkałego w Paryżu, późniejszego senatora z ramienia PSL „Wyzwolenie”, dr. Bolesława Motza. Dodajmy, że De Panafieu, którego endecy podejrzewali o to, że przyczynił się w Paryżu do zaproszenia Piłsudskiego był wolnomularzem. (A. Millerand był w 1833 roku inicjowany do loży *l'Amitié* i pozostawał członkiem zakonu do 1905 roku).

Oto co pisał na temat swej misji we Francji Baranowski: „Należy powiedzieć, iż zaraz po przyjeździe stwierdziłem, że przypuszczenia Piłsudskiego o czekających na gruncie paryskim intrygach i przeszkodach ze strony polskiej miały swe uzasadnienie (...). Była wyraźna tendencja do osłabienia zewnętrznego efektu przyjazdu Piłsudskiego do Francji (...). Wizyta Jego dla szerokiego ogółu francuskiego była niemal tajemnicą. W kołach zaś politycznych krążyły dziwne wersje (...). Samą wizytę uważano niemal za nieproszony najazd jakiegoś księcia na terytorium niezależnego państwa feudalnego<sup>9</sup>”.

Do atmosfery uprzedzeń i niechęci jaka panowała wokół osoby Piłsudskiego należał także sposób powitania Naczelnika Państwa. Na powitanie głowy zaprzyjaźnionego państwa na dworzec nie przybył ani Prezydent Millerand, ani marszałek Foch. „Uchybienia” protokolarne znalazły swój wyraz także w wyborze przez gospodarzy miejsca galowego przedstawienia: zamiast na przedstawienie w Operze, którym zwykle honorowano w stolicy Francji szefów państw obcych — zaproszono Piłsudskiego do *Comédie Française*.

Szachowanie „brata” „bratem” nie ograniczyło się wyłącznie do wysłania dwóch braci dla urobienia opinii publicznej. Jeśli prawdą jest to, co pisze Baranowski, że pozyskał współpracę

---

9. *Tamże*, str. 152-154.

Francuzów wszędzie gdzie się o nią bezpośrednio zwrócił, „a więc tak u parlamentarzystów, wybitnych polityków i publicystów różnych kierunków, jak w poważnej, odpowiedzialnej prasie” — to nie od rzeczy będzie wskazać na jeszcze jedną niecodzienną „rekomendację”, jaką zyskał Piłsudski.

W udostępnionych w bieżącym roku, po 25-letniej kadencji, materiałach, złożonych w Bibliotece Uniwersyteckiej przez wybitnych, czołowych polskich masonów St. Stempowskiego i E. Kipę znajduje się odpis znamiennego listu. Nie przeceniając roli i znaczenia tych rekomendacji, które spowodowały, że „wizyta Marszałka w dn. 3-6 lutego 1921 roku we Francji odbyła się w rezultacie w atmosferze pomyślnej, zarówno dzięki powadze oficjalnych czynników francuskich jak i dygnitarzy polskich przybyłych z kraju” — jak pisał Baranowski — wspomniany list w pewnych kołach musiał swoje zadanie spełnić.

W teczce zawierającej korespondencję Wielkiej Łoży Narodowej Polski za lata 1920-1926 (Nr akc. 2862) znajduje się odpis listu następującej treści:

N.\*C.\*W.\*B.\*S.\*<sup>10</sup>

## POLSKA ŁOŻA NARODOWA OBRZĄDKU SZKOCKIEGO DAWNEGO I UZNANEGO

Braciom Wielkiego Wschodu Francuskiego Pozdrowienia.

Drodzy Bracia,

W tych dniach na zaproszenie Rządu Francji Naczelnik R.P. Józef Piłsudski zawita do Paryża. Ta wizyta, na której zgodnie z tekstem zaproszenia „nastąpić ma porozumienie w wielu nader ważnych kwestiach” wywrze niechybnie decydujący wpływ nie tylko na politykę dwóch sprzymierzonych narodów, ale i na całokształt stosunków międzynarodowych Nowej Europy. Dzieje ostatnich lat pokazały, jak dalece splecione są i od siebie zależne najdalej nawet leżące kraje i jak czasu wojny, niejednokrotnie najdroższe zdobycze kultury i cywilizacji zawisły od tego, co myślał i czuł w danej chwili kupiec dalekiej Ameryki, dziki Kurd lub ciemny chłop rosyjski.

Chociaż zamilkły działa, walka pokojowa o najszczytniejsze ideały demokracji — ideały wolności, braterstwa i sprawiedliwości — jako jeden z etapów odwiecznego zmagania się Dobra ze Złem nie ustanie, tylko, że do tej walki wojna wszechświatowa wciągnęła dziś wszystkie narody i ludy świata. Z tego punktu widzenia nie może być, Bracia, obojętnym dla naszej

---

10. Na Chwałę Wielkiego Budownika Świata.

Wszczęświatowej Organizacji, stojącej właśnie na straży tych ideałów, jakie wartości i tendencje reprezentuje Polska, która jest dziś kluczem do rozstrzygnięcia niesłychanie zagmatwanego zagadnienia narodów Wschodniej i Środkowej Europy, i nie może pozostać nieznanym. Kim jest w istocie smiej, poza oficjalnym przedstawicielstwem, twórca niepodległej Polski i umiłowany wódz żołnierza polskiego.

Korzystamy, Bracia, z okazji oficjalnej wizyty Marszałka Piłsudskiego we Francji, żeby Was o tym objaśnić. Albowiem zaiste byłoby błędem, gdybyście ulegając krążącej od dawna po Europie złośliwej i fałszywej o Polsce i Jej wodzu legendzie nie poparli swym przemożnym wpływem wysiłków, które — jesteśmy przeświadczeni — leżą właśnie na linii wielkich celów i zadań Wolnomularstwa.

Józef Piłsudski bratem naszym nie jest. Pomimo to jednak, na podstawie znajomości całokształtu działalności więźnia carskiego i więźnia magdeburgskiego do chwili objęcia przezeń wysokiej godności Naczelnika Państwa, jak i późniejszej, aż do dnia dzisiejszego, zaliczamy go do szeregu mężów najbardziej w Polsce zasłużonych w walce o ideały Demokracji, tak bliskie Wolnomularstwu.

Nie będziemy tu przytaczali faktów znanych z tych jego życiorysów. Nie będziemy również podkreślali uroku, bijącego od tej wielkiej i szlachetnej postaci, którą Polska Demokratyczna otacza szacunkiem i miłością.

Abstrahujemy od osoby, gdyż dziś w Polsce imię Józefa Piłsudskiego już przestało oznaczać osobę, a stało się symbolem pewnego określonego kierunku myśli narodowej i politycznej. Na ten właśnie fakt chcemy zwrócić Waszą, Bracia, uwagę. Kto w Polsce pragnie względem sąsiadujących z Nią na Wschodzie Narodów zachować zyczliwe stosunki i dopomóc im w osiągnięciu sprawiedliwych form bytowania i kto dąży wewnątrz kraju do ugruntowania demokratycznego, na udziale szerokich mas ludowych opartego ładu państwowego, kto pragnie spokoju wewnętrznego na niezbędnych reformach społecznych i zabezpieczenia praw mniejszości narodowych opartego, kto miłuje wielkie tradycje wolności i tolerancji — ten jako hasło bojowe przybiera imię Piłsudskiego.

Na odwrót: ci ze skrajnej nacjonalistyczno-klerykalnej prawicy — bolszewicy z prawa, jak i ze skrajnej komunistycznej lewicy — bolszewicy z lewa, co nieustannym szczytem podsycają zgubne dla Polski swary narodowościowe, wyznaniowe i rasowe, co zwalczają reformy społeczne, podsycają niemniej zgubne walki klasowe; co z Kościoła kują broń polityczną, co na rozkaz z bolszewickiej Moskwy tamują życie kraju, siejąc popłoch i rozprężenie — ci jak w tarczę uderzają w Piłsudskiego, godząc w symbol tego, z czym walczą.

Wobec tego my, Wolnomularze polscy, mamy wybór łatwy: popieramy zdrowy ośrodek Demokratyczny Narodu, którego rzecznikiem jest Piłsudski. Ale musimy sobie jednak zdawać sprawę z tego, że w tym stanie rzeczy upadek lub porażka Piłsudskiego nie byłyby zwykłą zmianą osoby w rządzie Rzeczypospolitej Polskiej, lecz oznaczałyby głęboką, zasadniczą zmianę w istocie i charakterze samego Państwa. Tak bywało już w dziejach narodów, że w okresach wielkich wstrząśnięć i niebezpieczeństw personifikował się naród w jednej osobie. Dla Polski Piłsudski to tryumf i ugruntowanie się demokracji. Cokolwiek tedy ten mocny i niezłomny człowiek przedsięwzięnie na konferencjach z politykami Zachodu, w tym pewniku będzie miało



swe źródło. Cokolwiek zaś osiągnie, będzie zdobyczą i tryumfem demokracji. Dlatego odwołujemy się do Was, Bracia, abyście wpływami swoimi poparli poczynania Józefa Piłsudskiego, albowiem od tego z czym powróci do Polski zależeć będzie, jaką ta Polska w najbliższym czasie będzie.

Warszawa 27. I. 21 r.

Na odpisie listu brak jakichkolwiek podpisów. Dodajmy więc, że pierwszym Wielkim Mistrzem Wielkiej Loży Narodowej Polski, powstałej 1. 10. 1920 roku był Rafał Radziwiłłowicz, od 1927 roku profesor psychiatrii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie — imię zakonne „D. Lubicz”. Inny „brat” zakonny, J. Dąbrowski-„Grabiec”, w ciekawej książce „Czerwona Warszawa” napisze o Radziwiłłowiczu, że „Z przekonań był 'Dr Rafał' dziwną mieszaniną zachowawczych zasad, dochodzących do zdeklarowanego monarchizmu, z demokracją szlachecką starej daty”.

*Leon CHAJN*

## SPIS TREŚCI

Janusz Rakowski: <i>Zetowcy i Piłsudczycy</i> (2) .....	3
Stanisław Swianiewicz: <i>U.S.B. w perspektywie historycznej</i> .....	95

## WSPOMNIENIA

Karol Kraczkiewicz: <i>Przedwojenna „Wierzbowa”</i> .....	107
---	-----

## UCRAINIKA

Józef Łobodowski: <i>Dmytro Doncow: życie i działalność</i> ..	144
Wołodymyr Janiw: <i>Ukraińsko-Polska Konferencja naukowa</i>	161

## DOKUMENTY

Henryk Jabłoński: <i>20-letni dorobek Polski w dziedzinie społecznej</i> .....	169
Adam Humer: <i>Skargi na ręce tow.tow. Kani, Kowalczyka i Łukaszewicza</i> .....	207

## RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i> .....	217
Kazimierz Smogorzewski: <i>Na granicy wojny i pokoju</i> ....	221
Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>Trzecie wydanie</i> .....	223
Ewa Nowak-Uklejska: <i>Polskie Odyseje</i> .....	224

## OKRUCHY HISTORII

Leon Chajn: <i>Wolnomularstwo i Piłsudski w 1921 roku</i> ..	231
--	-----

A C H E V E D' I M P R I M E R  
L E 1 6 F E V R I E R 1 9 8 1  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> ).

Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1981.



PAWEŁ ZAREMBA

„HISTORIA DWUDZIESTOLECIA”  
(1918-1939)

(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

W marcu br. ukaze się dawno oczekiwana w Kraju i na emigracji praca zawierająca m.in. rozdziały:

*Tom 1-szy (str. 240), Cz. I-sza:* PIERWSZE LATA: U progu Niepodległości. — Rewolucja Październikowa i niepodległość Polski. — Komuniści. — Demokratyczne podstawy Państwa. — Rząd Moraczewskiego. — Rząd Paderewskiego. — Powstanie Wielkopolskie. — Polacy i Ukraińcy. — Polacy i Litwini. — Sejm Ustawodawczy. — Reforma Rolna. — Oświata. — Konferencja Półkowa. — Górny Śląsk. — Wschód: początek konfliktu. — Po roku niepodległości. — Mikaszewice. — Przed wznowieniem wojny. — Sojusz z Ukrainą. — Wyprawa kijowska. — Rada Obrony Państwa. — Bitwa Warszawska. — Rozejm. — Wilno. — Pokój. — Powstania Śląskie.

*Tom 2-gi (str. 423 plus Indeks nazwisk). Cz. II-ga:* SPRAWY WEWNĘTRZNE: Początki. — Gospodarka. — Wieś. — Konstytucja Majowa. — Mniejszości narodowe. — Spór konstytucyjny. — Wybory 1922. — Zamordowanie prezydenta. — Prezydent Wojciechowski i rząd Sikorskiego. — Rząd Witosza. — Reformy Grabskiego. — Bank Polski obala rząd. — „Sejmowładztwo”. — Zamach majowy. — Piłsudski u władzy. — Piłsudski i opozycja. — Rządy Pułkowników. — Kryzys gospodarczy i społeczny. — Społeczeństwo lat trzydziestych. — Konstytucja kwietniowa. — Śmierć Marszałka. — Bez Piłsudskiego. — Kwiatkowski i polska gospodarka. — Rolnictwo w końcu lat trzydziestych. — Problemy społeczne. — Instytucje samorządowe. — OZON. — Ostatnie wybory. — *Cz. III-cia:* POLITYKA ZAGRANICZNA: Od Rygi do Rapallo. — Locarno. — „Zaświe pięcioletnie”. — Pakty nieagresji. — Pakt Wschodni. — W Lidze Narodów. — Dziedzictwo Piłsudskiego. — Nadrenia. — Rambouillet. — Ku wojnie. — Rokowania czy przetarg? — Polska i rokowania niemiecko-sowieckie. — Pakt Ribbentrop-Mołotow. — Ostatnie dni pokoju. — Czy była alternatywa?

HISTORIĘ DWUDZIESTOLECIA można nabywać tylko w całości.

Cena: T. I/II — F. 170.

F. 45,00